



GABRIELA
GARGAŚ

*Magia
grudniowej nocy*



GABRIELA,
GARGAŚ

*Magia
grudniowej nocy*

Copyright © Gabriela Gargaś, 2018

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący: Adriana Biernacka i Monika Długa

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Joanna Pawłowska

Projekt okładki i stron tytułowych: Magda Bloch

Fotografie na okładce: © catalina.m | Shutterstock

Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-074-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Doroślam i... Ile marzeń zaprzepąściłam, ile przegapiłam spadających gwiazd? A kiedyś, jako dziewczynka, nieustannie wgapiłam się w niebo i wypatrywałam komet. Jak bardzo wierzyłam, że moje marzenia się spełnią! Dlaczego przestałam wierzyć? Chciałabym w te święta Bożego Narodzenia uwierzyć na nowo. Na nowo stać się dzieckiem, z gonitwą myśli w głowie i tą radością oraz ufnością.

Rzeczy przyziemne to jedno... a marzenia to coś zupełnie innego. Je trzeba mieć. Koniecznie. Są promykami słońca w pochmurny poranek.

Czas ucieka, jestem coraz starsza. Muszę zwolnić teraz na kilka chwil. Na ten magiczny czas. Nie chcę być tak do bólu dorosła, dojrzała. Chcę... Chcę upiec pierniczki i udawać, że mąka jest śnieżnym pyłem, chcę zapomnieć o wszystkich zmartwieniach, o niezapłaconych rachunkach, o liście zakupów. Na chwilę można, przecież świat się nie zawali. Nadchodzą święta.

PROLOG

„Czy tylko mnie się to zdarza?” — pomyślała Amelia. „Są takie dni, kiedy marzę, by nikogo na swojej drodze nie spotkać. Kiedy wyglądam jak milion dolarów i czuję się piękna, radosna, nie spotykam nikogo znajomego. Nikogusieńko. A kiedy przemykam między domami nieuczesała, z czerwonym nochem, nieumalowana... bach, wszyscy znajomi po drodze”.

Nagle zza zakrętu wyłonił się ON. Wyglądał, jakby wyszedł z jakiegoś ważnego spotkania. „Stalowy płaszcz podkreśla błękit jego oczu. A ja?” — Amelia zaczęła nerwowo rozglądać się na boki, jakby szukała ucieczki. W głowie kłębiło jej się mnóstwo myśli. „Jak sierotka Marysia albo Kopciuszek, ale nie ten na balu, tylko ten, który wraca do domu objuczony sprawunkami. Byle tylko mnie nie zauważył!”

Spuściła głowę. „Może wskoczę w zaspę i będę udawała bałwana?”

Stanęła, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. I nagle usłyszała:

— Cześć.

I to „cześć” sprawiło, że jej serce mocniej zatrzepotało.

— Cześć! — Spojrzała na Marka, uśmiechnęła się. Nie widzieli się od trzech tygodni. Amelia unikała go, nie odbierała od niego telefonów; jednym słowem chciała o nim zapomnieć, bo przecież była Patrycja.

Wymienili kilka uprzejmości. Kobieta czuła, że nie tylko nos ma zaczerwieniony od kataru i ciągłego wydmuchiwania, teraz jeszcze

rumieniec wypełził jej na policzki. Marek taksował ją wzrokiem, a ona wciąż uśmiechała się niemrawo. Siatki wbijały jej się w palce.

— Co słyszeć? Gdzie lecisz? — zapytał.

— A... tak sobie, po zakupy wyszłam.

„Czy ja się uczesałam, umyłam zęby? Miałam skoczyć tylko po bułki. To nic, że z bułek zrobiło się też mleko, masło, karkówka, bo taka ładna i chuda, że grzech nie wziąć”. Miała wrócić do domu i się ogarnąć.

A tutaj na drodze on.

— Pomóc ci? — zaproponował.

— Nie, nie. Dam sobie radę.

— A może jednak?

Wreszcie pokiwała głową.

Ruszyli w stronę domu. On z siatkami, ona dreptała koło niego. Jej myśli wciąż zaprzętała niestaranna fryzura. „Może powinnam zaprosić go na kawę? To tylko kawa. Powspominamy dawne czasy. To znaczy niedawne. Nie, wykluczone. Podłoga się klei i śmierdzi przypalonym mlekiem. Muszę grać niedostępna”.

Jeśli zechce zacząć coś od nowa, musi o nią powalczyć. Żadnych kaw. Żadnych.

Stanęli przed drzwiami wejściowymi.

— Może napijemy się kawy? — zaproponował znienacka.

— Ka... kawy? — zapytała zdziwiona.

Zima w Bieszczadach jest zupełnie inna od tej w mieście. I przychodzi wcześniej. W mieście niekiedy nie widać tej zimy. Chowa się w ulicznych korkach. Śnieg posypany solą i piaskiem zamienia się w

breję. Niebo sine jest od smogu. A tutaj, w Złotkowie, czuć tę zimę — i przede wszystkim widać. Zmrożone gałązki drzew błyszczą w zimowym słońcu. Turkusowe niebo połyskuje nad głowami. Kilkucentymetrowa warstwa śniegu przyjemnie chrzęści pod stopami. Góry i pagórki, pola i połoniny pokryte są białym puchem. Bieszczadzki świat się skrzy. A w „Różanym Pensjonacie” jest ciepło i przytulnie.

Michalina otworzyła drzwi i weszła do domu. Siatki z zakupami odłożyła na stół. Zrzuciła kurtkę, szalik i kozaki i weszła do salonu. Rozpaliła w kominku. Ogień przyjemnie trzaskał, kiedy zajmował polana.

Kiedyś Michalina z niecierpliwością czekała na wiosnę. Kilka lat temu pokochała jednak zimę. Każda pora roku jest potrzebna; mroźna zima decyduje o pokaźnych plonach latem. Pogładziła się po lekko wystającym brzuchu. Zawsze kiedy pomyślała o tym, że zostanie mamą, ogarniała ją radość, dopiero potem serce jej się ścisnęło, gdy docierało do niej, że będzie matką — samotną.

Była zdziwiona tym, że Przemek odszedł. Nagle, bez pożegnania. Potem dowiedziała się o ciąży. Dzwoniła do niego, pisała. Żadnej odpowiedzi. Dopiero po kilku tygodniach oddzwonił i powiedział, że widział ją, kiedy całowała Artura. Chciała mu to wytłumaczyć, ale się rozłączył. Nie miała pojęcia, co zrobić; to babcia Zosia namówiła ją do tego, by mu powiedziała, że zostanie ojcem. O dziwo się ucieszył. Obiecał pomóc, ale z nią nie chciał mieć nic wspólnego.

Bolało. Usta się śmiały, ale w sercu pozostał jakiś żal, tłumiony żal do siebie, że jej się nie chciało, że się nie starała, że nie wyszło...

Historia, jakich wiele. Ktoś kogoś oszukał, ktoś odszedł, ktoś czegoś nie dopowiedział, ktoś coś źle zrozumiał. Może rzeczywiście powinna mu wszystko wyjaśnić? Tylko że on przecież nie chciał słuchać.

„Tyle razy ode mnie odchodziłeś. Czekałam na ciebie z utęsknieniem. Zapominałam. Tyle razy zapominałam...” — rozmyślała Zofia, otulona wełnianym kocem w kratę. „A nie powinnam. Powinnam pamiętać cię wyraźnie. Czuć cię. Zapachy, smaki, przeszłe emocje... To wszystko już za mną. Wracasz nocą, w snach. Uśmiecham się do ciebie. Pamiętam ten uśmiech od ucha do ucha i nos nakrapiany piegami, i taniec boso na trawie mokrej od porannej rosy. I to, jak zrywałam peonie! Kocham te pękate kwiaty o blad różowych płatkach. I pamiętam pierwszą miłość, burzliwą, szaloną, namiętną, która miała wypisane szaleństwo na twarzy. I te pocałunki w maju, pod kwitnącym kasztanem. Oburzone spojrzenia nadętych matron, kiedy nie mogliśmy od siebie rąk oderwać. Pamiętam, choć czasem zapominam. Bo dziś jest inaczej. Dzisiaj jestem starą kobietą, nie boję się tego określenia. Stara. Ale kiedyś przecież byłam młoda...

Ja też robiłam dużo rzeczy niechcący, a inne chcący, bo ich pragnęłam; tylu rzeczy chciałam, choć może nie powinnam! Teraz uśmiecham się na ich wspomnienie.

Odchodzisz i wracasz. Pozwalam ci odejść. Nie można niczego i nikogo zatrzymać na siłę. Siedzisz sobie na dnie mojej duszy, w zakamarku serca. Wiem, że kiedy będę chciała, wrócisz. Z dźwiękiem jakiejś melodii, w czyimś uśmiechu, w zapachu bzu.

Moje WSPOMNIENIE”.

ROZDZIAŁ 1

Michalina kochała zimę w Bieszczadach. Owinąwszy się ciasniej szlafrokiem, podeszła do okna. Mimo iż był listopad, w górach zima rozpanoszyła się już na całego. Na szybach mróz wymalował piękne wzory: drobne siateczki niczym hafty richelieu. Gruba warstwa śniegu pokrywała krzaki rosnące wokół płotu. Ulicą naprzeciwko, po której z rzadka jeździły samochody, nikt teraz nie chodził. Michalina miała ochotę wzuć kozaki i przejść się po ulicy. Czuć, jak śnieg trzeszczy pod ciężarem jej stóp. Sporo już przytyła, mimo iż to była dopiero końcówka pierwszego trymestru ciąży. Śnieg padał coraz gęściej, a wielkie płatki wirowały w ciepłym świetle latarni.

Zawsze kiedy zbliżały się święta, wspominała rodziców. Mamę, która zmarła, gdy Miśka miała osiemnaście lat, przez co dziewczyna musiała zająć się młodszym braciszkiem, i tatę, który ich opuścił. Zjawiał się czasami w Złotkowie, by po chwili odjechać w nieznane. Taki już był. Wolny ptak.

Była siódma trzydzieści rano. Zaraz zacznie się rozwidniać. Michalina postanowiła się przebrać i pójść do sklepu, a następnie wstąpić do „Cynamonowych Serc”. Nazajutrz w pensjonacie miał się pojawić kolejny gość, więc Miśka musiała posprzątać, wyprać pościel, ułożyć menu. Ubrała się i wyszła.

Od kilku dni ludzie ją irytowali. Czasami czyjeś zachowanie doprowadza człowieka do furii. A w ostatnim czasie, gdy hormony

buzowały, Michalina też miała ochotę wybuchnąć. Jak dziś. Stojąc w kolejce do kasy, nagle poczuła coś na plecach. Odwróciła się i zobaczyła kobietę — nie, nie kobietę, babę: tak Miśka o niej pomyślała — która pchała się na nią z zakupami.

— Przepraszam panią, ale moje plecy to nie zajezdnia wózków — fuknęła.

— Oj, coś pani taka delikatna?

Michalina odwróciła się do nieznamomej.

— Tu chodzi, droga pani, o czystą przyzwoitość. Chce pani stanąć w kolejce przede mną, czy co?

Wiedziała, że nie powinna zaczynać dyskusji, ale była tak podminowana, że nie mogła się powstrzymać.

— Stoję za panią i tu mi dobrze. — Korpulentna kobieta wzięła się pod boki.

— To niech pani co chwila tym wózkiem nie wjeżdża w moje plecy. To już nie PRL, towaru starczy dla każdego.

— Patrzcie państwo, jaka księżniczka się znalazła! Na ziarnku grochu w dodatku, taka delikatna!

Michalina zacisnęła zęby i więcej się nie odezwała.

Ale później było już tylko gorzej. W drodze powrotnej jakaś wielka ciężarówka jechała blisko pobocza i ochlapała ją śnieżną breją. Miśka poczuła mokrą chlapę nawet za kołnierzem kurtki. Miała ochotę przystanąć i drzeć się wniebogłosy.

Weszła do domu. Na przedpokoju pojawił się Bartek ze szczoteczką w ustach.

— Nie wiesz, że zęby się myje w łazience, a nie chodzi po domu z

kapiącą z buzi pianą?

— Mhm — mruknął chłopiec.

Po kilku chwilach pojawił się w pokoju.

— Czemu się czepiasz?

— Bo mi plamy z pasty zrobisz na dywanie. Jakbyś był rozsądny, tobym się nie czepiała.

— Ty też łazisz po domu, myjąc zęby. Od kogoś się tego nauczyłem.

— Puścił do siostry oko.

— Ty już nie bądź taki mądry — rzuciła w odpowiedzi, choć w jednej chwili wyparowała z niej cała złość.

Chłopiec pstryknął palcami.

— Nie pstrykaj mi tu, tylko jazda do szkoły. — Michalina zerknęła na zegarek. Była ósma czterdzieści pięć, Bartek zaczynał lekcje o dziewiątej.

Chłopiec usiadł na podłodze i zaczął wkładać buty. Nie mógł rozplątać sznurówek.

— Co ty tu jeszcze robisz? — Miśka wyleciała na korytarz jak burza.

— Próbuję rozsupłać sznurówki.

— Panienko Przenajświętsza, miej mnie w swojej opiece. — Jego siostra wyrzuciła ręce do góry.

Po chwili kucnęła obok brata i mu pomogła.

— Czy ty zawsze musisz się spóźniać? Pieron jeden — mamrotała pod nosem.

— Nie spóźniam się. Po prostu dziwne rzeczy po drodze mnie zatrzymują.

— No, to idź już do szkoły.

— Zrobiłaś mi kanapki?

Michalina pędem ruszyła w stronę kuchni.

— Jasna cholera! — zaklęła.

— O czym ty myślisz?

No właśnie: Michalinie wydawało się ostatnio, że w ogóle nie myśli. Że ciąża spowodowała, że ma papkę zamiast mózgu.

Dobrze, że mięso już upiekła, boby je jeszcze dzisiaj spaliła. Westchnęła głęboko i w tym samym momencie strzelił suwak jej spódnicy. Jeszcze tego brakowało! Odnotowała w myślach, żeby zakupić ubrania ciążowe. W pasie powoli przybywało jej centymetrów, na razie niewiele, ale jednak. Wyszukowała Bartka do szkoły i wyszła do kawiarni.

Pół godziny później Michalina była na zapleczu „Cynamonowych Serc”. Babcia Zofia wyrabiała już ciasto, podobnie jak Wiktoria, córka przyjaciółki Miśki, Amelii.

— Cześć, dziewczyny! — Właścicielka pensjonatu sięgnęła po ciepłutką babeczkę z kremem budyniowym i cynamonem.

— Cześć! — odpowiedziały w tym samym momencie pani Zofia i Wiktoria.

Miśka omiotła wzrokiem zaplecze. Jak zawsze panował tutaj porządek. Kilkukilogramowy worek z mąką stał pod ścianą. Obok niego w mniejszych woreczkach poustawiane były dekoracje do ciast. Na półce pyszniły się przyprawy. Na stole — półmisek z pokrojoną, jeszcze ciepłą karpatką. Na sam widok tych łakoci Michalina poczuła, jak ślina napływa jej do ust. Sięgnęła po dwa kawałki ciasta i zaczęła

opowiadać o swoim irytującym poranku.

— Po pierwsze, musisz ograniczyć słodycze. — Babcia Zosia spojrzała na pyszności, które jej wnuczka nałożyła sobie na talerz. — Jak cukier kocham, co za dużo, to niezdrowo. A po drugie, ty pewnie też irytujesz niektórych ludzi — stwierdziła rzeczowo.

— Ja?

— A nie? — Babcia Zofia podeszła do lodówki, by wyjąć śmietanę.

Michalina wzięła kęs ciasta. Ale że jak to: ona irytująca? No dobrze, czasami, ciut, ciut.

Na przykład kiedy Bartek nie chce, by go odprowadzała do szkoły, a ona się upiera i niekiedy idzie za nim jak ten cień, chociaż wie, że to głupie. O buziaku przed szkołą nie ma mowy, już się do tego przyzwyczaiła. Ale czasami woła za Bartkiem, macha mu i przesyła jednego w locie. I tak; wtedy on jest poirytowany jej zachowaniem.

— Trochę jestem — przyznała wreszcie. — Ale to przez ciążę.

— Cięża, nie ciąża, każdy z nas potrafi ostro wkurzyć — wtrąciła się Wiktoria.

Zaśmiały się we trzy.

— To kiedy przyjeżdża twój gość? — zwróciła się do wnuczki Zofia.

— Jutro.

— Za dziesięć minut otwieramy. Idź do stolika, a ja przyniosę ci herbaty.

— Wywalasz mnie stąd? — Miska zgarnęła talerzyk i dołożyła sobie ciasta.

— Dbam o to, byś nie przytyła czterdziestu kilo do końca ciąży, bo potem ciężko ci będzie podnieść tyłek, żeby wstać w nocy do maluszka.

No, sio mi stąd!

Michalina usiadła przy stoliku i spojrzała w okno.

Zadzwoił telefon, a Amelia doskoczyła do niego z nadzieją, że to Marek.

— Halo? — rzuciła do słuchawki.

— Tu ja, Miśka.

— Aaaa — jęknęła Amelia.

— Jakoś nie słyszę entuzjazmu. Masz żal, że dzwonię?

Kobieta usiadła na kanapie.

— Myślałam, że to Marek — przyznała.

— Przepraszam, że cię zawiodłam.

Przyjaciółka roześmiała się, choć nie było w tym przesadnej wesołości.

— Jak sobie radzisz? — zapytała Michalina.

— Jakoś.

— To znaczy ani źle, ani dobrze? — W jej głosie pobrzmiwała troska.

— Trafiłaś. Marek jest zaabsorbowany pomocą Patrycji, a ja poszłam w odstawkę.

Na moment w słuchawce zapanowała cisza.

— W takim razie mam dla ciebie propozycję: miejsce na krześle obok mojego w „Cynamonowych Sercach”. Babcia serwuje dzisiaj ciepłą szarlotkę z rodzynkami i cynamonem. I karpatkę, i gorącą czekoladę z waniliową pianką.

— Idę.

Zaśmiały się, tym razem obie.

— A ty jak? — Amelia przełożyła słuchawkę do drugiego ucha.

— No cóż... Przemek codziennie do mnie dzwoni i dopytuje o mój stan, ale jest na mnie zły. Wydaje mi się, że zależy mu na dziecku, na mnie już niekoniecznie.

— A mnie się wydaje, że jemu się wydaje, że ty wciąż kochasz Artura. Sama mówiłaś, że widział, jak go pocałowałaś.

Miśka westchnęła.

— Artur... Ja chyba nie potrafię o nim zapomnieć.

— Chyba będziesz musiała. Po pierwsze, za kilka miesięcy przyjdzie na świat twoje dziecko, a po drugie, Artur... Sama wiesz, jaki on jest.

— No wiem, wiem. Dobra, czekam tu na ciebie, przychodź, zanim sama spalaszuję te wszystkie pyszności!

ROZDZIAŁ 2

Kobiety siedziały przy stoliku i delektowały się słodyczami.

— Głowy nie umyłam — westchnęła ciężko Miśka.

— No i? — Amelia podniosła wzrok znad swojego talerzyka z szarlotką.

— Powinnam umyć. Wczoraj był wieczór mycia. Latem myję rano, a zimą wolę wieczorem, żeby mnie nie zawiało.

— Aha... — Amelia przeżuwała kawałek ciasta. — No i?

— Mam tłusty łeb, a jutro goście przyjeżdżają.

— Kochana, że tak ci przerwę... Czy ty robisz obliczenia, kiedy myć włosy?

— No tak. A ty nie?

Amelia zastanawiała się przez moment.

— Niekiedy tak. Masz rację. Myję co drugi dzień i na przykład potrzebuję mieć czystą główkę na niedzielę, więc cyrkuluję tak, żeby umyć ją we wtorek, czwartek i sobotę. A jeśli zaczynam odliczanie od poniedziałku, to mi plan bierze w łeb. Tłusty łeb.

Parsknęły zgodnie. Potem przez chwilę popijały w ciszy herbatę.

— A jak się czuje przyszła mamuska? — zagadnęła Amelia.

— Daj spokój, nie wiedziałam, że można być tak podminowanym.

— Oj, można. Przy Wiktorii tak nie miałam, ale przy Mary Ann to denerwowało mnie wszystko i wkurzali wszyscy. Oczywiście w tych dniach, kiedy nie zalewałam się łzami.

Pokiwała głową, wracając wspomnieniami do tamtych dni. Michalina postanowiła zmienić temat.

— Nie przeszkadza ci czasami, że tu utknęłaś? Taka zwyczajność ci nie przeszkadza?

— Nie? Dlaczego? — Amelia dolała sobie herbaty z dzbanka do filiżanki. — Podoba mi się tutaj. Jestem w Złotkowie dopiero od pięciu miesięcy i jak na razie jestem zachwycona spokojem i ciszą. Tym wszystkim, co się dookoła mnie dzieje. Mniej jestem zachwycona moim związkim... albo i niezwiązkim. Nie wiem, jak to nazwać, ale wierzę, że to się zmieni. — W duszy Amelii kłębiło się mnóstwo emocji. — Tyle że nie mam pojęcia, czy na dłuższą metę będzie mi odpowiadał taki styl życia.

— Dużo młodych dziewczyn stąd wyjechało, bo brak perspektyw, bo nuda, bo zbyt zwyczajnie. A mnie się ta zwyczajność podoba. Co jest złego w zwyczajności? — Michalina dotknęła swojego brzucha. Uśmiechnęła się do Amelii.

— Nic. Absolutnie nic.

— Ja w tej zwyczajności dostrzegam wszystkie diamentki, które rzuca mi los. Ciszę, spokój, piękno Bieszczad. Zdrowie, to, że ktoś mnie kocha i ja kogoś Kocham. Obcowanie z naturą. To, że robię to, co lubię. Czuję wiatr we włosach, płatki śniegu na nosie, ciepło buchające z kominka. Łapię szczęście, fruujące, uciekające niczym barwne motyle. Wsłuchuję się w mój wewnętrzny głosik, który podszeptuje mi różne fajne rzeczy... — Miśka zaśmiała się. — Chyba przesadziłam z tą poetyckością.

— Nie. Pięknie powiedziałaś.

— Kiedyś się bałam, że jeśli tu utknę, w tej małej mieścinie, to wszystko zaprzepaszczę. Nieprawda. Wiem już, czym jest szczęście. Przez rolety mojej zwyczajności niekiedy obserwuję innych. Tych, którzy wybrali inaczej. Czasami dech mi w piersi zapiera, ileż to oni ciekawych rzeczy porobili. A na niektórych patrzę i kiwam tylko głową z pewną refleksją. I po co to wszystko? — Michalina przerwała. Rozprostowała nogi. Rozmasowała bolącą łydkę. — Oczywiście mam też takie dni, kiedy się zastanawiam, po co i mnie to wszystko. Ten pensjonat, goście, którzy... powiedzmy sobie szczerze... niekiedy mnie denerwują: a to mają wymagania, jakby przyjechali do Hiltona, a to rura pęknie, a to kibel się zatka. Wtedy się zastanawiam: po cholere? A jak mi przyszedł ostatnio rachunek za gaz, to myślałam, że mnie z butów wyrwie.

— A jak urodzisz dziecko? Zastanawiałaś się, co dalej? — Amelia spojrzała na przyjaciółkę z troską.

— Zastanawiałam się... Samotnej matce nie jest łatwo.

— A Przemek?

— Przemek, tak jak ci mówiłam przez telefon, zapewnia, że mi pomoże. Ale wiesz, jak to z pomocą na odległość. Pampersa przez Skype'a nie zmieni. Będę musiała nadal prowadzić pensjonat. Babcia Zosieńka powiedziała, że mi pomoże w opiece nad dzieckiem. Teraz w „Cynamonowych Sercach” pracują Kasia i Wiki, więc jest łatwiej. Damy radę. Przeniosę się ponownie do krainy kupek, kaszek, mleka i pieluch... ale będzie fajnie. Kiedy opiekowałam się Bartkiem, byłam dziesięć lat młodsza, a przecież zajmowałam się nim od początku. Teraz jestem starsza i dojrzała. Inne to będzie macierzyństwo. —

Zamyśliła się. — A jakie ty masz plany? Wciąż myślisz o zakupie dworku?

— Tak. — Amelia uśmiechnęła się i potarła dłonią o dłoń. — Czuję, że on ma w sobie jakąś tajemnicę, jakąś intrygującą historię. On jakby do mnie woła, że muszę tam coś zrobić.

Dwa miesiące wcześniej Amelii przyszedł do głowy szalony pomysł, żeby kupić tajemniczy dworek na obrzeżach Złotkowa. Na razie tylko sobie marzyła, ale może... może... W Bieszczadach na nowo odważyła się marzyć.

— A co takiego byś tam widziała? — zainteresowała się Michalina.

— Sama nie wiem. Może otworzę spa? Sprzedałam mieszkanie w Londynie, a to chyba najdroższe miasto w Europie, mam też trochę gotówki, którą chciałabym zainwestować. Myślałam o kawiarni, ale jedna już jest i raczej wykosiłaby każdą konkurencję. — Powiodła ręką dookoła, uśmiechając się ciepło. — Są też dwie sieciówki. Tyle wystarczy. Chciałabym stworzyć coś nowego, niepowtarzalnego; coś, co pozwoliłoby mi zacząć na nowo — zapaliła się.

Jej oczy po raz pierwszy tego dnia migotały łagodnym blaskiem.

Wieczorem po zamknięciu kawiarni pani Zosia siadała przed kominkiem w domu Michaliny i ogrzewała skostniałe stopy w ciepłe ognia.

Nagle do pokoju wszedł Bartek. Spojrzał na babcię, która miała przymknięte powieki.

— O czym myślisz? — zapytał.

— O zbliżających się świętach. — Na twarzy pani Zofii pojawił się szeroki uśmiech. — Najbardziej lubię zapachy, smaki i dźwięki

Bożego Narodzenia, gdy już powoli się zbliża. Szelest papieru, w który owija się prezenty, dźwięki kolęd, gwar przy stole, a nawet drobne sprzeczki. Z twoją mamą zawsze się sprzeczałyśmy w całej tej gonitwie. Zapachy suszonych grzybów, cynamonu, ciast, świerku. I goździków wbitych w pomarańcze.

— Wy, kobiety... — Bartek złapał się za głowę.

— No nie powiesz, że nie lubisz smaków świąt? — Pani Zofia otworzyła oczy i spojrzała na niego uważnie.

— Oj, babciu, już mi ślinka cieknie na samą myśl o świątecznych potrawach. Smak serniczka, Miśkowej sałatki śledziowej, bigosu, nawet barszczu, chociaż na co dzień za nim nie przepadam! To jest to, co tygryski lubią najbardziej!

— Raczej co twój brzusek lubi.

— Co racja, to racja. Tak tylko się mówi.

— I jak tu nie kochać świąt?

I nie czekając na odpowiedź chłopca, Zofia kontynuowała:

— A to miłość jest najważniejsza w tym wszystkim. Zawsze jest ważna, ale w Boże Narodzenie najważniejsza. Nie ma nic ważniejszego od miłości. Wiesz, Bartusiu, czasami trzeba wiedzieć, że nieraz w pogoni za prezentami tracimy z oczu cenniejsze rzeczy, diamenty codzienności, które dostajemy w darze. Ludzie kolekcjonują rzeczy materialne, tyle że na koniec okazuje się, że ich worek wypełniony jest kamieniami. Każdy z nas niesie ze sobą taki niewidzialny worek.

— A twój worek, babciu?

— Jest w nim też trochę kamieni. — Babcia Zofia zachichotała. —

Ale poza nimi zbierałam wiele cennych diamentów. Dziękuję Bogu, losowi, przeznaczeniu, moim wyborom, że je mam. To narodziny córki, wnucząt, to mój kochany mąż, to moja kawiarnia, to to miejsce na ziemi, Bieszczady...

Bartek przewrócił oczami.

— Chyba nigdy nie zrozumie kobiet — westchnął. — Tylko miłość i miłość, i rodzina im w głowie.

ROZDZIAŁ 3

Kamila zbyt mocno nacisnęła gaz i tyłem wyjechała na ulicę. Chciała pozostawić za sobą wspomnienia, spojrzenia i swojego byłego męża, który — jak się okazało — był z nią tylko z litości, a później chyba tylko z litości się z nią kontaktował. To znaczy nigdy jej tego nie powiedział, ale nietrudno było się domyślić. Minęło kilka miesięcy od rozwodu, a on wciąż potrafił do niej zadzwonić z zapytaniem, co u niej. Jakby nie wiedział, że kolorowo nie jest. Po co dzwonił i rozwalał jej świat?

Kamila wiedziała, że jeśli gdzieś nie wyjedzie, to zwariuje. Znajomi nie mieli pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Czy pocieszać, czy unikać bolesnego tematu? W sumie to im się nie dziwiła, bo sama tego nie wiedziała. Jej największym pragnieniem było zacząć nowe życie.

Weszła do budynku biblioteki, w której pracowała.

— Cześć, Kam! — przywitała ją Marta, recepcjonistka. — Za dwa tygodnie przedświąteczne przyjęcie. Będziesz?

Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. To Marta przekonywała ją po rozwodzie, że jak chłop odchodzi, to otwierają się kolejne możliwości. Sama rozeszła się z mężem, tyle że jej sytuacja była inna. Miała wprawdzie trójkę dzieci, ale też piękną buzię. A twarz Kamili była... sama nie chciała nawet myśleć o swojej szpetnej twarzy.

— Nie mam nastroju.

— Rozumiem. Pierwsze Boże Narodzenie po rozwodzie jest bolesne.

Zapewniam cię, że późniejsze bywają lepsze. Nie myślisz tak o tym podłym draniu, który pieprzy się z młodszymi od ciebie o dziesięć lat zdzirami.

Kamila mimowolnie wybuchnęła śmiechem, a Marta jej zawtórowała.

Bibliotekarka odwiesiła płaszcz i szalik na wieszak, zrobiła sobie kawę i zabrała się do roboty. Sprawdziła system katalogowy, wysłała kilka upomnień do czytelników, którzy przetrzymywali książki. Przyszła paczka nowych tomów, które oznakowała i wpisała do rejestru. Ułożyła je na półkach. I tak minął jej cały dzień.

Przy wyjściu przystanąła przy biurku Marty.

— Wychodzisz już? — zapytała. — Mogę cię podwieźć.

— Dzisiaj mam randkę. — Marta zalotnie zatrzepotała rzęsami.

— Jak ty to wszystko ogarniasz?

Kamila nie mogła uwierzyć w zorganizowanie koleżanki. Wstawała rano, by upiec chleb. Gotowała obiad. Pracowała na pełny etat, odrabiała z dziećmi lekcje, w weekendy zawsze miała dla nich czas. A teraz wybierała się na randkę.

— Sama nie wiem. — Kobieta wzruszyła ramionami. — Ale powiem ci jedno: chcę być szczęśliwa, czego i tobie z całego serca życzę.

W samochodzie Kamila uświadomiła sobie, że powinna kupić choinkę. Dawniej tymi sprawami zajmował się Sebastian. Drzewko ubierali już z końcem listopada, by jak najdłużej cieszyć się świąteczną atmosferą.

— Niech go szlag trafi! — zaklęła głośno. — Po co mi pieprzona choinka?

„Po to, żeby się z niej cieszyć” — odpowiedziała sobie w myślach.

Zaparkowała samochód obok skwerku, gdzie jakiś młody chłopak sprzedawał jodły. Podeszła do niego. Nie miała ochoty sama wybierać odpowiedniego drzewka.

— Czy mógłby mi pan pomóc wybrać jakąś niedużą? — zapytała. Podniosła na niego wzrok.

I znów to zobaczyła; w kolejnych oczach ujrzała najpierw przerażenie, a potem litość.

Jej twarz od czasu wypadku pokryta była szpecącymi ją bliznami. Czasami o tym zapominała, dopóki nie napotkała takich spojrzeń, jak spojrzenie tego chłopaka.

— Tak, oczywiście — powiedział młody sprzedawca, który natychmiast się od niej odwrócił.

A ona miała ochotę mu wykrzyknąć, żeby wsadził sobie w dupę tę swoją choinkę. Rzuciła tylko:

— Nie chcę. Nie chcę tej choinki! — Podniosła głos. Zachowywała się jak histeryczka. Zaczęła się trząść i się rozplakała. Ktoś wyciągnął w jej stronę paczkę chusteczek. Wyszarpała je z cudzej ręki i uciekła. Schowała się za rogiem jakiejś kamienicy. Wyjęła z kieszeni telefon i zaczęła przeszukiwać internet. Jakby była w jakimś transie.

„Rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady... Może rzeczywiście tylko to mi już pozostało?” — myślała gorączkowo.

Znalazła wolne miejsca w „Różanym Pensjonacie” w jakiejś mniejszej bieszczadzkiej miejscinie. Zadzwoiła, zarezerwowała pokój. Nie ma na co czekać. Zaczęła biec w stronę samochodu. Kilkanaście minut potem była już w domu. Bezmyślnie wrzucała do torby jakieś

ubrania. Miała tyle dni zaległego urlopu. W końcu z niego skorzysta. Szefowa od kilku miesięcy namawiała ją do tego, by gdzieś wyjechała. Wyjedzie. W Bieszczady, na całe cztery tygodnie albo i dłużej.

Jutro załatwi wszystko w bibliotece i tyle będą ją widzieli.

ROZDZIAŁ 4

W Złotkowie już w połowie listopada zapanowała przedświąteczna wrzawa, a z głośników w centrum miasteczka leciały kolędy. Mikołaj na saniach z elfami robił rundkę po głównej ulicy. Dzieci podniecone Gwiazdką i zbliżającymi się wolnymi dniami biegały po chodnikach. Po niebie przesuwały się ciężkie, kłębiaste chmury, z których padał śnieg.

Amelia siedziała w „Cynamonowych Sercach”, popijała herbatę z sokiem malinowym i cytryną i przysłuchiwała się miejscowym plotkom. Gdyby rok temu ktoś powiedział jej, że przeniesie się z Londynu do jakiejś małej miejsciny w Bieszczadach, parsknęłaby śmiechem.

Wiktoria, jej starsza córka, zakochała się tutaj i pracowała w kawiarni, Mary Ann pokochała polską szkołę i Bartka, a ona odnowiła dom mamy i teraz planowała rozkręcić swój biznes. Niewątpliwie potrzebowała tej zmiany. Wszystko jej się układało — oprócz relacji z mężczyzną, którego kochała. Dokończyła herbatę i ruszyła w stronę domu. Dzień wcześniej ekipa skończyła remont ostatniego pokoju.

Minęły prawie trzy miesiące od śmierci jej mamy. Amelia dopiero teraz zdecydowała się odświeżyć pokój Jadwigi. Weszła do środka zaraz po tym, jak wyszli malarze. Na podłodze ułożone były deski surowego drewna. Ściany pomalowano na jasnozielono. Na środku stało drewniane łóżko, a biały okrągły stolik i biała komoda były

dopełnieniem całości. W rogu stała stara mosiężna lampa.

Amelia westchnęła ciężko. Brakowało jej mamy. Mimo iż w pokoju wszystko się zmieniło, ona wciąż czuła tu jej obecność. Zamknęła drzwi i zeszła na dół.

Córki już spały; włączyła na dole wszystkie światła. Od razu zrobiło jej się jakoś cieplej na sercu, mimo że wciąż była rozdrażniona. Od tygodnia czekała na telefon od Marka, on jednak milczał jak zakłęty. Starala się nie być zazdrosna o jego żonę — ale była, taki był fakt. Kiedy w sierpniu związała się z tym mężczyzną, wydawała się najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. To na niego czekała całe swoje życie. Marek mieszkał w Złotkowie i był w separacji z żoną. Gdy poznał Amelię, postanowił się rozwieść, ale wtedy w Bieszczadach pojawiła się Patrycja. Chora Patrycja. Nie można zostawić chorej kobiety. Na pewno ani ona, ani Marek nie zostawiliby Patrycji samej. Żona wprowadziła się do Marka, a on się nią opiekował i od czasu do czasu spotykał z Amelią.

Ta ostatnia miała tego wszystkiego po dziurki w nosie. Teraz wzięła prysznic, wypila lampkę wina, usiadła na kanapie z podkulonymi nogami i próbowała się odprężyć. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Było już po dwudziestej trzeciej.

— Cześć, to ja — usłyszała głos Marka.

Od razu poczuła, jak ogarnia ją ulga. Taka tycia.

— Tęskniłem... — mówił cicho, a ona miała ochotę wykrzyknąć, żeby rozmawiał z nią normalnie, a nie szeptem.

— Mogłeś zadzwonić. — W jej głosie słychać było pretensje.

— No tak, ale wiesz...

— Wiem, Patrycja.

— Przepraszam.

— Nie musisz mnie przepraszać. Mimo wszystko fajnie by było, gdybyś mnie od czasu do czasu odwiedził — powiedziała z sarkazmem w głosie.

— To skomplikowane, sama wiesz. — Miała pewność, że Marek czuł się niezręcznie.

— Czemu szepczesz? — Amelia poczuła, jak na nowo ogarnia ją irytacja.

— Patrycja jest...

— Jeszcze raz usłyszę o Patrycji, a się rozłączę.

Nagle usłyszała w tle nawoływanie jego żony.

— Ona to robi specjalnie! — syknęła.

— Nie sądzę.

— Cóż... skoro nie możesz teraz rozmawiać...

— Chciałem. Musimy się spotkać, tęsknię. Kocham cię, Amelia, i to się nie zmienia, ale zrozum...

— Słuchaj, muszę kończyć.

Rozłączyła się i już po chwili tego pożałowała. Też go kochała, też chciała z nim być, ale niestety — w tej sytuacji nie mogła. Wybuchnęła płaczem. Od razu pożałowała, że przed chwilą była dla niego taka okropna.

Następnego dnia Amelię obudził ból głowy. Przez pół nocy płakała, a smutki popijała winem. Oczy miała czerwone niczym królik albinos, nos też, a twarz opuchniętą.

Obmyła twarz zimną wodą, umyła zęby, łyknęła aspirynę i

zaparzyła dzbanek kawy. Postanowiła zrobić córkom naleśniki, a raczej tradycyjne *pancakes*, idealne na śniadanie. Kiedy wbijała jajko do miski, jej myśli znów pobiegły w stronę Marka. Do diabła! Kochała go. Potrzebowała. Skrycie marzyła, że Marek się do nich przeprowadza. Przecież mógłby — tu mieszkać i odwiedzać Patrycję, żeby się nią zajmować. Istniało tyle rozwiązań! Ale Marek był honorowy i zaborczy. „To moja żona. Moja chora żona, która jest teraz w rozsypce” — powiedział jej kilka tygodni temu. Gardło znów jej się ścisnęło na samą myśl o tym, jak znów potraktowało ją życie. Przecież długo tak nie wytrzyma...

Kamila dojechała do Złotkowa po dwunastej. W pensjonacie przywitał ją jakiś chłopiec. Nigdy nie umiała ocenić wieku dzieci. Jej zdaniem mógł mieć osiem, dziewięć lat. A może więcej?

— Dzień dobry! — Uśmiechnął się do niej. — Jestem Bartek. Moja siostra, która prowadzi pensjonat, powinna zaraz tutaj być. Poszła po ciasto do „Cynamonowych Serc”. Zechce pani usiąść w salonie?

Kamila uśmiechnęła się. Chłopiec wydał jej się uroczy. Jego czarne jak smoła włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Czarne rzęsy były tak długie, że niemal dotykały brwi. I nie patrzył na nią tak, jak inni ludzie. W jego spojrzeniu nie było pogardy ani litości. Ciekawe dlaczego?

Salon tonął w słońcu. Na kominku trzaskał ogień. Kamila usiadła na sofie, na której ułożone były puchate kremowe poduszki. Musiała przysnąć, bo obudziło ją delikatne szturchnięcie.

— Dzień dobry! — Zobaczyła przed sobą młodą kobietę, która uśmiechała się do niej życzliwie.

— Dzień dobry, przepraszam! — Ogarnęło ją zdenerwowanie. — Przysnęłam.

— Cieszę się, że poczuła się pani jak u siebie. I to ja przepraszam za spóźnienie.

— Nic się nie stało, pani synek...

— Brat. Bartek jest moim bratem — wyjaśniła Michalina, a Kamila przypomniała sobie, że chłopiec rzeczywiście wspominał o siostrze.

— Pani brat przyjął mnie należycie — poprawiła się.

Kobiety dopełniły formalności i Kamila przeszła do wskazanego jej pokoju. Rozpakowała torbę. Widok z okna miała cudny: na pobliskie wzgórza i las. Żadnych domów, żadnych ludzi...

Ludzi to ona miała dość. Jednak ta młoda kobieta, kierowniczką pensjonatu, jakby nie zauważała jej szpetoty, a przynajmniej nieźle się maskowała. Podobnie jak jej brat.

„Te Bieszczady to chyba rzeczywiście miejsce z zupełnie innego świata” — pomyślała jeszcze, zanim energicznie zabrała się do rozpakowywania rzeczy. Może najbliższy czas wcale nie będzie taki zły?

Po południu Kamila poszła na spacer. To miejsce ją zachwycało. Śnieżny puch rozmiękczał kontury pobliskich drzew i dachów. „Śniegu jest tutaj więcej niż w mieście!” — zauważyła. „Skrzypi pod stopami, odrywa się od gałęzi drzew i opada na przechodniów. Lodowe sople zwisają z dachów niczym przezroczyste szpikulce”.

I nagle Kamila zdała sobie sprawę, że paradoksalnie mimo tego śnieżnego rozmiękczenia zaczyna dostrzegać otaczający ją świat. W

minionym roku był jakiś rozmazany, rozmyty. A teraz widziała go ostro, jakby los podarował jej wreszcie okulary.

Droga zaprowadziła ją do centrum miasteczka. Domy i sklepy pomalowane były na jasne kolory. Teraz ich dachy oprószone były bielą. Co drugi domek przystrojony był lampkami. Ich blask sprawiał, że śnieg skrzył się przepięknie. Również na pobliskich świerkach puchu było sporo. Ten widok zapierał dech w piersiach. Kamili wydawało się przez moment, że ogląda ilustrowaną książeczkę dla dzieci. Kto wie, może to tu rozgrywała się jedna z jej ulubionych opowieści, które lata temu przed snem czytywała jej babcia? Mogłaby w to uwierzyć.

ROZDZIAŁ 5

Amelia nie wiedziała, dlaczego co jakiś czas przychodziła w okolice dworku. Brama była otwarta. Skrzypiała za każdym razem, kiedy kobieta ją popychała. Pod nogami Amelii chrząścił śnieg. Dziś także podeszła do okien, ale nie mogła dostrzec, co jest w środku. Szyby były bardzo brudne i zasłonięte jakimiś starymi, ciężkimi kotarami. Jedyne, czego pragnęła, to dostać się do środka i wywiedzieć się czegoś na temat historii tego miejsca. Nosiła się przecież z zamiarem kupna posiadłości.

Po pierwsze, musiała się dowiedzieć od kogoś miejscowego, kto jest właścicielem budyneczku. Po drugie, pogadać z kimś, kto bywał w dworku. Czowała podskórnie, że tutaj może być ukryta jakaś tajemnica albo przynajmniej piękna historia. To było miejsce z duszą. Poczowała się niczym Sherlock Holmes.

To babcia Zosia z „Cynamonowych Serc” podpowiedziała jej, z kim powinna porozmawiać: z Arletą Kochańską. Kobieta miała już dziewięćdziesiąt osiem lat, ale wciąż dobrą pamięć. Amelia uzyskała też informację, że staruszka mieszka obecnie w domu opieki w Sanoku, postanowiła więc, że zadzwoni tam i ją odwiedzi. Ale wcześniej i tak zajrzy do środka. Jej ciekawość była ogromna.

Skontaktowała się z agentką nieruchomości i dwa dni później stały obie przed drzwiami do dworku. Kobieta wyciągnęła z kieszeni pęk kluczy na żelaznym kółku. Wyglądała jak dzwonnik z Notre Dame z

tymi kluczami w dłoni. Były duże, długie i lekko przerdzewiały. Amelia nie potrafiła opanować ekscytacji. Wreszcie zamek w drzwiach szczęknął i weszły do środka. Agentka nieruchomości zakaszła.

— Cholera, co za bałagan! — powiedziała.

Amelia westchnęła. Zapewne agentka widziała tutaj pajęczyny i sporą warstwę kurzu. Ona zaś wiele lat historii.

Podłoga zaskrzypiała, kiedy weszły do środka.

— Mogę najpierw obejrzyć pomieszczenia sama? — zapytała Amelia. Nie chciała, by ktoś jej przeszkadzał.

— Tak, oczywiście. Tylko proszę uważać. Podłoga gdzieś jest dziurawa.

Amelia skinęła głową i ruszyła przed siebie.

Weszła do kuchni. Oprócz dużego kaflowego pieca i walających się tu i ówdzie zardzewiałych garnków niczego tutaj nie było. Przymknęła oczy. W wyobraźni widziała krzątającą się po pomieszczeniu służbę i młodą kucharkę, która obiera ziemniaki, podczas gdy jej siostra szoruje garnki.

Wyszła z kuchni i znalazła się na korytarzu. Odchodziło stąd kilka par drzwi; zapewne to były pokoje dla służby. W większości stały puste, tylko w jednej izdebce znalazła starą maszynę do szycia. Amelia przeszła cały korytarz, dotykając chropowatej ściany. Pchnęła kolejne drzwi i znalazła się w salonie.

Stawiając ostrożnie nogę za nogą, stanęła na środku pokoju. Kurz wirował dookoła niej. Zakaszła. Okna zasłonięte były ciężkimi kotarami. Podeszła i odsłoniła je. Z trudem uchyliła okno. Światło dnia zalało pomieszczenie.

Znajdowały się tutaj oryginalne meble, przed kominkiem stał fotel obity wypłowiałym już atłasem, z połączanymi nogami. Sam kominek wzbudził zachwyt Amelii; ozdobiono go płaskorzeźbami wyobrażającymi kobiety. Na gzymsie kominka znalazła fotografię. Czarno-białe zdjęcie było mocno sfatygowane i lekko wyblakłe. Rogi fotografii pozaginały się, a jednak Amelia nie potrafiła oderwać od niej wzroku. Przedstawiała trzy kobiety ubrane w długie sukienki. Każda z nich miała długie włosy, ta stojąca pośrodku kręcone. Z jednej strony stał szezlong, z drugiej stolik, na którym ktoś umieścił kwiaty. Nieznajome wyglądały, jakby miały właśnie iść na jakąś potańcówkę albo wielkie przyjęcie. Amelia zastanawiała się, która z nich mieszkała w tym dworku. A może wszystkie trzy?

Wycofała się na schody. Ostrożnie wspięła się nimi na górę. Za kolejnymi drzwiami kryła się sypialnia. Wielkie łóżce z baldachimem było w opłakanym stanie. Drewno zostało już przewiercone przez korniki. Na meblu leżała narzuta przeżarta przez mole, z której wystawały postrzępione złote nitki. Szafy i komody wykonane były w stylu lat dwudziestych, może trzydziestych dwudziestego wieku. Dookoła unosił się zapach stęchlizny.

Jak wcześniej dowiedziała się Amelia, pani Wioletta Malinowska, właścicielka dworku, dożyła w nim późnej starości. Umarła, mając przeszło osiemdziesiąt lat. Od wielu dziesięcioleci nie zmieniała wystroju. Teraz budynek należał do jej dalekiego krewnego, który najwyraźniej niezbyt zaprzętał sobie głowę posiadłością na zupełnym wygwizdowie, jak zapewne myślał o Bieszczadach.

W rogu korytarza znajdowało się wejście do pokoju dziecięcego. Na

półkach stały porcelanowe lalki, niektóre potłuczone, inne bez oczu. Amelia poczuła na plecach dreszcz przerażenia; to miejsce idealnie nadawało się na scenerię jakiegoś horroru. Pchnęła kolejne drzwi i weszła do biblioteki. Aż dech jej zapało. Tutaj wciąż znajdowały się książki, masa książek. Starych, nieco zapleśniałych. Zakaszłała, gdyż to pomieszczenie przesiąknięte było jeszcze bardziej zapachem pleśni i kurzem. Na podłodze ułożone były wielkie marmurowe płytki, poprzecinane siecią szarych żyłek.

Dwór musiał kiedyś tętnić życiem, teraz jednak wyczuwało się w nim jakiś smutek i melancholię. Był świadkiem wielu historii, niekiedy zapewne dramatycznych. Dwa odrębne światy: arystokracja i służba.

Amelia wiedziała już na pewno, że musi poznać historię tego miejsca, zanim je kupi. Czowała, że chce to zrobić, że chce w tym miejscu stworzyć coś niezwykłego. Kto wie, może jakoś wykorzysta to, czego się na jego temat dowie?

Bartek lgnął do Kamili. Byli razem na spacerze, rzucali się śnieżkami, a teraz siedzieli w salonie i popijali kakao. Kobieta była mile zaskoczona serdecznością i otwartością chłopca.

— Mogę cię o coś zapytać? — zwróciła się do niego pewnego dnia.

— Tak? — Bartek przybliżył się do niej i okrył jej nogi kocem. Poczowała wzruszenie.

„Co za dobrze wychowany mały człowiek” — pomyślała z czułością.

— Widzisz, że mam oszpeconą twarz... — zaczęła.

— Widzę. I co z tego? — Bartek zmarszczył czoło, jakby w ogóle nie rozumiał jej pytania.

— Ani przez chwilę się nie wzdrygnąłeś, nie popatrzyłeś na mnie z litością. Dlaczego?

„Skąd w małym chłopcu tyle empatii? Wyczucia?” — zastanawiała się.

— Każdy jest inny. Prawda?

— No tak, to wiem, ale znam też reakcje ludzi na mój widok. Wierź mi, naoglądałam się ich w ostatnim czasie.

— Ja też jestem inny, to znaczy zdaniem niektórych dzieciaków. — Bartek pogładził się po swojej czuprynie.

— Chodzi ci o kolor skóry?

Bartek był Mulatem.

— Tak. Niektórzy się ze mnie nabijają. Nie w Złotkowie, bo tu mnie wszyscy znają, ale kiedy jadę do Sanoka czy Leska... bywa różnie. — Skrzywił się.

— Wiem, że to, co powiem, to wytarty frazes, ale nie powinienes się tym przejmować.

Bartek wzruszył ramionami.

— Pewnie, że nie — odpowiedział nad wiek dojrzałe. — Ludzie mają większe problemy. Mam koleżankę, Mary Ann, jej babcia zmarła. I to jest już problem, prawdziwy problem, bo ona nigdy jej już nie zobaczy. A ja nigdy nie widziałem swojej mamy. To znaczy widziałem, jak byłem dzidziusiem, ale już nie pamiętam.

— To są prawdziwe problemy.

— Właśnie. To są problemy.

Kamila zamilkła.

Bartek zauważył, że kobiecie zrobiło się smutno. Też tak czasami

miał. Każdy tak ma. Nawet Miśka. Każdego dopada czasami taki smutek, który rozrywa serduszko.

— Przejdziemy się na milczący spacer? — zaproponował.

— Milczący spacer? — Kamila zmarszczyła brwi. — Co masz na myśli?

— Kiedy ci smutno i źle, spacerujesz i rozmyślasz, a potem zapominasz.

Kamila nie mogła się do niego nie uśmiechnąć.

— Zgoda.

Po kilku chwilach szli obok siebie w stronę głównej ulicy.

Krajobraz, który się przed nimi rozciągał, wyglądał jak z magicznej pocztówki. Pierzaste chmury rozpiezchły się po niebie, ustępując miejsca kulistemu księżycowi. Sypiący wielkimi płatami śnieg przerodził się teraz w grad drobnych śnieżynek, które wirowały w powietrzu, a potem leniwie niczym puch opadały na ulice i chodniki. Kamili wydawało się, że świat na chwilę wstrzymał oddech. Poczła ostrą woń sosen i jodeł. Chodzili bez celu, a ona myślała o tym, co już za nią, i o tym, jak teraz wygląda. Kiedyś była piękną kobietą, teraz nie lubiła spoglądać na swoje odbicie w lustrze.

Pamiętała dokładnie ten moment, kiedy ogień buchnął jej w twarz. Poczła ogromny ból. I wtedy pomyślała, że jej życie się kończy. Przez ułamek sekundy jej jedynym pragnieniem było to, by jeszcze raz zobaczyć męża. W takiej chwili, kiedy myślisz, że to już koniec, że umierasz, nie ma ważniejszej rzeczy niż drugi człowiek. Wszystko inne to błahostki.

Kiedy obudziła się w szpitalu, pierwszą jej myślą było: „Co dalej?”.

Bo przecież musi być jakieś dalej. Co z twarzą? Czy przeprowadzą jakąś operację, a ona będzie wyglądała tak, jak kiedyś? Od tamtej pory nic już jednak nie było takie same.

Marta, recepcjonistka w bibliotece, dała jej kiedyś książkę, jakąś motywacyjną, z dedykacją.

„»Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami« (Iz 55, 8). Czasem jest tak, że układam sobie jakiś scenariusz, ale całkiem inaczej może to widzieć Bóg. Mimo że dzieją się rzeczy, których nie rozumiemy, wierzę w to, że ujawnią swój sens później. Tak samo jest w twoim przypadku”.

Była zła na koleżankę za tą dedykację, bo wcale a wcale nie widziała sensu w tym, że wygląda koszmarnie. Wiedziała jednak, że Marta chciała dobrze.

— Opowiesz mi, co ci się stało? — Jej rozmyślenia przerwał dziecięcy głosik.

Kobieta przystanęła. Nigdy nikt — oprócz lekarzy — nie zadał jej tak bezpośredniego pytania.

Jednak otworzyła się przed Bartkiem. Może tego potrzebowała? Słowa płynęły prosto z jej zbolełego serca.

— Odkąd pamiętam, miałam problemy ze skórą na dłoniach — zaczęła. — Pękała mi, więc robiłam sobie zabiegi, do których używałam gorącej parafiny. Któregoś wieczoru poszłam się myć. Musiałam przysnąć w wannie, na szczęście po kilkunastu minutach się obudziłam. Poczulałam swąd. Wskoczyłam z wanny i pobiegłam do kuchni. Okazało się, że parafina zajęła się ogniem. Rzuciłam na garnek pokrywkę.

— Żeby odciąć powietrze? — wtrącił rezolutnie chłopiec.

— Tak. Potem pomyślałam, że muszę wyrzucić garnek na balkon. Instyktownie wzięłam go w ręce, ale on był rozgrzany. Puściłam. Parafina wylała się pod moje stopy, ja się poślizgnęłam i upadłam twarzą w gorącą maź. Nie wiem, co było dalej, to były ułamki sekund. Uratował mnie mąż, który właśnie wszedł do domu. Przez dwa tygodnie lekarze utrzymywali mnie w stanie śpiączki, żeby chronić przed bólem. Miałam poparzoną twarz i całe ciało, a także drogi oddechowe. Oparzenia trzeciego stopnia objęły siedemdziesiąt procent twarzy. Wróciłam do domu dopiero po ośmiu miesiącach. To było pięć miesięcy potwornego bólu, ale wytrwałam. Po roku miałam pierwszą operację rekonstrukcji twarzy. Przed nią wyglądałam jeszcze gorzej...

— Kamila na moment zamilkła.

— Masz piękne oczy — powiedział szczerze Bartek.

— A ty piękne serce.

Dłoń chłopca złapała jej dłoń.

— Wracamy... Ale zaprowadzę cię jeszcze do kawiarni, którą prowadzi moja babcia. Spodoba ci się.

Kamila już od pierwszych chwil pokochała Złotkowo za spokój. Nikt nigdzie się tutaj nie spieszył, a i ludzie byli przyjaźni. Oprócz kierowniczkę sklepu wielobranżowego nikt na nią nie patrzył jak na dziwoląga. Śnieg skrzypiał pod nogami, gdy przemierzali trasę do „Cynamonowych Serc”.

„Co za piękna nazwa kawiarni!” — pomyślała i uśmiechnęła się.

Pchnęła drzwi. Mocny aromat bakalii i gorącej czekolady wypełniał wnętrze.

— I jak? — zapytał Bartek.

— Jesteśmy w raju.

ROZDZIAŁ 6

Amelia i Mary Ann leżały pod puchową pierzyną. Poszewki pachniały lawendowym płynem do płukania. Na parapecie tliły się świece. Śnieg za oknem prószył.

— Pokaż no to gardło. — Kobieta nachyliła się w stronę córki. Poprzedniej nocy dziewczynka kilkakrotnie się budziła i narzekała na ból.

— A co ty, doktor jesteś czy co? — Mary Ann wydeła usta.

Amelia na moment zaniemówiła.

— Kto cię takich tekstów nauczył, hmm?

Dziewczynka prychnęła.

— Jestem duża, więc sama się uczę.

— Pokazuj gardło. — Amelia wsparła się na łokciu. — Nie jestem lekarzem, ale jeśli będziesz miała zaczerwienione migdały, to rzeczywiście pójdziemy do lekarza.

— Migdały zawsze są czerwone. Mogą być tylko bardziej lub mniej.

„Kiedy ona tak urosła?” — zastanawiała się kobieta. Jeszcze nie tak dawno toto uczyło się chodzić, dreptało niezdarnie na koślawych nóżkach, wołało „bu bu”, „ma mi”. A teraz pyskuje, ma swoje zdanie. Nie potrzebuje jej tak, jak kiedyś. To tak przekornie jest świat skonstruowany. Kiedy dzieci są małe, to człowiek chce, by jak najszybciej dorosły, by nie były nieustannie uczone naszej nogi. A kiedy osiągną pewien wiek, pragnęlibyśmy, by one nas bardziej

potrzebowały.

Amelii zachciało się śmiać. Pamięta takie chwile, kiedy po ciężkim dniu, bo to kaszel, bo foch, bo system marudzenia się włączył, powtarzała w myślach: „Pieprzę to wszystko! W co ja się wkopałam?”. Oczywiście kilka minut później cieszyła się na to swoje wkopanie. Teraz spojrzała na córkę i uśmiechnęła się do siebie. Poczowała w sercu przeszywające ciepło. Przypomniał jej się jeden z dni, kiedy spieszyła się do pracy. Mary Ann miała trzy latka. Ona myła głowę. Szampon spłynął jej do oczu, syknęła. Do wyjścia zostało jej pół godziny, podczas których musiała jeszcze wysuszyć głowę, a tymczasem do łazienki wpadła Wiktoria:

— Mamo! — jęknęła. — Zajęłaś łazienkę!

— Dlaczego wchodzisz bez pukania?

— Pukałam, ale mnie nie słyszałaś. Długo jeszcze?

— Kończę.

Po kilku chwilach do łazienki weszła Mary Ann.

— Mamusiu, chcę naleśniczka na śniadanie.

— Nie mamy czasu na naleśniczka.

— Ale ja chcę! — Dziewczynka zrobiła naburmuszoną minę.

Potem przez pół drogi do przedszkola płakała z powodu braku naleśnika. Och, jakże ją wtedy irytowała!

A dziś czasami Amelia nawet żałowała, że nie ma trzeciego dziecka. Gdyby tak z Markiem... Gdyby Marek chciał, to ona i owszem. Odmłodziłaby się trochę. Przecież nie jest jeszcze za stara na macierzyństwo.

Ale co ona tu o Marku myśli? Z Markiem to już przecież koniec, bo

Patrycja. I ich związek się rozpadł. To znaczy Marek twierdził inaczej, ale ona wiedziała, że to tylko zgliszcza. Widywali się od wielkiego dzwonu albo przelotem, na chwilę.

— Mamo? — szturchnęła ją Mary Ann.

— Tak?

— Czytamy? — Dziewczynka nie mogła się doczekać wznowienia lektury. Od kilku wieczorów wkraczały razem do świata *Ani z Zielonego Wzgórza*.

— „Czy to nie przyjemnie, że jest tak dużo rzeczy, które jeszcze poznamy? To właśnie sprawia, że ja się tak cieszę życiem... Świat jest taki ciekawy... Nie byłby taki ani w połowie, gdybyśmy wszystko o nim wiedzieli, prawda?”¹ — przeczytała na głos Amelia. Ta powieść zawsze ją wzruszała. Tyle było w niej mądrości! Tyle dzieci mogły się dzięki niej nauczyć.

— Mamusiu! — przerwała Amelii Mary Ann. — Czy myślisz, że będę mogła kiedyś zobaczyć cały świat?

Jej mama oparła się na łokciu.

— To zależy od tego, czy tego będziesz chciała. I trochę od tego, ile będziesz miała pieniędzy, chociaż... — Zastanowiła się. — Są tacy ludzie, którzy jeżdżą wszędzie stopem i jakoś udaje im się ten świat zwiedzić za przysłowiowych kilka groszy.

Oczy dziewczynki zrobiły się duże jak spodki.

— To ja bym tak chciała zwiedzić świat za kilka groszy.

— Wszystko przed tobą. — Amelia uśmiechnęła się do córki. — Ale może zaczniesz zwiedzanie świata od swojego podwórka?

— Co masz na myśli?

— Może najpierw warto zwiedzić Polskę? Jest tyle pięknych miejsc w tym kraju, które mogłybyśmy zobaczyć!

— Morze Bałtyckie?

— I morze, i Mazury, i Kaszuby, i Tatry, Karkonosze.

— Chciałabym też pojechać do Warszawy.

— Może latem wybierzemy się do stolicy — stwierdziła Amelia po namyśle.

— I do Krakowa, na Wawel... — Dziewczynka była bardzo podekscytowana. Matka pogładziła ją po policzku. Cieszyła się, że Mary Ann jest tak otwarta na świat i ludzi, choć nie zawsze napełniało ją to spokojem. Podczas gdy Wiktoria nigdy nie była taka ufna, młodsza z córek poszłaby z nieznanym na koniec świata. Czasami Amelię ta jej ufność przerażała. Wiedziała jednak, że to tej cesze dziewczynka zawdzięcza swoje wesołe usposobienie.

Czytały dalej. Historia Maryli, Mateusza i rudowłosej Ani ścisła ich serca.

— Mamusiu? — Mary Ann cały czas wpadała czytającej w słowo. Amelia cieszyła się jednak z tych przerywników. Lubiła słuchać spostrzeżeń córki.

— Tak?

— Ja myślę, że Ania dopiero u Mateusza i Maryli znalazła prawdziwą miłość. To musiało być straszne: tak żyć bez miłości.

— To smutne, ale takie historie mają miejsce. Nie wszystkie dzieci mają rodziców.

— Ja mam ciebie... — Córeczka mocno wtuliła się w Amelię, która pocałowała ją w czubek głowy. Włosy dziewczynki pachniały

ciasteczkami, choć to akurat była zasługa szamponu. Czasami zastanawiała się, czy brak ojca nie odbija się negatywnie na postrzeganiu świata przez jej córki. Na pewno odczuwały jakiś niedosyt, choć nigdy jej o tym nie mówiły. Może to właśnie brak ojca spowodował, że Wiktoria związała się z dużo starszym mężczyzną? Najwyraźniej imponowała jej jego dojrzałość.

— Kochanie... — Amelia spojrzała na córkę i wreszcie zdecydowała się spytać wprost. — Czy czasami brakuje ci tatusia?

— Nie wiem. — Mała wzruszyła drobnymi ramionami.

Amelia nie chciała naciskać, ale wolałaby wiedzieć, co czuje jej dziecko. Pragnęła rozumieć Mary Ann, być dla niej tym, kim kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu była dla niej jej mama.

— Czasami chciałabym wiedzieć, jak to jest mieć tatusia codziennie. Ale i tak mam to szczęście, że mój tatuś mnie czasami odwiedza. Wiktoria swojego w ogóle nie zna.

Amelia ponownie się do niej uśmiechnęła. Cieszyło ją to, że Mary Ann potrafi doszukać się we wszystkim pozytywów.

Słońce jeszcze spało, ale Fred już kwiczał, jakby go co najmniej zarzynano. Fred był dorodnym wieprzem, którego Marek kiedyś przygarnął.

Gospodarz wstał z sofy, przetarł oczy.

— Czyżby temu wieprzkowi już chciało się jeść? — Mężczyzna usłyszał śmiech Patrycji.

— Chyba tak. — Poczuł ciepło w sercu. — Pośpij jeszcze, a ja pójde ogarnąć towarzystwo.

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

— Marek? — Nagle poczuł dotyk dłoni na plecach.

— Tak?

Przystanął i odwrócił się w stronę Patrycji.

— Jesteś tu szczęśliwy — stwierdziła. Kilka lat temu jej mąż porzucił Warszawę, kupił starą chałupę w Bieszczadach i przeprowadził się tutaj. Ona pozostała w stolicy i wspinała się po szczeblach kariery. Dopiero latem, kiedy przyjechała do niego przygnieciona wiadomością o chorobie, zdała sobie sprawę, jak wiele straciła. Zrozumiała też, że nie miała już co odzyskiwać; Marek, jej Marek, był już zakochany w tamtej kobiecie, w Amelii.

Miał prawo, byli w separacji, zastanawiali się nad rozwodem.

— Bardzo. — Marek uśmiechnął się w odpowiedzi.

— I wiem, że chciałbyś, abym już sobie pojechała — rzuciła.

— To nie tak... — skłamał.

Musiał jednak przyznać, że Patrycja zmieniła się, kiedy dowiedziała się o chorobie. Dostrzegła rzeczy, których kiedyś nie widziała, złagodniała. Marek lubił z nią rozmawiać. Czuł się przy niej jak przy naprawdę dobrej przyjaciółce, z którą niejedno przeszedł. Wspierał ją, ale bardzo tęsknił za Amelią. Zakochał się w niej bez pamięci, choć był już przecież dojrzałym mężczyzną, i chciałby być właśnie z nią. Tworzyć związek. Zamieszkać razem, spotykać się, kiedy przyjdzie im na to ochota. Patrycja nie zabraniała mu tych spotkań, jednak on tkwił w poczuciu obowiązku przy niej. Wciąż jeszcze była słaba. Często chodziła po domu, wspierając się o ściany. Włosy po chemii odrastały powoli; patrząc w lustro, traciła całą pewność siebie. Kiedy wychodził, zastanawiał się, czy ona nie

rozpacza, czy czegoś nie potrzebuje. Był pełen empatii i zrozumienia. Każdy na jego miejscu by był. Patrycja straciła obie piersi, a on przecież obiecał, że będzie przy niej w zdrowiu i chorobie. Przysięgał jej to przed Bogiem, rodzinami ich obojga i wspólnymi przyjaciółmi.

Wierzył, że niebawem wszystko się wyprostuje. Że Patrycja poczuje się lepiej, pewniej. Tylko czy Amelia będzie na niego czekać?

¹ Lucy Maud Montgomery, *Ania z Zielonego Wzgórza*, przeł. Agnieszka Kuc.

ROZDZIAŁ 7

W „Cynamonowych Sercach” panowało ożywienie. Była sobota i mnóstwo ludzi przyszło na kawę i gorącą czekoladę po spacerze. Turystów też było jakoś więcej. Wincenty usiadł przy swoim ulubionym stoliku i zjadał się szarlotką, raz po raz zerkając w stronę zaplecza. Od kilku tygodni regularnie spotykał się z Zofią. W tym wieku to były już wyłącznie przyjacielskie spotkania, jednak i one bardzo ich cieszyły. Niekiedy siedzieli razem okryci wełnianym kocem, on drzemał, ona robiła na drutach. Jedli razem obiad w niedzielne popołudnia, wcześniej chodzili na msze. Czuli się ze sobą swobodnie.

Tego dnia po kilku chwilach Zosia podeszła do stolika, przy którym siedział.

— Znów mnie wypatrujesz — skarciła swojego absztyfikanta.

— Stęskniłem się za tobą.

— Widzieliśmy się przedwczoraj. — Zgarnęła dłonią okruszki ze stołu.

— Dla mnie to cała wieczność! — Spojrzał na nią maślanym wzrokiem. Zofii nawet to schlebiło, choć poczuła się dziwnie. Jak to tak, w ich wieku?

— Gadasz jak amant z jakiegoś filmu.

Wincenty uśmiechnął się tak, że jego wąsy uniosły się do góry.

— Zosieńko?

— Hmmm? — Kobieta uniosła wzrok znad stołu.

— Nie sądzisz, że powinniśmy podjąć jakąś decyzję?

— Jaką decyzję? — Właścicielka kawiarni spojrzała na Wincentego i zmarszczyła brwi. Dlaczego przypierał ją do muru, i to w miejscu pracy?

— Spotykamy się już trochę. Nie młodniejemy.

— Do czego zmierzasz?

— Może jednak bym się do ciebie przeprowadził?

Zofia zaniemówiła.

— Słucham? Jak ty to sobie wyobrażasz? W tym wieku? — Nie spuszczała z niego wzroku.

— A co tu wiek ma do rzeczy?

— Wszystko. Poza tym... Tak bez ślubu?

— A co ślub ma do rzeczy?

— Daj spokój! — Zofia była lekko poirytowana. Dobrze jej było, kiedy się spotykali. Nie czuła się samotna. Ale zamieszkanie razem to już była przesada. Od tylu lat była sama; przyzwyczaiała się do tego. Miała swoje nawyki; starego psa nie uczy się nowych sztuczek. A tutaj miałyby z kimś dzielić swój mały domek, też coś.

— Powiedz, że to przemyślisz.

— Przemyślę. — Skinęła głową na odczepnego. Nie miała ochoty zaprzętać sobie myśli tego typu rzeczami.

Wincenty o niczym nie marzył tak bardzo, jak o tym, by być z tą kobietą w prawdziwym związku, rano i wieczorem. Wiedział, że najważniejsze w relacjach międzyludzkich nie są żadne porywy serca, nie namiętność ani pożądanie. Ważne jest, by ten człowiek, który jest obok nas, z którym kroczymy przez życie, był dla nas dobry. By

znaleźć kogoś takiego, kto będzie nam odpowiadał. Bo każdemu odpowiada co innego i ktoś inny. Jedni marzą o wędrówkach, inni o stabilnym życiu, jeszcze inni o tym, by imprezować co weekend. A jeszcze inni, by się zaszyć gdzieś na końcu świata. Aby związek mógł przetrwać, należało mieć z partnerem wspólne cele. A ich celem był święty spokój, jakkolwiek to brzmiało.

Wincenty zachichotał pod nosem, bo mimo że byli już w takim wieku, że nie w głowie im prywatki i przyjęcia, szczerze powiedziawszy, chciałby jeszcze z Zosieńką potańczyć. W chwilach przerwy od tego świętego spokoju, ma się rozumieć.

Miśka siedziała z babcią Zosią przy kominku; obie zapatrzyły się w ogień.

— Babciu... chodzą plotki, że spotykasz się z pewnym mężczyzną.

— Wnuczka podpuszczała starszą kobietę. Doskonale wiedziała, że babcia spotyka się z panem Wincentym „w sensie romantycznym”, choć ta twierdziła, że to tylko zwykła przyjaźń.

Pani Zofia odchrząknęła.

— Wiesz, jak to w Złotkowie jest, tutaj plotka goni plotkę. Nie brałabym sobie tego do serca.

— Ale nie ma się czego wstydzić! — Miśka w duchu śmiała się do rozpuku.

— Ja się niczego nie wstydzę!

— Ten pan Wincenty... — Miśka zrobiła pauzę. — Rozmawiałam z nim kiedyś. Latem. On... Powiedział mi, że kiedyś bardzo kochał pewną kobietę.

Babcia Zofia upiła łyk gorącej czekolady.

— Kiedyś się kochaliśmy. A teraz się przyjaźnimy — ucięła.

— Ale kochałaś też dziadka.

— Oczywiście. Bez dwóch zdań. Twój dziadek był dla mnie wszystkim tym, co najlepsze. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszego męża.

— Ale dziadka już nie ma.

— Nie ma. — Pani Zofia przeżegnała się. — Świeć, Panie, nad jego duszą.

— Mogłabyś spróbować z panem Wincentym.

— Misia, ale co spróbować? — Zofia spojrzała na wnuczkę uważnie. Tak naprawdę to sama nie wiedziała, czego pragnie. — Mnie jest dobrze tak, jak jest.

— Co nie znaczy, że nie może być lepiej.

Zaśmiały się.

— Babciu... Skąd wiadomo, że miłość to miłość? — Miśka wyciągnęła przed siebie nogi. Ostatnio puchły jej w okolicach kostek.

— Nie wiadomo. Tego często się nie wie.

Młodsza z kobiet popijała herbatę imbirową małymi łydkami. W sumie to babcia miała rację. Bo w którym momencie miłość staje się miłością, przestaje być zauroczeniem? Miłość trzeba sprawdzić, przetestować, trochę z nią pożyć. Wziąć się za łby. Popłakać z nią też trzeba i pozrywać boki. To wtedy, to wtedy będziemy pewni, że to miłość. Ta prawdziwa.

ROZDZIAŁ 8

Wujek Michała, emerytowany policjant, wszedł do warsztatu. Młody mężczyzna szlifował właśnie deski, podczas gdy jego mama zamiatała podłogę.

— Cześć, chłopaku! — Wujek Zbyszek poklepał Michała po plecach. Ten wyłączył szlifierkę i zdjął okulary ochronne.

— Na Boga, a co ty tu robisz? — Mirka była zdziwiona wizytą brata.

— A co, przyjechać na herbatkę nie można? — Zbigniew potarł ręką bujnego wąsa.

— Ano można, ale że tak niespodziewanie? — Jego siostra odłożyła miotłę w kąt. Coś musiało być na rzeczy.

— Po prostu do Michała na słówko przyjechałem.

Przejechał dłonią po włosach.

— Już się boję. — Pani Mirka spojrzała najpierw na brata, potem na syna.

— Mamo, daj życ — rzucił Michał, a potem spojrzał na gościa. — Co tam, wujku? Wejdiesz do środka? Chyba zostało jeszcze jakieś ciasto.

— Możemy pogadać tutaj, bo w zasadzie to wpadłem na chwilę. — Mężczyzna westchnął i głęboko nabrał tchu. — Dostałem cynk, że ta mała Żaneta Jakaś tam była dwa razy na posterunku policji i chciała odwołać poprzednie zeznania.

— Słucham? — Michał aż usiadł.

Dwa i pół roku temu jego ojczym popełnił samobójstwo. Michał i Żaneta byli przesłuchiwani w tej sprawie. Dziewczyna zeznała, że Michał przebywał z nią przez cały ten czas, choć to nie była prawda. Wybiegł za ojczymem, pokłócili się, a potem tamten pobiegł na pobliską górkę. Nie wiadomo, czy się poślizgnął i wpadł w przepaść, czy może się z niej rzucił. Wypadek czy samobójstwo? Michał miał pewność, że nie spowodował jego śmierci, ale to Żaneta dała mu solidne alibi. Na szczęście dochodzenie nie wykazało obecności osób trzecich, więc ostatecznie nie było ono tak potrzebne. Ale to, co teraz zrobiła... Michał zerwał z Żanetą już dawno; najwyraźniej ta postanowiła po czasie się zemścić i odwołać zeznania. Dodatkową złość wzbudził w niej fakt, że Michał zaczął się spotykać z Wiktoria.

— Co za wredna suka! — Zacisnął szczęki i oparł się o starą szafę.
— Była tutaj niedawno. Nie może mi darować, że się rozstaliśmy.

— Ech, te kobiece złamane serca — westchnął Zbyszek.

— Ale... co z jej zeznaniami? — Mirka podeszła do brata. Była wyraźnie zdenerwowana.

— Nic. Wyjaśniliśmy dziewczynce, jak to wszystko działa. Wystraszyła się i uciekła. Takie paniusie od razu można wyczuć z daleka. Jak usłyszała, że grożą jej trzy lata za składanie fałszywych zeznań, uciekła szybciej, niż wparowała na posterunek. Za pierwszym razem upierała się przy swoim, ale teraz, kiedy ponownie ją przesłuchiwaliśmy, wystraszona stwierdziła, że już nic nie będzie zmieniać w zeznaniach. Kobiety są nieobliczalne, a najbardziej te, którym złamie się serce.

Michał pomału wypuścił powietrze.

— I całe szczęście... Nie chciałem jej zranić. Po prostu tak wyszło.

— Wzruszył ramionami.

— Ja bym jednak na nią uważał. — Wujek potarł wąsy. — Dziewczyna ma nie po kolei w tej ślicznej główce. Takie są najgorsze. Wiedzą, że są ładne, i nie znoszą odrzucenia. Jeśli tylko gdzieś się pojawi, daj znać. Ja się nią zajmę.

— Dzięki, wujku. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

— Wypijesz ze mną piwko przy okazji. A teraz uciekam...

Obowiązek wzywa.

Przy kolacji Mirka zaczęła rozmowę z synem.

— Chciałabym wyjechać na trzy, cztery tygodnie do Zuzki. Nie za dobrze się czuje.

— Oczywiście, jedź. — Michał nie widział problemu, by matka odwiedziła jego ciotkę. Zuzanna była jej siostrą i bardzo jej swego czasu pomogła.

— Wrócę na święta.

— Mamo. — Michał spojrzał na nią z czułością. — Jestem już trzydziestoletnim facetem, a ty czasami traktujesz mnie jak dziecko.

— Wiem, ale...

— O co chodzi?

— O nic.

— Przecież widzę, że coś cię trapi — zaczął delikatnie.

— Ciężko jest niektóre sprawy zostawić za sobą. Śmierć twojego taty wraca jak bumerang.

Michał walnął ręką w stół, doskonale wiedząc, kogo matka ma na

myśli. Nawet nie drgnęła.

— On nie był moim tatą.

— Nie potrafię o tym wszystkim zapomnieć.

— Mamo, musisz się postarać. Musisz żyć dalej. On miał problemy, sama wiesz.

Michał nie usłyszał odpowiedzi, tylko ciężkie westchnienie, jakby tysiące słów wydarły się z jej ust niczym świst powietrza.

— Czy coś przede mną ukrywasz? Ja nie mam przed tobą żadnych sekretów — powiedziała cicho. Wyczuł w jej głosie niepewność.

— Mamo, każdy ma jakiś sekret. Każdy. A o śmierci Józefa rozmawialiśmy nie raz. Ja mu w niczym nie pomogłem. Rozumiesz? Jak w ogóle możesz myśleć, że było inaczej?

Kobieta pokiwała tylko głową i chwilę później zalała się łzami. Ta rana w jej sercu nadal się nie zabiłła.

Michał momentalnie stracił apetyt.

— To był wypadek. — Zacisnął szczęki. — Nie możesz mi tego wybaczyć?

Mirosława ponownie ciężko westchnęła. Cała dygotała. Syn podszedł do niej, przykucnął i objął ją ramieniem. Zrobiło mu się wstyd. Wiedział, że bardzo ciężko przeżyła i śmierć ojczyrna, i dochodzenie.

— Tu nie ma nic do wybaczenia. Po prostu... nie mogę zapomnieć.

— A myślisz, że ja mogę? — Śmierć ojczyrna miała miejsce przecież po kłótni z nim. — Ciągle sobie zadaję pytanie, czy to jednak nie była moja wina, w jakiś kompletnie irracjonalny sposób. Ale ja go nie zabiłem, mamo!

— Wiem... Wiem...

Michał gwałtownie się podniósł, filiżanka z herbatą zadrżała. Złapał się za głowę.

— Poświęciłem się dla ciebie. Kochałaś go, a on traktował mnie jak śmiecia. Nie narzekałem, nawet wtedy gdy po raz pierwszy wyrzucił mnie z domu.

Mirka również wstała. Jej syn miał rację. Józek nigdy nie traktował go dobrze. Podeszła do Michała i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Czy to zawsze będzie do nas wracało? — zapytał cicho. — Ja nie chcę tak żyć.

— Przepraszam, synku.

Odwrócił się w stronę matki.

— Ten wyjazd dobrze nam zrobi. Obojgu.

Mirka przełknęła gorzką ślinę, która napłynęła jej do ust. Miał rację. Musi wreszcie zapomnieć. Może zmienić na trochę otoczenie. Musi żyć dalej.

— Może — zaczęła powoli — na czas mojej nieobecności zamieszkałbyś z tą miłą dziewczyną, Wiktoria? Widzę, że między wami jest coś pięknego. Nie zmarnuj tego, proszę.

Na samo wspomnienie Wiktorii na twarzy Michała pojawił się uśmiech. Zaczął się powoli uspokajać. O nie, na pewno nie zamierzał psuć tego, co się między nimi rodziło.

— Jak to: chcesz zamieszkać z Michałem?! — Amelia bębniła palcami o stół.

— Mówiłam ci już, że jego mama wyjeżdża do siostry na kilka

tygodni. Musi jej pomóc po operacji biodra.

— To rozumiem. — Amelia poczerwieniała na twarzy. — Ale nie rozumiem, jak to się ma do tego, że chcesz u niego zamieszkać.

— Na kilka tygodni. Mamo, nie zapominaj, że jestem pełnoletnia.

— Mam się cieszyć, że mi o tym mówisz?

— Tak. Powinnaś się cieszyć. Bo mogłabym sobie stąd wyjść ot tak, po prostu. — Wiktoria wskazała na drzwi.

— A to niby dlaczego?

— Byłaś młoda, młodsza ode mnie, kiedy uciekłaś z domu. — Nie chciała wbijać matce szpili, ale nie mogła się powstrzymać. Tak ostro zareagowała na jej rychłą wyprowadzkę...

— I nie twierdzę, że to był dobry pomysł, tylko głupi, nieodpowiedzialny, szczeniacki wybryk. — Amelia spiorunowała córkę wzrokiem.

— Ale o co ci chodzi?

— O to, że on jest od ciebie starszy o dziesięć lat. O to... O wszystko! — Kobieta bezradnie uniosła ręce.

— Seks i tak już uprawiamy, więc... — Wiktoria przygryzła dolną wargę.

— Seks? To nie o to w tym wszystkim chodzi. Zanim jedno ciało przyjmie drugie, zanim dłoń złapie drugą, zanim jedne nogi oplotą w pasie czyjeś ciało, warto poznać tego drugiego człowieka. Wiesz, o co mi chodzi?

— Mamoooo! — jęknęła Wiktoria. Miała dość matczynych kazań, a to zabrzmiało, jakby rodzicielka naczytała się w przeddzień kiepskiej poezji. Najchętniej by stamtąd czmychnęła.

— Wiesz? — Amelia wierciła jej dziurę w brzuchu.

— Tak. Pewnie, że wiem. Według ciebie źle zrobiłam, że wskoczyłam mu do łóżka, zanim go dobrze nie poznałam. A spotykamy się od kilku miesięcy — stwierdziła rzeczowo.

— Dość obrazowo to przedstawiłaś, ale tak. Wiesz... Na początku zawsze warto przedyskutować swoją wizję związku, swoje obawy, lęki. To, czego my chcemy, a czego chce ta druga osoba. Bo potem są zgrzyty.

— Tylko że ja nie wychodzę za niego za mąż. — Wiktoria czuła, jak ogarnia ją irytacja. Nie sądziła, że matka zareaguje w taki sposób. Myślała, że jest bardziej wyluzowana.

— A gdybyście wpadli, to co? — Amelia nie spuszczała z niej wzroku. Nie chciała, aby córka powielala jej błędy. Oczywiście kochała ją nad życie, ale była świadoma, ile wyrzeczeń kosztowałoby ją wczesne macierzyństwo.

— Tobym urodziła dziecko.

— I zrezygnowała ze swoich marzeń. A przecież tyle ich masz!

— Mówisz jak swój ojciec.

Wiktoria wiedziała, co jest czułym punktem Amelii. Kobieta poczuła ucisk w okolicach mostka.

— Możliwe. Ale mam pewność, że w niektórych kwestiach miał rację. Kiedy byłam młoda, nie wiedziałam. Teraz już wiem. Najpiękniejszą rzeczą w związku jest poznanie drugiego człowieka. Jego duszy, serca. Warto znać jego myśli. Nie wszystkie, ale te, które dotyczą naszego wspólnego życia. Młodzieńcza miłość to zapominanie. A ja bym chciała, żebyś czasami się nie zapominała.

Wiktoria cała gotowała się w środku. Mama ostro przeginała, w dodatku od razu zakładała najgorsze. Dziewczyna patrzyła na nią ze złością, ale Amelia, jakby nic sobie z tego nie robiąc, mówiła dalej:

— Zapewne ci się teraz wydaje, że nikt przed tobą nie przeżywał tego, co ty teraz przeżywasz. Ale tylko doświadczenie buduje prawdziwą miłość. — Spojrzała na Wikę z czułością. Chciała, by coś z tej rozmowy wyniosła. Najwyraźniej jednak jej najstarsza córka była na to jeszcze niedostatecznie dojrzała. Jej zdaniem matka nie miała prawa pouczać jej w ten sposób. Natychmiast wybuchnęła.

— Ty nic nie wiesz! Nic! Muszę ci przypominać, że do tej pory każdy facet cię porzucił?! — wrzasnęła.

Amelia zacisnęła dłonie na poręczy krzesła. Nie chciała się kłócić i wiedziała, że powinna teraz ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć za dużo, choć te słowa bardzo ją zabolaly.

— Zaszłam w ciążę z chłopakiem, którego wydawało mi się, że kocham. Wydawało mi się tak samo mocno, że on kocha mnie. Zamiast miłości pojawiło się rozczarowanie. Więc...

— Lepiej skończmy tę rozmowę.

Wiktoria wyszła z domu, zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Amelia westchnęła i usiadła na krześle. Chciała dobrze. Niczego nie pragnęła tak, jak tego, by jej dziecko było szczęśliwe, inaczej niż ona sama. Zamiast tego ciągle się kłóciły.

A może każdy z nas po prostu musi się sparzyć, popełnić masę błędów, żeby się przekonać, że czasami niektórych rzeczy nie warto robić, przeżywać? Może na tym polega życie? Na ciągłym doświadczaniu, na upadkach i wzlotach? Może nie potrafimy uczyć się

inaczej niż na własnych błędach?

Amelia wpadła do pensjonatu zziębnięta. Strząsnęła przed wejściem warstewkę śniegu z płaszcza, otrzepała buty i weszła do środka. Przez chwilę stała w przedpokoju i nie mogła złapać tchu.

— A ty co? — Miśka wyłoniła się z kuchni. Wytarła dłonie o fartuch. — Biegłaś całą drogę?

— Truchtałam.

— Coś się stało?

— A masz chwilkę? — Amelia posłała przyjaciółce pełne nadziei spojrzenie.

— Pewnie. Wchodź. Obiad gotuję, to mi pomożesz.

Weszły do kuchni.

— Obierzesz marchewkę? — Miśka postawiła przed Amelią miskę z warzywami.

— Pewnie. — Amelia posłusznie zaczęła obierać warzywo, podczas gdy przyjaciółka rwała nad miską sałatę.

— Co jest? — zapytała wreszcie, próbując zachęcić drugą z kobiet do zwierzeń. Tamta nabrała w płuca powietrza.

— Wiktoria ma zamieszkać z Michałem — wydusiła wreszcie i zwiesiła głowę w oczekiwaniu na reakcję Miśki. Ta próbowała być delikatna.

— No wiesz — zaczęła. — Jest już pełnoletnia. Ty i ja też kiedyś tyle miałyśmy.

— I ja wiem, czym to się kończy — prychnęła Amelia. Złość wcale z niej nie wyparowała.

— Oj, dramatyzujesz. — Michalina wlała do miski oliwę i zaczęła

mieszać sałatę. — Po pierwsze, nie zawsze kończy się to ciążą. Po drugie, uprawialiby seks, nawet jeśli by ze sobą nie mieszkali. Po trzecie, sama chciałaś, aby Wiki nauczyła się prawdziwego życia. A nie nauczy się, dopóki nie popełni kilku błędów.

Amelia ciężko westchnęła.

— Małe dzieci, mały problem. Duże dzieci... duży.

— Coś w tym musi być. — Michalina usiadła na taborecie naprzeciwko koleżanki. — Powiem ci, że ostatnio mam nieustanne wyrzuty sumienia.

Amelia spojrzała na nią nieprzytomnie. Jak na swój stan Miśka radziła sobie przecież fantastycznie. Milion razy lepiej, niż kiedy ona miała w perspektywie samotne macierzyństwo.

— A to niby z jakiej racji?

— Wiesz... Mam wrażenie, że ostatnio zdecydowanie za mało czasu poświęcam Bartkowi. Często żałuję, że nie zrobiłam z nim tego, tamtego. Że inne dzieci mają więcej od niego, a ja nie mogę mu dać aż tyle. Bo pensjonat, bo goście, bo tyle roboty, a i tak kokosów z tego nie ma. Nie mogę narzekać, ale...

— Zawsze jest jakieś „ale”, jakieś „bo”. Też mam i miałam wyrzuty sumienia. Z każdym kolejnym przeżytym dniem coraz bardziej rozumiem moją mamę, dopiero teraz. Nie ma co ukrywać: czasami chcemy dobrze, a tu nagle coś, za przeproszeniem, jebnie.

— Ech. — Miśka się skrzywiła. — Ale wiesz, my z Bartkiem nawet nigdzie nie wyjeżdżamy, bo jest pensjonat. Zwłaszcza w sezonie muszę tu stale być, więc...

— A sądzisz, że on tego chce?

Miśka pokręciła głową, ale cały czas wyglądała na strapioną.

— Wprawdzie nigdy mi o tym nie wspominał, ale wiem, że niektórzy jego koledzy regularnie jeżdżą na wakacje do jakichś egzotycznych krajów i...

— Niektóre dzieci w jego wieku mają też iPhone'y i wypasione komputery, buty firmowe, konsole, nawet drony. Nie ma się co przejmować, Miśka. Ja miałam wszystko... chodzi mi o materialne rzeczy... ale zabrakło tego ciepła, tej rozmowy, zrozumienia. Dlatego prysnęłam z domu. Ty dajesz Bartkowi to, czego inne dzieci nie otrzymują nawet w połowie. Kto szyje mu stroje na przedstawienia? Kto zawozi go na piłkę? Kto piecze z nim pierniczki?

Jej przyjaciółka roześmiała się.

— Ale czasami myślę sobie: ej, jestem chujowa. Październik był do de... Lało, wiało. A ja jak na złość miałam duże zamówienie z galerii na anioły. — Michalina lepiła z masy solnej anioły na sprzedaż. Odprężało ją to i stanowiło dodatkowe źródło dochodu. — I wiesz, mówiłam wtedy do Bartka: „Idź, obejrzyj telewizję”, a on szedł i lampił się na te durne przeskakujące obrazki.

— Czasami trzeba się polampić. — Amelia starała się zachować spokój. Widziała, że Miśka bardzo potrzebuje teraz ukojenia. — Nic mu się nie stało. Mary Ann też się niekiedy lampi. Szlag mnie wtedy trafia, zła jestem na samą siebie, ale mam też swoje obowiązki. A wiadomo, że dzieciom się niekiedy nudzi.

— Czyli nadal nie tęsknisz za Londynem? — Michalina przeskoczyła z tematu na temat.

— Wcale.

Ta krótka odpowiedź wydała się przyjaciółce jakaś taka mało odpowiednia.

— Głupie pytanie zadałam? — Zmarszczyła nos.

— Nie ma głupich pytań.

— Odpowiedzi też nie ma głupich.

Zaśmiały się.

— Nie wydaje ci się — podjęła po chwili Amelia — że jesteśmy do bólu zwyczajne? To chyba dziwne w dzisiejszych czasach, że nie gonimy za karierą, blichтром.

— Ty to nawet fejsa nie masz.

— Wolę *slow life*. Tak to się teraz mówi?

— Chyba tak. A jak tam dworek?

Amelia momentalnie się rozpromieniła.

— Ano właśnie, byłam w środku!

— I? — Michalina otworzyła szerzej oczy. Była niezmiernie ciekawa opowieści przyjaciółki. Dziwiła się, że Amelia nie wspomniała o tym wcześniej; w końcu już od pewnego czasu niemal każda ich rozmowa ostatecznie schodziła na temat urokliwego budyneczku.

— To miejsce jest niesamowite! — rozpoczęła tamta. — Czułam w nim jakieś vibracje. Tam musiało się coś wydarzyć.

— Ale myślisz, że coś strasznego?

— Raczej romantycznego. Jutro idę w odwiedziny do kobiety, która kiedyś tam mieszkała.

— Do właścicielki? — emocjonowała się Miśka.

Amelia pokręciła głową. Nie, pani Arleta nie była właścicielką. Ale najciekawsze historie najlepiej przecież poznawać... od kuchni.

ROZDZIAŁ 9

Arleta Kochańska była sprawna umysłowo, ale fizycznie podupadała na zdrowiu. Ostatnimi czasy jeździła już na wózku albo wspierała się o laskę. Wszystko ją bolało. Czuła każdy mięsień, a stare stawy skrzypiały i bardzo jej doskwierały. Nie cierpiała swojej nieporadności ani tego, że musi prosić o pomoc innych ludzi.

Siedziała w kaplicy w tym samym budynku, w którym mieścił się dom seniora, jak to się ładnie nazywało. Tak naprawdę był to dom dla starych, zniedołężniałych ludzi, takich jak ona. Nie było jej tu źle. Może i takie ośrodki są potrzebne, żeby odciążyć rodzinę? Te niekiedy zapominały o swoich bliskich. Niektórzy z mieszkańców mieli demencję, więc członkowie rodzin stwierdzali, że nie ma to znaczenia, czy ich odwiedzą, czy nie, bo i tak mama czy tato nie będą pamiętali tych wizyt. Oj, gdyby Arleta miała w sobie jeszcze tyle sił, co dziesięć lat temu, toby najchętniej sprząła tyłek takiemu synalkowi czy córusi. „Co się z tym światem dzieje” — myślała nie raz. A najlepiej jej się rozmyślało na mszy w tej kaplicy.

Ludzie powariowali. Zamiast odwiedzin przy herbatce — rozmowy przez telefon albo stukanie na klawiaturze telefonu. „To znaczy teraz te telefony są dotykowe” — poprawiła się. „Szkoda, że częściej ludzie dotykają swoich telefonów niż bliskich”.

Przez witraże w oknach do wnętrza kaplicy wpadało kolorowe, rozproszone światło. Drobinki kurzu tańczyły w powietrzu. Organista

po raz kolejny zafałszował, a ona popatrzyła na księdza Piotra powstrzymującego śmiech. Jak ona lubiła tego kapłana! Był wyluzowany, jak by to powiedział wnuk jej sąsiadki z przeciwka. Niektórym to przeszkadzało — jego poczucie humoru i to, że nie grzmiał z ambony ani nikogo na siłę nie nawracał. Arleta lubiła te msze. Zawsze słuchała kazań, choć czytania już niekoniecznie. Nie za każdym razem odmawiała też modlitwy, ale i tak religia była dla niej ważna. Kiedyś ludzie odbierali inne wychowanie; ją wychowano w wierze katolickiej i szacunku do Boga i bliźniego.

Arleta nie znosiła hipokryzji, kłamstwa i plotek. Sama miała kilka grzeszków na sumieniu, ale kto ich nie ma? Raz była hipokrytką, i to o ten jeden raz za dużo. Dzisiaj cieszyła się na odwiedzinę tej młodej kobiety, która chciała się dowiedzieć czegoś o dworze. Już dawno szukała okazji, żeby zrobić porządny rachunek sumienia. Teraz ta okazja zdawała się sama pukać do drzwi... Czy raczej dzwonić do recepcji.

Amelia weszła do domu spokojnej starości. Wnętrze było dość przytulne, a ściany miały kolor mięszu dojrzałych brzoskwiń. Jakaś babcinka siedziała na stołku i bujała się w przód i tył. Starszy mężczyzna tkwił w fotelu naprzeciwko niej i się uśmiechał, a z kącika ust ciekła mu ślina. „Starość się Panu Bogu nie udała” — pomyślała Amelia.

Dotarła do recepcji. Przedstawiła się, a miła pani w okularach skierowała ją do pokoju znajdującego się na parterze w prawym skrzydle. Amelia miała nadzieję, że pamięć pani Arlety nie szwankuje. Miała w końcu prawie sto lat. Co za przywilej, dożyć tak

sędziwego wieku!

— Dzień dobry! — Amelia uśmiechnęła się serdecznie do staruszki, która w jej mniemaniu wyglądała na góra osiemdziesiątkę. Trzymała się naprawdę dobrze. Siedziała na krześle przy niewielkim stoliku.

— Dzień dobry. Miło mi, że przyszałaś. Będę mówić na ty, jeśli ci to nie przeszkadza — zwróciła się Arleta do młodszej kobiety.

— Nie, oczywiście, będzie mi bardzo miło.

Staruszka spojrzała na gościa. Z miejsca polubiła Amelię i szybko zdecydowała, że chętnie porozmawia z nią o przeszłości. Szczerze, tak jak powinno być.

— W szafie mam karton — zaczęła powoli. — To moje skarby z przeszłości, które towarzyszą mi od kilkudziesięciu lat. Aż dziw bierze, że życie tak szybko mija. Masz osiemnaście lat, potem trzydzieści, a potem to już z górki.

Amelia uśmiechnęła się do niej.

— Z górki — powtórzyła.

— Ludziom się wydaje, że są nieśmiertelni. Mnie się też kiedyś tak wydawało, i nawet w czasie wojny też miałam przeświadczenie, że będę żyć. Głupie było to moje przeświadczenie, bo mogłam zginąć kilka razy. Teraz mam prawie setkę na karku i wciąż mi się wydaje, że jeszcze trochę pożyję. A jakby ludzie byli świadomi swojej śmiertelności, inaczej żyliby to swoje życie.

— Jak?

— Prawdziwie. Robiliby ciekawsze rzeczy zamiast tych nudnych. Dokonywaliby swoich wyborów zamiast czekać, aż ktoś zadecyduje za nich. Mieliby potem co wspominać, tak jak ja, kiedy patrzę na te

rzeczy z kartonu. Mam tam kilka listów, zasuszone kwiaty, stary fartuch. Może kiedyś ci o tym powiem, pokażę ci kilka moich skarbów.

„Jeśli będziesz tu kiedyś chciała wrócić” — mówiły jej oczy.

— Oczywiście. Ale teraz proszę mi powiedzieć, jeśli będzie się pani czuła zmęczona rozmową. Nie chcę pani eksploatować ponad siły. No i pani opiekunki mogłyby ukreścić mi głowę. — Amelia chciała, by starsza pani czuła się komfortowo.

Staruszka skinęła głową. Najwyraźniej nie chciała tracić okazji do pogawędki. Od razu przeszła jednak do rzeczy.

— Słyszałam, że jesteś zainteresowana kupnem dworu.

— Tak.

— Dlaczego?

— Chciałabym tam zrobić... coś interesującego. Na przykład ośrodek spa.

— Ośrodek spa? Czyli masaże i takie tam...? Hmm. Ciekawie.

— Ale najpierw chciałabym poznać historię tego miejsca.

— Dlaczego?

— Sama nie wiem. — Amelia wzruszyła ramionami. — Jakby coś stamtąd do mnie wołało, że powinnam, inaczej pożałuję i do końca życia będę się zastanawiać, co mogło się tam wydarzyć.

Arleta uśmiechnęła się.

— Poznasz moją historię, która częściowo wiąże się z tym dworkiem. Jeśli tylko chcesz.

— Tak. Oczywiście.

Okazało się, że pani Arleta jest fascynującą mówczynią, o żywej mimice; jej dłonie poruszały się subtelnie w rytm wypowiedzianych

słów. Na nadgarstku miała bransoletkę z wygrawerowanymi inicjałami.

Poczęstowała gościa herbatą w pięknej filizance ozdobionej drobnymi różyczkami.

— Te filizanki przywiozłam ze sobą tutaj, do tego ośrodka, z mojego rodzinnego domu.

— Piękne! — komplementowała zastawę Amelia. Naprawdę jej się podobała.

— Herbata czy kawa najlepiej smakuje w filizankach. Nie rozumiem tej mody na kubki. — Pokręciła głową.

— Kubki powstały zapewne dla wygody.

— Teraz wszystko powstaje dla wygody. — Kobieta zacisnęła usta w kreskę. — No, ale nie o tym mamy rozmawiać, moja droga. Nie o tym. — Zapatrzyła się na moment w okno. — Ostatnio wiele myślę o przeszłości. Ponoć kiedy ludzie dużo wspominają, oznacza to, że niewiele im zostało tego ziemskiego życia. W moim było dużo zła i może to sprawiło, że tak bardzo cenię sobie samo życie. Teraz ludzi izoluje się od śmierci, nie mówi się o niej głośno. I ludzie żyją z dnia na dzień, nie doceniając samego życia. A świadomość życia jest czymś pięknym.

— Pani nie była właścicielką tamtego dworu — zaczęła delikatnie Amelia, próbując skierować rozmowę na interesujące ją tory.

— Nie. Nie! — Staruszka zaśmiała się. — Właścicielami dworu byli państwo Malinowscy. Pan Piotr Malinowski był prawdziwym dżentelmenem, ale jego małżonka, pani Wioletta... — Westchnęła. — Nie lubiłam jej za jej wyniosłość. Pracowałam u niej przez jakiś czas

na służbie, podobnie jak moja matka i siostra. Ta kobieta nie szanowała pracy innych ludzi. W ogóle wydawało mi się, że ona i ludzie nie szanuje. Brudne ubrania rozrzucała po podłodze, podobnie jak pościel. Niekiedy obsługiwałyśmy z mamą i siostrą przyjęcia trwające do świtu. Padałyśmy z nóg, a pani Malinowska o siódmej rano dzwoniła po nas dzwoneczkiem, abyśmy naszykowały jej kąpiel, a potem posprzątały na błysk dom, bo na obiad zaprosiła gości. Ona po kąpielu spała do trzynastej, a my bez choćby minuty snu uwijałyśmy się jak w ukropie.

— Czy była ładna? — zapytała Amelia. Nie miała pojęcia, dlaczego ją to interesowało. Może to ta babska ciekawość?

— Jednym mogła się podobać, innym nie. Miała porcelanową cerę, zaciśnięte wąskie wargi, które rzadko wyginały się w uśmiech. Nawet jeśli była zadowolona, to wyglądała jak posąg. Nie pozwalała sobie na okazywanie emocji. Była wykształcona, elokwentna i elegancka. Stroje sprowadzała z Paryża i nosiła je z arystokratycznym wdziękiem. Ale była też przebiegła i cwana, o czym przekonałam się później...

Amelia uśmiechnęła się w duchu. To brzmiało jak początek intrygującej historii...

ROZDZIAŁ 10

Kamila westchnęła. Opadła z sił i usiadła na schodach. Nie wyspała się. Nie lubiła sypiać na innych łózkach. Ani tych w hotelach, ani w pensjonacie. Tego dnia było jej smutno. Bardzo często ostatnio było jej smutno, choć już myślała, że pozbiierała się po wypadku. Te kilka dni w Bieszczadach sprawiły, że coraz częściej uśmiech pojawiał się na jej oszpeconej twarzy. Ale ta dzisiejsza sytuacja w sklepie... Ech, ludzie, życie...

Wróciły wspomnienia. To było jakiś czas temu. I niby po serii terapii, gdy jakoś to sobie przetłumaczyła, że inna już nie będzie. Ale teraz wróciło. Bo koleżanki wychodzą za mąż, rodzą dzieci. A ona jest sama. Kiedyś była piękna, teraz w lustrze widziała tylko swoje blizny.

Michalina usiadła na schodach obok Kamili.

— Płaczesz? — Podała jej chusteczkę. Czuła dziwną sympatię do tej skrzywdzonej przez los kobiety. Nie znała jej historii, ale domyślała się, że to wygląd był źródłem jej nieszczęść. — Coś się stało? — zapytała ostrożnie.

Kobieta głośno wydmuchała nos.

— Myślałam, że wyjadę z Opoła i wszystko jakoś się ułoży. A tutaj... Poczułam się lepiej, ale... — Kolejne łzy popłynęły jej po policzkach. — Byłam dziś w sklepie wielobranżowym.

Michalina przewróciła oczami. Wiedziała już, że kierowniczka sklepu wreszcie dorwała Kamilę i zaczęła ją wypytywać o to, co się

stało z jej twarzą. Miśka miała czasami ochotę ją udusić. Ta kobieta miała w sobie tyle taktu co kombajn.

— Ekspedientka była dość... dociekliwa.

Właścicielka „Różanego Pensjonatu” poczuła ucisk w sercu. Zrobiło jej się przykro.

— I to jej świdrujące spojrzenie... — Kamila nie mogła dalej mówić.

— Ludzie gapią się na nas z różnych powodów. — Miśka ją objęła.

— Dla samego patrzenia, bo im się tak podoba, bo my się im podobamy bądź nie podobamy. Ale najgorsze są te spojrzenia, które krzyczą: „Z tobą jest coś nie tak!”. Zawsze znajdą powód, żeby się uczepić, jakąś niedoskonałość. Ale tak naprawdę nikomu niczego nie brakuje. Bo jesteśmy, jacy jesteśmy.

— Łatwo ci mówić — rzuciła gniewnie Kamila. Miała dość takich gadek, zwłaszcza od ludzi, których twarze sama nazwałaby raczej pięknymi. — Kiedy tu przyjechałam, zachwyciłam się tym, co do mnie mówisz. — Westchnęła. — Ale teraz, za przeproszeniem, pieprzysz farmazony.

— Każdy ma prawo do gorszych dni. — Michalina nie miała za złe Kamili jej wybuchu. Wiedziała, że w chwili złości ludźmi kierują silne emocje. Każdy ma takie dni, że rzuciłby wszystko w diabły i poszedł gdzieś przed siebie. Mało to razy sama była w takim nastroju?

— Uwielbiam cię, uwielbiam, jak do mnie mądrze mówisz, choć czasami robisz to dość ckliwie, jak jakiś sentymentalny coach. Ale nie możesz mnie zrozumieć! — Kobieta nadal była zła. — Masz łatwiej. Robisz to, co lubisz, mieszkasz w cudownym miejscu, będziesz mamą, możesz zachwycać się życiem, gwiazdkami na choince, mroźnymi

wieczorami, śniegiem. Nikt na ciebie nie patrzy jak na odmieńca.

Michalina pokręciła głową.

— Wiesz, ile miałam nieprzyjemności tylko dlatego, że mam inny kolor skóry? Mimo że miałam mamę Polkę i urodziłam się w Polsce, według niektórych nie jestem Polką, bo mój tato jest Nigeryjczykiem; i to mnie w ich oczach skreśla. Wiesz, ile łez wylał Bartek, gdy podczas treningu piłkarskiego chłopcy przezywali go „małpą”? Ile trudu kosztowało mnie to, żeby rozkręcić pensjonat? Nie narzekam... To znaczy czasami narzekam. — Miśka sięgnęła po szklanekę, którą ze sobą przyniosła, upiła łyk wody. Westchnęła. Wyprostowała nogi. — Nikt nie jest lubiany przez wszystkich. Nie ma co się zastanawiać nad tym, dlaczego ktoś nas nie lubi. To strata czasu i energii. Nie potrzeba zaprzętać sobie głowy nieistotnymi informacjami. Mamy jednak to szczęście, że sami możemy wybierać sobie przyjaciół. A to, czy inni nas lubią, to sprawa drugorzędna.

— Ale tu nie chodzi tylko o lubienie, ale o ciągle gapienie się i osądzanie.

Miśka zadumała się na moment. Tyle razy słyszała od Bartka te same argumenty! Spróbowała raz jeszcze łagodnie wytłumaczyć powody, dla których istnieją tacy ludzie jak pani Moczarska.

— Osądzają ci najbardziej zakompleksieni, ci, którzy mają mało ciekawe życie. Jeśli sama zobaczyłabym kogoś, kto w mniemaniu społecznym jest inny, to nic bym sobie z tego nie robiła. Nie rozsiewałabym plotek, nie szukała dziury w całym. Każdy z nas jest inny, i to jest piękne. Piękno jest w każdym człowieku, głęboko w to wierzę. Że każdy z nas ma taką strunę, która ślicznie zagra, jeśli ją

odpowiednio poruszymy.

Ktoś zapukał w futrynę. W progu stała pani Zofia z siatką.

— Mam przerwę, więc przyniosłam rogaliki — odezwała się wesoło.

Kamila poruszyła się nerwowo na schodach.

— To ja już pójdę do siebie. — Wstała. Poczowała się głupio. Było jej wstyd przed właścicielką pensjonatu, a i starsza pani zapewne zauważyła ślady łez na jej policzkach.

— Zaczekaj, dziecko. — Zofia powstrzymała ją ruchem ręki. — Zjesz rogalika, napijesz się herbaty z sokiem malinowym i choć na chwilę zrobi ci się lepiej. Nie chciałam podsłuchiwać, ale co nieco usłyszałam — przyznała ze skruchą.

Kamila nie wiedziała, gdzie oczy podziać, a uszy na pewno płonęły jej żywym ogniem.

— Czasem ma się ochotę wyrzucić z siebie ten smród, który nas zalał. To dobrze. Lepiej jest wywalić niż tłamsić w sobie. Wszyscy cierpimy i będziemy cierpieć z powodu rozmaitych rzeczy, które nas dręczą: lęków, wątpliwości, samotności, niespełnionej miłości. I wszyscy potrzebujemy ratunku.

Michalina wstała, wzięła od babci rogaliki i poszła do kuchni, by zaparzyć herbatę.

Zofia z Kamilą przeszły do salonu. Młodsza kobieta usiadła na sofie, starsza w fotelu.

— Kiedy byłam młoda, mieszkałam z moim mężem i malutkim dzieckiem w starej kamienicy na czwartym piętrze. Pamiętam, jak tachałam wózek na to czwarte piętro, bo gdybym zostawiła go na dole, pewnie ktoś by go ukradł. Nie pracowałam, żyliśmy z jednej pensji.

Kiedy wprowadziliśmy się do tamtego mieszkania, hulał wiatr. Między parapetem a oknami były dziury, przez które do wnętrza wpadało zimne powietrze. Mój mąż wracał umęczony po pracy i razem ze mną remontował mieszkanie. Potem stwierdził, że trzeba kupić ziemię i zbudować dom. W Bieszczadach. I kupiliśmy. Budował ten dom ze swoim bratem i ojcem. Wszystko to, co mam, co przeżyłam, zawdzięczam temu, jak postrzegałam świat i jak ciężko na to nasze życie zapracowaliśmy. Też narzekałam, ale potem brałam się w garść i szłam do przodu. Też spotykały mnie tragedie. Straciłam dziecko i nigdy się z tego do końca nie otrząsnęłam. Ale żyję dalej, dla wnuków. — Zofia przerwała, by zaczerpnąć powietrza. — Większość z nas dostała takie samo życie jak inni. Nie mówię o bogaczach, milionerach, ale o nas, przeciętniakach. I naprawdę od nas i naszej pracy, wiary, marzeń zależy, dokąd nas to życie zaprowadzi. Jakie masz marzenia?

— Niech pani spojrzy na moją twarz. — Kamila opuszkami palców dotknęła własnej buzi.

— Widzę kilka blizn — stwierdziła Zofia.

— Właśnie.

— Są przeszczepy, operacje.

Kamila zaprzeczyła ruchem głowy.

— Kosztowne, na które mnie nie stać. Nikt mnie już nie pokocha.

— Tego nie wiesz. Marzenia nie spełniają się tym ludziom, którzy tylko narzekają. Jakiś znany mówca powiedział kiedyś, że spełnione marzenia nie mają ceny. I ja się z tym zgadzam. Są bezcenne. Ludzie żałują czasu na spełnianie marzeń. Umniejszają ich rolę w swoim

życiu. Kto pozwala sobie na marzenia? Inni wyśmiewają się z tych, którzy podążają za pragnieniami. A ja spełniam swoje marzenia, bo życie bez nich byłoby puste. Niepełne.

Zofia zapatrzyła się w dal.

— Mam małe marzenia. Na przykład takie, że kiedyś polecę sobie znów na Węgry, by zobaczyć Balaton. Byłam tam w czasach PRL-u; jedyne zagraniczne wczasy z mężem. Wymarzyłam sobie. Odkładaliśmy na ten wyjazd cały rok. A kiedy już mieliśmy gotówkę, maluchem ruszyliśmy na podbój świata. Pamiętam, że mój świętej pamięci mąż, świeć Panie nad jego duszą, uparł się, by wieźć ze sobą kołdrę, bo w tych hotelach to różnie bywa. I jechaliśmy z tą kołdrą. Maluchem. Z kołdrą przywiązaną linkami do dachu! — Pani Zofia zanosła się śmiechem na samo wspomnienie. — Na jakimś postoju mewy obsiadły tę naszą kołdrę i zaczęły wydzierać z niej pióra. Bo to była kołdra wypełniona gęsimi piórami — wyjaśniła Kamili. — Teraz takie kołdry to rarytas, a wtedy każdy miał pierzynę pierzem wypchaną.

— Pamiętam jeszcze, babciu, takie kołdry. — Do rozmowy wtrąciła się Miśka. — Najgorzej było, kiedy w nocy to pierze zsunęło się na sam dół. U góry zimno, na dole spocone stopy.

Roześmiały się.

— Ale co z dziadkiem?

— Dziadek był bardzo zdenerwowany, że ptaszyska wydziobały pióra. W pierzynie było mnóstwo dziur, ale on nie chciał wyrzucić jej do kontenera. Jechaliśmy tak, a za nami unosiła się zasłona z piór. Ludzie patrzyli na nas jak na wariatów, a dziadek śmiał się pod

nosem. „Ja będę miał się czym przykryć, wy nie”.

Otarła łzę rozbawienia i wzruszenia.

— Dojechaliśmy do hotelu, a tam koce, kołdry, jak to w hotelu. Ale dziadek spał pod swoją, już bez piór. Taki był uparty.

Teraz śmiały się we trzy.

— Babciu, a teraz spełnisz swoje marzenie? — Do pokoju wszedł Bartek, który od razu sięgnął po rogalika.

— Wszystkie już spełniłam.

— Ej, chyba nie.

Zofia spojrzała uważnie na wnuka, który uśmiechał się łobuzersko.

— O czym ty mówisz?

— O ślubie z Wincentym.

— A dajcie wy mi wszyscy spokój! — Starsza kobieta zachnęła się i wstała gwałtownie, aż jej w krzyżu łupnęło.

— Ale to prawda... boimy się — odezwała się Miśka, by wrócić do przerwane go wątku. — Boimy się spełniać marzenia. Boimy się zmian.

— Strach jest naturalną formą obrony.

— Ja na ten przykład boję się, że sobie nie poradzę. — Miśka dotknęła lekko zaokrąglonego brzucha.

— Z Bartkiem sobie jakoś poradziłaś. Każda z nas musiała jakoś sobie poradzić z macierzyństwem. I obecne, i dawne czasy były trudne. Nie było na przykład pieluszek jednorazowych. Tetrowe trzeba było wyprać, wygotować. A pranie też nie było takie jak teraz, bo nie było automatycznych pralek, tylko pocziwa frania.

— Pamiętam franię. I to, jak wyzymałam ciuchy!

— No właśnie.

— W kolejkach się stało po mleko, kielbasę, ubrania, papier toaletowy, i jakoś się żyło. Nie mówię, że teraz jest łatwiej, bo nie jest. Ludzie pracują od świtu do nocy. Mniej czasu na wszystko. Aby zarobić dobre pieniądze, trzeba dać z siebie wszystko. Kiedyś było jakby mniej tej pracy. Chociaż... — Babcia Zosia zawahała się. — Czy ja wiem? Robiliśmy w polu od świtu do nocy, poznaliśmy prawdziwą biedę. Suknię na bal do szkoły szyłam twojej mamie ze starej zasłony — zwróciła się do Miśki. — Ale to wszystko to nic, pikuś w porównaniu z tym, czym jest rodzina. Ludziom się teraz wydaje, że jeśli nie założą rodziny, będzie im lepiej, wygodniej. Bo o miłość trzeba dbać, trzeba się trochę wysilić. Ale wiem, że za kilka, kilkanaście lat nie będzie im do śmiechu. Ależ się rozgadałam! Przepraszam! — Zofia zreflektowała się, że po raz kolejny wygłaszała swoje mowy, jak mówiła o jej pogadankach wnuczka.

— Dziękuję... — szepnęła Kamila. — Dziękuję, że mi pani o tym wszystkim opowiedziała. To uświadomiło mi, że nie tylko ja mam problemy. Każdy z nas ma swoje, jakieś mniejsze lub większe, z którymi się boryka. — Kamila wstała z sofy i ruszyła w stronę schodów. — Może i ja wreszcie odważę się znów marzyć? — rzuciła jeszcze przez ramię.

Każdy z nas potrzebuje takiego kopniaka, takiego pociągnięcia za warkoczyki do pionu. Ona ma swoje blizny i na razie będzie je miała. Może lamentować, jasne. Ale może też z tym wszystkim jakoś żyć. Jakoś...

ROZDZIAŁ 11

Wiktoria weszła do kuchni, by zabrać śniadanie i wyjść do pracy. Od kilku dni mieszkała z Michałem. Nigdy przedtem nie dzieliła domu z nikim poza mamą i siostrą, nic nie wiedziała też o upodobaniach Michała. Jak na razie postępowała intuicyjnie. Po kilku dniach jej pobytu u niego rytm ich dnia ustalił się sam. Michał wstawał wraz z kurami, parzył dla nich kawę i robił owsiankę z miodem i orzechami. Wiktoria jadła ją, kiedy on brał prysznic. Potem się zamieniali. Następnie ona wychodziła do „Cynamonowych Serc”, on szedł do warsztatu. Po południu to ona gotowała obiad lub kiedy oboje nie mieli siły na jedzenie, po prostu robiła kanapki. Opowiadali sobie o tym, co się danego dnia wydarzyło, oglądali razem film, kochali się, wychodzili na spacer. Byli w sobie szaleńczo zakochani.

Tego dnia dziewczyna dokończyła jedzenie w drodze do pracy. W kawiarni miały już istny kocioł. Kaśka nie mogła uporać się z zamówieniami, więc Wiktoria szybko umyła ręce i włożyła fartuch.

Podeszła do zamyślonej kobiety, która siedziała przy stoliku przy oknie, patrząc na otaczający ją świat. Dopiero kiedy dziewczyna stanęła koło niej, zorientowała się, że klientką jest Patrycja. Miała głębokie cienie pod oczami. Nie wyglądała najlepiej.

Złotkowo to mała miejscina i każdy o każdym wszystko wiedział. Wiktoria miała więc pełną świadomość, że to przez Patrycję związek jej mamy z Markiem kulał. Z jednej strony była więc na nią zła, z

drugiej jej współczuła. Słyszała o mastektomii. To musiało być straszne dla kobiety, zwłaszcza wciąż jeszcze dość młodej i atrakcyjnej.

— Dzień dobry. — Uśmiechnęła się do żony Marka. Postanowiła, że może choć trochę poprawi jej humor. — Czy coś podać?

— Sama nie wiem...

— To może pomogę? Słyszała pani, że czekolada ma cudowne właściwości? Przede wszystkim odgania wszystkie smutki i smuteczki. Po drugie zawiera magnez. Polecam ją klientom na chandrę i gorszy dzień. Nasza czekolada jest niezwykle gęsta, z dodatkiem imbiru, cynamonu i wanilii.

— Nie wiem, co na to mój lekarz... Chyba nie powinnam sobie na razie pozwalać na cukier. — Teraz to Patrycja uśmiechnęła się do dziewczyny, na poły serdecznie, na poły przeprasząco. Tak dawno na jej twarzy nie gościł uśmiech! Zupełnie jakby i on sprawiał jej ból. Cieszyła się, że poprosiła Marka, by ją tu dziś zaprowadził. Chciała dać mu trochę od siebie odetchnąć.

— W takim razie mogę polecić rewelacyjną herbatę zimową! Rozgrzałaby nawet Królową Śniegu, poza tym gwarantuję, że na jednej filiżance się nie skończy.

— A co to za herbata?

— Mieszanka kilku gatunków z bergamotką, imbirem, ze szczyptą cynamonu, kwiatami malin i skórką pomarańczy. Na pewno pani zasmakuje — dziewczyna uśmiechnęła się serdecznie

— Na zewnątrz taki ziąb, że chyba się skuszę — zdecydowała Patrycja.

„Gdyby wszystkie kelnerki i sprzedawczynie miały taką charyzmę jak ta mała, to sklepy miałyby milionowe utargi. Trudno nam docenić to, co się ma” — pomyślała.

Wiktoria obsłużyła gości, po czym spojrzała ponownie na żonę Marka. Nie chciała się na nią natrętnie gapić. Błada cera wskazywała na to, że kobieta nie jest do końca zdrowa, jednak wciąż była piękna i emanowała jakimś takim spokojem. Może to prawda, że choroba zmienia ludzi, że już tak nie pędzą i bardziej doceniają to, co mają? Cały dzień Wiktoria biegała między stolikami. Wyszła z pracy o osiemnastej, ale kiedy dotarła do domu, Michała jeszcze nie było. Pojechał do Sanoka zawieźć klientowi trzy komody. Postanowiła, że zrobi kolację. Zaczęła wyciągać z lodówki warzywa, kiedy drzwi wreszcie skrzypnęły. Wybiegła na korytarz w nadziei, że to Michał wrócił od klienta. Wzdrygnęła się, kiedy na korytarzu zobaczyła młodą kobietę.

— Co pani tu robi? — zapytała wystraszona Wiktoria.

— A ty?

Dziewczyna była ładna, szczupła, wysoka. Może zbyt wyzywająco ubrana, ale mogła się podobać.

— Ja? — Wiktoria się speszyła. — Chwilowo tutaj mieszkam.

— A więc Michałek przygruchał sobie nową lalunię. — Nieznajoma bez skrępowania weszła dalej.

— O co ci chodzi? — Wiktoria bez wahania przeszła na ty. Dziewczyna była mniej więcej w jej wieku. Niepotrzebne było jakiegokolwiek certolenie się.

— O to, że ja pierwsza go miałam.

— Ach. To ty jesteś Żaneta? — Wiktoria słyszała od Michała o panience, z którą kiedyś się spotykał. Wiedziała też, że całkiem niedawno poszła na policję, by zmienić zeznania w sprawie jego ojczyma.

— O tak, ja. Ale mam nadzieję, że nie wmówił ci, że między nami wszystko skończone? — syknęła, widząc błysk zrozumienia w oczach nowej flamy swojego kochanka. — Sypialiśmy ze sobą nawet wtedy, kiedy spotykał się z tobą.

Dziewczyna przeszła do kuchni i usiadła na stole. Wiktoria poszła za nią. Stała naprzeciwko niej z rękoma założonymi na piersiach.

— Co chcesz osiągnąć tym, że go nachodzisz? Myślisz, że do ciebie wróci?

Żaneta prychnęła.

— Nie musi wracać. Przecież ci tłumaczę, że kochaliśmy się, kiedy już spotykał się z tobą — powiedziała dobitnie.

— I ja mam niby w to uwierzyć? — Wiktoria była zdenerwowana najściem, ale nie dawała tego po sobie poznać. Starła się mówić spokojnie.

— Nic nie wiesz... — Teraz na twarzy Żanety pojawił się fałszywy uśmiezek. Niby usta się śmiały, ale w oczach czaił się gniew.

— Po co to robisz?

Żaneta przejechała dłonią po dębowym stole.

— Ładny — skomentowała pracę Michała.

— Pytam cię o coś! — Wiktoria traciła cierpliwość.

— Bo chcę, żebyś cierpiała tak samo, jak ja... — Dziewczyna zeskoczyła ze stołu. Druga aż zagotowała się w środku.

— Jesteśmy szczęśliwi. Daj nam spokój.

— Do czasu, do czasu... — Żaneta wyszczerzyła się złośliwie. — Michał zmienia dziewczyny jak rękawiczki, to ten typ faceta, który szybko się zakochuje, a jeszcze szybciej...

— Wyjdź stąd!

W progu stanął wzburzony Michał.

— Wynoś się! — powtórzył, dopadł do Żanety i chwycił ją za rękę.

— O, co to? Już nie pamiętasz, jak ci obciągałam? — Żaneta uśmiechnęła się drwiąco.

Mężczyzna złapał ją mocno za bluzkę i uniósł do góry.

— Michał! — krzyknęła przerażona Wiktoria. — Puść ją!

Z trudem się opanował i opuścił Żanetę na ziemię.

— Jeszcze raz tu przyjdiesz — wycedził — a dzwonię na policję. Prześladasz mnie, nachodzisz, nękasz! Jesteś jakąś popieprzoną stalkerką!

— Wyjdę sama. — Żaneta posłała jeszcze złowrogie spojrzenie Wiktorii. — A ty wspomnisz moje słowa! — rzuciła na odchodnym.

Kiedy za nieproszonym gościem zamknęły się drzwi, Michał przytulił Wiktorię.

— Przepraszam, przepraszam... — szeptał, obejmując ją i kołysząc w ramionach.

— Daj spokój. Nie musisz mnie za nic przeproszać.

Ale ziarno niepokoju zostało zasiane. A jeśli Żaneta miała rację, mówiąc, że Michał jest kochliwy? Dlaczego najpierw złożyła takie zeznania, a potem chciała wszystko wyprostować? A jeśli faktycznie zmieniał dziewczyny jak rękawiczki?

I tak właściwie co kiedyś spодobało mu się w Żanecie?

ROZDZIAŁ 12

Kamila była już w łóżku, kiedy usłyszała na korytarzu jakieś trzaski, jakby ktoś się zakradał.

Wyszła na palcach spod kołdry i zbliżyła ucho do drzwi. Coś ponownie zatrzeszczało.

Jednym ruchem uchyliła drzwi. Szelesty dochodziły z dołu. Skierowała się na schody i z przerażeniem zobaczyła, że przed pokojem Michaliny stoi jakiś mężczyzna ubrany w czarny wełniany płaszcz. Był dość wysoki i chwiał się na nogach. Pijany? Czyżby ktoś zapomniał zamknąć na noc drzwi?

Kobieta zaczęła nerwowo rozglądać się po korytarzu, żeby znaleźć coś do obrony. W końcu jej wzrok natrafił na wazon. Chwyciła go i bez zastanowienia zbiegła po schodach i walnęła nim mężczyznę, który w konsekwencji jęknął. Chwycił się za głowę i wpadł do pokoju Miśki, omal nie przewracając się na podłogę. W ostatniej chwili złapał równowagę, ale nie na długo, bo Kamila, niewiele myśląc, wskoczyła mu na plecy i zaczęła okładać włamywacza pięściami. Ktoś zapalił światło.

Miśka poderwała się z łóżka i zaczęła krzyczeć. Dopiero po chwili dotarło do Kamili, że prosi ją, by przestała bić nieznanego. Wreszcie zostawiła go w spokoju.

— Do diabła, Miśka, co tu się dzieje? — Artur, bo to właśnie on zakradał się do jej pokoju, był wściekły i obolały. Trzymał się rękoma

za głowę.

— Co tu się wyprawia? Raczej co ty tu robisz? — Michalina podeszła do niego.

— Och. Czyli wy się znacie? — Zawstydzona Kamila patrzyła to na właścicielkę pensjonatu, to na nieznanomego. Zrobiło jej się strasznie głupio.

Michalina skinęła głową, nie mogąc opanować śmiechu.

— Ach, to przepraszam pana. — Kamila wyciągnęła ku niemu dłoń, ale Artur ją zignorował.

— A, idź w cholere! — warknął, rozcierając obolałą głowę.

— Nie powiem, jesteś niezła! — zwróciła się Miśka do Kamili. Ta nic już nie odpowiedziała i szybko wycofywała się na schody rakiem.

Po chwili drzwi się za nią zamknęły.

— Co to za wariatka? — Artur był wkurzony.

— Żadna wariatka. Jeśli ktoś się powinien tłumaczyć, to chyba raczej ty. Jak wszedłeś do środka?.

— Mam klucze. Auu! — jęknął mężczyzna. Dostał porządny cios w tył głowy.

— Skąd?

— Od Bartka. Dał mi rok temu.

— I nie oddałeś mi ich... po tym wszystkim?

— Nie.

Na moment Miśka zaniemówiła, ale szybko odnalazła właściwe słowa:

— Cholera jasna! Cholera! Wynoś się stąd! Mam przez ciebie same kłopoty.

Ogarnęła ją furia. Co on sobie wyobrażał? Denerwował ją tymi niespodziewanymi najściami. Przychodził i odchodził niemal tak, jak jej ojciec. Zjawiał się w najmniej oczekiwanym momencie i burzył jej spokój.

— Za każdym razem, kiedy tutaj przychodzę, dostaję bęcki!

Ostatnim razem Artur pobił się z Przemkiem.

— O, wypraszam sobie, raz ty zaczęłaś, a teraz... — Miśka wymachiwała rękoma. — A teraz wkradłeś się do mojego domu jak jakiś złodziej!

— Bo nie mogę bez ciebie żyć.

— Jezuuu! — Michalina jęknęła. — Skończ z tymi pustymi frazesami.

— Kiedy to prawda. Wiesz... — Usiadł na skraju łóżka. Przez chwilę kręciło mu się w głowie.

— Nie, Artur, ja już nie chcę nic wiedzieć. Naprawdę mam tego dosyć. Nie chcę tego od nowa przerabiać. Widziałam cię ostatnim razem cztery miesiące temu, od tego czasu milczałeś. Ładne mi „nie mogę bez ciebie żyć”. Raczej „wpadnę od czasu do czasu, skoro i tak jesteś sama”.

W końcu Miśka klapnęła obok niego na łóżku.

— Masz przecież chłopaka — zauważył ostrożnie.

— Sama nie wiem, czy mam.

— Nie masz?

Artur spojrzał na nią tak... Nie chciała nawet myśleć, jak na nią spojrzał. Nie chciała od nowa tego przerabiać.

— Daj mi spokój.

— Miśka... — Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

— Porozmawiajmy. — Michalina odsunęła się na bok. — Ale tylko chwilę. Chodź ze mną.

Wstali i przeszli do kuchni.

— Napij się czegoś? — zaproponowała, zła na siebie, że znów jest dla niego miła. Powinna wywalić go z domu na bruk, a nie proponować herbatę.

— A masz tę znakomitą nalewkę twojej babci?

Miśka skinęła głową i nalała do kieliszka alkoholu. Postawiła na stole przed Arturem.

— Nie napij się ze mną? — zapytał, mrużąc oczy.

— Nie.

— Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

— Po co przyjechałeś? By na nowo mnie zdenerwować?

— Nie mogę o tobie zapomnieć.

Michalina spojrzała na jego twarz. Pełne usta, kilkudniowy zarost. Niemal poczuła, jak ją całuje. Gorące pocałunki...

Stop. Nie warto podchodzić za blisko ognia, bo można się poparzyć. I ona już raz się sparzyła. Dlaczego na widok niektórych osób drżą nam serca? Po co pojawił się po raz kolejny, utrudniając jej życie?

— Słyszałam to już tyle razy... — Miśka w końcu zaczęła bębnić palcami w blat stołu. — Pojawiasz się i znikasz. A potem nawet nie napiszesz, nie zadzwonisz, tylko bez zapowiedzi zjawiasz się kolejny raz. Daj mi wreszcie spokój!

Artur przechylił kieliszek i wypił nalewkę.

— Skoro tego chcesz... — Potarł nasadą dłoni skronie. Przechylił głowę i się do niej uśmiechnął.

„Żeby tylko nie zaczął rzucać tych swoich tekstów” — pomyślała. O tym, jaka jest ładna, że jej pragnie i tak dalej. Wiedział, że te wytarte frazesy zawsze na nią działały.

— Tak. Chcę tego.

— Moglibyśmy się spotykać raz na jakiś czas.

Michalina zmarszczyła brwi. To też już kiedyś słyszała.

— To znaczy przyjeżdżałbyś na szybki seks i odjeżdżał w siną dal? Zostawiał mnie na kilka tygodni, bo tak wygodnie? Milczałbyś i potem ponownie się zjawiał? Nie. Mam cię dość. Idę spać. — Miśka skierowała się do swojej sypialni.

— Nie idź.

— Sam się odprowadź, jak już stwierdzisz, że jesteś gotowy do wyjścia.

— Michalina, ja...

Przystanęła i odwróciła się do niego. Miała mu o tym nie mówić, ale słowa same zaczęły płynąć.

— Artur, zostaw te klucze na stole. I zniknij raz na zawsze z mojego życia. Będę miała dziecko.

— To moje? — Wstał ze stołka.

Michalina przełknęła ślinę. Z niezrozumiałych powodów chciałyby, żeby to było jego dziecko. Sama nie wiedziała dlaczego, ale tak właśnie było.

— Nie. — Zaprzeczyła ruchem głowy. — To dziecko Przemka.

Poszła do swojego pokoju. Położyła się na łóżku. Łzy szczypały ją

gdzieś w środku duszy, nie chciały wypłynąć na zewnątrz. Dokonała dobrego wyboru... Musiała to zakończyć, inaczej przeszłość ciągnęłaby ją nieustannie w dół.

ROZDZIAŁ 13

Amelia ponownie zjawiała się w domu spokojnej starości dwa dni po ostatniej wizycie. Odkąd staruszka zapewniła, że opowie jej historię dworu, kobieta nie mogła się doczekać kolejnego spotkania. Przyjechałaby wcześniej, ale martwiła się Wiktorią. Poza tym nie chciała być namolna.

— Trochę cię wykorzystam — zaśmiała się Arleta, kiedy usiadły przy filiżance herbaty z imbirem.

— Co ma pani na myśli? — Amelia posłodziła herbatę miodem i porządnie ją zamieszała.

— Chciałabym, żebyś mnie częściej odwiedzała — wyznała starsza pani — dlatego moja opowieść będzie się składała z odcinków. Wiesz, tak jak jakiś serial albo telenowela. A mam sporo do opowiedzenia.

— Umowa stoi. — Amelia posłała staruszce uśmiech. Było w niej coś niesamowitego. W jej oczach wciąż tliła się jakaś nieustępliwość. Poza tym Amelia po prostu pragnęła wysłuchać opowieści. Kiedy była mała, jej mama przekazywała jej różne historie.

— Miałam bolesne, ale dobre życie — zaczęła Arleta. — Chyba przeważnie ludzie tak mówią u kresu dni. Czepiają się tego życia jak rzepy psiego ogona — zachichotała. — Moja mama przed wojną pracowała we dworze jako służąca. W tym dworku, który cię tak interesuje. Ja i siostra wychowałyśmy się właśnie tam. Między mną a Danielą był równy rok różnicy. Jakoś tak się porodziłyśmy rok po

roku, w tym samym dniu. Broiliśmy, biegałyśmy po dworskiej kuchni, podkradając warzywa i owoce. Któregoś dnia tak się najadłyśmy papierówek, że brzuchy wydeły nam się niczym balony. Mama musiała nas ratować miętą. — Westchnęła. — To była kochana kobieta. Przymykała oko na nasze psoty. Mówiła, że dzieci są od tego, by psocić.

Upiła łyk herbaty.

— Nie wchodziłyśmy do pokoi i salonu. Tam miałyśmy zakaz. Wcześniej nikomu nie przeszkadzało to, że biegałyśmy po pokojach, ale odkąd zmarł stary pan Malinowski, a jego syn ożenił się z osiemnastoletnią wówczas Wiolettą, wszystko się zmieniło. Ona była apodyktyczna i nie lubiła zadawać się z „plebsem”, jak o nas mówiła. — Spojrzenie na moment jej spochmurniało, ale zaraz znów się rozpogodziła. — Któregoś dnia namówiłam Danielę, byśmy mimo wszystko zakradły się do pokojów na piętrze. „Ale po co?”, zapytała siostra, a jej jak zwykle umorusana bródka zadrżała. „Dla zabawy”, odpowiedziałam i ruszyłyśmy w stronę schodów. Przeszłyśmy przez zachodnią stronę dworu, a potem jak koty przemknęłyśmy do góry. Staraliśmy się stąpać delikatnie, żeby deski nie skrzypiały. A jednak jakaś skrzypnęła. Wtedy na korytarz wyszła pani Wioletta. „Co wy tutaj robicie?”, zapytała. — Pani Arleta umiejętnie modulowała głos, zupełnie niczym aktorka w teatrze. — O, w jej wypowiedzi można było wyczuć wrogość. Daniela próbowała się wytłumaczyć, ale ona tylko syknęła niczym jadowita żmija, że miejsce służby jest na dole. — Staruszka w zamyśleniu pokiwała głową. — Ruszyłyśmy pośpiesznie korytarzem. Biegając w dół, trzymałyśmy się za ręce. Nietrudno byłoby

uznać, że jesteśmy bliźniaczkami. Byłyśmy tak samo drobne i tego samego wzrostu. Wpadłyśmy do kuchni, gdzie mama drewnianą łyżką ucierała masło z cukrem na krem do ciasta. Dwie inne kucharki między kolanami trzymały skubane właśnie zabite kury. Z garnków buchała gotująca się woda. W pomieszczeniu było parno i dało się wyczuć metaliczny zapach krwi. „Dziewczynki, może byście pomogły skubać kurę?”, zwróciła się do nas mama.

Amelia słuchała jej jak zaczarowana. Pani Arleta była urodzoną gawędziarką.

— Pamiętam, że wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że nie chcę tam zostać i do końca życia komuś usługiwać. Ani też skubać kur. Mama nie narzekała na swoją pracę, nawet Daniela chętnie skubała drób czy szorowała przypalone rondle, ale ja tak nie chciałam. Miałam wtedy dziesięć lat, a rodził się we mnie jakiś bunt na niesprawiedliwość tego świata. Tyle że świat był i jest niesprawiedliwy, i zapewne zawsze już będzie. No cóż... Mój ojciec — podjęła po chwili — był niskim, ale dobrze zbudowanym mężczyzną. Miał ociężały chód, ale był silny jak byk. I kochał swoją rodzinę. Również pracował we dworze, jako stajenny, przed wojną było ich tam dwóch, ale jeden jeszcze bardzo młody, nieledwie dzieciak, więc to tato był za wszystko odpowiedzialny. Byłam z niego dumna. Miałam z ojcem lepszy kontakt niż Daniela, ale kochał nas po równo, wszystkie trzy. Niestety, był awanturnikiem. Nigdy w pracy, ale poza nią owszem. Za często zaglądał do kieliszka i potem się wyklócał. Nieraz komuś wygarnął albo i kogoś trzepnął w słusznej sprawie, jak sam powtarzał. Ale poza tym miał gołębie serce. Dla swoich kochanych

córeczek zrobiłby wszystko. Kiedy dostawał pensję, zawsze coś nam kupował. A to wstążki, a to karmelki, a niekiedy bele materiału... i mama szyla dla nas po nocach piękne sukienki. Zabierał nas obie na spacer, a mnie często na przejażdżki konne, bo państwo rzadko jeździli, ale chcieli, żeby konie się słuchały człowieka. A wieczorem wspólnie odmawialiśmy modlitwę. Ojciec spracowanymi dłońmi przekładał paciorki różańca.

Zrobiła ręką ruch, jakby sama miała pod palcami okrągłe koraliki.

— Kochałam jazdę konną. Od najmłodszych lat wymykaliśmy się z tatą pogalopować. Pod tym względem miałam tam najlepiej pod słońcem. Jeździliśmy po dzikich łąkach, po wzgórzach, poiliśmy konie w strumyku. Byłam ciekawa otaczającego świata, podczas gdy Daniela trzymała się matczynego fartucha.

Na chwilę przerwała opowieść. Zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

— Wszystko w porządku? — odważyła się zapytać Amelia.

Staruszka skinęła głową. Odchrząknęła.

— Wieczory były chłodne. Dookoła roztaczał się zapach wilgotnej gleby. Na drzewach pojawiły się pierwsze pączki. Od czasu do czasu jakieś zwierzę wyskoczyło z krzaków. A to lis, a to kuropatwa przebiegła drogę... To piękne wspomnienia. Ale któregoś dnia spadło na naszą rodzinę nieszczęście. Widzisz, ojciec był oddany pracy i państwu Malinowskim. Teraz, z perspektywy czasu, wiem, że nie wolno być nikomu tak służalczo oddanym. Tamtego wieczoru znów pogalopowaliśmy przed siebie po włościach. Na jednym z pól zobaczyliśmy trzech mężczyzn, którzy próbowali ukraść krowę. Zawiazali jej powróż na szyi i witkami bili ją, by szła do przodu. Gdy

zobaczyli tatę, odwrócili się i zastygli. Wiedzieli, że jest stajennym pana Malinowskiego i że zostali przyłapani na gorącym uczynku. „Jedź do domu po pomoc!”, krzyknął w moją stronę ojciec. Próbowałam oponować, bo złodzieje byli potężnym chłopami, ale on tylko ryknął na mnie: „Jedź!”. Ruszyłam w stronę dworu, zostawiając za sobą ojca. Pół godziny później kilku stajennych i pan Malinowski przybyli na miejsce, ale... tatuś już nie żył. Potem wypominałam sobie, że gdybym go nie zostawiła, może bandyci nie rzuciliby się na niego przez wzgląd na dziecko. — W oczach pani Arlety zalśniły łzy. Po tylu dziesięcioleciach wciąż miała wyrzuty sumienia. — Pamiętam, że pan Malinowski bardzo nam wtedy współczuł. Powiedział nam, Danieli i mnie, że musimy być silne dla mamy. Ona była wtedy w rozsypce. Nie wiedziałam, że tak bardzo kochała ojca. W codzienności gdzieś się ta miłość gubiła, ale mama zawsze doceniała proste gesty ze strony taty. Czasami zrywał dla niej polne kwiaty, rozmasowywał stopy obolałe po ciężkim dniu pracy... Wiesz, dziecko, takie drobiazgi, okruszyny czułości, które nieco rozpraszały szarość jej trudnego życia.

Amelia tylko pokiwała głową ze zrozumieniem. Opowieść tak bardzo ją wzruszała, że nie chciała jej przerywać ani jednym zbędnym słowem.

— Pan Malinowski, widząc rozpacz mamy, dał jej dwa tygodnie wolnego. Przyniósł też dla nas duży kosz żywności. To głupie, co teraz powiem, ale nigdy wcześniej nie jadłam takich pyszności. Byłam zachwycona podarunkiem... A tatuś leżał w trumnie w głównej izbie domu swojego brata, który mieszkał we wsi. Pamiętam, że bałam się do niego podejść, nie chciałam go widzieć martwego. Do domu zaczęli

się schodzić różni ludzie, by złożyć wyrazy szacunku. Nawet pan Piotr się pojawił w ubogiej chacie. Pamiętam też płaczki, które rozpaczały nad trumną, i chłopów trzymających w rękach różaniec. Tatusz został pochowany na miejscowym cmentarzu. O jego pogrzeb i pomnik również zatroszczył się pan Malinowski. Potem, kiedy mama już doszła do siebie, wychwalała go pod niebiosa. A ja uważałam, że to była jego powinność, bo gdyby nie ta jego przeklęta krowa, tatusz nadal by żył. Wreszcie mama wróciła do swoich obowiązków, ale nie była w stanie usługiwać państwu. Siedziała w kuchni i chlipała. Oczy ocierała rąbkiem spódnicy. Ja i Daniela sprzątałyśmy pokoje, jak najlepiej umiałyśmy. — Głos pani Arlety drżał. — Któregoś dnia wezwała mnie do siebie pani Wioletta, abym uczesała jej włosy. Zrobiłam to, ale z niechęcią. Denerwowała mnie ta kobieta, i to z wzajemnością. Też za mną nie przepadała. Później usłyszałam jej rozmowę z panem Malinowskim. „Kiedy Adelajda ma zamiar wziąć się do pracy?”, zapytała ze złością w głosie. „Pracuje, ale... wciąż rozpacza”, odpowiedział pan. „Zginał jej mąż”. A ona na to: „Wiem, że zginał. Wszyscy o tym mówią. Wszyscy o nim mówią. Zachwycają się jego bohaterstwem. Mam przeczucie, że pomniki mu będą stawiać”. Poczulałam złość. Zacisnęłam pięści. Pan wziął nas w obronę: „Jej córki pomagają”, zauważył. „Jak na takie małe dziewczynki, świetnie sobie radzą”. Usłyszałam kroki w pokoju i przylgnęłam do ściany. Pani nie kryła wzburzenia. „Ta mała, jak jej tam...”, syknęła. Kiedy pan Malinowski wypowiedział moje imię, jego żona oświadczyła, że coś jest ze mną nie tak. „Skąd to przypuszczenie?”, zapytał pan. Wyczułam w jego głosie, że jest zirytowany. „W jej spojrzeniu jest coś

impertynenckiego, niepokojącego”, odpowiedziała. „Spogląda na mnie butnie. Nie ma za grosz pokory. Nie zna swojego miejsca”. Potem nazwała mnie jeszcze diabolicą. Jej mąż próbował jej tłumaczyć, że każdy ma inny charakter, że w zasadzie jestem jeszcze dzieckiem, które pewnie wolałoby się bawić niż im usługiwać. Że nie rozumiem jeszcze pojęcia klasy społecznej. Nic do niej nie docierało. Wtedy zaboląły mnie jej słowa. Nie byłam żadną diabolicą, marzyłam tylko o tym, by do czegoś w życiu dojść. Wdzięczna byłam mamie, że posłała nas do szkoły i że wpoila nam, że trzeba się uczyć. Daniela nie chciała, pragnęła być taka jak mama. Bolała mnie ta służalczość siostry. A potem... — Pani Arleta głośno wciągnęła powietrze. — Potem jeszcze kilka innych rzeczy sprawiło mi smutek, ale o tym następnym razem. Dzisiaj jestem zmęczona.

— Pomóc pani? — Amelia wstała z krzesła.

— Gdybyś mogła posadzić mnie na łóżku... Od tego krzesła boli mnie krzyż.

— Może następnym razem w ogóle nie będzie pani wstawiała?

Starsza pani spiorunowała Amelię wzrokiem.

— Kiedy mam gościa, wstaję do stołu i piję z nim herbatę. A nie zdarza mi się to często.

Amelia skinęła głową ze zrozumieniem. Ta staruszka, chociaż krucha, miała hart ducha. Bardzo jej się to w niej podobało. Na pewno wróci tu jeszcze nie jeden raz, może nawet gdy pozna już całą historię?

ROZDZIAŁ 14

Michalina odsłoniła ściereczkę, która przykrywała wiklinowy koszyczek, i wyjęła z niego parujące jeszcze bułeczki.

— Częstujcie się — zwróciła się do dzieci.

Mary Ann wzięła jeden wypiek. Bartek od razu nałożył sobie dwie pachnące kule.

— Au! Parzy! — Podmuchał sobie na dłonie.

— Trzeba rozkroić bułkę na pół i chwilę poczekać — poinstruowała przyjaciela dziewczynka. — Misia...? — Mary Ann zwróciła się do kobiety.

— Hmm? — Miśka postawiła na stole miseczkę z konfiturami.

— Wiesz, że anioły wcale nie mają skrzydeł?

— Naprawdę?

— Tak. Przeczytałam w książce, że skrzydła wymyślili aniołom ludzie, żeby ładnie wyglądały.

— A ja chcę wierzyć, że mają. — Michalina uśmiechnęła się do niej. Mała była niezwykle rezolutna.

— Na pewno mają — odezwał się Bartek.

— A ty skąd wiesz?

— Kiedyś znalazłem w moim pokoju piórko. To musiało być anielskie piórko.

— Może wyleciało z poduszki?

— Nie. — Chłopiec pokręcił głową. — W poduszce nie było

najmniejszej dziurki. Nawet tyci, tyci.

Mary Ann spojrzała na niego z powątpiewaniem, jakby niepewna, czy sobie z niej nie żartuje.

— Opowiem wam pewną historię — zaczęła Michalina, nie chcąc dopuścić do nawet najmniejszej sprzeczki między przyjaciółmi. Za bardzo przywiązana była do tego tematu. — W pewnym domu mieszkał z rodzicami i babcią Krzyś. Chłopiec bardzo lubił święta i zawsze nie mógł się ich doczekać. Czekanie wcale nie jest fajne. Nikt nie lubi czekać, ani dorośli, ani dzieci. Ale czekanie uczy nas cierpliwości i niekiedy zapowiada piękne wydarzenia. Z reguły warto czekać. — Michalina spojrzała na dwoje zasłuchanych, wpatrzonych w nią dzieci i kontynuowała: — W końcu nadeszła Wigilia i krzątania od samego rana. Tata narzekał na zaplątane lampki, babcia sprzeczała się z mamą o przepis na sernik, a Krzyś wciąż myślał o tym, kiedy dostanie prezenty. Na niebie pojawiła się pierwsza gwiazdka i rodzina usiadła przy stole. Potrawy wigilijne były pyszne, a przynajmniej tak się wydawało Krzysiowi. „Może dlatego smakują tak dobrze, bo podawane są raz w roku?“, przeszło mu przez myśl. Kiedy skończyli jeść, chłopiec z babcią poszli do kuchni wypatrywać Świętego Mikołaja. W pewnym momencie usłyszeli trzaśnięcie drzwiami w pokoju gościnnym. Krzyś pobiegł w tamtą stronę. „Już był?“, zapytał zawiedziony. „Czmychnął szybko, ale zostawił prezenty”. Tata ruchem głowy wskazał na pakunki piętrzące się pod choinką. Chłopiec rozpakował swój prezent. Dostał model samochodu, bugatti chiron. Taki, o którym zawsze marzył. Od razu zaczął się nim bawić. Po dwudziestej trzeciej wciąż jeździł samochodem wokół

pokoju, pokonując różne przeszkody w postaci porozrzucanego kolorowego papieru. Bardzo się przy tym starał, żeby omijać choinkę. „Już czas”, rzuciła w pewnym momencie babcia, jakoś dziwnie podekscytowana. „Na co?”, zapytał Krzyś. Babcia uroczyście oświadczyła, że najwyższy czas wybrać się na pasterkę. Ale chłopiec nie był zadowolony z propozycji wyjścia do kościoła. Teraz liczył się tylko ten samochód, jego wymarzony prezent. „Tam w kościelnym żłóbku leży nowonarodzone dziecko, Jezusek”, zwróciła się do niego mama. „No i co z tego?”, pomyślał i z nosem na kwintę powlókł się za rodzicami.

Mary Ann pokiwała głową ze zrozumieniem. W Londynie też nieczęsto chodziła do kościoła. O ile pamiętała z opowieści mamy, pasterka rozpoczynała się dopiero o północy. Strasznie późno na takie wyprawy.

Tymczasem Michalina opowiadała dalej:

— Cała rodzina dotarła do kościoła za kwadrans dwunasta, bo babcia, jako osoba starsza, słabowita, musiała zająć sobie miejsce. Nie miałyby siły tak długo stać. Ponieważ jednak miejsc nie było już wcale tak dużo, usiedli wszyscy w pierwszej ławce. Krzyś wtulił się w mamę z naburmuszoną miną. I nagle stało się coś dziwnego, coś nieprawdopodobnego. Koło niego pojawił się anioł. Chłopiec nie od razu go zobaczył. Poczuł powiew ciepłego powietrza, a potem łaskotanie na policzku. Dwa spadające piórka dotknęły jego skóry. Odwrócił wzrok i wtedy go dojrzał. „Chodź ze mną”, powiedziała postać. Krzyś był zafascynowany rozłożystymi skrzydłami anioła, ich rozpiętością, ale także blaskiem, który od niego bił. Było coś takiego w

słowach tajemniczej istoty, że chłopczyk wstał z ławki i poszedł za nią. Zbliżyli się do szopki. Dziwne, ale figurki przedstawiające Świętą Rodzinę wcale nie były figurkami, tylko żywymi postaciami. Dzieciątko w żłóbku kwiliło, a dookoła szopki panowała niesamowita jasność. Krzys musiał aż zmrużyć oczy. „Dzisiaj jest Boże Narodzenie. Bóg się nam narodził”, szepnął do Krzysowego ucha anioł... po czym zatrzepotał skrzydłami i odleciał. Nagle chłopiec usłyszał głos mamy wołającej go po imieniu. Ziewnął, otworzył oczy. „Co się stało?”, zapytał zaspianym głosem. Mama uśmiechnęła się do niego z czułością. „Przespaałeś całą pasterkę”, zauważyła. Chłopiec spojrzał w stronę szopki, a potem otworzył zaciśniętą dłoń. Znalazł w niej dwa piórka. Mama pogładziła go po rozpalonym policzku. „Co się stało, Krzysiu?”, dopytywała. A on przeniósł spojrzenie z piórka na mamę. „Ja już wiem, co jest naprawdę ważne w te święta. Już wiem, o co w tym wszystkim chodzi”, zapewnił. A ty wiesz? — Miśka zwróciła się teraz do Mary Ann, ale nie dała jej czasu na odpowiedź. — Było to dawno, naprawdę dawno temu. I nie jest to żadna bajka, chociaż nie wszyscy wierzą w tę historię. I dobrze, mają do tego prawo. Józef i jego żona Maryja, która była wtedy w ciąży, przybyli do Betlejem. Nie mieli gdzie przenocować, bo wszystkie miejsca w gospodach były już zajęte. Dotarli więc do pewnej szopy, gdzie Maryja urodziła swojego syna. Owinęła go w szmatki i położyła w żłobie, czyli w miejscu, z którego zwierzęta jedzą siano. Do małego Jezuska przybiegli pastuszkowie, im z kolei wesołą nowinę oznajmił anioł. Do Betlejem przyjechali też trzej królowie, by złożyć dary i oddać pokłon synowi Boga. A wszystko to jest na tyle ważne, że urodziny tego małego Dzieciątka obchodzimy

bardzo uroczyście do dziś.

— Piękna historia — powiedziała Kamila, która od kilku chwil stała w progu i wraz z dziećmi przysłuchiwała się opowieści.

— No ładna, ładna — stwierdził Bartek, po czym pociągnął Mary Ann za rękaw i pobiegli do przedpokoju. Włożyli kurtki i czapki i już ich nie było. Za oknem rozpętała się bitwa na śnieżki.

— Dzieciaki! — Michalina zaczęła się śmiać. — Chcesz im przekazać coś wartościowego, a one i tak wolą jak najszybciej uciec.

— Uwierz mi, przekazałaś Bartkowi całą masę wartościowych rzeczy. To dobry dzieciak.

— Wiem. Siadaj. — Michalina wskazała gościowi krzesło. Postanowiła, że jeśli to tylko będzie możliwe, nie poruszy tematu nocnego napadu Kamili na Artura. Wydawało jej się zresztą, że dzisiaj kobieta chciałaby wreszcie zrzucić kolejny ciężar z serca. Otwierała się stopniowo, po kawałku. A ta nocna historia mogłaby ją znów zapędzić do skorupy.

— Wiesz... — Kamila westchnęła. Usiadła obok Michaliny.

Ta postanowiła wydobyć wszystkie pokłady delikatności, jakimi dysponowała.

— Jeśli chcesz mi o czymś opowiedzieć... To potrafię nie tylko mówić, ale też słuchać. — Michalina delikatnie dotknęła jej dłoni.

— Długo dusiłam to w sobie... Nie jest mi łatwo się wywnętrznić.

— Jeśli nie chcesz, nic na siłę.

Kamila odetchnęła głęboko i zaczęła:

— Moje małżeństwo już dawno zaczęło się sypać, jeszcze przed moim wypadkiem. Do niedawna myślałam inaczej, że to po tej tragedii

wszystko trafił szlag. Ale to nieprawda. Sebastian odszedł ode mnie nie przez moje blizny. Nawet te święta, wyjątkowe, jak sama podkreślasz, u nas były nie takie, jakie powinny być. Na początku obchodziliśmy cudowne Boże Narodzenia, ale ostatnie to była jakaś katastrofa — mówiła Kamila z przejęciem.

— Święta nie zawsze są takie, jakie chcielibyśmy, by były. — Miśka spryskiwała wodą i przecierała liście kwiatów. — Niekiedy w głowach układamy scenariusz na takie idealne. A idealnych świąt nie ma.

Druga z kobiet pokiwała głową.

— My kupowaliśmy sobie prezenty, na które nie było nas stać. Myłam okna, pucowałam podłogi, wycierałam kurze, ale miałam jakieś takie przykurzone serce. A blizny, one były w moim sercu już przed wypadkiem. Cały rok klóciliśmy się o coś, a w święta próbowaliśmy wszystko naprawić.

— No bo wtedy należy trochę odpuścić. Pięknie jest się na nie przygotować, bo w końcu to trochę inne dni, nie takie jak te codzienne, ale nie można się zarzynać. Trzeba czasem odpuścić, żeby przy tym świątecznym stole nie paść na twarz w kapustę z grochem.

Kamila uśmiechnęła się słabo.

— Masz rację, ja lubię święta, mimo iż w moim rodzinnym domu nie było idealnie. Moi rodzice są specyficzni. I chyba trochę także przez nich moje małżeństwo kulało.

— W żadnym domu nie ma takiej atmosfery jak z obrazka, jak ze zdjęć z Instagrama.

— Żeby nie było, uwielbiam święta — zastrzegła Kamila. — Jestem tradycjonalistką. Kocham przedświąteczną krzątaninę i gwar. Kolędy,

zapach masy do makowca. I wiem, że w tym czasie trzeba iść na ustępstwa, bo ktoś zajął na dłużej łazienkę, bo będę musiała spać na materacu, bo ktoś włada się na łóżko. Bo trzeba zęby zacisnąć, kiedy wujek, za przeproszeniem, chrzani jakieś dyrdymały, z którymi się nie zgadzam. I kłóczę się z mamą, kiedy ona chce upiec piąte ciasto, a ja ją przekonuję, że już wystarczy.

— Ona na pewno chce dobrze.

— No chce. Ale rzeczywiście potem pada twarzą w tę kapustę z grochem. Czasami mi się wydaje, że gdzieś po drodze gubimy religijny aspekt świąt. Albo i nie religijny, ale szerzej, duchowy. Niby wiemy, o co chodzi, ale jednak często nie wiemy. Podobnie ja zgubiłam gdzieś drogę do mojego męża. Oboje się pogubiliśmy. A po wypadku, to znaczy, jak już wróciłam do domu, to były dni, kiedy mijaliśmy się między przedpokojem a kuchnią. Rozmawialiśmy kilka minut dziennie. Doba ma dwadzieścia cztery godziny, a my rozmawialiśmy ze sobą kilka minut. Mąż wolał spędzać czas z kolegami. Wśród nich odżywał. Nikt mu nie truł o tym, jak mu źle. A sama nie mogłam się pogodzić z tym, co się wydarzyło.

Jak dziś pamiętała tamte dni.

— Nieustannie płakałam, wpadłam w depresję, złorzeczyłam na los. W końcu dwa tygodnie przed tamtymi świątami...

Kamila przeniosła się myślami w tamten trudny czas. Mówienie przychodziło jej z coraz większym trudem.

— Przykro mi. — Michalina dotknęła jej ręki.

Tamta potrząsnęła głową.

— To już za mną. Ale... to moje pierwsze Boże Narodzenie bez

Sebastiana.

Michalina usiadła i ją objęła. Trwały tak przez chwilę wtulone.

— Przepraszam za tamten wybuch — powiedziała Kamila.

— Już o tym zapomniałam.

— Twoja babcia bardzo mi pomogła.

Kobiety oderwały się od siebie.

— Oj, babcia Zosia to ma gadane — rzuciła Miśka wesoło. —
Dzisiaj robimy pierniczki. Reflektujesz na wspólną zabawę?

Kamila odwzajemniła uśmiech.

— No ba. Ale pierniczki to powinny chyba trochę poleżakować? —
zastanowiła się.

— To będą właśnie takie. Wcześniej upiekłam już te, które
powiesimy na choince. A te zdążą jeszcze zmięknąć przed świętami,
już ja mam swoje sposoby! To ulubione pierniczki Bartka...

Po południu Michalina wyjęła na stół miód, mąkę, przyprawę
korzenną do piernika, masło. Małe rączki Mary Ann i Bartka
wyrabiały ciasto, Kamila popijała grzaniec, a Miśka podsypywała
przyszłe pierniczki mąką, udając, że to śnieg. Wszyscy dobrze się
bawili.

Potem Kamila wyszła na spacer, chłonąc przedświąteczną
atmosferę. Jeszcze przez moment rozkoszowała się złapaną chwilą
szczęścia, ale zaraz potem opadły ją czarne myśli. Bo przecież nie dla
wszystkich święta są radosne. Oczywiście mogła spędzić Boże
Narodzenie z rodzicami, ale nie miała na to najmniejszej ochoty. Tato
ciągle by jej przypominał, że miał nosa do Sebastiana i wiedział, że to
tak się skończy, a mama by się nad nią użalała. Już w zeszłym roku to

był trudny czas. Wprawdzie nie rozwiodła się jeszcze z mężem, ale tato się z nim pokłócił. Zarzucił mu, że nieodpowiednio zajmuje się Kamilą. Sebastian odparł, że ona jest już dorosłą kobietą i nie trzeba się nią zajmować jak małym dzieckiem. Wstał, spojrzał na żonę, ale ona tylko spuściła wzrok. Nie wyszła za nim. Po Wigilii wróciła do mieszkania i włączyła *Pamiętnik*. Cały film przebaczała. Wypiła przy tym butelkę wina. Miała słabą głowę, więc to jej wystarczyło.

Jadła ptasie mleczko i popijała je winem. W pierwszy dzień świąt Sebastian wyprowadził się z domu. Smutna to będzie rocznica...

ROZDZIAŁ 15

Droga wiła się wśród dolinek i pagórków to w górę, to w dół. Śnieg na poboczach utworzył białe zaspy. Ulica zwężała się i Przemek musiał zwolnić, by wejść w zakręt. Nie mógł się doczekać spotkania z Michaliną, ale jednocześnie się go bał. Oczywiście ponosił pełną odpowiedzialność za dziecko, nie miał zamiaru się od niej migać. Obawiał się jednak, że kiedy znów spojrzy Miśce w oczy, to wszystkie przeszłe emocje odżyją.

Nie chciał tego. A może chciał, tyle że sam przed sobą wstydził się do tego przyznać? Gdy dojechał do Złotkowa, nie skręcił od razu do pensjonatu. Jeździł bez celu po okolicy. Na chwilę zatrzymał się przed „Cynamonowymi Sercami” i uśmiechnął na wspomnienie talerza łasucha, który właścicielka z przyjemnością serwowała wszystkim przybyłym gościom. Ruszył dalej. Wczuł się na nowo w atmosferę tego miejsca. Było spokojnie, tylko po deptaku spacerowali ludzie. Jakaś kobieta biegła, ciągnąc za sobą sanki z dzieckiem.

W końcu zdecydował się zawrócić. W centrum miasteczka skręcił w prawo. Droga tutaj była dosyć wyboista, węższa. Musiał zwolnić. Po kilku minutach zaparkował samochód pod pensjonatem. Było po siedemnastej. W oknach paliły się światła.

Przemek wysiadł z samochodu. Z jego ust wydobyły się kłęby pary. Od razu zobaczył znajomą postać, która walczyła na śnieżki z dwoma chłopakami. Śmiała się przy tym głośno i perliście.

— Dzień dobry! — przywitał się.

— A, to pan! Przyjechał pan do Miśki? — Mary Ann spojrzała na niego dużymi, śmiejącymi się oczami. Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

— Przyjechałem wypocząć.

Kolejna śnieżka wylądowała na plecach Przemka. Dziewczynka uniosła brwi.

— Widzi pan, jak mnie atakują?

— Widocznie bardzo cię lubią.

Mała zachichotała. Schyliła się i ulepiła w ekspresowym tempie dwie śnieżki.

— Niech pan idzie do pensjonatu, Miśka na pewno się ucieszy, jak pana zobaczy.

Przemek pukał i dzwonił kilka razy, ale nikt nie otwierał; słyszał natomiast, jak Michalina wydziera się przy akompaniamencie muzyki lecącej z głośników: „Last Christmas I gave you my heart...”.

W końcu znieczcierpliwiony Przemek nacisnął klamkę i wszedł do środka. Otrzepał buty ze śniegu i wkroczył do kuchni. Michalina nadal śpiewała i dekorowała pierniczki. Aromatyczny zapach roznosił się po wszystkich pomieszczeniach.

— Cześć! — Przemek starał się przekrzyczeć muzykę.

Miśka przestała śpiewać, odwróciła się i stanęła jak wryta.

— Przemek?

Wyłączyła radio. Dopiero teraz przypomniał sobie, że w bagażniku ma dla niej prezent.

— Zaraz wrócę! — rzucił i pobiegł do drzwi.

Po kilku chwilach stanął w kuchni, trzymając przystrojoną gwiazdę betlejemską.

— To dla ciebie. — Wyciągnął przed siebie rękę.

— Dziękuję. — Michalina wzięła od niego doniczkę, a on odruchowo spojrzał na jej brzuch.

Poznali się latem, tuż po rozstaniu Michaliny z Arturem. Przemek zakochał się w niej jak szaleniec, ale ona wciąż miała w sercu byłego partnera. Los bywa przekorny i Miśka to z nim zaszła w ciążę, choć całej historii daleko było do happy endu. Jeszcze zanim dowiedziała się o swoim odmiennym stanie, Przemek stoczył z Arturem bójkę, ponieważ ten ostatni nachodził Michalinę, kiedy ta z nim zerwała. Po całym tym zajściu pod wpływem emocji pocałowała dawnego chłopaka, czego świadkiem był Przemek. Wyjechał bez słowa pożegnania.

Pięć tygodni później Miśka zadzwoniła i oznajmiła mu, że jest w ciąży. „Oczywiście, że się tobą i dzieckiem zaopiekuję” — zapewnił. Nie padło jednak ani słowo o miłości. Od tamtej pory dzwonił do niej regularnie, nie był jednak w stanie wcześniej jej odwiedzić. Bolała go zdrada z jej strony.

— Przyjechałem bez uprzedzenia. Pod wpływem chwili... — zaczął niezgrabnie. — Będziesz miała jakiś wolny pokój?

— Tak. — Michalina skinęła głową. Wciąż wgapiała się w niego, jakby zobaczyła ducha. Jej serce biło jak szalone.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. Również był zdenerwowany.

— Tak. Pierwsze tygodnie były najgorsze, ale teraz już jest dobrze. — Miśka odruchowo pogładziła się po brzuchu. Zaszło jej w ustach, mimo to nie była w stanie sięgnąć po szklanekę z wodą.

— To dobrze.

Rozmowa niespecjalnie się kleiła.

— Nie mam obiadu. Miałam wczorajszą zupę, ale zjedliśmy ją z Bartkiem i Kamilą, to znaczy z moim gościem. Gdybyś zadzwonił... — Miśka odłożyła skończonego pierniczka na deskę.

— Nie ma problemu, zjem na mieście. Pójdę do „Cynamonowych Serc” na ciastko i kawę.

— Ale obiad...

— To mi wystarczy.

— Na kolację zrobię coś na ciepło. — Miśka była wyraźnie zakłopotana.

Zgodził się ruchem głowy i ostrożnie się wycofał, by zebrać bagaże. To spotkanie po miesiącach rozłąki już dostarczyło im mnóstwa emocji.

Przemek rozpakował się w pokoju. Zastanawiał się, kiedy bezpośrednio poruszą temat dziecka. Nie wiedział, od czego zacząć tę rozmowę. Wiedział, że chce uczestniczyć w życiu maleństwa. Uczucie do Michaliny odżyło, kiedy tylko stanął w progu kuchni.

Zaburzało mu w brzuchu. Gdy tylko pomyślał o słodkościach pani Zofii, błyskawicznie się przebrał i wyszedł w stronę „Cynamonowych Serc”.

Babcia Zosia na jego widok wyszła zza lady i szeroko otworzyła ramiona.

Przemek poczuł się jak mały chłopiec.

— Dzień dobry! — Uśmiechnął się szeroko i przytulił do kobiety.

— Myślałam, że przyjdiesz szybciej.

— A skąd pani wiedziała, że w ogóle przyjechałem?

Zofia wytarła ręce o fartuch. Przemek wyczuł zapach czekolady, wanilii i cynamonu.

— Nie znasz Złotkowa? Zanim wysiadłeś z samochodu, wieść już się rozniosła.

Roześmiali się oboje.

— Usiądź, a ja przygotuję dla ciebie półmisek łasucha i gorącą czekoladę.

— Zamiast czekolady poproszę kawę. — Przemek rozsiadł się wygodnie na krześle przy stoliku obok okna.

— Ale półmiskiem łasucha nie pogardzisz? — zapytała pani Zosia, a on puścił do niej oko.

Właścicielka kawiarni zniknęła na zapleczu, Przemek zaś chłonał tutejszą atmosferę. W rogu stała niewielka choinka, na której wisiały ozdoby w kształcie ciastek i ciasteczek. Zapewne zrobiła je Miśka. „Ciekawy pomysł” — pochwalił ją w duchu. Z sufitu zwisały białe, półprzeźroczyste kule, w których znajdowały się białe piórka.

Chwilę później przed Przemkiem wylądował półmisek z ciepłymi jeszcze ciasteczkami, kawałkiem szarlotki, puszystym sernikiem i ciastem czekoladowym udekorowanym chmurką bitej śmietany. Przemek sięgnął po kruche ciasteczko z powidłami. Było tak maślane i delikatne, że rozpływało się w ustach.

— Niebo w gębie, pani Zosieńko.

— No, ja myślę!

Babcia Miśki usiadła naprzeciwko niego.

— Nie chcę się wtrącać... — odezwała się. — Ale musicie jakoś z

Miśką dojść do porozumienia. Żeby nie było, nie stoję po jej stronie — zastrzegła. — Po prostu... Dogadajcie się jakoś.

— Po to przyjechałem.

— Dobrze, że jesteś — rzuciła jeszcze, po czym wstała i odeszła w stronę zaplecza. Właścicielka czy nie, była przecież w pracy.

Przemek wiedział, że on i Michalina muszą się dogadać, choć wciąż nie mógł uwierzyć, że zostanie ojcem. Na samą myśl o tym serce jakoś zwawiej mu zatrzepotało. Sięgnął po kolejne ciasteczko. Pomyślał jeszcze tylko, że trzeba będzie bardzo uważać, żeby maleństwo zbyt szybko nie uzależniło się od słodkości serwowanych przez prababcię.

ROZDZIAŁ 16

Rozpustę w „Cynamonowych Sercach” Przemek postanowił zrównoważyć spacerem. Do pensjonatu wrócił późno, koło dwudziestej. Bartek biegał jeszcze po podwórku z Mary Ann i innymi dzieciakami. Patrząc na nich, Przemek pomyślał, że chciałby tu zostać. W tym miejscu, wśród tych ludzi, z Michaliną i dzieckiem.

Wszedł do „Różanego Pensjonatu” po cichu. Miśka nadal siedziała przy stole. Precyzyjnymi ruchami pędzelka malowała na piernikowych choinkach bombki. Nucąc, sięgnęła po drugi pędzelek, by białym barwnikiem wymalować łańcuch.

— Wróciłem — odezwał się Przemek.

— Zrobić kolację? — Miśka nie odrywała oczu od pierniczka, dopóki nie postawiła ostatniej białej kropki.

— Nie, dziękuję. Nie przeszkadzaj sobie. Tak się najadłem słodkości, że aż mnie mdli.

Michalina roześmiała się.

— Babcia zapewne uraczyła cię półmiskiem łasucha? — zapytała domyślnie. — Za kilka minut kończę. Usiądź w salonie. W kominku pali się ogień.

Przemek skinął głową i przeszedł do pokoju. Rozsiadł się wygodnie na sofie. Ogień trzaskał wesoło, na parapecie stały zapalone świece. Mężczyzna oparł się wygodnie o poduszki. Ogarnęła go błogość.

Michalina weszła do salonu kilka minut później i zajęła bezpieczne

miejsce na fotelu.

— Słuchaj... — zaczęła niepewnie.

— Słucham.

— Chciałabym, by nasze dziecko miało ojca.

— Ma ojca. I tak, jak już ci mówiłem, będę uczestniczył w jego życiu. — Przemek odchrząknął. Momentalnie zaschło mu w ustach. Nie sądził, że ta rozmowa będzie go kosztowała tyle nerwów. W myślach przeprowadził ją już chyba ze sto razy.

— Cieszę się. Ono nie jest niczemu winne. — Michalina wyginała palce.

— Pokryję wszystkie koszty badań...

— Podzielimy się po połowie.

— No co ty. Zapłacę. — Przemek spojrzał na Miškę uważnie. Ona milczała przez chwilę.

— Bardzo się cieszę, że przyjechałeś — wydusiła wreszcie.

— On też tu jest? — zapytał.

Lekko się obruszyła. Mogła zapytać, jaki „on”, ale Przemek miał prawo być wściekły. Wszystko przez ten nieszczęsny pocałunek! To wszystko mogło się przecież ułożyć zupełnie inaczej! Chciała mu raz jeszcze wyjaśnić, że to wszystko zdarzyło się pod wpływem chwili, że z Arturem nic jej już nie łączyło, że kazała mu się gonić... ale nie chciała się pogrążyć. Przemek wyjechał do Poznania, a Miśka zrobiła test ciążowy. Był pozytywny. Będą rodzicami.

— Nie, nie ma go. Między mną a Arturem koniec.

— Wcześniej też tak mówiłaś.

Michalina wstała z fotela, podeszła do Przemka i złapała go za

rękę.

— Spójrz na mnie.

Mężczyzna posłusznie spojrzał jej w oczy.

— Z Arturem to koniec. Wtedy... To było jeszcze za wcześnie, a może na niektóre rzeczy za późno. Ale teraz jestem pewna, że nie chcę być z tym człowiekiem.

Przemek podniósł się z sofy. Michalina stanęła obok niego. Wydawało jej się, że nie może oddychać, jakby on zabrał cały tlen. Czy jej dziecko będzie pochodziło z rozbitej rodziny? Czy będzie czekało na ojca tak, jak ona i jej brat zawsze czekali?

— Zapytam inaczej. — Przemek przełknął ślinę. Nie mógł przestać myśleć o tamtym facecie. Nie mógłby znieść, gdyby Michalina urodziła ich dziecko, a tamten gość by się tutaj koło nich kręcił. — Kochasz go jeszcze?

— Miłość przyblakła. Zresztą sama nie wiem, czy to naprawdę była miłość...

Przemek delikatnie dotknął jej policzka. Miśka również wyciągnęła w jego kierunku rękę. Musnęła palcami jego skroń. Wyczuła pulsującą żyłkę, ciepło krwi krążącej w jego ciele.

— Pójdę już do siebie — powiedział nagle, a ona poczuła, że serce ściska jej się z żalu. — Cieszę się, że będę mógł spędzić z wami święta. — Spojrzał wymownie na jej lekko tylko zaokrąglony brzuch.

Bartek ucieszył się na widok Przemka. Przybili sobie piątkę, porozmawiali o piłce. Michalinę zdziwiło zachowanie brata. Nie sądziła, że chłopiec tak bardzo polubił jej byłego chłopaka. Wiedziała, że w jego życiu brakowało dorosłego mężczyzny, ale nie sądziła, że

akurat Przemek wzbudzi w nim tyle ciepłych uczuć.

— Pójdiesz z nami ulepić gigantycznego bałwana? — zapytał Przemka.

— Chętnie.

— Jest już po dwudziestej — rzuciła Michalina. — I jest ciemno.

— No i? Przecież i tak wiesz, że przed dziesiątą się nie położę. Poza tym przecież świecą latarnie.

Kobieta westchnęła.

— Jeśli siostra ci pozwoli, to chętnie ulepię z wami bałwana — zwrócił się do Bartka Przemek. Nie chciał podważać autorytetu Miśki, zwłaszcza że domyślał się, iż kobiety w ciąży bywają drażliwe.

— Najpierw musisz coś zjeść. — Michalina wyjęła z szafki talerz.

— Mama Mary Ann poczęstowała mnie zupą.

— Podziękowałeś?

Bartek przewrócił oczami.

— Pewne, że tak. Za kogo mnie masz? Więc jak? — zwrócił się do Przemka. — Idziemy lepić bałwana? — Mężczyzna skinął głową. — Mary Ann z siostrą też ulepią bałwana, a raczej bałwanicę. W ogóle Mary powiedziała, że chciałyby, żebyśmy wyprawili naszym bałwanom ślub. Głupie to. Dziewczynki mają czasem głupie pomysły, nie? — Bartek wzruszył ramionami.

— Oj, mają. — Przemek puścił oko do Miśki. Ta tylko prychnęła w odpowiedzi i nie zwracając uwagi na brata i gościa, poszła przygotować sobie kubek aromatycznej herbaty. Męska solidarność, też coś!

Tego wieczoru nie mogła zasnąć, choć była naprawdę bardzo

zmęczona. Tyle się tego dnia wydarzyło; niby nic, a jednak cała masa przeżyć i emocji. Jej umysł nie potrafił się wyciszyć. Wałkowała w kółko rozmowę z Przemkiem, rozkładała na czynniki pierwsze każde zdanie. Wreszcie wstała z łóżka i poszła do kuchni. Podgrzała sobie mleka, żeby się uspokoić. Mama zawsze dawała jej ciepłe mleko, kiedy mała Misia nie mogła spać.

Wyjrzała przez okno; w domu babci Zofii paliło się światło. Wypiła duszkiem zawartość kubka i niewiele myśląc, naciągnęła kurtkę na piżamę. Wzwała kozaki i potruczała do domu babci.

Kiedy starsza z kobiet otworzyła drzwi, Michalina od razu poczuła zapach cynamonowych ciasteczek.

— Pieczesz?

Niepotrzebnie zadawała to pytanie. Było oczywiste, że babcia piecze.

— Nie śpisz? — Starsza pani zareplikowała pytaniem.

— Nie mogłam zasnąć. Zobaczyłam, że u ciebie się pali światło, więc przyszłam. — Miśka pociągnęła nosem. — Ślicznie pachnie! Ale... jesteś szalona. Północ już.

— Ale przecież czujesz to? — Babcia Zofia zatoczyła ręką krąg.

— Czuję.

— A widzisz... To będzie hit. Nowa receptura.

Przeszły do kuchni. Zofia kręciła się między foremkami do ciast, piekarnikiem a stolnicą.

— Babciu, każde twoje ciasto to hit.

— Wiem. — Zofia dumnie wypięła pierś. — Ale to cieszy, wiesz? — Usiadła na taborecie naprzeciwko wnuczki. — To mój konik. Moja

pasja.

— Cieszę się razem z tobą.

Michalina sięgnęła po ciastko.

— Jeszcze gorące, uważaj.

— Zaraz temu zaradzę. — Miśka przełamała ciasteczko na pół. Wstała, podeszła do lodówki i nalała do szklanki tak dla odmiany zimnego mleka. Zamoczyła w nim ciastko i z rozkoszą wsunęła je sobie do ust.

— Co cię trapi? — Zofia obrzuciła wnuczkę badawczym wzrokiem, choć doskonale wiedziała, jaki jest powód wizyty Michaliny. Nie mogła spać, bo była zakochana.

— Sama już nie wiem. Przemek przyjechał...

— I dobrze, że się pojawił. — Zofia była zdania, że to odpowiedzialny młody człowiek. W sam raz dla jej wnuczki. Z nim na pewno byłaby szczęśliwa. — To, co się między wami teraz dzieje, może cię przytłacza. Jego zresztą też.

„Może przytłacza? Choinka jasna!” Nie takiej odpowiedzi spodziewała się po babci. Szukała wsparcia, a nie oczywistości. To jasne, że to wszystko ją przytłaczało. Westchnęła.

— Babciu... ja już sama siebie nie rozumiem, nie wiem, o co mi chodzi.

— Samo się jakoś ułoży.

— Tak myślisz?

— Daj wam trochę czasu.

— Nie wiem, czy ja potrafiłabym z nim być. Jestem taka niezależna. Z Arturem jakoś mi nie wyszło.

— Najtrudniejsze to być z kimś każdego dnia. Codziennosc jest najtrudniejsza. — Zofia wycinała foremkami ciasteczka. — Mnie z twoim dziadkiem też nie zawsze było łatwo. Czasem przez niego płakałam, czasem on się na mnie złościł, bo się czepiałam. Widzieć słońce tam, gdzie pada cień, jest prawdziwą sztuką.

— Ale z Arturem mi nie wyszło... — Michalina westchnęła smutno i podkrađła kolejne ciastko.

— Miłość przychodzi i odchodzi. Ma swoje przypływy i odpływy. Czasami gaśnie, i wtedy trzeba się pożegnać. Kochamy, ale czasami nam nie wychodzi. Nie możesz się bać wejść w kolejny związek, bo wcześniej ci nie wyszło.

— A ty?

— Co ja?

— Czemu nie chcesz dać szansy panu Wincentemu?

Babcia Zosia zachichotała.

— Spotykamy się, drzemiemy razem na kanapie... Ale na chwilę obecną nie czuję tego. Nie chcę, żeby ze mną zamieszkał. Wydaje mi się, że jestem na to za stara. Po prostu przywykłam do tego, że jestem sama w domu. Choćby i do moich nocnych wypieków. — Zakręciła wałkiem w powietrzu.

— I dobrze ci z tym? — Miśka spojrzała na babcię uważnie.

— Chyba tak... Chyba tak...

Zofia chwyciła kolejną foremkę i zapatrzyła się na nią w zamyśleniu.

ROZDZIAŁ 17

— Słuchaj — poprosił Marek, stając w progu. Wydawał się rozgorączkowany. Amelia mogła zaprosić go do środka, ale była na niego zła. — Chciałbym przyjść tu w sobotę i zrobić dla ciebie kolację.

Sądził, że Amelia się zgodzi. Miał nadzieję, że wpadnie mu w ramiona, że oboje będą się do siebie tulić. Zamiast tego ukochana przybrała surową minę.

— Tak po prostu? — rzuciła. W jej głosie usłyszał wściekłość. — Chcesz przyjść do mnie do domu w sobotę i ugotować mi kolację. Dobrze zrozumiałam?

— Nie. To znaczy tak. — Sam zaczął się motać.

— Zjawiasz się w moich drzwiach ni stąd, ni zowąd, i chcesz dla mnie przyrządzić kolację?

— Tak właśnie jest. Tęsknię za tobą, ty pewnie za mną też — zaryzykował.

— Daj mi ochłonąć. — Amelia przymknęła drzwi, a Marek poczuł lód jej spojrzenia.

Po kilku chwilach ponownie zapukał. Wbrew jego obawom w końcu otworzyła.

— Przepraszam za to najście — spróbował jeszcze raz. Serce waliło mu tak, jakby za chwilę miał dostać zawału.

— Nie ma sprawy. To w twoim stylu. — Nie mogła się powstrzymać.

Marek przygryzł wargę. Nie chciał się kłócić. Ostatnio nieustannie to robili.

— To co z kolacją? Dasz się namówić? — rzucił z nadzieją.

— Przepraszam cię, ale na sobotę jestem już z kimś umówiona.

— Z kimś...? — dopytywał.

„Czy ten ktoś jest mężczyzną? A jeśli tak, to kto to?” Po plecach przebiegł mu dreszcz.

— Tak. W tę sobotę nie mogę. Ale może za tydzień?

— Za tydzień... — Westchnął. — Obiecałem Patrycji...

— No tak. Dobrze. Zapomniałam o Patrycji. — Amelia posłała mu kolejne lodowate spojrzenie.

— Ale w takim razie może za dwa? — dodał szybko, licząc na to, że może jednak się uda.

— Zobaczymy. Za czternaście dni może mnie na przykład szlag jasny trafić — rzuciła Amelia z przekąsem.

Marek warknął, kiedy Amelia ponownie zamknęła mu drzwi przed nosem. Dlaczego im jest tak nie po drodze? Przecież się kochają. Czemu Amelia nie wykaże się odrobiną empatii? Tak bardzo tego teraz potrzebował!

Z zaciętą miną kilka chwil później Marek raz jeszcze nacisnął dzwonek. Drzwi nieznacznie się uchylły.

— To znowu ty? — W tonie Amelii brzmiał cień rozbawienia całą sytuacją.

— Dobrze, że nie zapytałaś: „czego?”.

— A wiesz, że zamierzałam? — Kobieta trochę się rozluźniła. W duchu nawet chciało jej się śmiać. — Jesteś natrętny jak mucha.

— O, wypraszam sobie tę muchę. Muchy siadają na gówiekach.
Amelia nie wytrzymała i w końcu się roześmiała.

— Słucham.

Marek postanowił wykorzystać okazję. Bardziej sprzyjających warunków dziś już i tak nie doczeka.

— A co byś powiedziała na kolację w piątek? Ten piątek.

— Dobrze.

— Serio?

— Ale tylko dlatego, że aż się boję pomyśleć, co byś zrobił, gdybym odmówiła...

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech od ucha do ucha.

— Oj, uwierz mi, jestem zdolny do wszystkiego.

Adam Wiśniecki wszedł do kawiarni i rozejrzał się niepewnie. Przyjechał na święta do mamy. Był doświadczonym psychologiem, ale sam nie potrafił do końca określić, dlaczego pozostaje samotny; od dwóch lat nie spotykał się z żadną kobietą. Może za dużo czasu poświęcał na pracę, nieustanne doszkalanie się, na swoich pacjentów? W ciągu piętnastu lat praktyki zobaczył tyle ludzkiego bólu i cierpienia, że czasami nie był w stanie tego opisać. To dlatego ta praca go tak fascynowała: chciał pomagać.

Spojrzał w prawo. Jakaś kobieta siedząca przy stoliku przy oknie płakała. Dlaczego ludzie płaczą na trzy tygodnie przed Bożym Narodzeniem? Nieznajoma była piękna, a jednak nieszczęśliwa.

Zamówił kawę i podszedł do stolika. To był impuls. Podświadomie po prostu pragnął jej pomóc.

— Co się stało? — zapytał bez ogródek.

Kobieta szybko otarła łzy rękawem. Spojrzała nieufnie na Adama.

— Świat mi się rozsypał — rzuciła krótko.

Mężczyzna pokiwał ze zrozumieniem głową, wpatrując się w klientkę kawiarni z łagodnością. Wyciągnął z płaszcza paczkę chusteczek i położył ją na stoliku. Kobieta podziękowała i dyskretnie wydmuchała nos.

— Chce pan tutaj usiąść? — zapytała.

— Jeśli pani pozwoli.

— Proszę. — Zrobiła zapraszający gest ręką.

Adam przysiadł się i posłał jej jeden ze swych najbardziej krzepiących uśmiechów.

— Patrycja. — Kobieta wyciągnęła rękę ponad stołem.

— Adam; miło mi. Nie wiem, czy powinienem o tym wspominać, ale jestem psychologiem.

Patrycja zmarszczyła czoło.

— Chce pan, żebym się panu zwierzyła? — W jej głosie pobrzmiwał zawód.

— No cóż, jeśli chciałaby mi się pani zwierzyć, jak to pani ujęła, musiałbym pobrać stosowną opłatę — zażartował. Kobieta wreszcie również się uśmiechnęła. A on poczuł ulgę.

Tymczasem Patrycja postanowiła wreszcie wszystko z siebie wyrzucić. Z przyjaciółkami nie potrafiła rozmawiać o ogromie nieszczęść, który spadł na nią w przeciągu ostatniego roku. A tego mężczyzny prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy. Może tak będzie jej łatwiej pozbyć się całego tego balastu?

— Mój mąż to dobry człowiek, ale przestał mnie kochać —

powiedziała na jednym wydechu, nie dając mężczyźnie szansy na rozpoczęcie kulturalnej pogawędki o pogodzie. — Ale to ja go wcześniej zostawiłam. Byliśmy w separacji. Wydawał mi się taki nudny... Ale wie pan co? Teraz wszystko bym oddała za to, co wtedy uznałam za nudne.

— Czasami biegniemy za tym, co nieosiągalne, co błyszczący. Za jakimś pozłotkiem. Nie doceniając klejnotu, który jest tuż obok nas; leży sobie w szkatułce. — Adam uznał, że to trafna metafora, ale jego rozmówczyni miała minę, jakby zjadła coś niedobrego.

— Co mi pan tu pieprzy jakieś farmazony?

— Chciałem tylko pomóc... — Zrobiło mu się głupio. Gdzie się podziało to jego słynne wyczucie?

— No to pomógł pan; na pewno pomógł mi pan stąd wyjść.

Patrycja wstała i szybkim krokiem opuściła „Cynamonowe Serca”.

Adam poczuł się jak ostatni głupek. Nie chciał jej dodatkowo zranić; zamiast się bawić w filozofa i mędrka, trzeba było okazać odrobinę zrozumienia, jak w gabinecie. Co go podkusiło? Zupełnie się nie dziwił, że wyszła.

Jeśli jeszcze tu na nią wpadnie, będzie ją musiał przeprosić...

Zanim otworzył furtkę do ogrodu rodziców, usłyszał za sobą chrzęszczenie śniegu. Odwrócił się. Od razu rozpoznał w przechodzącym mężczyźnie pana Drabika. Postarzał się. Adam nie widział go od kilku lat, mimo iż przyjeżdżał do Złotkowa dość często. Zaczął się zastanawiać, czy i on zdaniem tutejszych wygląda starzej. Ukłonił się.

— Witaj, chłopcze — odezwał się pan Andrzej Drabik, a Adam

poczuł ucisk w sercu. Mężczyzna zawsze się tak do niego zwracał. To z upływem czasu zupełnie się nie zmieniło.

Kiedyś na twarzy pana Drabika zawsze gościł uśmiech. Teraz była ona smutna. Wyglądał na człowieka, który dużo przeszedł, i tak zresztą było. Najpierw przeżył śmierć żony, a potem syna. Grzesiek był przyjacielem Adama. Ile oni razem napsocili, kiedy byli małymi chłopcami, a potem nastolatkami!

Pamiętał to jak dzisiaj: biegali po sąsiadach, dzwonili do drzwi i uciekali. A zdenerwowani sąsiedzi psioczyli na niegrzeczne dzieciaki. Albo w śmigusa dyngusa rzucali z dachu sklepu na ludzi worki z wodą. Chodzili na pobliskie pola podkradać kalarepę i jabłka. A teraz Grześka już nie ma. Zginął w wypadku samochodowym dziesięć lat temu. Wtedy życie pana Drabika jakby się skończyło. Adamowi wydawało się, że mężczyzna celowo go unikał, bo kiedy go widział, z pewnością myślał o synu: co by robił? Jak by wyglądał? Może założyłby już rodzinę?

— Wróciłeś czy jesteś przejazdem? — Rozmyślania Adama przerwał głos pana Andrzeja.

— Przyjechałem na święta — wyjaśnił, a potem bez zastanowienia rzucił: — Może wpadnie pan do nas na Wigilię?

Ojciec przyjaciela był wyraźnie zmieszany.

— Chyba lepiej nie...

Adam poczuł, jak pieką go oczy, a policzki zaczynają palić żywym ogniem.

— Gdyby jednak zechciał pan porozmawiać... — Wiedział, że mężczyźnie musi być ciężko i na pewno doskwierała mu samotność.

— Nie chcę rozmawiać — uciął krótko Drabik.

Adam po raz drugi tego dnia poczuł się głupio. Co się z nim działo? Dlaczego nie potrafił trzymać języka za zębami? Całego świata nie zbawi i nie każdy potrzebuje jego pomocy.

„Zwłaszcza TAKIEJ pomocy” — pomyślał i zasmucony pomaszerował do domu matki.

ROZDZIAŁ 18

Przemek zobaczył Bartka z okna. Chłopiec siedział skulony na schodach, jakby się bał wejść do środka. Mężczyzna chwycił kurtkę i wyszedł na zewnątrz.

— Bartek? Co ty tu tak...

— Odejdź — odburknął chłopak. Nawet nie podniósł głowy.

— Ale o co chodzi? — Przemek uklęknął na schodach obok niego.

Dopiero wtedy zobaczył jego pobitą twarz.

— Jezusie! — Wyciągnął ku niej rękę, ale Bartek zrobił unik.

— „Nie wzywaj imienia Pana Boga twego nadaremno”.

Przemek zignorował tę uwagę.

— Co ci się stało? Chodź do środka. Jesteś przemoczony i poobijany.

— Nie chcę tam wchodzić. Miśka znów się wkurzy, a potem będzie się martwiła. Same ze mną kłopoty.

— Michalina jest w sklepie. Wchodź do środka, ale już! Pomóc ci?

— Nie jestem dzieciakiem!

Bartek ruszył przodem i poszedł się przebrać. Przemek rozpałił w kominku. Owinął chłopca w koc i usadził na kanapie. Uważnie obejrzał jego twarz, fachowo oceniając szkody.

— Będą sińce — stwierdził.

Brat Miśki westchnął.

— Wiadomo. Po każdej bójce są siniaki.

— O co poszło?

— Byliśmy dzisiaj na jednodniowej wycieczce. — Chłopiec na chwilę zamilkł. — W szkole w Sanoku. I tam spotkałem tego debila z piłki nożnej. Kiedy kolejny raz nazwał mnie małpą, a moją matkę, bo on myśli, że Misia to moja mama, kurwą, która puszcza się z Murzynami... — Głos mu się łamał. — Przywaliłem mu z główki. No i... Pobiliśmy się. Mam teraz kłopoty w szkole.

— Przecież to nie twoja wina! — Przemek odruchowo zacisnął dłonie w pięści.

— To ja wywołałem bójkę.

— Cóż... Niekiedy wdajemy się w bezsensowne bójki, chociaż sensowniej byłoby z nich zrezygnować. Ale to sprawa honoru.

— Miśka mnie zabije. — Bartek był wyraźnie strapiony.

— Nie będzie tak źle. Może ja jej wszystko wytłumaczę?

— Daj spokój. — Chłopiec wydał wargi. — Jestem odpowiedzialny. Nawarzyłem piwa, to muszę je wypić.

Dobrą chwilę później Michalina przeprowadzała wychowawczą rozmowę z bratem.

— Czy ty zawsze musisz pakować się w kłopoty? — biadoliła. Na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

— To nie była jego wina! — Przemek nie wytrzymał i mimo wszystko stanął w obronie chłopca.

— A ty co? Jesteś jego adwokatem?

Michalina była nabuzowana.

— Nie, ale jesteś zła, a powinnaś go wysłuchać.

— Słucham! Słucham!

Martwiła się o brata, stąd ta złość.

Ale Bartek nie powiedział jej prawdy. Przeczuwał, że gdyby to zrobił, bardzo by ją zranił. A nerwy i ból to ostatnie, czego Miśka teraz potrzebowała. Babcia prosiła go, by jako młody mężczyzna troszczył się o siostrę, choć była od niego o tyle starsza. Nie miał zamiaru łamać raz danego słowa.

— To są chłopcy. — Przemek stanął przy Miśce w kuchni, kiedy ta robiła tosty na kolację. Bartek był w swoim pokoju.

— To nie znaczy, że mają się tłuc.

— Tyle że to nie wyglądało tak, jak to przedstawił. Chyba wolał nie mówić ci prawdy.

— A tobie powiedział? — Miśka znieruchomiała.

— Tak. To są męskie sprawy. Uwierz mi, że tym razem postąpił słusznie, sam bym tak zareagował. Okaż czasami trochę współczucia.

Odwrócił się i wszedł na górę po schodach.

Miśka stała jak oniemiała z tostem w ręku. Może faktycznie czasami jest dla Bartka zbyt surowa? To wrażliwy dzieciak. Przecież wiedziała, że nie dałby nikomu po twarzy bez powodu. Westchnęła ciężko. Wychowanie dzieci bywa naprawdę trudne. I jeszcze to ciągle martwienie się o nie... Jak da sobie radę z dwójką?

Przez następne dni Przemek odbierał Bartka ze szkoły. Nie stał pod bramą, żeby chłopcu nie narobić tak zwanego obciachu, ale kilka przecznic dalej. Ukształtowali w ten sposób małą tradycję. Trochę rozmawiali o tym, co w szkole, potem szli do hali sportowej trenować piłkę, a następnie do „Cynamonowych Serc” na ciastka. To był ich słodki sekret, bo Miśka uważała, że nie można jeść słodczy przed obiadem. A oni po męczącym treningu zjedliby konia z kopytami.

Tak powoli cementowali prawdziwą męską przyjaźń.

Michalina zrobiła śniadanie dla gości. Kawę w dzbanku postawiła już na stole. Dwa tosty i twarożek odłożyła dla Bartka. Wiedziała, że teraz czeka ją kolejna przeprawa.

Ileż razy prosiła brata, żeby kładł się wcześniej, bo potem ma problemy ze wstawaniem! Zawsze rano był z tym kłopot. Nabrała tchu i weszła do jego pokoiku. Odsunęła żaluzje. Delikatnie odsunęła kołdrę i pocałowała go w ucho. Mruknął coś niezrozumiałego pod nosem. Pocałowała go kolejny raz, w policzek i zamknięte oko.

— Wstawaj. Siódma trzydzieści.

— Jeszcze pięć minut.

Wiedziała, że jeśli pozwoli mu na przedłużenie drzemki, za chwilę Bartek powie jej to samo.

Jej serce zmiękło, kiedy na nowo nakrył się kołdrą po sam czubek głowy. Odeszła od łóżka, otworzyła szafę i wyjęła z niej czyste dzinsy i bluzę.

— No dobra, wstajemy — odezwała się po chwili.

— To nie było pięć minut.

— I tak dałam ci dłużej pospać.

— Grrrr... — warknął.

— Nie strój mi tutaj fochów, tylko wstawaj.

Chłopiec przeciągnął się, a ona odetchnęła z ulgą.

— Zrobiłam tosty i twarożek na śniadanie.

— A kakałko? — zapytał zaspanym głosem.

— Ty i to twoje kakałko. No zrobię, zrobię.

Bartek zszedł z łóżka.

— Czasami cię lubię, wiesz.

— No wiem, wiem. — Miśka puściła do niego oko.

Weszła do kuchni i wyjęła z szafki kakao. Rozmieszała z cukrem i kilkoma łyżkami mleka. Resztę mleka zagotowała. „Miłość — pomyślała — objawia się w tym prostym geście, w tym kakałku gotowanym w grudniowe poranki, w tych słowach »czasami cię lubię«. W spojrzeniu. W dotyku. W uśmiechu. W zapatrzeniu. W trosce”.

— Bartek?

— No, co tam? — Chłopiec przeżuwał tosta.

— Przepraszam za ten mój wczorajszy wybuch. Musiałeś mieć powód, by się z kimś pobić. Wiem, że nie jesteś żadnym zabijaką...

— Może mogłem to załatwić inaczej. — Wzruszył ramionkami.

— Czasami to chyba inaczej właśnie nie można. — Miśka poklepała brata po plecach, a on poczuł ogromną wdzięczność za te słowa. Wiedział, że nie były wychowawcze, ale co tam. Czasami Miśka potrafiła być naprawdę fajna.

Po tym, jak Marek wniósł do kuchni liczne siatki i pakunki, a także świece, doniczkę z gwiazdą betlejemską, czerwone serwetki i aż — o zgrozo! — trzy butelki wina, Amelia parsknęła niepohamowanym śmiechem.

— Myślisz, że przesadziłem?

Oboje spojrzeli na sprawunki.

— Myślę, że aż za bardzo się starasz.

— Staram się, bo dla ciebie warto.

— Zabrzmiało jak kwestia z komedii romantycznej. — Amelia wzięła się pod boki. Przygryzła dolną wargę.

— Dzisiaj przeżyjesz najprawdziwszą komedię romantyczną. — Marek mrugnął.

— Oby nie komedię pomyłek.

On gotował, a Amelia popijała wino i na niego patrzyła. Jego duże ręce kroiliły warzywa. Na twarzy malowało mu się skupienie. Jak bardzo za nim tęskniła!

W pewnym momencie Marek spojrzał na nią.

— Obserwujesz mnie?

— Jak nie gadasz, to mnie jakoś fascynujesz. — Uśmiechnęła się lekko.

Po chwili oboje już się śmiali.

— Wiesz, Fred za tobą tęskni...

— Po czym wywnioskowałeś? — Amelia uniosła brwi.

— Śpi na twojej chuście i chrumka, kiedy chcę mu ją zabrać.

— No to faktycznie tęskni.

— Musisz go kiedyś odwiedzić.

— Może.

— Nie może. Bo morze jest głębokie i szerokie. Mnie możesz złamać serce, ale nie Fredowi.

Amelia aż chwyciła się za brzuch, takie ogarnęło ją rozbawienie. No tak. Co jak co, ale wieprza wypadałoby odwiedzić. Nigdy nie zachował się wobec niej jak świnia.

Zapowiadał się miły wieczór. Po jakimś czasie usiedli do kolacji.

— Co nowego u ciebie? — Marek nalał do kieliszków wina.

— Planuję zakup dworku.

— A więc zostajesz? — Poczł radość w sercu.

— Chyba tak.

— To zamieniam się w słuch! Co z tym dworem? — Marek był wyraźnie zainteresowany.

Amelia zaczęła mu opowiadać o spotkaniu z Arletą i o tym, że od samego początku ta posiadłość ją zafascynowała. Marek słuchał z zaciekawieniem, ani przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Rozmawiali tak przeszło dwie godziny. Zrobiło się późno.

— Chyba muszę już iść. — W pewnym momencie spojrzał na zegarek.

— Odprowadzę cię do drzwi. — Amelia wstała od stołu. Tak naprawdę żadne z nich nie chciało, by ten wieczór tak po prostu się skończył. Marek czekał, aż ona coś powie, ale go nie zatrzymała.

— Kiedy znów się spotkamy? — zapytał, zakładając kurtkę.

— Wiesz, że to zależy od ciebie.

— Tak, wiem. — Musnął ją ustami w policzek. — Zadzwoń.

Gdy wyszedł, jeszcze długo patrzyła za nim przez okno, choć w zimowej ciemności jego sylwetka ledwie odcinała się od otoczenia.

ROZDZIAŁ 19

Michalina już sama nie wiedziała, czy to wszystko jej się śni, czy ma jakieś zwidy. Ktoś zapalił światło na korytarzu, potem usłyszała szmery. Podniosła się z łóżka. Na korytarzu stał Bartek.

— Co jest? — zapytała.

— Porzygałem się.

Miała ochotę go poprawić, pouczyć, że mówi się „zwymiotowałem”, ale zobaczyła, że chłopiec trzyma się za brzusek, i zrezygnowała z wykładu na temat wyrażania się.

— Ale wszystko w porządku? — zapytała z troską w głosie.

— No nie jest w porządku, skoro się zrzygałem.

Ze swojego pokoju wychynął Przemek. Był zaspany; zszedł po schodach. Nie zauważył butów, które zostawił tam „do osuszenia”, zawadził o nie i runął jak długi.

— Nic ci się nie stało? — zapytała Miśka. Podeszła do niego i nachyliła się nad nim.

— Nie. — Mężczyzna podniósł się i potarł bolące kolano. — Co tu się dzieje?

— A co ty masz sen jak królik na miedzy? — Michalina była już lekko poirytowana.

— Słyszałem spluczkę w kiblu.

— Matyldo... — jęknęła Miśka. — Dźwięk spuszczonej wody ci przeszkadza?

— No widocznie przeszkadza.

— Co się dzieje, że chodzicie nocą po korytarzu?

— Porzygałem się — powiedział stanowczym głosem Bartek.

— Gdzie?

— No w kibelku. Jestem już dorosły, nie rzygam gdzie popadnie.

— Pewnie jakieś zatrucie — stwierdził rzeczowo Przemek.

— Chodźcie do kuchni.

W tym samym momencie usłyszeli skrzypnięcie drzwi i tupot bosych stóp po schodach.

— Co się stało?

To Kamila.

— Już się w spokoju wyrzygać nie można? — Bartek spiorunował zebranych wzrokiem.

— Pewnie coś ci zaszkodziło. — Kamila spojrzała na niego ze współczuciem.

— Miśkowy obiad.

— O, wypraszam sobie! — Miśka zacisnęła poły szlafroka.

— Chodź, zaparzę ci miętę — zwrócił się do Bartka Przemek.

— A wiesz, gdzie trzymam miętę? — Teraz to właścicielka pensjonatu spiorunowała wzrokiem Przemka.

— Nie, skąd mam wiedzieć?

— Właśnie! — wykrzyknęła z triumfem. — Nie wrywaj się przed szereg, jak nie wiesz.

Wszyscy udali się do kuchni. Miśka wyciągnęła miętę i czajniczek.

— Zaparz więcej, też się napiję — odezwała się Kamila.

— Chce ci się rzygać? — zainteresował się Bartek.

— Coś mnie mdli.

— To pewnie jakiś wirus.

Przemek nastawił czajnik. W tym momencie usłyszeli pukanie do drzwi. Michalina zakłęła pod nosem.

— A kogo diabli niosą?

Spojrzała przez wizjer i zobaczyła babcię. Otworzyła.

— Babciu, a tobie też się rzygać chce? — zapytał zza jej pleców Bartek.

— Że co?

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Byłam w łazience. Spojrzałam w okno, zobaczyłam, że w kuchni u was zapalone światło, więc pomyślałam o najgorszym, bo przecież wy dwoje — spojrzała na wnuka i wnuczkę — zwykle śpicie kamiennym snem. Więc przyszedłam.

— Bartek się porzygał.

— „Zwymiotował” się mówi. — Pani Zofia odwiesiła płaszcz na wieszak. Zdjęła kalosze. — Wybaczcie, ale jestem w koszuli nocnej.

— No my też. To znaczy w piżamach.

Babcia Zofia podeszła do wnuka i położyła mu dłoń na czole.

— Jak się czujesz?

— Jak się wyrzygałem, to już lepiej. Będę pił miętę.

— Miśka, uciekaj do łóżka, to może być jakiś wirus! — zakomenderowała starsza pani.

— Żaden wirus, babciu, po prostu Miśka mięsa nie dopiekła — wyjaśnił rzeczowo chłopiec.

Michalina podreptała do sypialni. Uśmiechała się pod nosem, ale

poczuła dojmujące zmęczenie. Babcia Zosia zmieniła kuchnię w centrum zarządzania kryzysowego i już po chwili każdy trzymał w ręku kubek z miętą, bez względu na to, czy coś mu dolegało, czy czuł się dobrze. Żadnych bolących brzuchów. Nie na jej warcie.

Adam był trzydziestoosmioletnim mężczyzną, który, jak sam o sobie mówił, nie pasował do współczesnego świata. Wolał spokój i ciszę od gwaru wielkiego miasta. Lubił kawiarenki, w których wypiekało się domowe ciasta i czuć było zapach świeżo parzonej kawy. Używał telefonu tylko do tego, by rozmawiać z pacjentami i rodziną. Nie instalował żadnych aplikacji. Nie miał konta na Facebooku ani w innych mediach społecznościowych. Uważał, że podczas spotkań telefony należy wyłączać. Sprawdzanie ich milion razy podczas kolacji to zwykły brak szacunku dla drugiego.

Kilka lat temu był związany z Dorotą, ale wyraźnie do siebie nie pasowali. Ona była naprawdę fajną babką, jednak pełną hałasu, tak o niej myślał Adam. Hałaśliwa, głodna wrażeń. A jego nie kręciły skoki na bungee.

Doszedł wreszcie do domu mamy. W drzwiach stał jego młodszy o dziesięć lat brat, Łukasz.

— Co tam, staruszkule? — przywitał Adama klepieniem po plecach.

— A nic, byłem się przejść.

— Jedziesz ze mną do Sanoka?

— W jakim celu?

— Bez celu. — Łukasz uśmiechnął się łobuzersko. — Powłóczymy się po knajpach.

— Wiesz, że to nie moje klimaty.

— Ale ty sztywny jesteś.

— Za to z ciebie luzak!

Po prawdzie Adam wiedział, że zaproszenie wcale nie jest takie zupełnie spontaniczne. Gdy Adam rozstał się z Dorotą, jego młodszy brat postawił sobie za cel znaleźć dla niego kobietę. Podobnie zresztą jak ich mama, która psioczyła na starokawalerstwo syna. Bardzo już chciała doczekać się wnuków.

— Czyli co? Jedziemy?

Adam zgodził się niechętnie, ale przełożyli wyprawę do miasta na sobotę. Tego dnia miał ochotę po prostu posiedzieć trochę w domu, może pomóc w przedsięwziętych porządkach. Mama nie miała już tyle siły, poza tym przecież nie mogła wszystkiego robić sama...

Kiedy w sobotę o piętnastej siedzieli w jednym z sanockich pubów przy piwie, Łukasz rozglądał się po sali. Nagle dostrzegł znajomą. Pomachał do niej. Dziewczyna powoli wstała od stolika, podeszła do Łukasza i się z nim przywitała.

— Cześć, Bea, nie widziałem cię kilka ładnych miesięcy. — Łukasz świdrował ją wzrokiem.

— Bo zmieniłeś lokal... — Dziewczyna nie wyglądała na zbytnio zadowoloną ze spotkania.

— Kotku... — Mężczyzna puścił do niej oko. — Wiesz, że ja i ty nie pasowaliśmy do siebie. Ale — wskazał ręką na skrepowanego całą sytuacją Adama — tutaj jest mój brat. On jest inny niż ja. Ma wrażliwe serce.

Adam wstał i się przedstawił, a Łukasz natychmiast gdzieś się zmył. Adam był na niego wściekły, ale postanowił nie dać tego po

sobie poznać i być maksymalnie uprzejmy wobec Beaty. Gadka za bardzo się nie kleiła, może dlatego, że dziewczyna miała tylko dwadzieścia kilka lat, nawet mniej. Dzieliła ich przepaść pokoleniowa. A kiedy wyciągnęła telefon i zaczęła pstrykać sobie zdjęcia, a później pokazywać mu fotki z króliczymi uszami i kaczym dzióbkiem oraz dziwnym psim nosem, zupełnie zwątpił, czy jego wysiłki mają jakikolwiek sens. Miał ochotę stamtąd uciec, ale dobre wychowanie mu na to nie pozwalało.

— Przystojny jesteś. To może zrobimy sobie razem focię? — zaproponowała Bea.

— Jakoś nie mam ochoty.

— A na co masz ochotę? — Pasma włosów nakręciła na palec.

— Wyjść stąd — powiedział zgodnie z prawdą.

— Wynajmuję pokój z koleżanką — rzuciła szybko — i jeśli się pospieszymy, to może zdążymy przed nią.

Adam otworzył szeroko oczy i wyciągnął przed siebie rękę. Co ten Łukasz nawyprawiał? W co go wpakował?

— Nie... — jęknął. — Nie o to mi chodziło. Nie chcę iść z tobą do mieszkania.

— Nie lecisz na mnie?

Zdecydowanie była zbyt bezpośrednia.

— Jesteś atrakcyjną dziewczyną — zaczął ostrożnie. — Ale nie kręci mnie to, jak do tego wszystkiego podchodzisz. Nie można...

I włączyła mu się psychologiczna gadka. Widocznie dziewczyna nie miała ochoty tego słuchać, bo przerwała mu, wstając.

— Czyli nie chcesz mnie przelecieć?

— Nie.

— Wiesz co? — Nachyliła się w jego stronę. Miała tak głęboki dekolt, że jej piersi mało co nie wyskoczyły na wierzch. — To już chyba wolę twojego brata.

Godzinę później Adam i Łukasz szli na parking.

— Twój problem polega na tym — młodszy z mężczyzn przyspieszył kroku, żeby zrównać się z bratem — że nie pijesz. A jeśli już, to piwo bezalkoholowe.

— Prowadzę. Przypominam, że ty też nie miałeś ochoty bujać się PKS-em. Poza tym... nie muszę się urżnąć w cztery dupy, żeby wyrwać jakąś panienkę.

— No nie. — Łukasz parsknął. — Bea na ciebie leciała.

Adam ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, że jego koleżanka prawdopodobnie ma dość niewybredny gust i formułkę „przebojowa” lub „nie boję się zmian” w CV. Sam był zły na siebie za te myśli. Starał się traktować kobiety jak damy.

— Skąd ty ją wytrzasnąłeś? — zapytał zamiast tego. — To jeszcze dzieciak.

— Niezła dupa. Gdzie trzeba ma dużo, a gdzie trzeba mniej.

Adam miał ochotę mu dowalić. Był wściekły, że jego brat traktuje dziewczyny jak... sam nie wiedział: samice? Zabawki? Przygody? W dodatku o każdej, nawet najskromniejszej, wyrażał się z lekceważeniem. Fakt, Beata akurat do tej kategorii nie należała, mimo to...

— Coś cię z nią łączyło?

— Łóżko. Jak się zapewne domyślasz, niezłe się pieprzy.

— Wiesz co? — Mężczyzna przystanął. — Nie chcę tego słuchać.

Łukasz zamilkł. Dotarli do parkingu, który usytuowany był przy przystanku PKS. Ludzie tłoczyli się do autobusu, ostatniego, który odjeżdżał do Złotkowa. I nagle wzrok Adama spoczął na kobiecie. Stała odwrócona do wejścia, ostatnia w kolejce, ale było coś znajomego w jej sylwetce. Włosy miała splecione w luźny warkocz, a szary płaszcz delikatnie opinał jej smukłe ciało. Wsiadła do autobusu. Kierowca odpalił silnik, a ona usiadła przy oknie. Adam od razu ją poznał. Jego nieznajoma. Ta, która płakała w „Cynamonowych Sercach”.

— A niech to! — krzyknął, po czym ruszył w stronę autobusu. Szansa, by ją przeprosić, pojawiła się jak dar od losu.

Kobieta również go zauważyła, uśmiechnęła się i pomachała mu.

Adam pędził co tchu, machając rękoma, chcąc zatrzymać pojazd. Jednak nieczuły na jego wysiłki kierowca odjechał w siną dal.

Łukasz dobiegł do brata. Zgiął się wpół, żeby złapać oddech.

— Kurwa! — zaklął siarczyście. — A tobie co?

— To była ona!

— Ale kto?

— Moja nieznajoma! — rzucił Adam, jakby wszystko było jasne.

— Jaka znowu nieznajoma?

Brat spróbował opanować oddech.

— Spotkałem ją w kawiarni tylko raz. Ale ta kobieta... Ona ma coś w sobie.

— Też kiedyś taką miałem. Przeleciałem ją w bramie jakiejś kamienicy.

Adam nie zważał na wynurzenia brata. Myślał tylko o nieznajomej, która odjechała autokarem w stronę miasteczka.

— Może ich dogonimy? — rzucił pytanie ni to do siebie, ni to do niego. Nie czekając na odpowiedź, dodał: — Wsiadaj do samochodu, będziemy w Złotkowie przed autokarem.

— Odwaliło ci? Bei nie chciałeś, a tamta...

— Tamta jest lepsza od tysiąca twoich Beat.

— Beata nie lubi, kiedy ktoś mówi do niej pełnym imieniem.

— Mam to w dupie, rozumiesz? — Adam uśmiechnął się pod nosem, schodząc do poziomu Łukasza. — Mam to w dupie.

Odpalił silnik i ruszył z piskiem opon.

Patrycja wysiadła z autokaru. Ruszyła pośpiesznie w stronę domu Marka. Po tym, jak samodzielnie wróciła do domu, uwierzyła w to, że może z siebie wykrzesać więcej, że jest w stanie oderwać się od smutku i żalu i spróbować się pozbierać. Że nie musi być taka zależna od Marka. Poczowała się lepiej. Była w Sanoku na spacerze, a potem kupiła sobie nowy szal i cieszyła się z niego tak, jakby zrobiła interes życia. Postanowiła też upiec ciasto. Chciało jej się śmiać, bo w ich warszawskim mieszkaniu nigdy tego nie robiła. Nigdy nie chciała być kurą domową. Uważała, że można jadać w restauracji zamiast tracić czas na gotowanie. A teraz jakoś jej się odwiedziało.

Śnieg zacinał prosto w oczy. Schyliła głowę i przyspieszyła kroku. Po kilku chwilach wpadła na kogoś.

— Przepraszam... — Uniosła głowę.

— To moja wina, nie zauważyłem pani.

Głos brzmiał dziwnie znajomo, a mężczyzna w zimowej czapie

nasuniętej na oczy...

— Adam?

— Patrycja. Dobrze pamiętam? — W jego oczach pojawiła się radość.

Zdążył, co zresztą nie było wcale takie trudne, bo autobus zatrzymywał się we wszystkich wioseczkach po drodze. A kiedy tylko podjechał PKS, wystrzelił z samochodu jak z procy i ruszył w stronę kobiety.

— Wszystkie swoje pacjentki tak dobrze zapamiętujesz? — Patrycji zachciało się śmiać, ale poczuła jakąś radość w sercu. „Dziwne”.

— Tylko te wyjątkowe. Poza tym nie byłaś moją pacjentką.

— Dzięki za rozmowę. — Patrycja spojrzała mu w twarz. — Wtedy bardzo mi pomogła. Chociaż na koniec zachowałam się nieładnie i pewnie nie masz o mnie najlepszego zdania.

Adam machnął ręką.

— Cieszę się, że mogłem ci pomóc. W zasadzie to miałem nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny, bo trochę przeholowałem... Co u ciebie? — zapytał lekko stremowany.

— Pomału do przodu. — Uśmiechnęła się.

Adam zauważył, że nie chce opowiadać o sobie.

— U mnie też do przodu; ważne, że się nie cofamy... — zaczął gadać jak potłuczony. Czuł się dziwnie. — Nie mogę doczekać się świąt — kontynuował. — Jest we mnie coś z małego chłopca.

Patrycja zmrużyła delikatnie powieki i spojrzała na niego ciepło.

— Czyli nadal wierzysz w Świętego Mikołaja? — zażartowała.

— No ba. I w Mikołaja, i w elfy, a Rudolfa wciąż wypatruję w

zaprzęgach sań.

O czym on, do cholery, mówił? Poczuł na twarzy ciepło. Oby tylko się nie zaczerwienił jak jakiś nastolatek.

— Powiem ci coś... — Patrycja nachyliła się w jego stronę i spojrzała na niego z powagą. — Ale to jedna z moich największych tajemnic, więc musisz ją zachować dla siebie. Ja też lubię Rudolfa.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

— Dokąd idziesz?

— Do domu.

— Może cię odprowadzę?

Kobieta przez chwilę się wahała, ale ostatecznie się zgodziła. Naraz spojrzeli sobie w oczy. Żadne z nich już nic więcej nie powiedziało, tylko przez ułamek sekundy zdawało im się, że czas zwolnił.

— Byłaś w Sanoku — stwierdził Adam.

— Ty też. Widziałam cię.

— Spieszyłem się do Złotkowa, by tutaj też cię zobaczyć. I... miałem szczęście.

Szli, rozmawiali, a odległość między nimi stawała się coraz mniejsza. Czasami jedno ramię musnęło drugie. I choć oboje mieli płaszcze, to czuli, jakby po rękach przebiegł im jakiś prąd. Powietrze wokół nich, choć zimne, było naelektryzowane jakąś dziwną radością. A potem ona tak nagle się pożegnała.

Chciał ją prosić o numer telefonu. Zapytać, gdzie dokładnie mieszka... Ale ona odeszła. Stał tak jeszcze przez moment, choć wiedział, że powinien za nią biec. Pocieszał się tym, że zdradziła mu mimowolnie, w jakiej okolicy jej szukać. I czuł, że tym razem tak

łatwo nie wymknie mu się z rąk. Wracał do rodzinnego domu w podskokach.

Na sąsiednim podwórku pan Drabik rąbał drewno. Adam podszedł do niego i zaoferował pomoc. Wyciągnął rękę po siekierę.

— Nie prosiłem cię o nic — fuknął Drabik. Czapka opadała mu na oczy.

— Wiem, że nie, ale chętnie pomogę.

Drabik nie podał mu siekiery, tylko rzucił ją w śnieg, a sam poszedł do domu.

Przez kolejną godzinę Adam rąbał drwa. Kiedy koszyk był już pełny, skierował się do domu starszego pana.

— Gotowe — powiedział w stronę bujanego fotela, w którym siedział mężczyzna.

— Dzięki. — Tamten nawet się nie odwrócił, tylko patrzył w okno.

Adam przez chwilę nie wiedział, co ma począć ze sobą i z tym nieszczęsnym koszykiem pełnym porąbanego drwa.

— Gdzie mam to położyć? — zapytał w końcu.

— Gdziekolwiek.

Postawił koszyk na korytarzu, ale zamiast wyjść, ściągnął buty i ruszył w stronę mężczyzny.

— Wie pan, jakby pan jednak chciał pogadać... — zaczął niepewnie.

Drabik odwrócił ku niemu głowę.

— Skąd przypuszczenie, że chciałbym z kimś o czymkolwiek gadać?

— Kiedyś był pan innym człowiekiem.

— Kiedyś! — westchnął starszy mężczyzna. — Kiedyś — powtórzył.

W jego oczach był taki smutek, że aż ścisnęło w sercu.

Adam odwrócił się. Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się, kiedy usłyszał za plecami głos.

— Nie przyszło ci do głowy, że kiedy ciebie widzę, smutek dopada mnie ze zdwojoną siłą?

Młodszy z mężczyzn powoli przytaknął.

— Tak, myślałem o tym. Ale to wszystko, co się zdarzyło, to nie moja wina.

— Nie twoja. Ale jesteś w wieku mojego syna. Byłeś jego przyjacielem...

— Grzesiek zapewne by chciał, abym od czasu do czasu pana odwiedził. Bez względu na wszystko, co się zdarzyło. Nie chciałby, aby był pan tak do bólu samotny.

— Co ty tam wiesz! — Pan Drabik był naprawdę zły. A może nie zły, za to tak smutny, że dźwięk jego głosu sprawił, że Adama aż coś zakłuło.

— Na pewno mniej od pana. — Spuścił wzrok. I chociaż był psychologiem i terapeutą, ta historia dotyczyła go bezpośrednio. Nie potrafił się zdystansować.

— Idź już. Nie mam ochoty na zwierzenia.

Adam przygryzł dolną wargę. Było mu przykro. Nie z powodu tego, co Drabik powiedział, lecz dlatego, że ten człowiek umarł za życia.

— Wpadnę jeszcze do pana.

I rzeczywiście dwa dni później Adam ponownie odwiedził sąsiada. Tym razem przyszedł do niego z ciastem.

— Najlepsze! — zapewnił, kiedy wszedł do kuchni bez zaproszenia.

Akurat to się w tym domu nie zmieniło: Drabikowie nigdy nie zamykali budynku na klucz. „Nasze drzwi stoją otworem dla każdego, kto chce tutaj przyjść” — mówił kilka lat temu pan Drabik. Kuchnia domu Grześka była miejscem, gdzie Adam zawsze czuł się dobrze. Do tej pory panował tutaj porządek, choć rondle wiszące nad starym piecem były zakurzone. Widać było, że nikt ich nie używał. Pani Drabikowa wносиła życie do tego pomieszczenia. Wszędzie jej było pełno. „To moje królestwo” — mawiała. „W kuchni musi pachnieć ciastem”. „Oj, musi” — przytakiwał pan Andrzej. Jego żona to coś zamieszała, to coś wsypała do miski. Jeszcze raz pomieszała, a po kilku chwilach w piekarniku piekły się ciasta lub ciasteczka. Adam zawsze był hojnie przez nią tymi smakołykami obdarowywany.

Jego rozmyślania przerwał stukot. Stary Drabik wybiegł z salonu niczym rozjuszony byk.

— Możesz mi powiedzieć, co ty wyprawiasz? — Jego oczy ciskały gromy.

— Przyniosłem panu ciasto. Z „Cynamonowych Serc”. Pani Zosieńka ma najlepsze wyroby w okolicy.

— Tego już za wiele! — Pan Andrzej walnął ręką w stół. — Za wiele!

— Jeśli całe to za wiele, mogę zjeść z panem na spólkę — zaproponował Adam.

Drabik na chwilę zaniemówił.

— Jaja sobie ze mnie robisz, chłopcze?

— Gdzieżbym śmiał.

Drabik pogładził się po wąsie. Odchrząknął. Sięgnął po pakunek.

Adam myślał, że wyrzuci go do kosza, jednak ku jego zaskoczeniu mężczyzna po prostu rozwinął papier i zrobił głęboki wdech.

— Szarlotka — westchnął.

— Pana ulubiona, z bezą.

— Dzięki.

Nastawił wodę na herbatę i zjedli w milczeniu.

— Podjadłem. Dobrze — oświadczył na koniec pan Andrzej i zniknął w salonie, zamykając za sobą drzwi.

Adam uśmiechnął się pod nosem. Jest trochę lepiej. Przynajmniej coś zjadł. I może to pierwszy krok, by wreszcie się otworzył?

Wyszedł z domu sąsiada, pogwizdując. Po kilku chwilach był już w domu mamy, gdzie czekał na niego talerz żurku.

— No i gdzieżeś ty się podziewał? — Pani Elżbieta Wiśniecka kręciła głową z dezaprobatą.

Spojrzał na nią rozbawiony. Tyle lat, a ona nadal traktowała go jak swojego małego chłopca.

— Jeśli się martwiłaś, mogłaś zadzwonić — zauważył, siadając do stołu.

— E tam, zadzwonić. Te komórki to przekleństwo. — Pani Elżbieta wytarła dłonie w fartuch.

— Skoro uważasz, że to takie przekleństwo, mamusiu, to poczekałaś sobie.

— Żur już letni. Z tobą to...

— Byłem u pana Drabika.

Kobieta zaniemówiła i przysiadła na taborecie naprzeciwko syna.

— I co u niego? — zapytała wreszcie.

— Zjadł szarlotkę. Ale poza tym nie jest dobrze.

— No, nie dziwota. Co ten biedny chłopina przeżył... — Matka strzepnęła okruszki z ceraty.

— Muszę do niego jakoś dotrzeć, bo marnieje. Szkoda mi go. Grzesiek na pewno by nie chciał, żeby doprowadził się do takiego stanu. Ani pani Honorata.

— Oj, synku. — Elżbieta położyła dłoń na rękę Adama. — Ty tu z żadnymi poradami psychologicznymi mu nie wyskakuj. Po tym wszystkim...

— Nie zamierzam, mamuś. Chcę mu pomóc jak człowiek człowiekowi. Nie jak pacjentowi, tylko jak osamotnionemu i nieszczęśliwemu człowiekowi. Rozumiesz?

— Chyba tak... Chyba tak.

ROZDZIAŁ 20

Grudzień w Bieszczadach niczym malarz Picasso kreślił smugi na pobliskich wzgórzach i połoninach. Musnął je delikatnie śniegiem. Dopiero potem poleciały wielkie płatki, jakby nabrał na pędzel za dużo farby i robił nimi wielkie białe krople. Farba rozbryzgiwała się po tym płótnie. Jak pięknie.

Amelia weszła do sklepu z zamiarem kupienia jakiegoś upominku dla pani Arlety. Pomyślała o filiżankach, które stały na wystawie, czerwone w świąteczne wzory. Za ladą stała pani kierownik przebrana w strój Mikołajowej. W zeszłym roku kierowniczką była elficą, ale w tym stwierdziła, że nie może wykorzystać tego samego przebrania, bo źle by to wyglądało. Dumna, z wypiętą piersią stała za ladą i obserwowała wchodzących do sklepu klientów. Jej czerwone usta były widoczne z kilku metrów.

— Dzień dobry! — Amelia ukloniła się, złapała koszyk i już chciała czmychnąć między półki, kiedy usłyszała tubalny głos pani Moczarskiej.

— Pani Amelio, niech no pani tu pozwoli.

Poczuła się jak uczeń wezwany do tablicy i bez słowa protestu podeszła do lady.

— Tak? — Uśmiechnęła się do Mikołajowej.

— Pani jest jakby światowa, więc najlepiej to panią zapytam... Co pani sądzi o moim przebraniu? — Kierowniczką wygładziła

rozkloszowaną spódnicę, która dodawała jej kilogramów. — Jak się prezentuję?

— Yyy... Dostojnie. — Amelia starała się użyć odpowiednich słów.

Kobieta roześmiała się tak donośnie, że jej biust zaczął falować pod opiętym białym kaftanem.

— Ale tak naprawdę ja nie o tym. — Machnęła ręką. Nachyliła się w stronę Amelii konspiracyjnie. — Co tam u Miśki? Wiem, że się przyjaźnicie.

— W porządku.

Amelia nie miała zamiaru dać się ciągnąć za język. Prywatne życie przyjaciółki to jej sprawa. No, może jeszcze kilku ludzi: babci Zosi, Bartka, Przemka... ale na pewno nie pani Moczarskiej.

Ekspedientce krótkość jej odpowiedzi wydawała się zupełnie nie przeszkadzać. Postanowiła sama rozwinąć temat.

— Widzi pani, tak jej się z chłopami nie ułożyło. Najpierw ten rozwodnik, teraz ten tak jakby się do dziecka nie chciał przyznać, a brzuch to ona ma już pokaźny jak na ten miesiąc. Taki wstyd, taki wstyd! Nie dość, że sama z Bartkiem została, to jeszcze teraz panna z dzieckiem! Zresztą czy to na pewno ten młodszy jest ojcem tego dziecka, to ja nie wiem. Ech — westchnęła, podczas gdy oczy Amelii robiły się coraz większe — to już musi być w genach. Bez urazy. Ale jej mama — kierowniczką sklepu wykonała znak krzyża — świeć Panie nad duszą tej zmarłej kobiety...

Amelia nie wytrzymała i weszła jej w słowo.

— To niezbyt ładnie tak o ludziach plotkować i ich oczerniać.

— Ja? Oczerniać? Plotkować? Broń, Panie Boże — święcie oburzyła

się kierowniczką i dla pewności przeżegnała się jeszcze raz. — Ja to z troski pytam. Wszystko zawsze dla siebie zachowam i pary z ust przed nikim nie puszcę.

„Akurat” — pomyślała z przekąsem Amelia. Długi jęzor ekspedientki był w Złotkowie wręcz legendarny. Wiktoria powiedziała jej kiedyś, że Moczarska działa lepiej niż lokalne media, więc jeśli chce się, by całe Złotkowo szybko się o czymś dowiedziało, wystarczy to powiedzieć kierowniczce sklepu wielobranżowego. Najlepiej w najgłębszej tajemnicy i rozejrzawszy się teatralnie na boki, by mieć pewność, że nikt nie podsłuchuje.

— Niech pani sama spyta Miśkę o wszystko, jeśli jest pani ciekawa.

— No tak, tak... — Kierowniczka zaczęła strzepywać z lady niewidzialne okruszki. — A co tam u pani córki?

— Jedna i druga mają się dobrze.

Amelia zaczęła tuptać w miejscu. Przyszła tu tylko po prezent, nie na pogaduszki.

— No tak... — Ekspedientka zrobiła pauzę, jakby szykując się do dłuższej wypowiedzi o moralności młodzieży.

Amelia jęknęła w duchu, przeczuwając, co nastąpi. Wiedziała, że tamta będzie się teraz czepiać Wiktorii.

— Ale jedna mieszka z tym Michałem — zaczęła kierowniczka. — To dziwny mężczyzna.

Młodsza z kobiet nabrała głęboko powietrza w płuca i szybko odliczyła od dziesięciu w dół.

— Wie pani co? Ja tam go lubię. A teraz bardzo panią przepraszam, ale nie mam dużo czasu, a chciałabym wydać w pani sklepie trochę

pieniędzy. — I nie czekając na odpowiedź, zniknęła między regałami. Półtorej godziny później Amelia siedziała naprzeciwko Arlety. Staruszka zachwycała się filiżankami.

— Piękne. Delikatne, ale z duszą. — Obracała jedną w dłoniach.

— Świąteczne.

— Świąteczne. — Kobieta uśmiechnęła się i po chwili podjęła przerwana ostatnim razem opowieść. — Widzisz, dziecko, do wielu rzeczy w życiu trzeba dojrzeć. Wiele też należy zrozumieć. Wiele gorzkich pigułek przełknąć. Nad wieloma sprawami się zastanowić. Sama w wieku szesnastu lat dojrzałam do tego, by wiedzieć, że w życiu ważna jest niezależność. Jeśli jesteś od kogokolwiek zależna, czy to od męża, czy to koneksji, to zawsze na tym stracisz. Dlatego chciałam się kształcić, pragnęłam pomagać ludziom i zarabiać własne pieniądze. Podczas gdy Daniela marzyła o księciu z bajki, który by ją wyciągnął z marazmu, w jakim tkwiła, ja chciałam brać życie za rogi.

Amelia zamyśliła się.

— I myśli pani, że warto? — zapytała po chwili.

— Zawsze warto spełniać marzenia! — roześmiała się tamta. — Nic tak bardzo nie cieszy, jak spełnione marzenia. Tak jak mówiłam, ja wiedziałam, że chcę się stamtąd wyrwać. Mama też to wiedziała. Wierzyła we mnie. Nieraz pomstowała nad tym, że nie zapewniła nam przyszłości. Na szczęście moja ciocia wyszła bogato za mąż i obiecała mi pomóc.

Odłożyła filiżankę na stoliczek, odkaszlęła i napiła się wody.

— Pielęgniarstwo to było moje marzenie. Uczyłam się pilnie. Mieszkałam na stacji w Warszawie w pokoju z trzema innymi

dziewczynami. Od razu się z nimi zaprzyjaźniłam. Szczególnie z Ludwiką. Lucia, bo tak na nią mówiłyśmy, miała blond włosy, kocie oczy i wyglądała poważnie jak na swój wiek, ale kiedy się uśmiechnęła, ta powaga od razu gdzieś przyskała. Szkołę średnią ukończyłam u sióstr Sacré Coeur w Sochaczewie koło Warszawy. Jak mówiłam, moja ciocia pomogła mi z tym pielęgniarstwem. Potem odbyłam staż w Warszawie.

Amelia postanowiła nie przerywać. Na nowo przeniosła się myślami w przeszłość.

— Pierwsze tygodnie stażu w szpitalu były trudne i wyczerpujące. Chociaż dopiero się uczyłyśmy, rzucono nas na głęboką wodę. Mówiono coś o wojnie. Nie wierzyłam w żadną wojnę, ale napięcie za naszą zachodnią granicą było wyczuwalne. Coś wisiało w powietrzu. — Pokiwała smutno głową. — Przyjechałam w odwiedziny do mamy na początku maja. Dni były słoneczne i ciepłe. Mama z siostrą były zarobione. Pragnęłam im pomóc, odciążyć je jakoś, ale pani Wioletta nie chciała mnie widzieć; cud, że pozwoliła mi się zatrzymać w ich pokoju. Ale i one nie mogły zająć się wszystkim. — Cień uśmiechu pojawił się na jej twarzy. — W dniu śmierci ojca, jak się, dziecko, zapewne domyślasz, skończyły się moje przejażdżki. Państwo Malinowscy mieli jednak starą szkapę, której nikt już nie dosiadał. Stała w stajni pozostawiona sama sobie. Pamiętam, że miałam układ ze stajennym, tym, który służył tam jeszcze za czasów papy. Przynosiłam mu trochę rzeczy z pańskiego stołu, a w zamian za to mogłam pojeździć na Weronie. Szkapę, wbrew temu, co sądzili o niej państwo, była całkiem sprawna. Galopowała dość szybko. A gdy jej

dosiadałam, czułam, że odzyskuję jakąś wewnętrzną wolność. Jechałam szybkim tempem do wzgórza. Kiedy Werona dyszała, potrzebowała wytchnienia, zwalniałam. Jechałyśmy stępem, a ja obserwowałam każdy listek na drzewie, każdego motyla, który nad nami przelatywał. Słyszałam trele ptaków. I sądziłam, że jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie.

— A była pani? — wtrąciła Amelia. Nie mogła się powstrzymać, choć słuchała opowieści w wielkim skupieniu.

— Tak. Wtedy tak. Szczęście to chwile. Chwile nasączone pięknem, wzruszeniami, jakimś dziwnym upojeniem i melancholią. — Arleta westchnęła. — Pewnego razu, kiedy dotarłam do strumyka, zsiadłam z konia. Przywiązałam lejce do drzewa, a sama zaczęłam brodzić w wodzie. I wtedy zobaczyłam mężczyznę o chmurnych oczach. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i skłonił. Myślałam, że zaraz odjedzie, ale on ani drgnął. Stał i nie zamierzał się ruszyć. Zdjęłam z włosów kapelusz, rozpuściłam włosy. Prowokowałam go. Już od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że jest w nim coś niezwykłego.

Pani Arleta raz jeszcze wzięła do ręki filizankę, jakby potrzebowała zająć czymś drżące od wieku i choroby dłonie.

— Kiedy wróciłam z przejażdżki tamtego dnia, myślałam, że porozmawiam z mamą, że dowiem się o nim czegoś więcej, ale na rozmowy nie było czasu, bo pani Malinowska wyprawiała przyjęcie. Kucharki i pokojówki, bo było ich teraz w domu kilka, uwijały się jak w ukropie. Westchnęłam tylko, przypominając sobie, jak ta kobieta kochała wszelakie rauty i bale. I jak wyczerpujące były one dla służby. Gdy przyjęcie trwało w najlepsze — ciągnęła staruszka — wyszłam do

ogrodu i usiadłam na ławce. Ogarnęła mnie tęsknota za stacją. Tutaj czułam się obco, mimo iż mama i siostra pracowały i mieszkały w dworku, a i sama spędziłam w nim tyle lat. To nie był mój dom. Nigdy nie był. I kiedy tak siedziałam, rozmyślając nad tym wszystkim, nagle usłyszałam za plecami męski głos. „Ucieka panienka przed czymś? Czy przed kimś?” Odwróciłam głowę. Za mną stał przystojny, wysoki mężczyzna o promiennym uśmiechu. W tym uśmiechu była zawarta cała radość świata, tak wtedy pomyślałam. Zmrużyłam oczy. To był on, ten, którego spotkałam rankiem przy strumyku. „Uciekam przed tymi wszystkim ludźmi tam”, westchnęłam, wskazując na dworek, a on w odpowiedzi się roześmiał. „Podoba mi się panienki szczerość”, stwierdził, a mnie serce zabiło jakoś żywiej. Potem zapytał, czy jestem krewną pana domu. „Broń Boże”, zaprzeczyłam. „Jestem pielęgniarką. Moja mama pracuje tutaj”. Mężczyzna skłonił się nisko. „Jan Kazimierczak”, przedstawił się i dodał, że jest synem brata stryjecznego pani Malinowskiej. Również wyjawiałam imię i nazwisko i dodałam: „Nie lubię pana ciotki, a ona nie znosi mnie. To znaczy ona mnie bardziej”. W jego oczach zauważyłam psotne chochliki. „Nie boi się panienka, że jej to powtórzę?”, zapytał. „Och, ona doskonale o tym wie. Może jej pan powiedzieć, co pan chce”. „Nie powiem, bo też jej nie lubię”, odpowiedział i roześmialiśmy się oboje. Przyjrzałam mu się z zainteresowaniem.

Amelia zauważyła, że nawet teraz, po tylu dziesięcioleciach, policzki jej rozmówczyni całe pokraśniały. To musiały być piękne wspomnienia, bardzo cenny skarb.

— Mężczyzna — podjęła Arleta — spojrział mi prosto w oczy, a ja

poczułam przyływ adrenaliny. Do tej pory nie miałam żadnego prawdziwego adoratora i atencja tego mężczyzny mnie peszyła. W dodatku to nie był żaden psiarczyk ani inny pacholek. „Jestem malarzem”, oświadczył. „A więc artysta”, skomentowałam. „Czy ja wiem?”, zapytał i przejechał palcami po włosach, gęstych i czarnych jak smoła. „Po prostu kocham to, co robię”. To było bardzo bliskie mojemu sercu podejście, więc z zapałem odkrzyknęłam: „To ważne! Ważna jest w życiu pasja. Życie bez pasji jest miałkie. Ja zawsze chciałam pomagać ludziom, stąd pielęgniarstwo”. I nagle zupełnie mnie zaskoczył! „Podoba mi się panienka”, oświadczył po prostu. „I to nie tylko jako kobieta, ale też jako człowiek”. Nie były to z pewnością słowa, które dobrze wychowany młody mężczyzna powinien mówić kobiecie przy pierwszym spotkaniu, na dodatek i tak dalekim od przyzwoitości, jako że byliśmy zupełnie sami, ale skłamałabym, mówiąc, że mi się nie podobały. Uśmiechnęłam się do niego. „Czyli chciałby pan mnie namalować?” Nie wiem, skąd się u mnie wzięła taka śmiałość. Byłam pewna, że policzki mam szkarłatne. „Nawet panienka nie wie, jak bardzo”, usłyszałam w odpowiedzi. Poczułam tysiące motyli fruujących w moim brzuchu. Miałam jednak dość zdrowego rozsądku, by chociaż spróbować znów twardo stanąć na ziemi. „Dlaczego pan ze mną rozmawia?”, zmieniłam temat. Musiałam pamiętać, że była między nami przepaść. „A dlaczego nie?”, zapytał, jakby zupełnie nie był świadomy tego, jak wielką niestosowność popełnia. „Bo jestem inna”, wypunktowałam. „Nie pochodzę z pańskiego świata. Moja mama jest pokojówką, ojciec nie żyje, a wcześniej był tylko stajennym...”. W odpowiedzi tylko westchnął. „Ten

świat, mój świat, jak pani mówi... On się zmienia. W powietrzu czuć, że zbliża się wojna”. Znów na mnie spojrzał, a ja poczułam, jak ogarnia mnie ciepło. „Nie znam panienki, nic o niej nie wiem”, kontynuował. „A jednak wydaje mi się, że jest pani, że mogłaby być dla mnie kimś ważnym”. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję. Zastanawiałam się, do czego zmierzał. Zaraz jednak praktyczna strona mojej natury wzięła górę. A może to tylko buzujące emocje? Dość, że nie mogłam tam zostać...

Pani Arleta na moment zawiesiła głos.

— Zdążyłam tylko rzucić „przepraszam”, a potem szybko go wyminęłam i weszłam do dworu. Wbiegłam do pokoju siostry i mamy i położyłam się na łóżku. Policzki mnie piekły, a serce omal nie wyskoczyło z piersi. Co za mężczyzna. Przystojny, a jaki fascynujący...

Amelia w ciszy pokiwała głową. Wyobrażała sobie całą tę scenę: stary dworek, miłość od pierwszego wejrzenia — która kobieta nie śni, choćby skrycie, o romansie w takim stylu? Uśmiechnęła się delikatnie do Arlety. Staruszka odwzajemniła uśmiech.

— Następnego dnia czułam, że muszę, po prostu muszę znów pogalopować. Wymknęłam się z dworu skoro świt i skierowałam do stajni, ale tam Maciej oświadczył mi, że Werona kuleje i absolutnie nie ma mowy, żebym tego dnia zabrała ją gdziekolwiek, nawet na najbliższą łąkę. Nie będzie dziś dźwigać żadnego ciężaru. Ogarnęło mnie coś w rodzaju paniki. „Ale... ale ja muszę jechać”, wyjąkałam. Nie spałam praktycznie całą noc. Przejazdźka na pewno by mnie uspokoiła. „Daj spokój, Arleta. Szkapę wykończysz. Werona zostaje”, obstawał twardo przy swoim Maciej. Ale ja wiedziałam, że jeśli nie

puszczę się galopem po wzgórzach, nie poczuję wiatru we włosach i na policzkach, nie będę w stanie się uspokoić i nie prześpię kolejnej nocy. „Są jeszcze inne konie”, zauważyłam spokojnie i zerknęłam w stronę trzech boksów. Maciej spojrział na mnie, jakbym postradała zmysły. „Państwo obdarliby mnie ze skóry, gdybym dał ci któregoś konia i sam z tobą nie jechał!”, krzyknął i natychmiast zasłonił usta, jakby już samo wypowiedzenie tego na głos było przestępstwem. Westchnęłam i zauważyłam, że państwo śpią; zbyt dobrze wszyscy się bawili poprzedniego dnia, by tu zaglądać. Nikt niczego by nie zauważył. „Wrócę za godzinę”, gorąco zapewniałam, ale stajenny pozostawał nieugięty.

Staruszka wzięła kolejny łyk wody. W tym momencie zupełnie nie wyglądała na swoje lata. Opowieść ją odmłodziła.

— Widzisz, dziecko, wcale nie zamierzałam odpuszczać. Kiedy Maciej oddalił się w stronę dworu, ja, niewiele myśląc, zakradłam się do boksu i cichaczem wyprowadziłam Narwanego. Koń prychał, a ja go uspokajałam. Niedługo potem dał się osiodłać. Nie bardzo mi były w głowie konsekwencje. Jechałam klusem. Niestety, imię w pełni oddawało charakter mojego wierzchowca. W pewnym momencie zupełnie straciłam nad nim panowanie. Nie chciał się zatrzymać. Spanikowałam. Powietrze rozdarł mój przeraźliwy pisk. Koń co prawda zwolnił, ale stanął dęba.

Amelia uniosła dłonie do ust. Oczyma wyobraźni widziała tę scenę, niemal czuła przerażenie młodej dziewczyny zdanej na łaskę i niełaskę półdzikiego zwierzęcia.

— Puściłam lejce i spadłam na ziemię — kontynuowała pani

Arleta. — Wyobraziłam sobie, że Narwany zaraz zmiążdży mnie kopytami. W tym samym momencie ktoś skoczył w moim kierunku i zakrył mnie swoim ciałem. A koń... o dziwo, koń z miejsca się uspokoił. Po kilku chwilach mężczyzna, który, co do tego byłam pewna, uratował mi życie, wstał i wyciągnął ku mnie rękę. Byłam cała oblepiona błotem. Uniosłam oczy. To oczywiście był on; to musiał być on! „Co też panienka wyprawia!”, skarcił mnie, a ja zaczęłam się jąkać i wreszcie znów wydukałam tylko: „Przepraszam”. „Nie mnie powinna panienka przepraszać”, zauważył. „Cóż za głupota! Omal nie straciła panienka życia!” Jego głos był bardzo surowy. „Ale pan mi je uratował!”, wykrzyknęłam. Podniosłam oczy. Nasze spojrzenia się spotkały i po raz kolejny poczułam płomyk, który rozgrzał moje serce. Szczęśliwie udało nam się odprowadzić Narwanego do stajni. Maciej już wrócił, był biały jak kreda, ale słowem się do mnie nie odezwał.

Czas jakby przestał istnieć. Starsza pani utkwiała wzrok w oknie.

— Tego popołudnia, kiedy siedziałam z mamą w kuchni, wszedł do niej Jan. Państwo rzadko zjawiali się w pomieszczeniach przeznaczonych dla służby, a wizyta syna stryjecznego brata pani była wręcz czymś nie do pomyślenia! Oczy mojej mamy całe zrobiły się okrągłe. Tymczasem on skłonił się w pas, rzucił „dzień dobry!”, jakby nie zrobił niczego wbrew konwenansom, i zaprosił mnie na spacer. Zupełnie jakbym mu była równa urodzeniem! Mama zaniemówiła, ja również. W końcu skinęłam głową i wyszliśmy na zewnątrz. Słońce przedzierało się przez warstwy chmur. Trawa była mokra od mżawki, która padała kilka godzin temu. Ruszyliśmy w stronę ukwieconej łąki. Jan niespodziewanie ujął moją rękę. Nie wiedziałam, co mam zrobić,

ale nie protestowałam. „Czasami się wie” — powiedział do mnie. Zapytałam go, co się wie, bo jego słowa wydały mi się dość osobliwe. „Wie się”, odpowiedział mi, „że spotykasz tę właściwą osobę, z którą chciałbyś tak iść razem przez życie”. Przystanęliśmy i przez jakiś czas wpatrywaliśmy się w siebie jak urzeczeni. W głowie wciąż słyszałam jakiś ostrzegawczy dzwoneczek i głos: on nie jest z twojego świata. W pewnym momencie Jan nachylił się ku mnie, ale ja odskoczyłam. „Przepraszam”, wyszeptał i dodał: „Jutro wyjeżdżam”. Zmroziło mnie. Byłam zła na siebie, że nie pozwoliłam się pocałować. Poprosiłam, żebyśmy wracali, i odwróciłam się w stronę dworu. Nic nie wiedziałam o tym człowieku, w jego towarzystwie miałam wrażenie, że i siebie nie znam. Serce podpowiadało mi jedno, a rozum drugie.

Staruszka westchnęła.

— Tego wieczoru spotkaliśmy się ponownie, w ogrodzie. Z dala od ludzkich spojrzeń rozmawialiśmy do północy. O jego malarstwie, o smakach i zapach życia. O książkach, o moim pielęgniarstwie. Wtedy zyskałam pewność, że dla mnie to on był człowiekiem, z którym chciałabym spędzić resztę życia. „Przyjadę tutaj po świętach Bożego Narodzenia. Dwudziestego siódmego grudnia. Spotkajmy się”, powiedział. Przez chwilę wątpiłam w jego słowa, ale potem uwierzyłam, że wróci. Oczywiście, że wróci. Przecież niczego tak bardzo nie chciałam, jak tego, byśmy razem spacerowali po bieszczadzkich łąkach, czy to wiosną, latem, jesienią, czy zimą. Lubiłam na niego patrzeć, zachwycać się tym, co mówi. Lubiłam te nasze niby przypadkowe muśnięcia. Już wtedy wiedziałam, że nie były one przypadkowe. I gdybym mogła, tobym wtedy wykrzyczała,

jak bardzo jestem szczęśliwa. Kilka chwil z nim wystarczyło, by to poczuć.

Pani Arleta spojrzała na zegarek, jakby dopiero teraz ocknęła się ze snu. Refleksy młodości, jeszcze przed chwilą tańczące w jej oczach, przygasły. Znowu była wiekową, schorowaną kobietą w domu spokojnej starości. I była bardzo, bardzo zmęczona. Czuła, że czas skończyć tę część opowieści.

— To śmieszne — zwróciła się do Amelii. — Ale na samo wspomnienie tamtych chwil czuję radość w sercu. Ktoś kiedyś powiedział, że dusza ludzka się nie starzeje, co innego ciało. Ale dusza... — Pokręciła głową. — Wybacz starszej kobiecie. Teraz muszę odpocząć, przespać się...

— Tak, oczywiście! — Amelia wstała z krzesła.

— Ale wrócisz jeszcze? — zapytała starsza pani z nadzieją.

Wystarczyło, by uniosła zmęczone oczy na swoją słuchaczkę, by widzieć, że młodsza z kobiet najchętniej zostałaaby tutaj do rana i poprosiła o dalszy ciąg historii, kiedy tylko pani Arlecie pozwolą na to siły.

To znów pozwoliło jej przez chwilę czuć się szczęśliwą i potrzebną.

ROZDZIAŁ 21

Wiktoria cały tydzień namawiała Michała na spotkanie z Kaśką i jej ukochanym, Karolem.

— Nie lubię taki spędów — wymigiwał się Michał.

— To nie są żadne spędy. Kasię znasz, Karola poznasz. Nie można być takim odludkiem. — Wiktoria skrzyżowała ręce na piersiach.

— A kto mówi, że nie? Nie lubię towarzystwa. — Jej chłopak miał naburmuszoną minę.

— Moje lubisz. — Wiktoria uszczypnęła go w bok.

— Niech ci będzie... — zgodził się bez przekonania.

Do baru weszli po dziewiętnastej. Kasia z chłopakiem siedzieli przy stoliku. Wiktoria wylewnie przywitała się ze znajomymi. Michał najpierw podał rękę przyjaciółce swojej dziewczyny, następnie przedstawił się Karolowi.

Wewnątrz panował klimat lat sześćdziesiątych, wyjęty żywcem z amerykańskich filmów. Był to niedawno otworzony pub na obrzeżach Złotkowa, który Michałowi nie przypadł do gustu. W ogóle nie lubił takich miejsc, zanadto kojarzyły mu się z Żanetą. Stare szafy grające ustawione były obok baru. Na ścianach wisiały tarcze, do który rzucać można było lotkami, a przy oknach wisiały zdjęcia Marilyn Monroe.

Cała trójka jego znajomych rozmawiała z ożywieniem, a Michał czuł się jak piąte koło u wozu.

— Jak długo jesteście razem? — zapytał, bo tylko takie pytanie

przychodziło mu do głowy, a poczuł, że musi jakoś się włączyć do konwersacji.

— Dwa lata — odpowiedziała Kaśka i puściła do niego oko.

— To już trochę jest. — Michał dotknął palcem oszronionego kufła piwa.

— Planujemy ślub! — Kaśka się ożywiła. Oczy błyszczały jej szczęściem.

Michał spojrział na Wiktorię, która uśmiechnęła się szeroko. Instynktownie położył rękę na jej plecach.

— To wspaniała wiadomość!

Wiktoria pogratulowała przyjaciołom, a on zachodził w głowę, jakie jest jej podejście do tych spraw. Wiedział, że nie ma kontaktu z ojcem; może nie wierzyła w szczęśliwe zakończenie dla siebie?

— A gdybym ja poprosił ciebie o rękę? — zapytał ni z tego, ni z owego, patrząc jej w oczy.

Dziewczyna omal nie zakrztusiła się piwem.

— Przecież znamy się dopiero kilka miesięcy? — wydukała wreszcie.

— Moi rodzice pobrali się po trzech miesiącach znajomości — zauważył Karol. — I do tej pory są razem. Nawet jakoś specjalnie się nie kłóć.

— Skoro pytasz serio — Wiktoria splotła razem palce, nie patrząc swojemu chłopakowi w oczy — to chwilowo nie myślę o ślubie.

Michał spochmurniał. Odkąd poznał Wiktorię, wiedział, że to jest ta jedyna i że właśnie z nią chciałby spędzić resztę życia. Jej słowa go zraniły, ale i zastanowiły.

— Nie jesteś pewna, czy chcesz ze mną być?

— Ale cóż to za pytanie?

Kaśka z Karolem spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

— To my pójdziemy puścić jakąś piosenkę. — Kaśka pociągnęła za sobą chłopaka, a w zasadzie niemal narzeczonego, i oboje oddalili się w stronę szaf grających.

— Co ty wyprawiasz? — Wiktoria spiorunowała mężczyznę wzrokiem.

— Pytam, czy chcesz za mnie wyjść.

— Tutaj, w pubie? Przy znajomych?

— A co to ma za znaczenie?

— Ma. — Wiktoria potrząsnęła głową. Ogarnęła ją irytacja. — Mam dopiero dziewiętnaście lat. I nie mam zamiaru brać ślubu ani zakopywać się w pieluchach, nie od razu. Chciałabym pomóc mamie odrestaurować dworek. Może pójść na studia. Tyle rzeczy bym chciała...

Michał spochmurniał jeszcze bardziej.

— Wrócimy do tej rozmowy kiedy indziej. Widocznie mamy inne spojrzenie na życie.

— A jakie ty masz?

Zaczerpnął tchu. Przecież wiedziała, jak rzadko się otwierał! Zupełnie mu tego nie ułatwiała.

— Chciałbym mieć u boku kochającą kobietę; żonę i dzieci.

— Ale nie już? Zaraz?

Chciał powiedzieć, że już, że zaraz. Zbliżał się do trzydziestki i coraz bardziej chciał zostać ojcem. Inni mężczyźni cieszyliby się, że

kobieta nie naciska na nich w kwestiach rodzicielstwa. U niego było inaczej.

Godzinę później atmosfera wreszcie się rozluźniła. Wypili kilka piw, a potem zgłodnieli, więc poszli w czwórkę do „Cynamonowych Serc”. Kaśka otworzyła kluczem drzwi i przeszli na zaplecze.

— Mam nadzieję, że pani Zofia nas nie nakryje? — zapytała niepewnym głosem Wiktoria.

— Babcia Zosia by nam jeszcze pobłogosławiła — zachichotała Kaśka.

Dziewczyny umyły ręce, założyły fartuszki i zabrały się do smażenia naleśników. Karol włączył radio, Michał się uśmiechnął. O dziwo, wieczór nie okazał się katastrofą, mimo scysji z Wiktorią. „Może jednak czasem warto wyjść do ludzi?” — pomyślał. „Choćby dla niej...”

Para prawie narzeczonych wyszła z kawiarni po pierwszej. Wiktoria obiecała, że zamknie lokal, ale zadeklarowała, że ona i Michał jeszcze trochę tutaj posiedzą. Zapaliła świecę i zaparzyła cynamonowo-imbirowej herbaty.

Michał nie mógł oderwać od niej oczu. Zdał sobie sprawę, że mógłby tak na nią patrzeć całą noc. A potem porankiem, w południe, po południu. Była piękna, kiedy się uśmiechała. A śmiała się niemal cały czas.

— Tam, w Anglii, miałaś dużo chłopaków? — zapytał zaczepnie.

— Oj, czyżby zazdrość się w panu odezwała? — Nachyliła się nad nim i pocałowała go w czubek nosa.

— Chyba tak! — Zaśmiał się.

— Nie miałam czasu na chłopaków. Kilka razy spotkałam się z jednym czy drugim, ale nic z tego nie wyszło.

Michał zmarszczył czoło.

— Nie miałaś czasu?

— Dużo pomagałam mamie — odpowiedziała z uśmiechem na twarzy.

— Co masz na myśli?

Przyciągnął ją do siebie i posadził sobie na kolanach.

— Wiesz, że mama na nas pracowała; ani mój ojciec, ani ojciec Mary Ann nie kwapili się, by nam jakoś pomóc. A mama jest dumna i nie poprosiła ich o złamanego pensa. Więc czasami pranie, sprzątanie i odrabianie lekcji z Mary spadało na moją głowę. Zdarza się w każdym domu, tylko u nas nieco częściej.

Wzruszyła ramionami.

— Nie winisz jej za to?

— No co ty? A ty masz mamie za złe związki z ojczymem?

— Nie — powiedział twardo.

— Właśnie. Zresztą — przejechała mu palcem po ustach — dzięki niej mam więcej rozumu w głowie niż niejedna moja rówieśniczka.

— Wiem. I za to cię kocham.

Pocałował ją, a ona kontynuowała:

— Czasami i ja dorabiałam na lewo, pracując w budce z lodami.

— Rozkosz dla podniebienia. Marzyłem o takiej pracy jako dzieciak.

Roześmiała się.

— O, uwierz, od przybytku głowa jednak boli! A raczej nie tyle

głowa, ile brzuch. Po tygodniu podjadania lodów nie mogłam na nie patrzeć.

Milczeli przez moment.

— Tęsknisz?

— Za Anglią?

Michał skinął głową.

— Nie. Może to dlatego, że mama zawsze mi mówiła o Polsce same dobre rzeczy. Może dlatego, że jestem tutaj od niedawna i wszystkim się zachwycam, poznałam swoje korzenie.

— Ty za to zachwycasz mnie.

Pierwszy raz w życiu był tak zakochany. Miał kilka kobiet, ale nigdy dla żadnej nie stracił głowy. Zawsze uważał się za praktycznego mężczyznę, racjonalnego. Oczywiście lubił tę ekscytację związaną z zauroczeniem, ale nigdy czegoś tak mocnego nie doświadczył. To była jakaś eksplozja zmysłów, która buzowała mu w skroniach i działała jak najlepszy narkotyk.

I tak samo uzależniała. Tak. Był uzależniony od Wiktorii.

ROZDZIAŁ 22

Było po dwudziestej. Miśka krzątała się w pokoju na górze. Zmieniała pościel, kiedy z dołu dobiegł ją jakiś hałas.

— Michalina? — usłyszała głos Mary Ann.

Od razu wyczuła, że coś jest nie w porządku. Rzuciła poszewki i zbiegła na dół.

— Co się stało? — dopadła do dziewczynki, na której twarzy malowało się przerażenie. W jej oczach lśniły łzy.

— Bo my... Bo my z Bartkiem się bawiliśmy — chlipała. — Udawaliśmy, że łowimy ryby i... On tam jest.

Michalina zdenerwowała się. Chwyliła Mary Ann i mocno nią potrząsnęła.

— Gdzie jest Bartek?

Nie zauważyła, że za nią Przemek przeskakiwał po dwa schodki i w końcu znalazł się w przedpokoju.

— Co się stało? — zapytał przerażony.

— Bartek. Coś się stało z Bartkiem. Mary! — krzyknęła Miśka, próbując zapanować nad paniką.

— Spokojnie. — Mężczyzna dotknął jej ramienia, a potem przykucnął obok Mary Ann. — Gdzie jest Bartek?

— Nad strumykiem. Skakaliśmy po śliskich kamkach. On upadł i coś mu się stało w nogę. Próbowałam go wyciągnąć, ale nie dałam rady. Nikogo w pobliżu nie było. On tam jest! — Po jej policzkach

wciąż spływały łzy.

Miśka podbiegła do wieszaka, ściągnęła z niego kurtkę. Włożyła czapkę i rękawiczki, a także kozaki. Wybiegła z domu. Przemek ruszył za nią.

— Zaczekaj, idę z tobą.

Michalina nie zwracała na niego uwagi. Biegła co tchu w stronę strumyka.

Co gorsza, zaczął padać śnieg. Sypał tak mocno, że Michalina musiała często mrugać, gdy wielkie płatki wpadały jej do oczu.

Dotarła do strumyka. Ciemno choć oko wykol. Dwie pobliskie latarnie były zepsute.

— A niech to szlag! — zaklęła Miśka. — Bartek! Bartek! — zaczęła nawoływać brata.

„Mamusiu, nie pozwól, aby coś mu się stało!” Jej serce było pełne strachu. To jej wina, to ona go nie upilnowała!

Zeszła z górki nad wodę i znów zawołała. Przemek znalazł się tuż za nią. Oboje zaczęli krzyczeć.

— Tutaj! — dobiegło ich z prawej strony.

Michalina ostro skręciła w tamtą stronę. Zrobiła głęboki wdech. Mroźne powietrze wdarło się do jej płuc. W końcu dostrzegła czerwoną kurtkę Bartka. Leżał na śniegu, cały przemoczony. Dygotał z zimna. Był blady, a usta miał sine. Michalina zdjęła kurtkę, by otulić brata.

— Co robisz? — syknął Przemek.

Michalina rzuciła mu karcące spojrzenie.

— Próbuję go ogrzać! Zobacz, jak się trzęsie!

Mężczyzna bez słowa zdjął swój płaszcz i narzucił go na ramiona

Miśki. „Ona jest w ciąży, a mnie nic nie będzie” — pomyślał.

Podniósł chłopca i się wyprostował.

— Musimy jak najszybciej go stąd zabrać.

— Au! — jęknął malec. — Moja noga!

— Może to złamanie? — Miśka była przerażona. — Może lepiej go nie ruszać i od razu zadzwonić po pogotowie?

— Nie możemy pozwolić, by stracił więcej ciepła. Musimy go stąd jak najszybciej zabrać.

Michalina poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Zaraz będą w domu. Zaraz Bartuś się ogrzeje.

Ruszyli w drogę powrotną.

— Trzeba go zabrać do szpitala. — Miśka czuła, że traci grunt pod nogami.

— Najpierw do domu — powiedział zdecydowanym głosem Przemek. Też był zdenerwowany.

Po kilku minutach dotarli do pensjonatu. Chłopiec był przytomny. Przemek rozpalił w kominku, a Miśka otuliła Bartka kilkoma kocami po tym, jak ściągnęli z niego przemoczone ubrania. Położyli go obok kominka.

— Może powinniśmy rozgrzać jego ciało? No wiesz, pocieraniem? — zapytała.

— Nie! — Przemek pokręcił głową. — Nie można tego robić. Jego skóra jest delikatna i może mieć odmrożenia. Zadzwon na ostry dyżur i zapytaj, co teraz.

Chłopiec wciąż dygotał z zimna.

Godzinę później byli w szpitalu. Lekarz stwierdził tylko niewielkie

odmrożenia, poza tym Bartek miał naciągnięte ścięgno i trochę się poobijał.

— Wszystko jest w porządku. Miałeś szczęście, chłopcze! — Doktor uśmiechnął się do Bartka. — Na drugi raz musisz być bardziej ostrożny.

Michalina poczuła taką ulgę, że aż zakręciło jej się w głowie i gdyby Przemek jej nie podtrzymał, pewnie osunęłaby się na ziemię.

Kiedy o trzeciej w nocy usiedli razem przy kominku, Michalina westchnęła.

— Powinnaś się położyć. — Przemek spojrzał na nią z czułością.

— I tak nie zasnę po tych wszystkich emocjach. Nawet nie chcę myśleć, co by mogło być...

— Ciii! — Mężczyzna dotknął jej ręki. — To już za nami. Może zrobić ci ciepłego mleka? Ponoć uspokaja.

— Poproszę...

Przemek masował jej wolną rękę. Poddawała się tej pieśczoście; sprawiała jej przyjemność.

— Jutro wstanę i zrobię gościom śniadanie — zaproponował. Do pensjonatu oprócz Kamili przyjechało młode małżeństwo.

— Nie wygłupiaj się.

— A dlaczego nie?

— Też jesteś gościem.

— Ze mnie taki gość...

— Nie kończ!

Roześmiali się. Napięcie nieco opadło.

Przemek wstał i poszedł do kuchni. Miśka wyciągnęła nogi. Kostki

miała opuchnięte. Nakryła się kocem i rozmasowała dłońmi skronie. Była naprawdę zmęczona. Kiedy Przemek zjawił się z kubkiem mleka, uśmiechnęła się. „We dwoje zawsze łatwiej” — pomyślała. „Dźwigać codzienne troski i kłopoty... We dwoje zawsze weselej cieszyć się ze szczęścia. Chwilo, trwaj”.

„No i rozłożyło się dziecię”. Michalina podeszła do łóżka i zimną dłonią dotknęła czoła Bartka. Ciepłe, ale po nocy temperatura nieco spadła. Odetchnęła z ulgą. Była dziesiąta trzydzieści, a on wciąż spał. Ona też mogła sobie pozwolić na późniejszą pobudkę. Była wdzięczna Przemkowi, że zajął się gośćmi. Zostawiła brata i wyszła nastawić mięso na obiad, potem pomyślała naczynia. Odnotowała w notesie: „po świętach pomyśleć o zmywarce”. Na pewno z małym dzieckiem nie da rady wystawać tyle przy zlewie. Odkurzyła hol.

O dwunastej znów zajrzała do pokoju Bartka. Chłopiec przeciągnął się.

— I jak się czujesz? — zapytała.

Zakaszłał, po czym uśmiechnął się do siostry.

— O niebo lepiej.

Michalina przewróciła mu kołdrę, żeby poczuł chłód.

— Zmień piżamkę, bo w nocy się strasznie spociłeś, a ja przyniosę ci śniadanie.

— Chyba nic nie przełknę. Gardło mnie boli.

— Ha! Wiedziałam, że cię boli, dlatego zrobiłam kaszkę mannę z sokiem malinowym.

Bartek tylko się oblizwał. Pół godziny później rodzeństwo leżało razem w łóżku. Obok na taborecie stały leki, chusteczki i brudna

miska po kaszce. Oglądali razem jakąś komedię, co chwilę wybuchając śmiechem.

W pewnym momencie Bartek ścisnął rękę siostry.

— Jesteś najlepszą mamą na świecie.

Odkąd Michalina zaszła w ciążę, łatwo się wzruszała. I tym razem w jej oczach pojawiły się łzy.

— A ty najfajniejszym dzieciakiem! — Cmoknęła go w czoło.

— Nie boisz się, że się zarazisz?

— Twoje zarazki są już rozsiane po całym domu, więc jeśli mam się rozłożyć, to i tak się rozłożę.

— Oby nie. — Zmarszczył czoło. — Dzidzius.

— Gniewasz się jeszcze na mnie? — zapytał Bartek, kiedy po jakimś czasie wszedł do kuchni.

Michalina odwróciła się do niego.

— Jak mogłabym się na ciebie gniewać? Bartek, jakby ci się coś stało, ja bym sobie tego nie darowała. Kocham cię.

Kilka dni później Przemek z troską przyglądał się Michalinie, która krzątała się po kuchni. Jego zdaniem zdecydowanie się przepracowywała.

— Pomóc ci? — zaproponował.

Kobieta westchnęła.

— Jakbym mogła cię wykorzystać, to byłoby miło. — Podniosła pokrywkę. Para buchnęła jej prosto w twarz. Zaklęła.

— Obierzesz ziemniaki? — zapytała.

Przemek skinął głową i złapał za obieraczkę.

Kiedy goście już zjedli, Michalina uniosła klapę laptopa i zaczęła

odpisywać na maile. Przemek podał jej filiżankę herbaty.

— Dziękuję! To ja powinnam zaproponować ci coś ciepłego, a nie ty mnie. Już i tak tyle mi pomogłeś...

— Odpocznij chwilę. Jesteś mamą mojego dziecka. Mogę zrobić mamie mojego dziecka kubek herbaty, kakao, a nawet gorącej czekolady. Korona mi z głowy nie spadnie.

Michalina spojrzała na niego i nagle poczuła się winna. Tak, będzie mamą. Nosila pod sercem dziecko, a w ogóle o siebie nie dbała.

— Powinnaś odpocząć — zasugerował otwarcie.

— Mam rezerwacje na najbliższe miesiące. Poza tym muszę odpisać na wiadomości.

— Możesz chwilę odpocząć, a potem odpisać. — Przemek naprawdę martwił się o Michalinę. Widać było gołym okiem, że była zmęczona. Sytuacja z Bartkiem tylko to uwypukliła.

Kobieta spojrzała na niego z czułością.

— Może masz rację? — Wyłączyła laptop i wyciągnęła się na kanapie. — Ostatnio wpadłam w jakieś błędne koło.

— Każdy niekiedy wpada w takie błędne koło. Zawsze kiedy gdzieś gonię, a nie mam już sił, odpowiadam sobie na pytanie: „Co, jeśli nie zdążę?” I wiesz co? Nic. Właśnie o to chodzi, że nic się nie stanie. Bo świat się nie zawali. Najwyżej zbiorę opieprz od szefa czy spóźnię się na spotkanie, ale to nic wielkiego w porównaniu z końcem świata.

— Jest w tym, co mówisz, jakiś sens. — Michalina uśmiechnęła się.

— Przecież nie gadałbym bez sensu. Bez sensu to my się martwimy na zapas. A przecież połowa rzeczy, o które się martwimy, wcale się nie wydarzy.

— Prawdopodobnie nie. Ale jesteśmy tak skonstruowani, że wkręcamy sobie różne emocje, niepokoje, rozkminki. Gdyby nie babcia, nie otworzyłabym tego pensjonatu. Bałam się, że nie podołam, że zabraknie mi pieniędzy, że nie będę miała gości.

Przemek zadumał się.

— Mark Twain powiedział kiedyś: „Spędziłem większość życia, martwiąc się o rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły”.

Pokiwała głową w odpowiedzi.

— Od dłuższego czasu słyszę, jak wszyscy zewsząd mówią mi ciągle: „musisz”. I te wszystkie „muszę” strasznie mi już ciążyą. Potrzebuję usłyszeć, że nic nie muszę, nie w tej chwili i nie zawsze. Jestem tylko człowiekiem i męczę się nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, i powinnam pamiętać, żeby dać odpocząć zarówno zmęczonym mięśniom, jak i umysłowi. Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś...

Przeciągnęła się i rozprostowała ramiona.

W progu stanął Bartek.

— Jak się czujesz? — Michalina od razu do niego podeszła.

— Całkiem dobrze. Przespałem pół dnia i jestem jak nowo narodzony.

— To może macie ochotę — Przemek zwrócił się do rodzeństwa — pojechać ze mną... na lody?

Miśka osłupiała.

— Na lody? Zimą!? Bartek ma czerwone gardło.

— A czemu nie? — Przemek puścił oko do jej brata. — Na gardło najlepsze lody.

Chłopiec się zaśmiał.

— A dokąd zapraszasz? — Michalina nagle zmieniła zdanie. Bo czemu nie? Była w ciąży i może właśnie lodów jej się za jakiś czas zachce, o.

— Do Sanoka? Gdziekolwiek.

— No dobrze. — Miska uśmiechnęła się. — To kiedy?

— Zaraz.

— Zwariowałaś? — Gdyby nie brzuch, podskoczyłaby jak oparzona.

— Tyle rzeczy muszę zrobić i...

— Sama powiedziałaś, że nic nie musisz! — Przemek pogroził jej placem.

„No, niech będzie!” — pomyślała. W zasadzie to rzeczywiście jej się przyda mały wypad. A na lody nabierała coraz większej ochoty.

— No to w drogę! — Klasnęła w ręce.

Kilkanaście minut później siedzieli w samochodzie. Przemek włączył radio, a Miśka z Bartkiem na cały głos wraz z De Su śpiewali: „Kto wie, czy za rogiem nie stoją Anioł z Bogiem? I warto mieć marzenia, doczekać ich spełnienia”. W jednej chwili dla Miśki słowa tej piosenki nabrały dodatkowego znaczenia. Bo kto wie, co tam się czai za rogiem?

Dotarli do Sanoka niecałą godzinę później. Miasto skrzyło się świątecznymi ozdobami, a biały puch oblepiał przechodniów. Bartek wyciągnął język i zaczął łapać płatki śniegu. Miśka resztkami siły powstrzymywała się, żeby nie pójść w jego ślady. Kiedy była małą dziewczynką, też łapała na język śnieg. Ku jej zdziwieniu Przemek wystawił swój.

— Co ty robisz?

— Łapię płatki śniegu — odpowiedział, sepleniąc. — To prawie jakbym już jadł lody — usprawiedliwił się.

I wtedy Michalina pomyślała, że lepszego ojca dla swojego dziecka nie mogła sobie wymarzyć.

Było grubo po północy, a Przemek z Michaliną wciąż siedzieli na kanapie w salonie, przykryci wełnianym kocem. Po lodach chwilę pospacerowali po Sanoku. Wrócili do pensjonatu z zamówioną kolacją, którą zjedli z Kamilą i z Bartkiem — młode małżeństwo wybrało się na randkę. Potem zarówno chłopczyk, jak i kobieta poszli do pokoi. Przemek z Miśką zatopili się w rozmowie. Ogień w kominku dogasał. Dwie świece o zapachu cynamonu i wanilii wypaliły się. Michalina wiedziała, że powinna się podnieść i pójść do łóżka, ale było jej dobrze. Z głośników leciały stare przeboje.

— Misia?

Odwróciła głowę. W progu stał Bartek. Podniosła się z kanapy i podeszła do brata.

— Co się stało, kochany?

— Nic — powiedział zaspanym głosem. — Po prostu chce mi się pić. Suszy mnie. — Potarł dłonią zaspane oczy.

— Tyle słodczy, co dzisiaj zjadłeś... — Michalina pokręciła głową. — Nie dziwię się, że cię suszy.

Bartek wypił duszkiem szklanekę wody. Odwrócił się nieprzytomnie w stronę Przemka.

— Powinieneś z nią zatańczyć.

— Do łóżka! — Miśka pocałowała Bartka w policzek.

Po chwili ona i Przemek ponownie zostali sami.

— Wiesz co? On ma jednak rację. Zatańczysz? — Twarz mężczyzny częściowo znajdowała się w cieniu, a częściowo padało na nią pomarańczowe światło dogasającego ognia. Michalina nie mogła dojrzeć jego oczu, ale mogłaby przysiąc, że przez ułamek sekundy widziała ich błysk.

Skinęła głową. Podeszedł do niej, ujął jej rękę. Tańczyli wtuleni w siebie, a Miśce pod wpływem jego dotyku zrobiło się gorąco.

Oboje poruszali się trochę nieporadnie.

— Zaraz podepczę ci stopy, a ważę już kilka kilo więcej — stwierdziła kobieta.

Przemek uśmiechnął się.

— Ja też nigdy nie byłem dobrym tancerzem.

— Ale ja kiedyś byłam naprawdę dobrą tancerką. Babcia śmiała się, że zaliczyłam wszystkie wiejskie dyskoteki w remizach strażackich w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Kiedy byłam nastolatką — zaznaczyła Michalina.

— To co się stało z tą tancerką, która właśnie — syknął — zmiażdżyła mi dużego palucha u stopy?

— Jakaś taka niezgrabna się zrobiła.

Do końca piosenki nie odezwali się do siebie. Kiedy muzyka ucichła, Przemek wypuścił Michalinę z objęć, a ona stwierdziła, że ten taniec trwał zdecydowanie za krótko. Pragnęła pozostać w jego ramionach o wiele dłużej.

Między nimi zaległa cisza. Miśka jednak słyszała uderzenia swojego serca. A może jej się tylko wydawało, że je słyszy?

— Gdybyśmy, no wiesz... — wydukała.

— Przykro mi... — zaczął Przemek. Naprawdę było mu przykro i wcale nie chciał tego powiedzieć; słowa i tak padły: — Ale dla mnie nie ma już powrotu.

Oczy Michaliny wypełniły się łzami. W sumie niczego nie oczekiwała, a jednak dopadło ją uczucie zawodu.

— Naprawdę? — zdołała wykrztusić.

— Chyba tak.

Miśka uczepiła się tego „chyba”.

— A gdybyśmy zaczęli od tego momentu?

— Nie mogę. — Pokręcił głową. — Po prostu na ten moment nie mogę być z tobą. Mogę być dla ciebie i dla dziecka, ale nie mogę być z tobą.

— Rozumiem. — Przełknęła gorycz rozczarowania. — Ale przyjaźnić się możemy?

— Tak. Pewnie, że tak.

ROZDZIAŁ 23

Mieszkańcy Złotkowa już od dwóch tygodni dekorowali swoje posesje, domy i drzewka. Na co drugiej choince, jodle czy świerku w ogródkach zawisły lampki. Amelia w tym roku przywiązała do gałązek świerka czerwone i złote wstążki. Pomędzy latarniami rozciągały się srebrne girlandy. Kiedy tylko dzieci wracały ze szkoły, toczyły bitwy śnieżne lub lepiły bałwana. Amelia wyciągnęła ze strychu pudło z ozdobami. Tachała je do salonu, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

— No teraz? — Była trochę zdenerwowana.

Odłożyła pudło i odebrała.

— Halo?

— Amelia? Mówi Patrycja.

— Patrycja? — Amelia nie kryła zdziwienia.

— Spotkajmy się — powiedziała żona Marka tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Nie wiem, czy dam radę.

— Jestem po usunięciu obu piersi. Nie mówię ci tego po to, żeby wzbudzić litość, ale po to, że... No wiesz, skoro ja wtedy dałam radę, to ty też dasz i się ze mną spotkasz. Nie gryzę.

Amelia zgodziła się niechętnie.

Usiadły w „Cynamonowych Sercach”, przy stoliku w głębi sali. Zamówiły kawę i po kawałku szarlotki. Obie czuły się niezręcznie.

Patrycja odezwała się pierwsza. Postawiła na bezpośredniość.

— Wiesz, ja nie chcę ci go zabierać.

— Czasami mi się wydaje, że już mi go zabrałaś. — Amelia patrzyła w swój kubek kawy, nie w oczy rozmówczynie. — Przepraszam, wiem, że jesteś chora. Nie mam pojęcia, przez co musiałaś przechodzić. Współczuję ci; naprawdę... Miałam... — Mówiła z trudem. Czowała się naprawdę głupio, siedząc tutaj z Patrycją. Obie pragnęły mieć u boku tego samego mężczyznę. — Miałam w swoim życiu trudne związki. Nieudane. I kiedy spotkałam Marka... Cóż, zakochałam się i myślałam, że tym razem mi się uda. — Podniosła wzrok. — Wiedziałam, że ma żonę, ale powiedział, że jesteście w separacji, że nic was już nie łączy.

— Bo tak było — przyznała Patrycja. — Tak było. Też tak myślałam. Tylko że zachorowałam. Jeszcze zanim wykryto u mnie guza w piersi, zdałam sobie sprawę, że chcę mieć dzieci, rodzinę. — Ciężko westchnęła. Amelia zauważyła, że rozmowa sprawia jej ból. — Chciałam ratować nasze małżeństwo. Przyjechałam tutaj... Nic mu nie powiedziałam, nie chciałam, by się nade mną litował. I wtedy dowiedziałam się, że on mnie już nie kocha, że nie ma co ratować, że jesteś ty. — Patrycja była zdenerwowana, miała serwetkę.

— I powiedziałaś mi o swojej chorobie. Nie jemu, tylko mnie. Dlaczego? Wiedziałaś, że mu o wszystkim powiem?

— Tak, chyba tak. Może to było egoistyczne. Bałam się. A... Nie mam nikogo. — Głos jej się łamał. — Nie mam nikogo. Moi rodzice nie żyją. Zostałam sama. A Marek... On... Wiedziałam, że mnie nie opuści. To straszna choroba.

— Współczuję. Nie wyobrażam sobie, co przeżywałaś.

— Usunęli mi jedną pierś. Pomyślałam, to nie koniec świata, chociaż wyłam nocami. Marek był, pocieszał, tulił. — Kobiety spojrzały sobie w oczy. — Tulił jak siostrę, jak przyjaciela. Nie było w tym żadnych erotycznych podtekstów. Stałam na nogi. A w październiku, jak zapewne wiesz od Marka, zadzwoniono do mnie z kliniki, że profesor chciałby mnie widzieć, bo w drugiej piersi wykryto jakieś nieprawidłowości. Drugie USG wykryło inwazyjne komórki rakowe. Zrobiono mi biopsję celowaną. Druga mastektomia... — Głos całkowicie jej się załamał. Westchnęła. Wciągnęła powietrze do płuc. — Muszę do końca życia ćwiczyć, rehabilitować się, żeby nie doszło do zastoju chłonki, żebym nie spuchła jak balon. Nie chcę się uzalać. Nie po to poprosiłam o rozmowę. — Upiła łyk kawy.

Amelia czuła wielki węzeł, który niespodziewanie zaczął oplatać jej żołądek.

— Zawsze sobie myślimy, że nas to nie dotknie. Kiedy dotyka kogoś ze znajomych, współczujemy, udostępniamy posty na fejsie z prośbą o wsparcie. I dziękujemy, że to nie my. Ale tragedie zdarzają się i nam. Miałam obok siebie tylko Marka. Ale tak naprawdę przez te kilka miesięcy musiałam ułożyć sobie świat na nowo, sama. Płakałam. Ale ten płacz był dobry. Dla mnie dobry. Uratował mnie przed obłędem. Oczyszczał mój organizm ze złej energii. Nieustannie zadawałam sobie pytania: jak ja sobie poradzę? Jak będę wyglądała bez piersi? I to drugie zawsze mnie mroziło. Widzisz, w człowieku są całe pokłady egoizmu i próżności.

— Dla kobiet piersi są ważne — powiedziała łagodnie Amelia. Zdawało jej się, że w pewnym sensie rozumiała ból tej kobiety.

Naprawdę rozumiała.

— Tak. — Patrycja uśmiechnęła się. — Kiedy je mamy, to ich nie doceniamy. Tak jest ze wszystkim. Nieważne, małe, duże, lekko obwisłe. Ale są. A jak ich braknie... Powinnam się cieszyć, że żyję. I cieszę się. Ale brakuje mi tych moich piersi, cycuszków.

Amelia wyciągnęła dłoń w stronę żony Marka. Ich palce się splotły.

— Przyjdiesz na Wigilię do Miśki? — wypaliła szybciej, niż pomyślała.

— Tak, pewnie! Jeśli tylko Michalina nie będzie miała nic przeciwko temu...

— Na pewno się ucieszy. Ja cię zapraszam, a wieczerzę organizujemy wspólnie.

— Dzięki! — Patrycja spojrzała na ich splecione palce. — Amelia, ja nie chcę ci go odbierać — wróciła do przerwanej wątku. Czuła, że odzyskała trochę panowania nad sobą. — On... On kocha ciebie. Bardzo cię kocha. Widziałam w jego oczach ból za każdym razem, kiedy musiał wybierać pomiędzy tobą a mną.

Amelia nie wiedziała, jak się zachować, co mówić. Puściła dłoń drugiej z kobiet.

— A jak się teraz czujesz? — zapytała, zamiast komentować. — Chodzi mi o twoją psychikę.

— Wpadłam w potężny dół, to prawda. Ale teraz się z niego wyczołguję. W końcu żyję. Ja żyję, Amelia! — Patrycja nieco uniosła rękę.

Amelia, próbując zająć czymś oswobodzoną nagle dłoń, chwyciła za serwetkę i zaczęła ją składać.

— Nie wiem, jak z tobą rozmawiać... — przyznała.

— Normalnie. Ja się nie wstydzę mówić o chorobie.

Milczały przez chwilę.

— Czy inaczej postrzegasz teraz życie?

— Tak. Czasami mi się wydaje, że trzeba dotknąć ostatecznego, aby docenić tę chwilę, to życie, jakie mamy. Oczywiście mam złe chwile, jak każdy. Na początku wciąż się pytałam, dlaczego to musiało spotkać właśnie mnie. Uważałam, że nie zasłużyłam, zupełnie jakby choroba była karą.

— Kiedy moja mama zmarła, też sobie zadawałam to pytanie, bo przecież dopiero co się odnalazłyśmy. To takie ludzkie.

— Na początku choroby nie chciałam być sama. Nikt nie chce być. We dwoje, troje czy pięcioro jakoś łatwiej przez to przejść. Kiedy usłyszałam diagnozę i lekarz pytał, czy przyszedł ze mną ktoś bliski, wgapiałam się w niego jak zaczarowana. Słuchałam jego słów, rozumiałam je. Wydawało mi się tylko, że dotyczą kogoś innego. Wyszłam z gabinetu zupełnie rozbita. Chciałam uciec od rzeczywistości. Szłam ulicą, nie rozpoznając znajomych twarzy. Przerazona brakiem przyszłości, zastanawiałam się, co mam ze sobą zrobić. Wsiadłam w samochód i przyjechałam tutaj. A potem to już wiesz, ostatecznie obustronna mastektomia, ból, łzy. Chcę tylko, byś mnie zrozumiała.

— Rozumiem. — Amelia podniosła wzrok. — Naprawdę rozumiem.

— Westchnęła. — Ale w całej tej sytuacji chodzi też o nasz związek. Oddaliliśmy się z Markiem od siebie.

— Po Nowym Roku wracam do Warszawy.

Amelia przełknęła głośno ślinę. Czuła się zagubiona, przyparta do muru. Nie wiedziała, czego Patrycja od niej oczekuje. Nie chciała też wyjść na kogoś bez serca, ale ucieszyła się, że kobieta wraca do stolicy.

— Poradzisz sobie?

— Będę musiała. Takie życie.

— ...albo, jak to mówi moja córka, taki lajf. Nie wiem tylko, czego ode mnie oczekujesz — Amelia zdecydowała się wreszcie zapytać wprost. — Czy mam cię próbować powstrzymać przed wyjazdem? Zapewnić, że jakoś to poukładamy we troje?

Patrycja pokręciła głową.

— Niczego od ciebie nie chcę; niczego. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

ROZDZIAŁ 24

Poniedziałkowego poranka Zofia zadzwoniła do Wiktorii.

— Dupa! — powiedziała do słuchawki. Dziewczyna spojrzała na wyświetlacz telefonu, upewniając się, czy na pewno rozmawia ze swoją szefową.

— Ale że wielka dupa?

— Masakrycznie wielka dupa! Że też mi musiało się to przydarzyć — psioczyła pani Zosia. — W takim momencie! Tyle zamówień na święta i przed świętami, a ja jestem w czarnej dupie.

— Pani Zofio — starała się uspokoić starszą kobietę Wiktorii. — Niech mi pani powie, o co chodzi.

— Skręciłam kostkę. Wychodziłam dzisiaj do pracy i jak nie fiknę na oblodzonym chodniku...

Wiktorii jęknęła ze współczuciem.

— Czy jeszcze coś się pani stało?

— Stłukłam dupsko. A tak poza tym jestem cała. Ale ta cholerna kostka napuchła...

— Czy mam pani jakoś pomóc?

— Nie, nie. W żadnym wypadku. Przemek się mną zajął, i Bartek też. Bartek to się nawet cieszy, bo do szkoły nie musiał iść. Ale „Cynamonowe Serca”, wypieki? —lamentowała.

— Jakoś to ogarniemy.

— Ale jak? W żadnym wypadku nie angażujcie do pomocy Miśki.

Ona sama powinna odpoczywać. Wiesz, że jest w ciąży, a i tak ma tyle na głowie.

— Tak, rozumiem. Poproszę o pomoc mamę.

— Ona też zajęta przez dworek... Co to będzie? — Zofia miała piskliwy głos.

— Damy radę. — Wiktoria uśmiechnęła się niemal przez łzy. — Damy radę.

Sama chciała w to wierzyć. W kawiarni był naprawdę kocioł, we trzy się nie wyrabiały, a co dopiero we dwie. No nic, mama będzie musiała im pomóc. W końcu z nich wszystkich ma w tym biznesie największe doświadczenie.

— Przepisy na ciasta są w moich zeszytach. Róbcie tak, jak was uczyłam. Żadnych udziwnień, posypek, ulepszaczy, przesłodzonych lukrów — poinstruowała pracownicę babcia Zofia.

— Ma się rozumieć!

Siedząc wygodnie w fotelu, właścicielka „Cynamonowych Serc” przeklinała zły los. Do pokoju wszedł Przemek z lodowym kompresem.

— Dzwonił pan Wincenty — zakomunikował. — Już do pani jedzie.

— Niepotrzebnie. — Zofia zaczęła nerwowo kręcić się na siedzeniu. Syknęła, bo noga ją zaboląła.

— A mnie się zdaje, że jest tutaj wręcz niezbędny.

— Daj już ten kompres i nie gadaj tyle.

— Dzisiaj rano mówiła pani, że chce porozmawiać. — Przemek stanął naprzeciwko kobiety.

— Tak, właśnie. Dobrze, że mi przypomniałeś. Bez owijania w bawełnę, mój chłopcze. — Babcia Michaliny gestem ręki nakazała

Przemkowi usiąść. Ten opadł na fotel.

— Tak, pani Zosiu?

— Jakie masz plany wobec mojej wnuczki? — Przemek w tej właśnie chwili podnosił do ust filiżankę, ale wzięty z zaskoczenia, odłożył ją na spodeczek. Nie tego się spodziewał, w każdym razie nie tak bezpośrednio.

— Na pewno pomogę w opiece nad dzieckiem.

Pani Zofia zmarszczyła brwi, zastukała palcami w blat stolika.

— Ja się nie pytam o dziecko. To zrozumiałe, że się nim zajmiesz.

Pytam o Miškę.

Mężczyzna odchrząknął.

— Wie pani, to skomplikowane. Między nami...

— Wiem, że Miška święta nie była. I pocałowała tego gamonia Artura. Namieszał jej w głowie. Ale to był jeden pocałunek...

Przemek zaczął nerwowo kręcić się na krześle. Nie podobało mu się, że starsza pani ingeruje w to, co jest między nim a Mišką. Byli dorośli, nie potrzebowali adwokatów. I chyba dopiero co postawił całą sprawę jasno.

— Zapewne wkurza cię to, że się wtrącam. I ma prawo. Ale mnie do szewskiej pasji doprowadza to, jak wokół siebie chodzicie. Wiem, że się kochacie, że moglibyście stworzyć związek o solidnych fundamentach, a mimo to jakoś wam nie po drodze.

Mężczyzna zacisnął zęby.

— Zobaczymy, jak będzie.

— No, zobaczymy. — Pani Zofia złapała go za rękę. — Jestem starej daty... Wybacz te moje wywody.

— Ma pani do nich prawo.

— No widzisz, Przemku, fajny z ciebie gość.

Podsunęła mu talerz ciasteczek, które upiekła nad ranem, jeszcze przed wypadkiem.

— Musisz podjeść, bo coś zmizerniałeś.

— Pięknie dziękuję, ale w ciągu kilku miesięcy przytyłem kilka kilo. A to nie ja jestem w ciąży!

Zofia pokręciła głową.

— Wciąż za mało. Jedz. Co masz sobie żałować?

Przemek sięgnął po ciasteczko, które rozpływało się w ustach.

— Mhm... — westchnął. — Niebo w gębie.

— I anioły się radują, że ci smakuje. Kiedyś było prościej. — Babcia Zosia wyprostowała się. Ostatnio i kręgosłup jej doskwierał. — To znaczy, te uczuciowe sprawy zawsze jakoś się człowiekowi komplikują, ale życie było prostsze. Mimo że nie było tylu udogodnień, to jakoś prościej było. I deszcz pachniał inaczej, i jakoś słońce jaśniej świeciło. I nikt nie liczył kalorii, tylko jadł rogaliki, pierogi, a potem szedł w pole i wszystko spalił.

— Pani Zosieńko, skoro już tak zeszedliśmy na prywatę, to czy mogę zapytać, kiedy zamieszkacie z panem Wincentym razem? — Przemek już kilka razy napatoczył się na starszego mężczyznę, który cichcem uciekał z domu właścicielki kawiarni.

Pani Zofia spiorunowała go wzrokiem i zaczerwieniła się po same koniuszki uszu. Mężczyzna zaśmiał się w duchu.

— Ja już jestem na takie rzeczy za stara.

— A ja sądzę, że byłoby wam łatwiej. A nie takie ucieczki po

nocach.

— Ożeż ty! — Zofia pogroziła mu palcem i już, już chciała coś dodać, ale Przemek wstał, bo usłyszał na podjeździe dźwięk silnika.

— To do zobaczenia! — zaśmiał się i zniknął za drzwiami.

— Zosieńko, co się stało? — Wincenty wkroczył do pokoju obładowany siatkami, dodatkowo z torbą podróżną przewieszoną przez ramię.

Zofia dźwignęła się na łokciu.

— A ty co?

— Chyba nie sądzisz, że bym cię zostawił w takim stanie... — Starszy pan chciał przyklęknąć na jedno kolano, ale coś łupnęło mu w plecach.

— Matko Przenajświętsza, ty stary głupcze, nie klękaj. Kto się będzie zajmował dwoma kalekami?

Zaczęli się śmiać. Śmiali się tak bardzo, że po policzkach leciały im łzy.

— Ty tak na serio? Będziesz tutaj teraz mieszkał? — zapytała Zofia, kiedy się opanowała.

— Mogę?

— Chyba rozum postradam, jeśli ci na to pozwolę. Przecież tu nie ma miejsca dla dwojga! Za dużo mam gratów!

Został, a serce babci Zosi zaczęło jakoś szybciej bić. „Co mi przyszło na stare lata?” — pomyślała, uśmiechając się do siebie.

Dwa dni później Amelia zjawiała się w kawiarni. W środku panował istny chaos. Była przyzwyczajona do pracy w takich miejscach, ale w Anglii nikt się nie spieszył z wydawaniem. Ludzie nie zamawiali tylu ciast, wpadali raczej na chwilę, przede wszystkim po kawę, na szybki

lunch. Przez chwilę stała oszołomiona. Wiktoria podeszła do niej, wcisnęła jej do rąk fartuch i dała czepek.

— Mamo, nie stój tak. Nie widzisz, co się tu dzieje?

— No tak, zupełnie jak w ulu.

— Ruchy, ruchy! — Wiktoria prychnęła gniewnie. Ostatnio między nią a matką coś się psuło, ich relacje znacznie się ochłodziły. Amelia przy każdym spotkaniu mówiła córce, że powinna się zastanowić nad związką z tyle lat starszym mężczyzną. A Wiktoria denerwowała takie gadki. Przychodziła do domu tylko dla młodszej siostry.

Podeszły do kas.

— Tutaj masz ceny produktów. — Pokazała Amelii zafoliowaną kartkę. — Wiesz, jak działa kasa?

Jej matka skinęła głową.

— No to wiesz wszystko. — Wiktoria oddaliła się na zaplecze.

Przy ladzie ustawiła się już spora kolejka. Amelia głęboko odetchnęła.

— Dzień dobry — zwróciła się do niej kobieta tak na oko po pięćdziesiątce, o zaciśniętych ustach.

— Dzień dobry, słucham?

— Przyszłam odebrać swoje zamówienie.

— Tak? — Amelia uniosła brwi. Nie wiedziała, o co zapytać klientkę. O numer zamówienia, nazwisko? Może powinna prosić ją o paragon albo jakiś inny świstek? Spojrzała na nieznajomą w nadziei, że ta jej jakoś ułatwi sprawę, ale mina tamtej pozostawała niezmienna. — Pracuję tutaj od niedawna i...

— Chciałam odebrać dwa serniki i karpatkę.

— Pani nazwisko?

— Dziewczyny mnie znają.

Ale ja pani nie znam! — miała ochotę krzyknąć Amelia. Ręce jej się spociły. Klienci stojący w ogonku rzucali jej dziwne spojrzenia.

— Tak, dobrze... — Starła się zachować twarz. Przecież robiła to przez tyle lat... — Czy poda mi pani numer zamówienia? — zapytała ostrożnie.

— Nie mam żadnego numeru! — fuknęła tamta.

— Dobrze, zaraz wszystko załatwię.

Amelia wleciała na zaplecze, gdzie w pocie czoła pracowały Kasia z Wiktoria.

— Mam trudną klientkę. Przyszła po zamówienie i...

— Mamo, nie pomagasz! — warknęła Wiktoria.

— Nie znam jej. — Amelia bezradnie rozłożyła ręce.

— Ej, dziewczyny! — Kaśka wytarła ręce w fartuch. — Nie czas na przepychanki. Niech zajmie się pani dekoracją, ja wydam wszystko, jak trzeba.

Amelia nie miała pojęcia, co jest gorsze. Nie miała zdolności manualnych, a Kaśka wręczyła jej tubę z kremem, którą miała udekorować ciasto, po czym szybko zniknęła.

— To ja już wolę na sklepie... — Starsza z kobiet czuła się naprawdę głupio. Córka zmierzyła ją wzrokiem.

— Ale dasz radę?

Amelia skinęła głową.

— Przecież kiedyś pracowałam w kawiarni...

Wiktoria uśmiechnęła się do niej.

— Ale nie w kawiarnio-cukierni. I nie w Polsce, gdzie ludzie zamawiają całe kilogramy słodyczy!

Kaśka wróciła na zaplecze.

— I jak?

— Będę sprzedawać. — Amelia dziarskim krokiem ruszyła do kasy.

— Charakterna ta twoja mama — zwróciła się Kaśka do Wiktorii.

— Wkurza mnie — sapnęła dziewczyna. — Ale w gruncie rzeczy jestem z niej dumna. Nie jęczy, w każdym razie nie zanadto.

Po kilku chwilach Amelia ponownie stanęła za ladą.

— Co dla pana? — Uśmiechnęła się do brodatego mężczyzny po pięćdziesiątce.

— Dwadzieścia rurek z kremem, kilka rogalików z kremem cynamonowym i cztery kawałki sernika.

— Robi się.

Włożyła rurki do papierowej torby, potem zaczęła wkładać rogaliki. Po chwili zdała sobie sprawę, że po pierwsze rogaliki mogą przygnieść rurki, a po drugie wszystko nie zmieści się do torebki tego rozmiaru. Czy powinna je przełożyć? Czy zaryzykować?

— Łaskawa pani — usłyszała za plecami głos mężczyzny. — Spieszę się.

— Tak, tak. Już się robi. — Wzięła większą torbę i przełożyła wszystkie łakocie tak, by te największe znalazły się u dołu.

Z każdym kolejnym klientem było coraz lepiej. „Jeszcze nie zardzewiałam!” — pomyślała z zadowoleniem, kiedy któraś transakcja z rzędu poszła bardzo płynnie, a obsłużony przed chwilą starszy pan z wąsikami jak sam marszałek Piłsudski posłał jej promienny uśmiech.

ROZDZIAŁ 25

Dwa dni później Amelia ponownie odwiedziła panią Arletę. Nie mogła się doczekać spotkania. Od przystanku autobusowego do ośrodka prawie biegła. Co tym razem opowie jej staruszka? Kiedy weszła do środka, kobieta już na nią czekała.

— Dzień dobry! — Amelia zaczęła w locie zdejmować płaszcz.

— Dzień dobry. Pani Janeczka już przygotowała dla nas herbatę. Dla ciebie z miodem. Dobrze pamiętam?

Amelia skinęła głową i usiadła na krześle. Jej gospodyni za chwilę podjęła opowieść, jak gdyby nigdy wcześniej jej nie przerywała.

— Nie wierzyłam w nasze ponowne spotkanie — powiedziała, a młodsza z kobiet potrzebowała chwili, żeby się zorientować, że staruszce nie chodzi o nią, tylko o Jana, jej adoratora. — Przyjechałam do dworu na święta. W zasadzie byłam tam już tydzień przed samym Bożym Narodzeniem. Świąteczny klimat można było poczuć już trzynastego grudnia, od Świętej Łucji. Suszono na piecu mak, orzechy, czosnek, cebulę. Ubito dwie świnie, kilka królików. Kucharka zapeklowała mięso, zrobiła pasztety, a w wędzarni zawisło kilka pęt kielbasy i szynka.

Amelia przymknęła oczy. Mogłaby przysiąc, że poczuła zapachy świątecznych specjałów unoszące się w powietrzu.

— W Wigilię o szóstej rano pobiegłam na ostatnie w tym roku roraty. Po mszy pan Malinowski okadził dymem drzewa w sadzie,

żeby w przyszłym roku owocami obrodziły — wyjaśniła pani Arleta. — Święta obchodzone były nadzwyczaj uroczyście i miały swój niepowtarzalny urok. Właściciel dworku był głównym udziałowcem w Cukrowni Sanockiej, gdzie też był zarządcą, to się nie zmieniło nawet po wojnie, dlatego u państwa stół uginał się od jedzenia: ryb, mięsiwa, wypieków... Tuż po śniadaniu pan Piotr przywiózł choinkę i udekorowałyśmy ją pod czujnym okiem jego żony. Wieszałyśmy łańcuchy, których kółka sklezione były z kolorowych papierków, gwiazdki z białej krepiny, ozdoby ze słomy, cukierki w kolorowych, błyszczących papierkach, orzechy i jabłka. Na samym końcu na drzewku rozbłysły płomienie świec. Na czubku zawiesiłam gwiazdę, która symbolizowała tę betlejemską. A potem zabrałyśmy się do przygotowywania szopki. Na stole rozłożyłyśmy kolorowe pióra, słomę, runo, ścinki materiałów. Z chleba zrobiłyśmy gęstą masę, z której ulepiłyśmy figurki Świętej Rodziny. Aniołom przytwierdziłyśmy ptasie pióra jako skrzydła. Koło trzynastej szopka i choinka były gotowe. Zeszłyśmy do kuchni. Pomogłam mamie, siostrze i nowej kucharce Balbinie przygotować wieczerę dla państwa. Na szczęście tym razem pani Wioletta nie miała nic przeciwko temu, tym bardziej że do dworu zjeżdżała się cała rodzina, a dzięki mojej wizycie nie trzeba było szukać dodatkowej służby. Byłam przeraźliwie głodna już w godzinę później, ale tego dnia obowiązywał ścisły post. Nie to, co teraz — westchnęła Arleta. — Teraz to i w Wigilię mięso można jeść. A wtedy nie; w garach bulgotał zur, kapusta na kwaśnicę i ziemniaki. W piecu piekły się ciasta. Po wieczerzy państwa zjadłyśmy swoją kolację. O północy poszłyśmy do kościoła przywitać nowo narodzone Boże

Dziecię. Byłam jakaś taka szczęśliwa, a najbardziej nie mogłam się doczekać przyjazdu Janka, bo tak kazał mi sobie mówić. Bardzo liczyłam na ponowne spotkanie, na to, że dotrzyma obietnicy.

Pani Arleta znów uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

— Przyjechał dwudziestego siódmego grudnia, tak jak obiecał. Zostawił na górze torby i przybiegł do kuchni. Czekałam już na niego. „Chodźmy na spacer!”, zawołał i chwycił mnie za rękę. Ledwo pozwolił mi wziąć płaszcz i wyszliśmy na zewnątrz. Przez noc napadało tyle śniegu, że z trudem przez niego brnęliśmy, ale było mi tak dobrze, jak nigdy. „Chciałbym cię narysować”, oświadczył. Zdziwiłam się: „Tak tutaj?”. „Na tle tych wzgórz pokrytych śniegiem. Naszkicuję szybko twój portret. Chciałbym... Chciałbym zachować wspomnienie twojej osoby na dłużej. Pozwól mi”, poprosił. Nagle zrobiłam się nerwowa. „Nie wiem, czy nadam się na modelkę”, wyznałam. Posłał mi bardzo czarujący uśmiech. „Rysuję tylko piękne osoby i rzeczy, a ty... ty jesteś przepiękna”, odpowiedział. Wyprostowałam się i zupełnie spaşowiałam. A on rysował mnie z zacięciem malującym się na twarzy. Był skupiony, a oczy mu błyszczały. Nie odzywał się do mnie, a ja starałam się stać bez ruchu. Pamiętam, jak drętwiały mi palce u stóp, a zimno przeszywało każdą komórkę ciała. Jednak czułam się wyróżniona. Jeszcze nikt nigdy nie rysował mojego portretu! Wiesz, mi się już wtedy wydawało, że się w nim zakochałam. Tak czasami jest, że poznajesz jakąś osobę i lecą iskry. Powietrze naelektryzowane jest od tego, co się między wami dzieje, a potrafi się dziać naprawdę dużo...

Staruszka uśmiechnęła się do swojego gościa. Amelia dołała jej

herbaty najciszej, jak potrafiła, by nie przerwać opowieści.

— Po południu pani Wioletta ku zdziwieniu mojej mamy i siostry, nie mówiąc już o mnie samej, zaproponowała, bym pojawiła się na podwieczorku. Nie lubiła mnie, ale wiedziała, że dobrze śpiewam. Dawniej byłam częścią chóru, no i dodatkowo nie pracowałam już jako ich służąca. Jan zaczął grać na fortepianie, a ja pełną piersią śpiewałam kolędy. Widziałam, że na mnie zerka; ja też spoglądałam w jego stronę. W lichtarzach płonęły świece, w salonie panował półmrok, a nam się wydawało, że jesteśmy tam sami. — Oczy starszej pani znów błyszczały. — Następnego poranka opuściłam dworek i wyszłam na spacer. Nie było już tak mroźno, jak poprzedniego dnia. Pamiętam, że cała nasączona byłam sprzecznymi emocjami. Z jednej strony chciałam stamtąd uciec, a z drugiej pragnęłam zostać. Drażnił mnie snobizm Wioletty, ten spokój na wsi, od którego odwykłam. A z drugiej strony dziwie się czułam, kiedy Jan znajdował się obok. Zadrżałam na samo wspomnienie jego ciała, które osłoniło mnie, kiedy upadłam na ziemię po przygodzie z Narwanym. Z zamyślenia wyrwał mnie czyjś głos. „Jak się czujesz?” To był stajenny, Maciej. Zapewniłam go, że dobrze, i przerażona zapytałam, czy historia z koniem się wydała. „Jeśli ten artysta nie sypnie, to nie”, burknął Maciej. Otuliłam się ciaśniej chustą i zapewniłam, że nie piśnie ani słowa. Maciej zmrużył oczy, a palcami zmierzwił sobie włosy. Przez chwilę mi się przyglądał, a potem rzucił: „Tak sobie pomyślałem, że skoro już tutaj jesteś...” Jęknęłam w duchu. Maciej podkochał się we mnie, odkąd pamiętałam. Lubiłam go, szanowałam, ale nie czułam nic więcej. „Maciek!”, ucięłam krótko. „Dałam ci już odpowiedź. Nie

jestem w stanie się zgodzić. Nie chcę cię zranić...” Spuścił głowę, więc wyciągnęłam w jego kierunku ręce i mocno go przytuliłam. „W takim razie dziękuję za twoją przyjaźń”, powiedział cicho.

Staruszka westchnęła.

— Jak się możesz domyślić, nie mówię o tym bez powodu. Potem dowiedziałam się, że tego samego poranka Jan był na spacerze. Miał zamiar malować pobliskie pejzaże. Kiedy dostrzegł mnie w ramionach Maćka, poczuł ukłucie zazdrości. Mówił mi potem, że emocje burzyły się w nim niczym w gotującym garze. W ogóle dużo później opowiadał o tym, co się dzieje w jego wnętrzu, a ja miałam pewność, że jest ze mną szczery. Otóż odkąd to wszystko zaczęło się między nami dziać, dręczyła go bezsenność. W nocy przekręcał się z boku na bok. Moje pojawienie się w jego życiu odwróciło jego poukładany świat o sto osiemdziesiąt stopni. A ja...

Zawahała się na moment, jakby niepewna, czy Amelia jej uwierzy.

— ...a ja początkowo go unikałam. Jakoś podskórnie czułam, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Przychodziłam do dworu tylko wtedy, kiedy widziałam, że on bierze sztalugi i idzie malować, albo gdy wychodził na spacer. Moje serce biło na samą myśl o tym mężczyźnie, który uratował mi życie i był pełen pasji. Który nie tylko pięknie malował, ale i mówił... I w końcu się zламаłam. Któregoś dnia podczas wspólnego spaceru nie wiadomo jak i dlaczego jego wargi znalazły się stanowczo zbyt blisko moich, jego ramiona objęły mnie w talii. Otuliłam rękoma jego szyję. Zaczęliśmy się całować. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, że on pachnie i smakuje jak łąka. Nie wiem, skąd ta myśl, przecież była zima. Pachniał też jak słońce. Tak

wyobrażałam sobie, że pachnie słońce. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Może byłam tylko jego chwilowym kaprysem? Ale zapewnił mnie, że zbyt mocno mu na mnie zależy, żeby mógł pozwolić mi odejść ze swojego życia. „Wiem, że łączy nas coś więcej. To jest coś metafizycznego. Rzadko między dwojgiem ludzi pojawia się coś takiego”. Nie mogłam uwierzyć w to, co do mnie mówił, zresztą chyba nie do końca go nawet rozumiałam. Może i miałam za sobą szkołę, ale wciąż byłam tylko prostą dziewczyną wychowaną przez służących i wśród służących...

Pokiwała głową w zamyśleniu.

— Spotykaliśmy się niemal do końca moich wolnych dni, które spędzałam w Złotkowie. Oczywiście to były ukradkowe spotkania. Dzielilo nas wszystko. W murze otaczającym posiadłość był poluzowany kamień i pod tym kamieniem zostawialiśmy sobie liściki. To było sobotnie popołudnie. Tego dnia nie miałam na nic ochoty, pół dnia spędziłam w łóżku, ale coś kazało mi iść sprawdzić, czy Janek niczego dla mnie nie zostawił. Podeszłam do muru. Rozejrzałam się nerwowo dookoła. Usiadłam na ławce i nagle usłyszałam jakiś szelest. Śnieg zachrząścił. Wstałam, wsunęłam liścik za stanik i uważając, żeby się nie zdradzić, schowałam się za konarem drzewa. Jakże zaskoczył mnie głos pana Piotra Malinowskiego! Przywitałam się, speszona, a on zapytał: „Czy Arleta już wydobrzała?”. Zapewniłam, że głowa mnie już nie boli. Byłam bardzo zdziwiona. Nie sądziłam, że pan Piotr będzie wiedział, że źle się czułam. Niby skąd? „Świeże powietrze każdemu dobrze robi”, powiedział i zaczął się nerwowo rozglądać. Grzecznie przyznałam mu rację. Nie miałam wprawy w

takich rozmowach o niczym, którym tak chętnie oddawali się wyżej urodzeni. Nagle zza krzaków wyszła Daniela. Zamarła, gdy tylko mnie zobaczyła, a ja wytrzeszczyłam oczy. „Daniela?”, odezwałam się zdziwiona. Moja siostra poczerwieniała, a pan Piotr zaczął przestępować z nogi na nogę. „Panie Piotrze, prosił pan o lemoniadę”, rzuciła Daniela swoim zwykłym tonem służącej. „Niestety, nie mamy w kuchni cytryn. Mogłabym panu zaproponować coś innego”. Mężczyzna odmówił, więc moja siostra tylko skinęła głową, odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę dworku. Coś mi nie pasowało w jej zachowaniu, ale nie wiedziałam jeszcze co. Wieczorem, kiedy leżałyśmy razem na łóżku, poruszyłam temat popołudniowego spotkania. „Jakoś dziwnie się oboje zachowywaliście”, zauważyłam. „Nie, dlaczego?”, zapytała. „Sama nie wiem. Coś było nienaturalnego w waszym zachowaniu”. Daniela tylko wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. „Czy ty jesteś zakochana?”, drażyłam temat. Moja siostra poruszyła się niespokojnie na łóżku, ale się nie odwróciła. „W panu Piotrze?”, naciskałam. „Nie pleć bzdur”, fuknęła, po czym wstała z łóżka. Podeszła do stolika i nalała sobie wody. Wreszcie zdecydowała się na wyznanie. „W panu Janie”, rzuciła krótko. „Miałam nadzieję, że go tam spotkam”. Staralam się nie dać nic po sobie poznać, ale w moim sercu buzowały emocje. Przełknęłam ślinę, ponieważ momentalnie zaschło mi w gardle. „Wiem, że do siebie nie pasujemy”, wybuchnęła Daniela. „Ja jestem tylko prostą służącą, nic nie wiem o wielkim świecie, ale...” Przerwałam jej. „Czy on dał ci w jakiś sposób odczuć, że za tobą szaleje?”, zapytałam. „Od razu szaleje...” Daniela była oburzona. „Dał mi odczuć, że mnie lubi, ale szaleństwem bym

tego nie nazwała. Tyle że patrzy na mnie tak...”

Amelia wpatrywała się w staruszkę szeroko otwartymi oczami. Wydawało się, że ta historia już bardziej interesująca być nie może, a tu taka niespodzianka!

— Poczułam przeraźliwy ból — kontynuowała pani Arleta. — Czyżby Jankowi podobała się też moja siostra? A może tylko się mną bawił? I mną, i nią... I służącymi innych krewnych, które odwiedzał w różnych porach roku? Nie, nie mój Janek. „Jest mnóstwo interesujących mężczyzn”, powiedziałam. Staralam się nie brzmieć oschle, co nie do końca mi się udało. Ale moja siostra nawet tego nie odnotowała. „On jest inny”, zapewniła. „To jego malarstwo, te jego rozmarzone oczy. Wiesz, jakby był nie z tego świata!” Tylko potrząsnęłam głową. Kiedy Daniela zasnęła, wypuściłam powietrze z płuc. Co za zamieszanie! Siostra była moją najbliższą przyjaciółką i to ja chciałam wyjawic jej skrywany sekret. Co mogłam zrobić w takiej sytuacji?

Pani Arleta upiła łyk herbaty i obróciła w dłoniach filiżankę. Wcześniej Amelia z radością zauważyła, że dziś miały się raczyć aromatycznym naparem z kompletu, który podarowała jej wcześniej. Teraz jednak nie zaprzętała sobie tym głowy, zastanawiając się, jak to jest, kiedy w najbliższej ci osobie możesz nagle odkryć rywalkę. Nigdy nie miała siostry, spodziewała się jednak, jakie uczucia mogły miotać zakochaną dziewczyną...

— Spotkałam się z Jankiem o północy w ogrodzie — mówiła staruszka. — Padliśmy sobie w ramiona i zaczęliśmy się całować. Potem cichaczem pod osłoną nocy wyszliśmy z ogrodu. Ruszyliśmy w

stronę lasu, trzymając się za rękę. Tam była chata myśliwska, do której Jan miał klucze. „Tęskniłem za tobą”, wyznał, a ja odpowiedziałam, że także nie mogłam się doczekać schadzki. Księżyc w pełni oświetlał moją twarz, którą Janek ujął w dłonie. „Czy coś się stało?”, zapytał zatroskanym głosem. Nie wiedziałam, czy mogę zapytać go o Daniłę, ale czułam, że jeśli tego nie zrobię, będę szaleć z niepokoju. Postanowiłam zrobić to najłagodniej, nie pytając go wprost o to, czy i z nią spotyka się potajemnie. Zresztą w tamtej chwili zupełnie w to nie wierzyłam. „Daniela się w tobie podkochuje”, powiedziałam na wydechu. „Twoja siostra?” Uśmiechnął się, jakby mu to schlebiało, a ja poczułam, jak zalewa mnie wściekłość.

Amelia zupełnie jej się nie dziwiła. Sama pamiętała, jak reagowała za każdym razem, gdy wyobrażała sobie Alexa, swojego byłego partnera i szansę na poukładane życie, w ramionach praktykantki. Albo Roberta na jej oczach zabawiającego się z jakąś chudą szkapą tej nocy, której uznała, że między nimi definitywnie koniec. I kiedy Marek powiedział jej, że do Złotkowa przyjechała Patrycja...

— „I czemu się tak uśmiechasz?”, rzuciłam gniewnie. „Bo to miłe”, odpowiedział, doprowadzając mnie i do furii, i do rozpacz. Myślałam, że powie coś innego. Że zapewni mnie, że to śmieszne. On jednak był tym faktem podekscytowany! Lód skuł mi serce, do którego wkradła się niepewność. Może jednak byłam i ślepa, i głupia? „Czy... czy ty coś do niej...”, zaczęłam się jąkać, ale on zakrył mi usta pocałunkiem. Kiedy się ode mnie oderwał, powiedział: „Nie, ja tylko coś do ciebie”. I pocałował mnie ponownie, a mi ulżyło. W ten pocałunek włożył tyle uczucia, że wiedziałam, że nikt nie potrafiłby udawać czegoś takiego.

Miałam pewność, że był ze mną szczery. Wiesz, to było takie rozdwojenie, ale spokojne. Było mi smutno, że Daniela podkochuje się w Janku, ale znacznie bardziej cieszyło mnie to, że wybrał mnie, nie zwodził, nie oszukiwał. Był tylko mój.

Amelia pokiwała głową. Chciałaby sama zyskać kiedyś taką pewność... Odsunęła na bok nieprzyjemne myśli, znów dając się porwać czarowi opowieści.

— Dotarliśmy do chaty i weszliśmy do środka. Oboje byliśmy już zmarznięci. Janek rozpałił w kominku, a potem stanął naprzeciwko mnie. Zaczęliśmy się namiętnie całować. Jego ręce błądziły pod moją bluzką. Nagle w pobliżu, na zewnątrz domu, coś trzasnęło. Oderwałam się od Jana. „Co to?”, zapytałam przestraszona. „Nie wiem. Zaczekaj, pójde sprawdzic”. Janek wyszedł na zewnątrz. Wyciągał przed siebie swoje długie nogi. Wtedy nie powiedział mi, że zobaczył na śniegu ślady. Po chwili wrócił do mnie. „To jakiś zwierz”, stwierdził, żeby mnie uspokoić. Dziś już wiem, że to nie był żaden lis czy niedźwiedź. Dowiedziałam się o tym po czasie. Kiedy wychodziłam z pokoju o północy, Daniela obudziła się i ruszyła za mną. Jakże musiała być nieszczęśliwa! Zobaczyła, jak się całujemy, a potem poszła za nami do chaty. Jej serce pękało z żalu. Nie za straconą miłością, choć oczywiście musiała czuć się okropnie, widząc inną kobietę w ramionach wymarzonego mężczyzny, ale ponieważ najdroższa siostra zataiła przed nią prawdę, i to nawet wtedy, gdy ona sama zdecydowała się jej powierzyć własne tęsknoty. Poczula się zdradzona.

Staruszka pokręciła głową, jakby wypominając sobie własną

nieczułość.

— Po latach wyznała mi, co było dalej. Daniela wbiegła do dworu zapłakana. Zdjęła płaszcz i weszła cicho do salonu. Nie wolno jej tam było przebywać o tej porze. Podeszła do barku w poszukiwaniu czegoś mocniejszego. Oczywiście cała służba wiedziała, gdzie państwo trzymają alkohol i którym delektują się najczęściej, więc najszybciej go ubywa. Zdarzało się więc, że można było trochę bezkarnie podprowadzić, tak żeby nikt się nie zorientował — wyjaśniła pani Arleta. — Ale tym razem nie tak to się miało skończyć. Nagle ktoś zapalił lampkę. Daniela wystraszyła się, a zaraz potem zamarła. W fotelu siedział pan Piotr. Od kilku tygodni ją nagabywał, szukał sposobności, aby znaleźć się z nią sam na sam. Starał się przy tym zachowywać, jak na dżentelmena przystało — zaznaczyła. — Choć nie zawsze mu to wychodziło. Wiesz, że w tamtych czasach służąca zazwyczaj nie miała wyboru...

Amelia pokiwała nerwowo głową. To były zupełnie inne czasy, kobiety niezwykle rzadko mogły decydować o własnych ciałach. Dworek był dla nich całym światem, a jeśli w okolicy nie było ich zbyt wielu, na pewno chciały zatrzymać posadę. Praca tutaj była wszak lżejsza niż ta na roli... Zwykle jeśli pan wymagał, pan dostawał; nie prośbą, to groźbą.

— Ale gdy tylko pan Piotr zobaczył, że moja siostra przeprosiny mamrocze przez łyzy, zerwał się z fotela i podszedł do niej. „Nie wiedziałam, że pan... Chciałam się napić wódki... Przepraszam, przepraszam, wiem, że nie powinnam”, chlupała. „Proszę mnie nie odsyłać...”

Spojrzał na nią, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Przez jej koszulę nocną prześwitywały sterczące sutki. Daniela objęła się rękoma i poczuła, jak się czerwieni. „Może przejdziemy gdzieś indziej, w bardziej, hmm, prywatne miejsce, gdzie nikt nie będzie Daniela podejrzewał o próbę wykradzenia czegoś z barku?”, zaproponował pan Piotr. „Na przykład w mojej sypialni na pewno będzie się Daniela mogła wypłakać w spokoju... Tam nikt nie wejdzie”. „A pańska żona?”, głupio zapytała moja siostra. Wszyscy doskonale wiedzieli, że państwo śpią osobno. „Moja żona śpi”. Uśmiechnął się i podał Danieli chusteczkę. Otarła twarz i dała się poprowadzić do sypialni pana Piotra.

Amelia wstrzymała oddech. Oczyma wyobraźni widziała całą tę scenę i straszliwie współczuła Danieli.

— Kiedy znaleźli się w pokoju, usiadła na łóżku. Pan Piotr usiadł obok i ją objął. Omiótł ją wzrokiem, po czym zasypał komplementami. Mówił o jej oczach, włosach, o gibkiej sylwetce... Daniela nigdy nie miała wysokiego poczucia własnej wartości. Całe życie poświęciła pracy we dworze. Nigdzie nie wychodziła. Nie miała kontaktu z rówieśnikami. Nie miała adoratorów, nikt nigdy nie ciągnął jej za warkocze czy nie czał się pod drzewem, by skraść jej całusa, gdy wracała ze sprawunkami. Dlatego nie wiedziała nawet o tym, jak bardzo jest ładna. Założę się, że jej serce podskoczyło na te słowa. Pan nie musiał wcale długo się trudzić. A potem... Potem już wszystko potoczyło się gładko, dokładnie tak, jak to sobie zamierzył. Mocno przysunął się do niej i wziął ją w ramiona. Daniela mimowolnie rozchyliła usta, jakby w pełni poddała się losowi. Chwilę później

leżała naga na łóżku, a właściciel dworku obsypywał pocałunkami jej ciało, które ona wygięła w łuk. Przymknęła oczy i zapewne wyobrażała sobie, że kocha się z Janem. Poddawała się ogarniającemu jej ciało pożądaniu. Słyszała urywany oddech mężczyzny, który tak mocno jej pragnął. Kiedy w nią wchodził, poczuła lekki ból, ale tylko przez chwilę. Potem było jej już dobrze. I przyszło spełnienie, które wstrząsnęło ciałami... Kiedy pan Piotr zasnął, moja siostra zebrała ubrania i wyszła z pokoju.

Staruszka upiła jeszcze trochę herbaty.

— Od tamtej nocy między nami coś się popsuło, choć moja siostra twierdziła, że wszystko jest w porządku. Zaczęła regularnie wymykać się do sypialni pana. Kilkanaście lat później wyjawiała mi, że to dlatego, że przy nim czuła się pożądana i piękna. A pan Malinowski wcale jej nie kochał, chciał tylko dać upust żądzy i odegrać się na pani, która nie dawała mu tego, czego pragnął. Podobno obcowali ze sobą tylko w te dni, które mogły jej dać upragnione dziecko. Jednak przez chwilę Daniela czuła się dla niego ważna. Zachwycona jego względami, pozwoliła się tak traktować — westchnęła pani Arleta. — Obecnie to nie do pomyślenia, prawda? W dobie tych wszystkich emancyfeminizacji... No, na dzisiaj koniec, młoda damo — zwróciła się do Amelii.

Ta siedziała nieruchomo z wypiekami na twarzy.

— To się porobiło — powiedziała cicho, a potem szybko umówiła się na kolejne odwiedziny.

ROZDZIAŁ 26

Wiktoria niekiedy przeczuwała zmiany, zupełnie jakby miała szósty zmysł. Jej mama czasem się śmiała, że za najmłodszych lat nasłuchiwała się tylu bajek Klary o wiedźmach i koboldach, że sama przejęła od nich trochę magii. Niedużo, tyle tylko, by wiedzieć, że zbliża się nowe.

Tak było i tym razem. Kiedy Michał wszedł do domu, zauważyła, że coś jest na rzeczy.

— Mów, bez owijania w bawełnę — zwróciła się do niego.

— Ale co? — Wyraźnie się speszył. Przeniósł wzrok na jej pustą filiżankę po kawie.

— To, co masz mi do powiedzenia.

— Skąd wiesz, że chcę ci coś powiedzieć? — Opadł ciężko na taboret. Ewidentnie grał na zwłokę.

— Znamy się od pół roku. Jesteśmy prawie nierozłączni. Coś się stało? — Była lekko zaniepokojona.

— Stało, nie stało. Po prostu dostałem ofertę pracy. Dobrze płatną... Mógłbym odłożyć na wkład własny na mieszkanie...

— To fantastycznie! — Wiktoria podeszła do niego i zarzuciła mu rękę na szyję.

— Nie tak do końca.

— Dlaczego?

Milczał przez chwilę.

— To praca w Niemczech.

— W Niemczech? — Dziewczyna oderwała się od niego. Z miejsca zeszywniała.

— Mój klient przeprowadził się do Niemiec, ma tam duże zlecenie. I chciałby, żebym na pół roku przyjechał do Hamburga... To tylko pół roku...

— Sześć miesięcy — powiedziała smutno Wiktoria. Zamyśliła się. Spodziewała się nowin, ale nie TAKICH. Od razu zaczęła szukać rozwiązania. — A nie mógłbyś tutaj robić tych wszystkich rzeczy i tam ich wysyłać? Przecież tu masz całkiem dobrze wyposażony warsztat...

Michał westchnął.

— Po pierwsze, potrzebny jestem na miejscu, bo to meble na wymiar, pod zabudowę dla jakiegoś bogacza. Musiałbym tam być, żeby wszystko wymierzyć, przerobić w razie czego. Po drugie nie opłacałoby się wielkich komód czy szaf przewozić z Polski do Niemiec.

— Skoro to bogacz, to chyba pokryłby koszty? — Wiktoria uniosła brwi.

Jej chłopak pokręcił głową.

— Wiesz, dlaczego bogaci ludzie są bogaci?

— Bo są skąpi?

Wiktoria przełknęła ślinę. Zignorowała wielką gulę, która urosła jej w przełyku.

— Powinieneś jechać — powiedziała po chwili krępującej ciszy. Wcale tak nie myślała. Najchętniej powiedziałyby: „nie”, ale od jakiegoś czasu Michał przebąkiwał o własnym mieszkaniu, o rozwoju firmy. To byłaby dla niego szansa. Nie mogła go zatrzymać.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

— Ale... Ja sam nie wiem...

Wiktorია przyłożyła palec do jego ust.

— To dla ciebie szansa. Szansa na rozwój. Szansa na zaistnienie na zagranicznym rynku. Kto wie, co przyniesie los.

— A ty?

Czuła, że serce rwie się jej na strzępy, ale jakoś zdołała się uśmiechnąć.

— Sam mówiłeś, że to tylko pół roku. Poczekam.

Pani Zofia zaprosiła do domu Agnieszkę. Denerwowała się tą rozmową chyba bardziej niż młoda kobieta. Jakoś miała obawy, by zatrudnić nowych pracowników. Na dodatek w zastępstwie za nią! „Cynamonowe Serca” to było jej dziecko. Ale przecież musiała kogoś zatrudnić; do świąt nie będzie mogła pracować na pełnych obrotach, a Amelia może i sprawdzała się w części kawiarnianej, ale do ciast miała chyba dwie lewe ręce.

Babcia Zosia знаła Agnieszkę z widzenia — to córka starej Maciakowej, tej, co to koło krzyża mieszkała — nie miała jednak pojęcia, że taka równa z niej babeczka! Agnieszka spodobała się pani Zofii od pierwszego wejrzenia. „Drobna, rozgadana i wesoła. I widać, że robotna” — pochwaliła ją w myślach.

— Dla mnie nie ma problemu wstawać skoro świt — mówiła Agnieszka. — W razie czego mogę zjawiać się pierwsza, żeby rozczynić ciasto. Od najmłodszych lat byłam przyzwyczajona do wczesnego wstawania. Jeszcze kiedy tatuś żył i mieliśmy gospodarkę, to trzeba było wstawać przed całym Złotkowem.

— Pamiętam, pamiętam — przytaknęła Zofia.

— Piec mnie mamusia nauczyła. Dorabiałam, robiąc ciasta dla domu ludowego w Łomiankach i Zagórnej. Ciasto wyrabiam starymi metodami. Tylko rękoma, trzepaczką, żadnych mikserów.

Starsza pani się uśmiechnęła.

— Na pewno wychodzi puszyste.

— I to jak! — roześmiała się Agnieszka. — Dzisiaj młodzi muszą mieć najlepszy mikser, a i tak to dla nich wyczyn: upiec ciasto.

— Ja też masy i kremy do tortów wyrabiam w glinianej misie. Ucieram masło, śmietanę i cukier drewnianą łyżką.

— Ale co to jest za krem... — Agnieszka westchnęła.

— Widzę, że się rozumiemy.

— To kiedy mogę zaczynać?

— Zaraz?

Wiktoria zasnęła. Biegała po domu jak szalona. Michał spojrzał nią i zaczął się śmiać.

— Trzeba było nie siedzieć do północy, tylko iść spać o dziesiątej.

— Chciałam, ale gadałeś! — Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

Włożyła dzinsy i bluzę z kapturem. Umyła w locie zęby. Chwyła bułkę i wybiegła z domu.

Michała wciąż zadziwiał chaos, jaki ta dziewczyna wprowadziła do jego życia. On lubił mieć wszystko zaplanowane. Był człowiekiem spokojnym. No, ale ponoć przeciwieństwa się przyciągają, a jemu było z nią tak dobrze...

Wiktoria biegła do kawiarni przez zaspy. Kleła przy tym pod nosem, na czym świat stoi, że dom matki Michała stoi na skraju

miasteczka i nikt tutaj nie odśnieża.

Kiedy dotarła do „Cynamonowych Serc”, była już cała mokra. Do kolan od śniegu, a po plecach spływały jej strużki potu. Na szczęście miała w szafce ciuchy na zmianę. Przebrała się i ruszyła do ekspresu.

— Wyglądasz na wczorajszą — odezwała się Kaśka.

— Nic do mnie nie mów, póki nie dostarczę sobie solidnej dawki kofeiny.

— Ja już po drugiej kawusi. Czytałam wczoraj fajny kryminał i potem zasnąć nie mogłam.

— A ja gadałam z Michałem, a potem... — Wiktoria roześmiała się.

— Może nie kończ...

— Człowiek całe życie się spieszy...

Wiktoria rozejrzała się po kuchni i od razu wstawiła do piekarnika ciasteczka przygotowane przez Kaśkę.

— A ja wam powiem, że na starość zmądrzałam — odezwała się pani Zofia. Właśnie, kuśtykając, weszła na zaplecze, niosąc paterę z udekorowanym ciastem. — Nie spieszę się.

— A co pani robi? — Kaśka wyjęła jej z rąk paterę i postawiła ją na ladzie.

— Pieprzę to! — Pani Zofia zachichotała. Dziewczyny popatrzyły po sobie i też się roześmiały. Nie spodziewały się po babci Zosi takich słów.

— Kochane, przepraszam za wyrażenie — zmitygowała się właścicielka kawiarni. — Ale lepiej to głośno powiedzieć. Pieprzyć pośpiech. Lepiej żyć sobie w spokoju, leniwie, niepospiesznie. Czy ten, który całe życie się spieszy, ma więcej od tego, który żył na luzie?

Otóż, moje panie, odkryłam to z wiekiem i powiem wam, że nie. Weźcie sobie do serca gderanie starszej pani i bądźcie mądrzejsze, niż ja byłam.

— A dlaczego dzisiaj znów pani przyszła do kawiarni? — Wiktoria podstawiała starszej kobiecie stołek, aby ta mogła na nim usiąść. — Tak nam pani nie ufa, pani Zosiu?

Staruszka uśmiechnęła się łobuzersko.

— Przyszłam, bo nie mogę bez niej i was żyć. A z nogą jest już lepiej.

— Lekarz zalecił pani odpoczynek.

— Toż dlatego wpadłam tylko na kilka minut, nawdychać się aromatu ciast, żeby mi na jakiś czas starczyło.

— Z pani to jest numer! — zaśmiała się Kaśka.

Pani Zofia rozejrzała się konspiracyjnie i zniżyła głos.

— Jak Agnieszka?

Nowa pracownica przychodziła do „Cynamonowych Serc” od czterech dni. Dziewczyny z miejsca ją polubiły.

— Pani Zosieńko, właściwa osoba na właściwym miejscu — zapewniła ją Wiktoria. Chciała jeszcze coś dodać, ale Agnieszka właśnie weszła na zaplecze i przywitała je wesołym „dzień dobry”. Najmłodsza z kobiet spojrzała na zegarek.

— Jesteś przed czasem — zauważyła. Ustaliły, że Kaśka i Wiktoria będą przychodziły na poranną zmianę, choć nowa pracownica zdawała się nie mieć nic przeciwko otwieraniu „Cynamonowych Serc”. Zdecydowały jednak, że skoro Agnieszka ma dzieci, które musi wyprawić do przedszkola i szkoły, będzie przychodziła później i dłużej

zostawała.

— Wolę tak niż się spóźniać! — Agnieszka zdjęła kurtkę i umyła ręce.

— Ty w ogóle jesteś naszą mistrzynią. — Kasia nabijała rurki kremem.

Agnieszka była mamą czwórki dzieci, żoną, gospodynią. Dodatkowo zaczęła pracę w „Cynamonowych Sercach”. Młodsze koleżanki czasem nie mogły uwierzyć, że zostaje jej czas jeszcze na cokolwiek innego.

— Jak ty to wszystko ogarniasz? — zapytała ją teraz Kasia.

Agnieszka roześmiała się.

— Czasami nie ogarniam. Nazywam takie dni moimi dniami przetrwania. Byle tylko wytrwać do wieczora, a potem to już z górki.

— Ja się boję, że wkrótce będę miała codziennie takie dni przetrwania. — Do rozmowy włączyła się Miśka, która weszła na zaplecze.

Nowa pracownica posłała jej krzepiące spojrzenie.

— Gwarantuję ci, że nie wszystkie... ale większość.

Wybuchnęły śmiechem.

— Ale bez dzieci byłoby jakoś smutniej. Wszystko, co dajemy naszym dzieciom, wróci do nas. I ta miłość, i uwaga, jaką teraz im poświęcamy, też wróci.

— Raz już to przeżyłam. — Michalina spojrzała na swój lekko zaokrąglony brzuch, myśląc o Bartku.

— Za drugim razem będzie łatwiej — zapewniła ją Agnieszka. — Za kolejnym jeszcze łatwiej. A potem to już z górki. Każde kolejne dziecko to mniej stresu. Inne podejście. To pierwsze jest takie

wychuchane, wydmuchane. Potem wrzucamy na luz.

Miśka nie mogła się już doczekać rozwiązania. Tych małych rączek, słodkich stópek. Tych paluszków odbitych na szybie. Pierwszych kroczków, uśmiechu specjalnie dla niej. Pamiętała doskonale czasy, kiedy jej brat był małym brzdącem i wykopywał dżdżownice, wrzucał kamyczki do studzienki kanalizacyjnej. Kiedyś jego małe rączki czule ją obejmowały. A teraz? Teraz to już nawet nie chce dawać jej buziaków.

Agnieszka wyrabiała ciasto drożdżowe, a Michalina patrzyła na nią z podziwem. To była matka czwórki dzieci. Zaczytana, gotująca. Odrabiająca z maluchami lekcje. Odprowadzająca na szkolny autobus. Sadząca kwiaty i pomidory w swoim ogródku. Szyjąca po nocach kocyki. Robiąca własnoręcznie szafę i pamiętniki dzieci ze wspomnieniami... i setki, tysiące, miliony innych rzeczy. I Michalina pomyślała nagle, że takim kobietom należą się pomniki. Matkom Polkom na etatach i tym na macierzyńskim.

Odkąd Zofia zatrudniła Agnieszkę, dziewczyny nie mogły się nagadać. Może dlatego że Agnieszka, piętnaście lat starsza od Wiktorii i Kaśki, była dla nich pewnego rodzaju mentorką. Lubiły słuchać jej opowieści, kiedy miesiły ciasto lub sprzątały stoliki.

A Agnieszka lubiła gadać.

— Pamiętacie, jak chciałyście być dorosłe? — zapytała pewnego razu Kaśka, ustawiając kawałki ciast na paterze.

— A tą dorosłością, dziewczyny, się jeszcze najecie tak, że wam zbrzydnie.

— I zakrztusić się nią można.

W drzwiach zadźwięczał dzwoneczek, który oznajmiał przyście klienta. Pracownicy odwróciły się. Do kawiarni weszła kobieta w króciutkim futerku w panterkę, długich kozakach i pasku zasłaniającym jej pośladki, który udawał spódniczkę. Obsłużyły ją, a kiedy wyszła, Kaśka pokręciła głową.

— Piękna — stwierdziła. — I nie musiałyby się tak obnażać. Zwłaszcza przy minus piętnastu...

— Widocznie tak jej się podoba. — Agnieszka sięgnęła po ścierkę i starła ladę.

— Niektóre lubią eksponować w ten sposób swoją kobiecość. — Wiktoria ugryzła ciastko.

— Kiedyś też lubiłam eksponować swoje wdzięki — zadumała się Agnieszka. — Ale dojrzałam. Nosiłam przykrótkie bluzki, minispódniczki, obcisłe spodnie, szpilki. Dzięki temu czułam się kobietą. Nie mówię, że to głupie. Dzisiaj się uśmiecham do tamtej dawnej mnie. Teraz nie muszę nic potwierdzać, odsłaniać brzucha czy nóg. No dobrze, zresztą nogi już nie te! — zaśmiała się. — I brzuch też nie ten. Ale przecież kobiecość to coś więcej. Kojarzy mi się z pierwiastkiem intelektualnym, duchowym. Nie obnoszę się z nią, bo wiem, ile jestem warta. I każda zmarszczka przybliżyła mnie do pełni mojej kobiecości. I te szramy po cesarce na brzuchu czy rozstępy też są moją kobiecością. Są znakami miłości. Naznaczonej ciężami macierzyńskiej miłości. Wszystko się zmienia w nas i wokół nas. I nasza kobiecość też ewoluuje. Teraz jest już inna. A za dziesięć, dwadzieścia lat będzie jeszcze inna.

To był ciężki dzień. Ruch w kawiarni panował spory. Kasia

skończyła pracę o szesnastej, a Wiktoria została z Agnieszką do osiemnastej.

Kiedy zamykały „Cynamonowe Serca”, Wiktoria dostała esemesa. W jednej chwili posmutniała. Michał zdecydował się przyjąć ofertę pracy i zapowiedział, że koniecznie muszą o wszystkim porozmawiać w domu.

— Co się stało? — zapytała Agnieszka.

— Mój chłopak wyjeżdża na pół roku do Niemiec.

— To jeszcze nie koniec świata.

— Niby nie. — Wiktoria wzruszyła ramionami. — Ale wiesz, jak jest ze związkami na odległość.

Agnieszka podeszła do niej i położyła jej rękę na plecach.

— Napijemy się herbaty i chwilę pogadamy?

— Na pewno chciałabyś iść do dzieci...

— Moje dzieci mają jeszcze ojca, który dzisiaj przypadkiem zadeklarował, że zabierze je do kina. Pogadajmy.

Nastawiła czajnik. Już po chwili siedziały naprzeciwko siebie i zajadały ciasto.

— Poznałam go w liceum. Ale od początku. — Kobieta zacisnęła dłoń na gorącym kubku. — Słuchałam wtedy Metalliki i Hey. Chodziłam z przyjaciółkami do kina. Za budynkiem szkoły zapaliłam swojego pierwszego papierosa. W wieku siedemnastu lat pierwszy raz się upiłam, tanim winem, które kupiła moja przyjaciółka. Pamiętam, jak bardzo bałam się wrócić do domu. Mimo że byłam na rauszu, odczuwałam strach przed ojcowskim paskiem. I zamiast wracać do domu, poszłyśmy do pubu... żeby wytrzeźwieć. Nie śmieję się, wiem,

jak to brzmi! — Pogroziła Wiktorii palcem, kiedy ta zaczęła chichotać. — Po prostu tam zamierzałyśmy za ostatnie pieniądze kupić herbatę. I wtedy go zobaczyłam. Mateusz stał przy barze z kolegami. Mój świat zawirował, sama nie wiedziałam, czy dlatego, że spotkałam tego jedyne, czy dlatego, że od taniego słodkiego wina robiło mi się coraz bardziej niedobrze. Uśmiechałam się do niego głupkowato. Ula, moja przyjaciółka, walnęła mnie w bok. „Co ty wyprawiasz?”, syknęła. „Robisz z siebie pajaca”. „To on”, odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby. „Jaki on?” „Chłopak z moich snów”, oświadczyłam z niezbitym przekonaniem. „Nie zamawiaj tej herbaty, tylko weź jedno piwo na spółkę”, poprosiłam. Ulka stwierdziła, że zamówić może, ale sama pić nie będzie, bo ma zdecydowanie dość alkoholu na ten dzień. Ja w sumie też już przekroczyłam wszelkie granice, ale kiedy zobaczyłam tego chłopaka, wiedziałam, że muszę dodać sobie odwagi. Poprosiłam ją więc, żeby zamówiła tylko dla mnie. „Jesteśmy już wstawione”, stwierdziła rzeczowo Ulka, ale naciskałam. Zamówiłyśmy jedno ciemne piwo. Byłam więcej niż wstawiona, ale wiedziałam, że to moja szansa. Przestałam się wstydzić. Wstałam od stołu i ruszyłam pewnym krokiem w stronę mojego wymarzonego chłopaka. A przynajmniej tak mi się wydawało, że szłam prosto ku niemu; tak naprawdę wędrowałam zygzakiem. I nagle padłam jak długa tuż pod nogi Mateusza.

Wiktorii zaczęła się śmiać.

— I co dalej?

— Podniósł mnie, ocucił, zaprowadził do łazienki. Wsadził głowę pod kran z zimną wodą. Jakoś doszłam do siebie. Po dwóch godzinach

odprowadził mnie z Ulą pod dom. Na szczęście rodzice już spali. I tak zaczęła się nasza historia. Przyznasz, że początek nie był zbyt romantyczny. — Agnieszka puściła do niej oko. — Byliśmy nierozłączni do momentu, kiedy po skończeniu liceum wyjechał z ojcem na rok do Belgii.

— A ty?

— A ja czekałam. I opłacało się czekać. Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem od jedenastu lat. Zanim cokolwiek skreślisz czy choć postawisz nad tym znak zapytania, pomyśl, że związek zawsze może się rozpaść nawet tutaj, na miejscu. Musisz wierzyć, że wszystko się jakoś ułoży.

Wiktoria zamyśliła się i w milczeniu dopiła herbatę. „Tylko że Agnieszka jest niesamowicie silną babką” — pomyślała. „Czy ja odnajdę w sobie tyle determinacji? I czy kiedy Michał wróci, jeszcze będzie mnie chciał?”

ROZDZIAŁ 27

Już dwa miesiące wcześniej Amelia i Michalina zaplanowały, że Wigilię spędzą razem.

— Miśka, a gdybym zabrała ze sobą na Wigilię jedną starszą panią, czy nie byłoby to dla ciebie problemem? — zapytała przez telefon Amelia.

— Nie, no co ty. Im nas więcej, tym ciekawiej. A przecież tego dnia nikt nie powinien być sam! Co to za pani?

— Arleta.

— Widzę, że historia dworu pochłonięła cię bez reszty.

Przyjaciółka regularnie zdawała Miśce krótkie relacje ze swoich wizyt w domu opieki.

— Fascynuje mnie to miejsce; ta historia. Muszę ci o wszystkim dokładnie opowiedzieć, ale na razie lecę na przystanek autobusowy.

— Czyżby znów w odwiedziny do starszej pani?

Staruszka czekała na nią od rana; od razu zaczęła opowiadać, jakby sama nie mogła się doczekać, aż wyrzuci z siebie słowa. „Dziś już mało kto potrafi tak słuchać” — pomyślała i popatrzyła na gościa z wdzięcznością. Będzie jej musiała później podziękować, że na ten krótki czas przywróciła jej młodość. I pomogła uporządkować to i owo.

— Spotkaliśmy się ponownie późnym wieczorem w bibliotece — powiedziała. — Wcześniej Janek wręczył mi liścik. Byłam tak podekscytowana, że myślałam, że nie dojdę do biblioteki; skradałam

się na piętro jak kot. Kiedy tam weszłam, zobaczyłam, jak stoi oparty o jedną z półek. Podłoga zatrzeszczała, a on się odwrócił. Uśmiechnął się, ja zaś zamknęłam drzwi. Podeszłam w jego stronę. Odgarnął włosy z mojego policzka. „Jesteś”, powiedział cichym, zachrypniętym głosem. „Jestem”, potwierdziłam. Nagle dzieliły nas od siebie zaledwie centymetry. Chwycił moje dłonie w swoje ręce. Po chwili mnie puścił i mocno przytulił. Byliśmy ze sobą naprawdę blisko. Niczego wtedy tak nie pragnęłam, jak tego, by mnie rozebrał. Zaczęliśmy się całować, jego dłonie dotykały przez materiał bluzki moich piersi. Żaden mężczyzna nie dotykał mnie w taki sposób. Jęknęłam, a on wciąż mnie całował. Po kilku chwilach zapytał, czy chcę, żeby przestał. Niemal błagałam go, by tego nie robił. I nagle usłyszeliśmy za sobą krzyk: „Jan! Arleta!”. To była pani Malinowska, która stanęła jak wryta w drzwiach biblioteki. Odskoczyłam od ukochanego, jakby parzył, bo faktycznie nasze ciała były rozgrzane do czerwoności. Janek zachował zimną krew. „Cioteczko, co ty tu robisz o tak późnej porze?”, zapytał niewinnie. Pani Wioletta zamykała i otwierała usta niczym karp, którego wyciągnięto z wody. „Co wy tu robicie?!”, chciała wiedzieć. Nie kryła złości. „Chcieliśmy poczytać”, skłamał Janek, ale to rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. „Przestań!”, ryknęła. „Przestań!” Podeszła do Jana i wymierzyła mu policzek. Ja stałam jak osłupiała, a on tylko się drwiąco uśmiechał, choć na twarzy miał czerwony ślad od uderzenia. Spuściłam głowę. „Pójdę już”, rzuciłam. Myślałam, że spłonę ze wstydu. „Dlaczego przyjechałeś sam?”, zapytała głośno pani Malinowska. „Gdzie jest Barbara?”, dodała, wyraźnie akcentując każde słowo. Byłam pewna, że zależało jej na tym, żebym usłyszała

odpowiedź na to pytanie. Przystanąłam na moment. Kim jest Barbara? Zaniepokoiłam się. A ponieważ mój ukochany nie kwapił się do odpowiedzi, to pani Wioletta mi jej udzieliła. „Barbara to żona Jana”, wyjaśniła. „On lubi bez niej podróżować i zabawiać się z pokojówkami”... Umyślnie podkreśliła słowo „pokojówkami”, choć doskonale wiedziała, że już od dawna nie jestem służącą, ani u niej, ani nigdzie — zaznaczyła pani Arleta.

Amelia nerwowo przełknęła ślinę. „Czy mężczyźni zawsze i wszędzie muszą być tacy sami?” — pomyślała smutno.

— Myślałam, że zwymiotuję. Szybkim krokiem wyszłam z pokoju. Jak on mógł mi to zrobić? Jak mógł? Wydawał się taki inny! Mówił, że to ze mną chciałby spędzić życie... A tak naprawdę dzielił je już z inną kobietą! „Arleta, poczekaj!”, usłyszałam za sobą. Jan ruszył w moją stronę, ale ciotka go zatrzymała. „Pozwól jej odejść. Teraz jest najgorszy czas na wyjaśnianie czegokolwiek. Poza tym... naprawdę? Wyjaśniać coś zwykłej dziewczce, z którą w zasadzie nie łączy cię nic prócz, khem, zabawy?” Jan słyszał tylko tupot moich nóg po schodach. Odwrócił się do niej i zmrużył oczy. „Dlaczego jesteś taka?”, zapytał z bólem i złością w głosie. Między nimi było tylko dziewięć lat różnicy. Janek nie utrzymywał z panią Malinowską zbyt zażyłych kontaktów, rzadko się widywali, bo pani Wioletta ze swoim stryjecznym bratem widywała się rzadko. Dopiero w tym roku jego syn przyjechał w odwiedziny i jak sam twierdził, nie żałował przyjazdu. Ale ona nie zamierzała odpuścić. „Czyś ty postradał zmysły, żeby obłapiać tę dziewczuchę? Jeszcze zrozumiałabym, jakby to była jakaś kobieta z naszych sfer, a nie...” „Praktycznie nie ma już naszych i innych sfer,

ciociu”, przerwał jej. „Tamte czasy mamy już za sobą. Poza tym, jak rozumiem, nie przeszkadzałby ci sam romans, ale tylko różnice klasowe?”, zakpił. Wioletta wydeła wargi. Przysunęła się bliżej. „Śliczny z ciebie mężczyzna; za śliczny. Zobaczysz, do czego doprowadzi cię to twoje pożądanie...” „Zazdrościsz mi, bo sama masz nudne życie”, zripostował. Janek wyminął ciotkę i opuścił bibliotekę. Wziął płaszcz, wyszedł do ogrodu i usiadł na ławce. Powietrze z niego uleciało. Czuł się wyczerpany.

Amelia przygryzła wargi. Było jej smutno, że tak pięknie się zapowiadająca historia miłosna miała taki smutny koniec. A przynajmniej tak jej się wydawało, że do tego zmierza jej rozmówczyni.

— Następnego dnia się spakowałam. Wyjaśniłam mamie, że muszę wracać do Warszawy. Kiedy schodziłam po schodach z walizką, natknęłam się na Jana. Złapał mnie za rękę. „Puszczaj”, syknęłam. Nie chciałam, żeby ktokolwiek nas razem zobaczył. „Puszczaj!”, powtórzyłam. „Pozwól mi wytłumaczyć”, błagał. „Tutaj nie ma co tłumaczyć. Jesteś żonaty!”, nieomal krzyczałam. Byłam na niego wściekła. W mostku mnie paliło, a moje serce rozsypało się na milion kawałeczków. Próbował coś dodać, ale tylko go wyminęłam i poszłam dalej.

Pani Arleta na moment zamilkła, jakby zatopiła się we wspomnieniach tamtych emocji i zapomniała o gościu. Kiedy cisza się przedłużała, Amelia odważyła się dopomnieć o ciąg dalszy:

— I co było dalej? Czy w ogóle było jakieś dalej?

Staruszka posłała jej zagadkowy uśmiech.

— Było. Wiesz, los bywa przekorny... albo i nie. A może bywa dla nas niekiedy łaskawy?

Amelia spojrzała na nią. Wiedziała, że choć miała wrażenie, że dopiero przyszła, na dzisiaj koniec opowieści. Starsza kobieta wyglądała na bardzo, bardzo słabą tego dnia. Nie mogła jej męczyć. Ułożyła jej poduszki i pomogła przejść do łóżka, a następnie się pożegnała.

Wiedziała już, że nie otworzy żadnego spa. Spa zabiłoby klimat tego miejsca. Otworzy tam galerię, nie taką handlową, bo i co to za galeria, ale taką prawdziwą, gdzie będą się odbywały wystawy. A Miśka będzie mogła sprzedawać tam swoje anioły. Amelia zleci namalowanie kilku obrazów, na których znajdą się ten stary dworek i bieszczadzkie panoramy. Do Złotkowa zjeżdżało coraz więcej ludzi, w tym zagranicznych turystów, a takie miejsce na pewno ich zainteresuje. Dobra promocja to podstawa, na tym zaś w sieci kawiarni zjadła zęby.

ROZDZIAŁ 28

Powietrze na zewnątrz było mroźne. Na zachodzie popołudniowe niebo zdawało się utkane z czerwono-złotych nici, które spływały ostatnim blaskiem na szczyty gór. Okrągły księżyc pokazał się już po przeciwnej stronie. Michalina zamknęła okno i zasunęła rolety. Tego dnia nie czuła się zbyt dobrze. Postanowiła się na chwilę położyć. Kiedy doszła do pokoju brata, przez półotwarte drzwi zobaczyła go, jak siedzi po turecku na podłodze i czyta książkę o kosmosie, którą podarował mu Przemek. Na twarzy miał wypieki. Michalinę wzruszył ten widok. Cieszyła się, że chłopiec tak bardzo lubi czytać. Nie wszystkie dzieciaki w jego wieku chętnie łapią za książki. Poczuli, że serce jej rośnie. Poszła do swojej sypialni i położyła się.

Musiała przysnąć, bo gdy się obudziła, było już ciemno. Coś było nie tak. W dole brzucha poczuła skurcz. Dotknęła ręką wnętrza uda. Na palcach poczuła ciepłą ciecz. Krew? Zerwała się na równe nogi i pobiegła do łazienki. Plamiła.

„Nie! Tylko nie to!”

Ogarnęła ją panika. Nogi i ręce zaczęły jej się trząść.

— Nie, proszę, nie! — powtarzała pod nosem.

Pobiegła po schodach do pokoju Przemka i bez pukania weszła do środka.

— Krwawie! — krzyknęła.

Przemek podniósł się na łóżku.

— Co się stało? — Przetarł zaspane oczy.

— Krwawie! — Po policzkach Michaliny poleciały łzy.

— Jedziemy do szpitala. — Przemek momentalnie wyskoczył spod kołdry. Jedną ręką wciągał spodnie, a drugą szukał po omacku kluczyków do samochodu. Michalina w tym czasie powoli zeszła na dół, włożyła kurtkę i buty.

W szpitalu znaleźli się kilkanaście minut później.

— Z dzieckiem wszystko w porządku — uspokoiła ich pani doktor. — Takie plamienia się zdarzają, i to na różnych etapach ciąży. Wiążą się ze zmianami zachodzącymi w organizmie. Ale to normalne, że każde wywołuje spory niepokój. Dobrze, że pani do nas przyjechała. — Pani doktor skończyła badanie. Usiadły przy biurku. — Plamienie w ciąży przybiera różne barwy — kontynuowała, żeby w pełni uspokoić przyszlą mamę. — Może być zarówno brązowe, jak i czerwone. Gdy jest skąpe i nie towarzyszą mu żadne inne niepokojące objawy, to prawdopodobnie nie dzieje się nic złego. Czasami wywołuje je zwykłe zmęczenie. Lekarze zalecają wówczas pacjentkom więcej odpoczynku, dłuższy sen i unikanie stresu.

— A w moim wypadku? — Michalina patrzyła przerażonym wzrokiem na ginekolożkę.

— Proszę odpoczywać, a wszystko będzie dobrze.

Kiedy Michalina i Przemek wyszli na szpitalny korytarz, padli sobie w ramiona. Długo tulili się do siebie, uspokojeni, że małejstwu nic nie grozi.

To było wczoraj, a dzisiaj Michalina miała wrażenie, że Przemek ponownie trzymał ją na dystans. Nalała sobie filiżankę herbaty i

ukroiła kromkę chleba, którą posmarowała grubą warstwą dżemu. Jednak nawet jej nie tknęła; jakoś nie chciało jej się jeść. Wspominała to cudowne uczucie, które rozlało się po jej ciele, kiedy znalazła się w ramionach Przemka. Przez moment wydawało jej się, że ich ciała doskonale do siebie pasują, mimo jej lekko zaokrąglonego brzucha; jakby byli jednym ciałem. Gdy z kolei dziś chciała pocałować Przemka w policzek, ten się od niej odsunął. Starła się go rozumieć, bo w końcu to ona go skrzywdziła, ale mimo wszystko czuła się urażona. A może on rzeczywiście już nic do niej nie czuje? Może to nie była tylko tarcza, żeby się nie sparzyć? Może naprawdę chce tylko pomóc jej wychowywać dziecko, a z nią nie chce mieć nic wspólnego? Na pewno polubił Bartka, co bardzo ją cieszyło, ale co czuł do niej? Nic? Raz wydawało jej się, że jest w niej zakochany, innym razem ją wyraźnie odpychał. Może nie chciał, by ona ponownie go zraniła? Ludzie boją się odrzucenia i bólu, jaki może zadać im druga osoba.

Do kuchni weszła babcia Zofia. Odkąd zatrudniła Agnieszkę, miała więcej wolnego, i tego dnia wpadła (no dobrze, przykuśtykała) do pensjonatu, aby pomóc wnuczce.

— Cześć! — Otrzepała buty ze śniegu i powiesiła płaszcz na wieszaku.

— Cześć. Co tam?

— Stara bida. — Zofia roztarła skostniałe palce i usiadła na taborecie obok wnuczki.

— Dobrze, że nie nowa.

Roześmiały się.

— Czemu nic nie jesz?

— Jakoś nie mogę niczego przełknąć.

— Kochanie... — Zofia dotknęła policzka wnuczki. — Z dzieckiem wszystko w porządku. Musisz jeść, żeby mieć siłę na to wszystko.

— Wiem. — Michalina uśmiechnęła się przez łzy. Jej serce zwawiej zabiło.

„To przez hormony mam takie huśtawki nastrojów” — pomyślała.

— Więc o co chodzi?

— O Przemka — zniżyła głos.

— Jest tu z tobą. Wczoraj bardzo się zaniepokoił.

— Jest przy mnie, ale...

— A co myślałaś, że będzie skakał wokół ciebie jak jakiś wytresowany piesek i zebrał o odrobinę uczucia?

— No nie. Ale czasami mi się wydaje, że chciałby być ze mną, innym razem, że wręcz wolałby, żeby tego dziecka nie było... — Michalina czuła, jak smutek rozlewa się po wnętrzu jej ciała. Wiedziała, że przesadza, bo Przemek ani przez chwilę nawet spojrzeniem nie sugerował, że nie chciałby zostać ojcem. Wręcz przeciwnie. — Wczoraj mnie przytulił, a dzisiaj... Prawie mnie odepchnął!

— Daj mu trochę czasu... — Babcia Zofia westchnęła.

— Wiem, że powinnam. Tylko że... — Miśka skubała chleb.

— To ty całowałaś się z Arturem — przypomniała łagodnie staruszka. — Nadszarpniętego zaufania nie można odbudować jednego wieczoru. To wymaga czasu i...

— Babciu, daj spokój.

— Co „babciu”? Co „babciu”? — obruszyła się właścicielka

kawiarni. — I tak powinnaś cię cieszyć, że do ciebie wrócił. Czas potrafi dużo zmienić. A teraz wracaj do łóżka. Ja się tu wszystkim zajmę.

— A goście? A pensjonat?

— Przez kilka dni tylko leżysz i pachniesz.

Wnuczka posłała jej słaby uśmiech.

— Skoro o pachnieniu mowa, to wezmę prysznic.

Babcia zrobiła kilka wdechów i wydechów, jakby intensywnie coś wachała.

— Masz rację, prysznic wskazany.

Michalina poszła do łazienki, a po kilkunastu minutach włożyła świeżą piżamę i wskoczyła do łóżka. Wyciągnęła się i z przyjemnością nakryła puchową kołdrą. Woda w kaloryferze zabulgotała. Babcia Zofia przyniosła tacę z herbatą, dwa rogaliki, sok pomarańczowy, kilka plasterków wędliny i kiszone ogórki.

— Nawet nie wiesz, jak o nich marzyłam!

— Masz to po mnie i po twojej mamie. Kiedy byłyśmy w ciąży, ciągnęło nas do kwaśnych rzeczy.

Po śniadaniu Michalina przysnęła. Gdy się obudziła, ponownie się przeciągnęła. Czuła się naładowana energią. Tego jej było trzeba. Snu, spokoju, wypoczynku i bezwarunkowej miłości babci.

— Musisz odpocząć — powiedział stanowczo Przemek przy obiedzie, który tym razem on serwował. Pani Zofia wcześniej upiekła mięso, a on ugotował ziemniaki i zrobił surówkę.

— Ale mam gości. Pensjonat... — zaprotestowała Miśka. — Nie mogę wymagać od babci, że będzie mnie wyręczać. Sama powinna

trochę odpocząć i nie obciążać nogi.

— Zajmę się tym.

— Ty? — Michalina omal nie spadła z krzesła.

— Ja. Co w tym dziwnego?

— Tylko że... — Michalina pokręciła głową.

— Twoja babcia pomoże mi tylko w gotowaniu. Z resztą sobie poradzę.

— Ale miałeś przecież wracać do pracy i wrócić dopiero na święta?

— Wziąłem bezpłatny urlop.

— Czyli zamierzasz siedzieć na moim garnuszku?

Oboje się roześmieli.

— Wypraszam to sobie. — Przemek zrobił groźną minę. — Od dzisiaj jestem twoim pracownikiem, a wszelkie zniewagi uznam za mobbing.

W środowy poranek Michalina leżała w łóżku, Przemek poszedł odprowadzić Bartka do szkoły, a potem miał jechać na zakupy. W pewnym momencie Miśka usłyszała jakąś krzątaninę. Brzdęk naczyń, kobiecy głos, przekleństwo. Wstała z łóżka.

— Halo? — zawołała w kierunku kuchni.

— To ja. — Amelia stanęła przed nią z podkasanymi rękawami.

— Co ty tu robisz?

Była zdziwiona odwiedzinami przyjaciółki. Oczywiście już rozmawiały przez telefon i Amelia wiedziała o wizycie w szpitalu, ale nie sądziła, że ta zjawi się w jej domu i zacznie... No właśnie, co robić? Sprzątać?

— A ty? — Amelia zrewanżowała jej się pytaniem. — Co tu tak

stoisz?

— To mój dom.

— Miałaś leżeć. — Przyjaciółka podparła się pod boki.

— Odpowiesz na moje pytanie?

— Przyszłam tutaj ogarnąć i zrobić ci śniadanie do łóżka. Zrobiłam też kanapki dla tego małżeństwa, które dzisiaj wybrało się na wycieczkę. Mają wrócić dopiero na obiad. Przemili ludzie i...

— Ale nic mi nie jest! Poza tym Przemek i babcia mi pomagają.

— Pomocy nigdy dość. Przemek na zakupach, pani Zofia pokuśtykała do kawiarni, bo przecież nie może odpuścić. Goście wracają o trzynastej, a w pensjonacie bajzel.

Miśka zignorowała ostatnią uwagę.

— Sama pokuśtykała?

— Wsparta o ramię Wincentego. Całą drogę się kłócili.

— Jak oni się kochają... — rozmarzyła się Michalina.

— Kto się czubi, ten się lubi — zgodziła się Amelia.

— Kochana, doceniam twoją pomoc, ale...

— Skoro doceniasz, to zmykaj do łóżka, zaraz coś przygotuję. A potem odkurzę.

— Widzę, że czujesz się jak u siebie. — Michalina zauważyła, że druga z kobiet zamiast dzinsów i eleganckiej bluzki ma na sobie dres.

— Każdy musi mieć takie miejsce i taką osobę, przy której będzie czuł się swobodnie. Przy której będzie mógł pomykać w gaciach.

— I padło na mnie?

— Toż to zaszczyt!

Zaśmiały się, po czym Amelia wróciła w kuchni, a Miśka wskoczyła

do łóżka.

„Życ, nie umierać” — pomyślała. „I tylko zachodzić w ciążę”.

Lepszej opieki nie mogła sobie wymarzyć. Są tacy ludzie, którzy wiedzą, kiedy przyjść. Przekraczają próg twojego domu i sprawiają, że dzień staje się cieplejszy, choć za oknem jest tak zimno, że czasami tracisz nadzieję na powrót lata. A tutaj w mroźny, grudniowy poranek takim ciepłem powiewa.

Miśka z uśmiechem na twarzy i radością w sercu patrzyła na krzątającą się Amelię, która nuciła sobie coś pod nosem. Weszła do jej pokoju i postawiła przed nią tacę z talerzami.

— Mhm... — Michalina spojrzała na naleśniki z serem, sok pomarańczowy, dwa tosty i twarożek. Czowała się obsłużona jak królowa.

— Zobaczysz obiad. Będzie pożywnie, tłusto, czosnkowo, warzywnie i bekonowo — rzuciła przez ramię Amelia. — Goście ci padną z wrażenia.

— A co zrobisz?

— Takie makaronowe coś. Zaufaj mi, posmakuje ci.

Przyjaciółka odkurzyła cały dom, zrobiła pranie i przebrała pościele w pokojach dla gości. Potem wrócił Przemek; pościerał kurze i odpisał na maile. I idealną herbatę zrobił, choć Miśka była w tej kwestii bardzo wybredna. A on jakby wiedział, ile miodu dodać i cynamonu, i że plasterek cytryny powinien być gruby, a nie cienki. Dobrze mieć przy sobie takich ludzi, którzy wiedzą, że ten plasterk musi być odpowiedniej grubości.

Amelia zjawiała się u pani Arlety bardzo późno. Przez chwilę wahała

się, czy w ogóle ma przychodzić, ale obiecała, że się zjawi, więc słowa dotrzymała. Wytłumaczyła się ze swojego spóźnienia, żeby starszej kobiecie nie było przykro.

— Nie widzę problemu. — Pensjonariuszka uśmiechnęła się do niej ciepło. — Jak to mówią, są rzeczy ważne i ważniejsze.

I już po chwili znów przeniosły się w lata trzydzieste poprzedniego wieku.

— Wróciłam do Warszawy i próbowałam sobie ułożyć życie na nowo. Długo nie mogłam się pozbierać. A później wybuchła wojna; nie miałam czasu na rozmyślania o Janku. Któregoś wrześnieowego dnia siostra przełożona zawołała nas do salki i powiedziała: „Zobaczycie teraz straszne rzeczy, których wcześniej nie widziałyście. Mówię to ze smutkiem, ale to będzie ciężki czas dla nas wszystkich, musicie być w pełnej gotowości. Będziecie słać się na nogach, a mimo to musicie być gotowe, by to przetrwać, by pomóc jak największej liczbie ludzi. Pamiętajcie, że nasz zawód to nie jest zwykła praca, tylko służba drugiemu człowiekowi”. Pierwsze dni to była katorga. Kręciło mi się w głowie z głodu, z wyczerpania, od widoku krwi. Tyle młodych mężczyzn przyjeżdżało do nas poparzonych, bez nóg i rąk. Na początku myślałam, że będę co chwila wymiotować, potem... przyzwyczaiałam się do tego widoku.

Amelia odruchowo przyłożyła dłonie do ust. Zawsze tak reagowała na opowieści o wojnie, choć w życiu nie miała zbyt wielu okazji, by słuchać o niej od tych, którzy przeszli przez to piekło. Swoich dziadków prawie nie pamiętała...

— Gdyby medycyna była wtedy bardziej rozwinięta! — Pani Arleta

smutno pokręciła głową. — Gdybyśmy mieli wcześniej penicylinę! W sumie to dzięki wojnie przyspieszono produkcję tej substancji. Kiedy pojawiła się w Polsce, a było to dopiero w czterdziestym piątym, myślałam tylko o tym, ile ludzi moglibyśmy dzięki niej uratować... Ale nie o tym miałam opowiadać. Wybacz zrzęczenie starszej kobiety.

— Nie, to bardzo ciekawe... choć straszne.

Pani Arleta uśmiechnęła się.

— Byłam dobrą pielęgniarką. Pracowałam na salach operacyjnych; asystowałam chirurgom. Wiesz, że oni niekiedy zszywali rany ludzkimi włosami? Tak to było... Ale przecież nie chcę opowiadać o wojnie. To boli. Ta wojenna zadra pozostała w sercu u każdego, kto ją przeżył. Ty zaś, dziecko, chciałaś usłyszeć historię związaną z dworkiem... i ze mną. Pozwól więc, że przeskoczę czasy okupacji...

Amelia potaknęła. Bała się, że złe wspomnienia mogłyby zaszkodzić starszej pani. Już poprzednim razem nie wyglądała najlepiej, kiedy się żegnały.

— Był upalny sierpień czterdziestego piątego roku; wojna się skończyła, a ja szalałam z niepokoju. Rozmyślałam o mamie. W końcu po latach ciszy otrzymałam od niej list, że u nich wszystko w porządku, ale w samym Złotkowie wesoło nie było. Prosiła, żebym na razie nie przyjeżdżała. To nie były łatwe czasy dla Polaków...

Amelia pokiwała głową. Z przykrością odnotowała, że tak naprawdę nie wie zbyt wiele o historii rejonu, który tak pokochała. Ze szkoły po tylu latach pamiętała tylko to i owo, nigdy jej się ta wiedza zbyt nie przydała. Pocieszało ją, że tak naprawdę dziejów tych ziem można się było nauczyć, spacerując po okolicy — bliższej i dalszej.

Liczne cerkiewki, często przerobione teraz na świątynie katolickie, przypominały, że Boże Narodzenie obchodzono tu nie tylko 24 grudnia. Łemkowie, Polacy, Ukraińcy, Żydzi... Przed wojną wszyscy oni żyli w tych rejonach jak sąsiad z sąsiadem, choć nie zawsze zgodnie. Zanim nadeszła ogólnoświatowa zawierucha, zanim nastąpiły przesiedlenia. Teraz w Bieszczadach pełno było opuszczonych i zapomnianych wsi; można się było przespacerować całym szlakiem, gdzie o dawnych zabudowaniach informowały nie tyle ruiny, ile same tabliczki po polsku i ukraińsku, a i w innych miejscach Bieszczad nietrudno było się natknąć na widmową wioskę. Trudno było uwierzyć, że tam, gdzie dziś tylko szumią drzewa, dawniej stały chaty. Tak pięknie i spokojnie było dookoła...

Otrząsnęła się z zamyślenia. Nie przyszła tu dumać nad urodą tego zakątka Polski.

— Widzisz, Sanok Niemcy zajęli już w trzydziestym dziewiątym, dziewiątego września. Przez nieco ponad półtora roku był miastem granicznym między Generalnym Gubernatorstwem a Związkiem Radzieckim, bo sama granica przebiegała na Sanie. Ludzi ogarnęła rozpacz, ale Polacy się nie poddawali, także tutaj powstawała siatka podziemnych sił zbrojnych, prowadzono dywersję... A potem w czterdziestym czwartym przyszli Ruscy. Jak się zapewne domyślasz, straty wojenne były ogromne... Zwłaszcza że sama wojna w Bieszczadach się w czterdziestym piątym nie skończyła. Chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że doszło tu w zasadzie do wybuchu wojny domowej: ukraińskie podziemie ścierało się z oddziałami MO, SB i Wojska Polskiego. Straszne to były dni... Malinowscy, za Niemca

bezpieczni, uciekli z dworu w obawie przed ukraińskimi bojówkami. Na szczęście sam dworek nie ucierpiał jakoś przesadnie, ale całą Ziemię Sanocką spustoszone, wsie poniszczono... — Pani Arleta machnęła ręką, jakby szkoda było nawet o tym wspominać. — Uspokoilo się dopiero po akcji „Wisła”, kiedy rząd zdecydował się wysiedlić Ukraińców z tych obszarów na tereny północno-zachodnie, na „Ziemie Odzyskane”. Chodziło o to, aby zamieszkali jak najdalej od granic oraz aby nie tworzyli zwartych skupisk wysiedlonej ludności — wyjaśniła, a Amelia pokiwała głową; to jeszcze kojarzyła. — Wtedy też państwo Malinowscy dostali zgodę na powrót do dworu, a moja mama wróciła do pracy u nich. Po wojnie brakowało mężczyzn, więc każdego witali z otwartymi ramionami. Nie była już służącą, bo klasy społeczne zniesiono, nie mieszkała też we dworze, dostawała za to normalną pensję, całkiem dobrą jak na tamte czasy, i wynajmowała mały domek niedaleko. Daniela dzięki pomocy pana Piotra dostała pracę w mieście. Po tych wszystkich latach wreszcie zdecydowałam się odwiedzić mamę. Nie poznałam jej, tak się postarzała. Przywitałyśmy się. Powspominałyśmy... a potem wróciłam do Warszawy. To była krótka wizyta. Nie miałam siły przebywać dłużej w Złotkowie. To miejsce przywracało bolesne wspomnienia, zresztą niełatwo było patrzeć na te wszystkie ruiny. Po powrocie poszłam z Lusią do kawiarni w jednej z kamienic, które uniknęły zniszczenia podczas niemieckich bombardowań w odwecie za powstanie. Próbowaliśmy odnaleźć dawną radość. Akurat piłyśmy herbatę i z czegoś się śmiałyśmy... bo wciąż jeszcze potrafiłyśmy się śmiać, choć trudno było w to uwierzyć... kiedy za plecami usłyszałam swoje imię. To był głos

ze wspomnień. Głos męczyzny, którego pokochałam i który mnie skrzywdził. Nie musiałam się odwracać, bo wiedziałam, do kogo należy. Jego właściciel podszedł do stolika i stanął przede mną. „To ty, to naprawdę ty!”, wykrzyknął rozentuzjasmowany. Siedziałam bez ruchu, podczas gdy Janek przedstawił się Ludwice. Moja przyjaciółka wiedziała, kim on jest. Opowiedziałam jej o nim, kiedy przyjechałam do stolicy po tym, jak dowiedziałam się o Barbarze. To ona mnie pocieszała. Teraz jednak z jakiegoś powodu postanowiła zostawić nas samych. Wyłgała się jakąś sprawą do załatwienia. Przytrzymałam ją za rękę, błagając spojrzeniem, by mnie z nim nie zostawiała, ale Lusia się uparła. „Spotkamy się później”, rzuciła, a potem zwróciła się do Jana: „Miło było pana poznać. Arleta miała rację, jest pan naprawdę przystojny”. Miałam ochotę ją udusić! A on tylko się skłonił i odprowadził ją do drzwi. Po chwili zostaliśmy sami, oczywiście jeśli nie liczyć tych wszystkich pozostałych klientów.

Amelia niepostrzeżenie sięgnęła po jeden z pierniczków, które pracownice ośrodka zostawiły na talerzu obok imbryczka i filiżanek. Były grube i wypełnione chyba domowymi powidłami. Od lat takich nie jadła. Wprawdzie zwykle starała się ograniczać słodczyce przed świętami, ale tak zajmująca opowieść była godna aromatycznej i przepysznej oprawy. Ugryzła i przymknęła oczy. Pani Arleta również sięgnęła po pierniczek, jakby potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie dokładnie słowa, które padły między nią a przedwojennym ukochanym tamtego lata.

— Przytrzymał moją dłoń — przypomniała sobie. — „Zanim i ty uciekniesz, pozwól, że ci wszystko wyjaśnię”, powiedział, ale nie

chciałam tego słuchać. Nikt nigdy mnie tak nie upokorzył. Minęło tyle lat, a mnie wciąż to wszystko paliło żywym ogniem. Ale on był uparty i nie chciał przyjąć odmowy. „Daj mi dziesięć minut i sobie pójdę”, obiecał wreszcie. Skinęłam głową, bo tak naprawdę gdzieś w głębi siebie pragnęłam wyjaśnień. Chciałam zrozumieć. Uwierzyć, że nie jestem pierwszą lepszą, że takich jak ja nie było na pęczki, jak sugerowała to pani Malinowska. Poza tym, jeśli naprawdę go znałam i kochałam, nie mógł być złym człowiekiem. „Ożeniłem się z Barbarą”, zaczął, „choć wcale się nie kochaliśmy. Przyjaźniliśmy się od dziecka. Lubiliśmy się, nawet bardzo, szanowaliśmy, ale nie kochaliśmy. Dziś tak naprawdę nie wiem, dlaczego do tego doszło. Może rodziny za bardzo naciskały? Cóż, stało się. Po ślubie długo staraliśmy się o dziecko; nie wychodziło. Lekarz orzekł, że żona nie może ich mieć. Potem poznałem ciebie. Zakochałem się. Nie mówiłem ci, bo pomyślałem, że najpierw uda mi się uzyskać rozwód... Nie chciałem, żebyś czuła się oszukana. Kiedy wróciłem do Warszawy, nie mogłem o tobie zapomnieć...” Patrzył mi prosto w oczy. Mówił tak szczerze! „Potem moja żona w czasie wojny, w trakcie jednego z bombardowań, została zraniona w nogę. Utyka. Mnie to nie przeszkadza, ale jej widocznie tak. Przestaliśmy ze sobą sypiać”. Janek spuścił wzrok. „Wiem, że w małżeństwie nie tylko fizyczność się liczy, ale my nie będziemy mieć dzieci. Między nami wszystko jest nie tak. Było nie tak już wcześniej, od bardzo dawna. Ciotka o tym wiedziała. Wiedziała też, dlaczego Barbara nie mogła przyjechać”. Jęknął. „Kiedy cię zobaczyłem, od razu to poczułem”. Znow złapał mnie za rękę i jak przed laty zapewnił: „Wierzę w to, że to znak, że odnaleźliśmy się po

tylu latach. Jesteś kobietą, z którą chciałbym spędzić przyszłość”. Pokręciłam głową. „Ale jesteś żonaty”, przypomniałam. „Jestem żonaty”.

Starsza kobieta westchnęła. Podreptała powoli do szafki, z której wyciągnęła małą piersiówkę. Zaproponowała Amelii, ale kobieta odmówiła. Arleta pociągnęła łyk alkoholu. Skrzywiła się. Pamiętała dokładnie to popołudnie. Pojechali gdzieś na obrzeża Warszawy, spacerowali po lesie... a potem się kochali. Sama nie wiedziała, kto kogo był bardziej spragniony. Smakowali siebie nawzajem. Może to te wojenne okropności sprawiły, że postanowiła czerpać z życia pełnymi garściami? Muskali się wargami, a ich języki wirowały. Zachłanność. Namietność. Pożądanie. Przyparł ją do pnia drzewa, a ona oplotła go nogą. „Nie chcę cię ranić” — powiedział, dysząc jej do ucha. „Już za późno. Już za późno”.

Nie pamięta dokładnie, jak to się stało, że byli nadzy. On wsparł się o pień, ona usiadła na nim okrakiem. Była już tak wilgotna, że nie czuła bólu, kiedy się w nią wsunął. Poruszali się delikatnie, wpatrując się w siebie. Jego dłonie ścisnęły krągłość jej pośladków. Po chwili przyszło spełnienie. „Nie powinniśmy tego robić. Ty jesteś żonaty, a ja... Ja mam zasady. To znaczy myślałam, że mam, do teraz”. „Walczyłem z tym uczuciem do ciebie. Jak Boga kocham, walczyłem. Próbowałem wymazać cię z pamięci. Chciałem cię chronić przed wszystkim, bo zasługujesz na kogoś lepszego... Ale minęło tyle lat, a ja wciąż nie potrafię myśleć o nikim innym”.

— Kochaliśmy się tamtego dnia — odezwała się wreszcie pani Arleta, usiadłszy. — I wiedziałam, że jestem zakochana na zabój.

Zwariowałam na jego punkcie. Tak, to było czyste wariactwo — westchnęła ciężko. — Czy mogłabyś mi, dziecko, pod plecy podłożyć poduszkę? Niewygodnie mi.

— Może chce się pani położyć? — zaproponowała niespokojnie Amelia. Widziała, że starszą kobietą targają silne emocje.

— W żadnym wypadku. Znalazłam wolnego słuchacza. — Tamta w odpowiedzi uśmiechnęła się łobuzersko. — Po prostu podłóż mi poduszkę pod plecy.

Po chwili zaczęła opowiadać dalej.

— Znałam go tak krótko... Czasami z takich krótkich znajomości wychodzi wielkie bum. Moje myśli były nim nasączone. Dziś przestrzegam kobiety przed taką miłością.

— Czy miała pani wyrzuty sumienia?

— Wiesz, kiedy jest się tak bardzo zakochanym, to martwi się tylko o siebie i swoje uczucia. — Przełknęła ślinę. — To egoistyczne, ale tak jest. Nasze ukradkowe spotkania stały się dla mnie codziennością, moim bytem. Podczas tamtych dni nieraz mnie malował. Nagą mnie. Do dziś trzymam jeden z jego szkiców...

— I nie zadawała pani pytań?

— Chodzi ci o te wszystkie kłopotliwe? — Staruszka wyglądała, jakby coś ją zabolalo.

Amelia skinęła głową.

— Oczywiście, że tak. Ja go tymi pytaniami wręcz zasypywałam. Ale tak naprawdę doskonale znałam na nie odpowiedź. „Kiedy od niej odejdziesz?“, zapytałam pewnego razu po miłosnym spełnieniu. Janek odwrócił się na bok. „A czy kiedyś powiedziałem ci, że to zrobię?“ Miał

rację, nigdy nie obiecywał mi małżeństwa. O rozwodzie wspomniał tylko ten jeden raz, kiedy spotkaliśmy się w kawiarni po latach. „Ona mnie potrzebuje”, powiedział cicho i odgarnął kosmyk włosów z mojego policzka. „Kochasz ją?” Tamtego dnia mówił, że ślubu nie wzięli z miłości, ale przecież żyli ze sobą od tylu lat! Bałam się usłyszeć odpowiedź. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego w kółko go o to pytam. Przecież te pytania mnie raniły. I odpowiedzi też, bo on był szczery do bólu. „Tak, kocham... Na swój sposób”, wyszeptał. „A mnie kochasz?” Uśmiechnął się tylko. „Muszę już iść”, rzucił. Często tak mi odpowiadał. Im więcej moich pytań, tym wcześniej wychodził.

Staruszka drżącą ręką chwyciła szklankę i pociągnęła kilka łyków wody, której naląła jej Amelia. Dziś pani Arleta nie miała ochoty na herbatę.

— Były takie chwile, kiedy słyszałam głos rozsądku. Gdy obiecywałam sobie, że z tym wszystkim koniec. Zwykle działało się tak po tym, jak kolejny raz słyszałam, że Jan na swój sposób kocha Barbarę. Wracałam na stację i w głowie i w sercu pojawiała się tysiące znaków zapytania. To trwało do następnego razu. Pamiętam pewną szczególną niedzielę. Po spotkaniu z Jankiem jeszcze kilka godzin włóczyłam się bez celu po mieście. Wiedziałam, że mojej współlokatorce nie będzie, a nie miałam ochoty wracać do pustych ścian. W sercu czułam smutek. Zjawiłam się w domu późnym wieczorem. Otworzyłam drzwi i wrzasnęłam na całe gardło, bo w fotelu po ciemku siedziała jakaś postać. Nagle rozbłysło światło lampki, a ja zamiast uciekać, stałam jak słup soli. Dosłownie wmurowało mnie w ziemię. To była moja mama! Zapytałam ją, co robi

w Warszawie. „Drzesz się tak, że wszystkich obudzisz”, ofuknęła mnie, zamiast się przywitać, i wstała z fotela. „Właścicielka jest przygłucha”, oświadczyłam. Podeszłam do mamy i ją objęłam. „Co ty tu robisz?”, powtórzyłam. „I jak tu weszłaś?” „Właścicielka mnie wpuściła. Powiedziałam, że jestem twoją matką”. „I tyle wystarczyło?”, pomyślałam z goryczą i pokręciłam głową z niedowierzaniem. Równie dobrze mogła tu wpuścić jakiegoś bandytę, który podałby się za mojego brata. Spróbowałam uśmiechnąć się beztrudnie, tak jakbym niezwykle ucieszyła się z wizyty. „Zaraz ci pościelę. Luscia akurat pojechała do rodziców”, paplałam, ale mama nie dała się zwieść. „Gdzie byłaś?”, zapytała bez pardonu. Odpowiedziałam, że na spacerze. „Nie kłam. Gospodyni domu doniosła mi, że spotykasz się z jakimś mężczyzną”. Poczułam, jak uginają się pode mną kolana. „A czy to źle?”, zapytałam drżącym głosem. Byłam przecież w wieku odpowiednim do zamążpójścia, więcej niż odpowiednim. Na pewno nie chciała, bym całe życie spędziła samotnie. „Kim on jest?”, drążyła, prześwietlając mnie wzrokiem. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Serce biło mi jak oszalałe. Wiedziałam, że nie mogę wyjawić mamie prawdy. Przecież pamiętała Jana z dworu... „Kolegą z pracy”, zaryzykowałam. To był błąd. „Nie kłam!”, krzyknęła i uderzyła otwartą dłońią w stół. Miałam wrażenie, że ten nieszczęsny stół zaraz się rozpadnie. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie, nawet po śmierci ojca. Wtedy była zrozpaczona, teraz szalała z gniewu. „Mamo”, zaczęłam, ale z miejsca straciłam całą pewność siebie. Głos wiązał mi w gardle. „Ja go kocham”. „A czy on ma poważne zamiary? Chce się z tobą ożenić?” Nie

byłam gotowa na tę rozmowę. „Nie wiem”, rzuciłam i wzruszyłam ramionami, choć przecież doskonale znałam odpowiedź.

Amelia nagle pomyślała o Wiktorii i Michale i serce jej się ścisnęło. Mimo całej sympatii dla starszej pani, w tym momencie doskonale rozumiała furię jej matki. W tamtych czasach reputacja kobiety była przecież wszystkim...

— Mama jęknęła coś żałośnie. Mam wrażenie, że ona też wiedziała, że o żadnym ślubie nie mogło być mowy. „Posłuchaj, co ci powiem”, zaczęła. „Mężczyzna zrobi wszystko, żeby zaciągnąć cię do łóżka. A potem podwinie ogon i ucieknie. Nawet jeśli wcześniej obieca ci złote góry. Nawet wtedy... Dasz mu palec, weźmie całą rękę, pozwolisz się pocałować, zaraz weźmie więcej...” Odwróciłam się w stronę okna. Wiem, że to było niegrzeczne, w końcu stałam do matki plecami, ale czułam, że zaraz się rozplaczę ze wstydu i złości. Głos mojej mamy łamał się coraz bardziej. „Kocham cię”, usłyszałam w pewnej chwili. „Nie chcę, byś zaprzepaściła szansę na lepsze życie”. Gdybym wtedy posłuchała mamy...

Pani Arleta kolejny raz westchnęła i pokręciła głową.

— Położyłyśmy się spać, ale żadna z nas nie mogła zasnąć. Kilka miesięcy potem wróciłam do Złotkowa. Byłam w ciąży.

— Czy powiedziała pani o tym Janowi? — Amelia wcale nie była zaskoczona tym wyznaniem.

— Tak. Ale poprosiłam go, by zostawił nas w spokoju. Mnie i dziecko. Że jego żona potrzebuje go bardziej niż my. Że może kiedyś...

— Nawet teraz głos starszej kobiety się łamał. — Może kiedyś się spotkamy. Zalał się łzami. Płakał. Przekonywał, że przecież on

pragnął dziecka, ale oboje wiedzieliśmy, że tak właśnie należy postąpić. Obiecał, że będzie mnie wspierał finansowo. Wynajął domek w Złotkowie niedaleko dworku. Mama z siostrą mnie odwiedzały. Jan zachował się odpowiedzialnie.

ROZDZIAŁ 29

— Wiki, co się stało?

Dziewczyna wtuliła się w Michała, mocząc mu koszulkę łzami... i nie tylko. Z nosa też jej kapało.

— Będę tęsknić! — załkała między jednym spazmem a drugim.

— Wiem, ja też.

— Czy gdybym poprosiła cię teraz, żebyś nie wyjeżdżał, zostałbyś dla mnie?

Michał poczuł się osaczony i skonfundowany.

— Sama mi doradzałaś wyjazd.

— Tak, ale... — znów płakała.

Mężczyzna przytulił ją mocniej.

— Wytrwamy. Zarobię pieniądze...

— Zawsze tylko te pieniądze!

Nieco zeszywniał. Zabolało go to, co usłyszał.

— Nie, nie chodzi tylko o pieniądze. Sama masz jakieś marzenia i je realizujesz. Nie możesz zabraniać mi się spełniać.

Wiktoria uniosła się na łokciu.

— Niczego ci nie zabraniam. Niczego. Tylko jak dotąd nie miałeś takich marzeń.

— Ale pojawiła się ta oferta i...

— Tak, wiem. — Usiadła po turecku na łóżku.

Nadal płakała. Michał był już tym wszystkim zmęczony. Ostatnio

Wiktoria rozpaczała co drugi dzień. Rozumiał ją. On sam to przeżywał, ale ileż można? Czy póki nie wyjedzie, nie powinni się sobą nacieszyć?

— Do cholery! — zaklął. — Wiktoria, opanuj się. Nie rozstajemy się na zawsze, tylko tak naprawdę na chwilę.

— Masz rację. Niczego sobie nie obiecywaliśmy.

— I po co te teksty? Masz. — Michał sięgnął po chusteczki i podał dziewczynie.

Następnego dnia wyjechał. Wiktoria tylko zalewała się łzami. Wzięła wolne. Wiedziała, że nie powinna, bo „Cynamonowe Serca” przeżywały oblężenie, ale nie była w stanie tego dnia pracować. Myślała tylko o Michale i co chwila wybuchała płaczem. Wróciła do domu, w którym czuła się źle. Dziwnie było mieszkać z mamą i siostrą, kiedy przyzwyczaiła się już do mieszkania tylko z nim. Zresztą nawet gdyby jej chłopak nie wyjechał, i tak musiałyby się przeprowadzić, gdyż do domu na dniach wracała pani Mirka.

„Życie jest do bani” — pomyślała gniewnie. Dzisiaj będzie się nad sobą uzalać. Miała do tego prawo.

Wiktoria siedziała na ławce przed domem, tej samej ławce, którą latem zrobił dla nich Michał. Padał śnieg, a ona tkwiła tam jak posąg, jakby nic jej nie wzruszało. „Jest przeraźliwie smutna” — stwierdziła w myślach Amelia. Podeszła do córki. Biały puch chręścił pod jej butami. Spod kaptura zimowej kurtki Wice wystawał tylko czubek nosa.

— Jak się czujesz? — zapytała Amelia łagodnie i usiadła obok niej.

— Kiepsko, a jak mogę się czuć?

— Wiem. — Kobieta położyła dłoń na jej plecach. — Przeżywałam to już kilka razy i wiem, że rozstania bołą. Ale wy rozstaliście się tylko na chwilę.

— Nie na chwilę, ale na pół roku — fuknęła Wiktoria. — To dość długo.

— Dziecko, przecież on tu będzie od czasu do czasu przyjeżdżał. Poza tym nie żyjecie w średniowieczu. Są teraz telefony, na pewno będzie tam miał internet. Nie musicie przecież słać sobie listów. Dzięki temu wcale nie będziecie od siebie tak daleko. A póki go nie ma... skup się teraz na sobie.

— Oj, mamó, wiesz, gdzie możesz sobie schować swoje rady? — Wiktoria nie chciała urazić matki, ale nie miała ochoty na cze gadanie. Chciała być smutna. Potrzebowała sobie porozpaczać. Mama niczego nie rozumiała; choć akurat z tym internetem to miała rację... No i Niemcy to nie Australia.

— No wiem, wiem. — Amelia na moment zamilkła. — Upiekłam ciasto, murzynka z powidłami śliwkowymi, cynamonem i orzechami. Nie jest to wypiek pani Zosi, ale to twoje ulubione. Mogę też zrobić kakao. — Nie mogła patrzeć na cierpienie swojego dziecka, nawet jeśli uważała je za nieco przesadzone.

Córka odwróciła do niej głowę. Pociągnęła nosem.

— A wiesz, że może to dobry pomysł z tym murzynkiem...

Amelia ucieszyła się, że jej córkę coś potrafiło wyrwać z apatii.

— A więc... Dobrze... Ścigamy się do domu?

Wiktoria spojrzała na nią zdziwiona.

— Zgłupiałaś?

I zanim Amelia zareagowała, dziewczyna rzuciła się pędem w stronę drzwi. Amelia również ruszyła. Na ostatniej prostej mało co nie wyzionęła ducha. Śnieg wleciał jej do butów.

„Muszę popracować nad kondycją” — stwierdziła.

Kiedy dotarły do drzwi, obie oddychały ciężko, ale oczy błyszczały im wesoło.

Ciasto było wilgotne i bardzo czekoladowe. Takie, jakie Wiktoria lubiła najbardziej. Kakao słodkie, wręcz przesłodzone. Ale takie też lubiła.

Usiadły w pokoju. Amelia zapaliła świece. Niebo za oknem przybrało kolor akwamaryny.

— Pewnie znów sypnie śniegiem.

— Pewnie tak...

I nagle — jakby murzynek i kakao były jakimiś magicznymi artefaktami usuwającymi wszelkie bariery — jakaś tama rezerwy runęła i dziewczyna zaczęła opowiadać mamie o swoich emocjach związanych z Michałem. Istniało mnóstwo powodów, dla których nie powinna rozmawiać o nich właśnie z nią, bo przecież Amelia od początku sceptycznie podchodziła do ich relacji. A jednak musiała to z siebie wyrzucić.

— Wróci i wszystko się ułoży. — Amelia starała się, jak mogła, rozproszyć smutek córki.

— Skąd wiesz?

— Bo cię kocha.

— Mamo, wiesz sama, jak to z tą miłością jest.

Amelia pokręciła głową.

— Jeśli dwoje ludzi się naprawdę kocha, to nikt i nic nie jest w stanie tej miłości zburzyć.

— A kiedy będę wiedziała, że to prawdziwa miłość, a nie jakieś tam zauroczenie?

— Widzisz, to jest właśnie w tym wszystkim dziwne. — Amelia pogładziła ją po policzku. — Bo to przychodzi z czasem. O tym, czy to jest miłość, dowiadujemy się z czasem, z przeżyтыми doświadczeniami... Dziwnie to wszystko jest skonstruowane, ale tak właśnie jest. — Wiktoria uśmiechnęła się niemrawo, a potem położyła głowę na ramieniu mamy.

— Jak dobrze, że cię mam.

Kobieta uśmiechnęła się na te słowa. Córki były najlepszym, co spotkało ją w życiu. Mężczyźni przychodzą i odchodzą, a dzieci są nasze i nic i nikt tego nie zmieni. Ech, faceci...

Po rozmowie z Patrycją Amelia miała nadzieję, że Marek przyfrunie do niej jak na skrzydłach. Tak się jednak nie stało. Zadzwoił dwa razy i obiecał, że gdy tylko będzie miał chwilę, na pewno do niej wpadnie. Od tamtej pory cisza. Ona też była zajęta. Bardzo przeżywała kłopoty sercowe córki, pomagała Miśce w pensjonacie, złożyła ofertę kupna na dworek, odwiedzała starszą panią... ale mimo to wciąż czekała na to jedno spotkanie.

Kamiłę obudził dzwonek telefonu. Nie miała ochoty odbierać, jednak po pierwszym połączeniu nastąpiło kolejne. Sięgnęła po aparat.

— Halo?

— Kam, to ja. — Ten głos musiał należeć do jej byłego męża. Niemożliwe. Przetarła zaspane oczy i spojrzała na wyświetlacz. —

Jesteś tam?

— Jestem... ale zszokowałeś mnie swoim telefonem.

— Wiem, że wyjechałaś. Na pewno jest ci ciężko.

— Dlaczego cię to obchodzi? I skąd wiesz, że wyjechałam?

— Dzwoniłem do twojej pracy.

— Szkoda, że nie do rodziców — zakpiła.

— Wiesz, że za mną nie przepadali.

— Słuchaj, do rzeczy. Dzwonisz z samego rana...

— Może się spotkamy? Wpadnę do ciebie? Popełniłem straszliwy błąd i chciałbym go naprawić.

„Jaki błąd?” — zastanawiała się Kamila. „O co mu w ogóle może chodzić? Żałował podziału majątku czy jak?”

— Może byśmy... nie wiem... Spróbowali jeszcze raz? — Mówił jakoś smutno.

Na chwilę zaniemówiła.

— Czekaj, czekaj. Ja nic z tego nie rozumiem. — Wstała z łóżka i odsłoniła rolety. W jej duszy kłębiło się mnóstwo emocji. O czym ten Sebastian mówił?

Rozum podpowiadał jej, że powinna odmówić, ale co innego twierdziło serce. Chociaż... już sama nie wiedziała, co czuła. Może po prostu bała się samotności? Telefon od byłego męża zburzył jej spokój.

— Dobrze, spotkamy się, kiedy wrócę — powiedziała do słuchawki.

— A gdzie jesteś? — Jego natarczywość zaczynała ją denerwować.

— W Bieszczadach.

— To może wpadnę? Zbliżają się święta...

Kamila była naprawdę zaskoczona tą propozycją.

— Nie sędę, by to był dobry pomysł.

— Proszę... Gdzie dokładnie jesteś?

— W Złotkowie — rzuciła w roztargnieniu. — Ale nie przyjeżdżaj.

Rozłączył się. Kobieta przez chwilę stała jak słup soli. Przez moment to nawet jej się wydawało, że to sen. Sprawdziła odebrane połączenia. A jednak dzwonił. „Istne szaleństwo” — pomyślała, ale mimo to uśmiechnęła się do siebie.

Patrycja od kilku dni przychodziła do „Cynamonowych Serc” i popijała aromatyczną herbatę z cynamonem. Zdała sobie sprawę, jak bardzo kocha święta. Kiedyś ich nie znosiła. Uważała, że to strata czasu. A teraz, popijając rozgrzewający napar i spoglądając na mieszkańców Złotkowa, uzmysłowiła sobie, jak się cieszy, że już niedługo Boże Narodzenie. Kolędy, pastorałki i amerykańskie hity łatwo wpadały w ucho. Ogarniał ją jakiś spokój. Cieszyła się, że wygrała życie. Odkąd poznała Adama, jej serce było wypełnione ciepłymi uczuciami. Coraz bardziej zaczęła się zastanawiać, czy to, co jej się przydarzyło, nie było jakimś odgórnym znakiem. Ostrzegawczym. Jakby ktoś próbował jej powiedzieć: „Ej, kobieto, hola. Zwolnij”. Jeszcze dwa lata temu biegała bezmyślnie po galeriach handlowych w poszukiwaniu jakichś wyprzedaży. Prezentów dla siebie i bliskich. Bezrefleksyjnie spędzała ten przedświąteczny czas. Nie zauważała piękna świata, który puszył się i szykował na przyjęcie tego malutkiego dzieciątka. A dziś?

W pewnym momencie zobaczyła Adama. On również ją spostrzegł. Stał przed oknem i zaczął pokazywać jej coś na migi. Zaśmiała się. Po chwili mężczyzna wpadł do kawiarni jak burza.

— Nie odchodź — zwrócił się do niej.

— Nigdzie się stąd nie ruszam — zapewniła Patrycja, rozbawiona całą sytuacją.

Adam odwiesił na wieszak płaszcz, zamówił kawę i usiadł naprzeciwko niej.

— Dawałem ci znaki, żebyś się stąd nie ruszała. Wiedziałem, że wcześniej czy później cię odnajdę.

— I co? — Patrycja czuła, że zaczęła z nim flirtować.

— Stanowczo za późno.

Wiktoria postawiła przed Adamem kubek kawy. Mężczyzna podziękował.

— Od razu, za pamięci. Musisz mi dać swój numer telefonu.

— Będziesz do mnie dzwonił?

— I dzwonił, i pisał. Wszystko.

Uśmiechnęli się do siebie.

Nawet nie wiedzieli, kiedy minęły dwie godziny, tak byli pogrążeni w rozmowie. Mówili o uczuciach.

— Kiedyś byłam kochliwa — stwierdziła ona. — Lubiłam ten stan zakochania, kiedy motylki latały mi w brzuchu. Z każdej kolonii wracałam zakochana. Zostawiając za sobą część serca.

— Kolonijne miłości to było to. — Adam uśmiechnął się i pociągnął łyk kawy.

— I nie było Facebooka ani maili.

— I pisało się listy. Tęskne...

— I zapominało się; z czasem.

— Ale najpierw trochę pobolało serce.

— Trochę tak. Teraz też jestem zakochana.

Adam zmarszczył brwi.

— Naprawdę?

— Nie sądziłam, że dopadnie mnie taka miłość. Pokochałam Bieszczady. Mówiłam o sobie „mieszczuch”, ale od pewnego czasu myślę, że mogłabym tu zamieszkać.

— Też mnie ciągnie w rodzinne strony. Czasami uważam, że powinienem wrócić. Ale co z pracą?

— Może w Sanoku coś byś znalazł? — odpowiedziała Patrycja.

— Możliwe. — Adam zamyślił się na moment. — Tęsknię za tym spokojem i za ciszą, która tutaj jest. Kiedy mieszkałem w Złotkowie, wydawało mi się, że ten kawałek Bieszczad jest mój. I kawałek nieba upstrzony gwiazdami. Pamiętam wszystkie swoje pierwsze razy z tutejszymi szczytami, wypatrywanie dzikich zwierząt w parku narodowym i niezwykle głośne burze. W wielkim mieście niebo nie jest takie przejrzyste. To przez smog.

— Brakuje ci gwiazd? — Patrycja zmarszczyła czoło.

— Brakuje — potwierdził Adam.

„I chciałbym ci powiedzieć, że twoje oczy błyszczą właśnie jak te najpiękniejsze gwiazdy” — pomyślał, ale uznał, że nie jest to dostatecznie oryginalny komplement. Kiedyś na pewno wymyśli coś lepszego; coś, na co zasługiwała.

Patrycja śmiała się do telefonu, kiedy Adam wysyłał jej esemesy. Pisali do siebie bardzo dużo. Rzadziej dzwonili. Ale w tym pisaniu była jakaś moc.

I potem...

Zaczęli się coraz częściej spotykać. Na twarzy Patrycji pojawił się

uśmiech. Adam wkroczył w jej życie niczym burza, gwałtownie. Chodzili na spacer. Raz byli w kinie. Pijali kawę w „Cynamonowych Sercach”. Podczas jednego ze spotkań Adam zaproponował:

— Może byśmy się spotkali u ciebie albo u mnie? — Ze zdenerwowania miał serwetkę. Czuł się jak uczeń.

— Mieszkam u męża, z którym się rozwodzimy. Chyba nie chcesz...
— Patrycja westchnęła.

— Nie, nie chcę stawiać cię w kłopotliwej sytuacji. Może u mnie? Co prawda mama...

— O co ci właściwie chodzi? — Patrycja poczuła, że ogarnia ją irytacja.

— Spotykamy się i...

— Wiesz, jaka jest moja sytuacja. Nie mam dwóch piersi. Czuję się... — Przełknęła gorzką ślinę. — Nie czuję się jak kobieta. Myślałam o plastyce piersi, ale nie teraz.

Spojrzał na nią z czułością.

— Nie chodzi mi o twoje piersi. Nie jesteś dla mnie przelotną miłośką. — Z każdym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że zależy mu na Patrycji. Może to wszystko działo się za szybko, ale tak było. Pragnął być blisko niej, rozmawiać z nią.

— Chciałbym obejrzeć z tobą wieczorem jakiś film. Ugotować coś razem. Spędzić z tobą noc. Spać wtulony w ciebie...

— Ale... Ja nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo jestem chora.

— Przeziębilaś się? — W jego głosie wyczuła troskę.

— Nie. Ale mój stan...

— Chyba dobrze się czujesz? — Nie rozumiał.

— Tak. Ale no wiesz. Gdzie ja...

— Przestań, dobrze? Skoro czujesz się dobrze, dlaczego nie mamy spędzić razem nocy?

— Bo to dla mnie za wcześnie.

Adam skinął głową. Z takim argumentem nie zamierzał się kłócić. Wiedział, że naciskając, mógłby ją tylko skrzywdzić. Sama potrafiła ocenić, czy przyszedł właściwy czas.

— Kiedy będziesz gotowa, to mi o tym powiedz.

— Adam... — Patrycja westchnęła. Nie chciała stawiać go w kłopotliwej sytuacji, ani tym bardziej siebie. — Ja nie wiem, czy jeszcze kiedyś stworzę z kimś związek. Możemy się przyjaźnić...

Adam chwycił ją za rękę.

— Wszystko możemy. Ja poczekam.

ROZDZIAŁ 30

— Po wojnie wszystko uległo zmianie. I życie społeczne, i kulturowe.
— Amelia siedziała przy stoliku. Wypiła już drugą filiżankę herbaty. Z zapartym tchem słuchała opowieści starszej kobiety. — Nastąpiły przekształcenia własnościowe. Duże zakłady, które najpierw przejęli Niemcy, potem zostały znacjonalizowane. Pan Malinowski został kierownikiem w tych swoich zakładach cukrowniczych. On zawsze spadał na cztery łapy. Tak jak mówiłam, zniknęła też własność ziemską, Malinowscy nie byli już posiadaczami takiego majątku, jak przed wojną, jednak dwór wciąż do nich należał. Pan Piotr wstąpił do Partii. Po latach starań, nie wiem, czy ci mówiłam, okazało się, że pani Malinowska nie może mieć dzieci. Ubolewała nad tym. Może dlatego była taka zgorzkniała? — zastanawiała się przez chwilę Arleta. — A może jakaś klątwa wisiała nad jej rodziną? Nie wiem. Ja z kolei byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie. Z tygodnia na tydzień moje ciało coraz bardziej pęczniało, a ona patrzyła na mnie z zazdrością; tak mi się przynajmniej wydawało. Dopytywała mnie kilka razy, kto jest ojcem dziecka, ale milczałam jak grób. Potem wymyśliłam jakąś historyjkę, ale chyba w nią nie uwierzyła. Wiosną mój brzuch był wielki i okrągły niczym kula. Promieniałam. Podśpiewywałam coś pod nosem. Byłam pogodna. Pani Wioletta podglądała mnie z półotwartego okna. Tamtego dnia, jestem tego pewna, położyła dłoń na swoim płaskim brzuchu. Ogarnęła ją

zazdrość, jej gardło ścisnął żal. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Czas płynął. Powoli zbliżała się do czterdziestki. Nieobecność potomka kładła się na jej życiu cieniem. Rodzina spoglądała na ich małżeństwo jakoś dziwnie, a Wioletta czuła narastającą frustrację. Z biegiem czasu rozczarowanie zmieniło się w pewnego rodzaju obsesję, która zawładnęła jej życiem. Kiedy nikt nie widział, robiła na drutach maciupęńkie czapeczki i buciki dla dziecka. Jej dziecka, bo wierzyła, że kiedyś jeszcze będzie mamą. — Arleta westchnęła. — Przygotowała nawet cały pokój z kołyską, lalkami i całą wyprawką. Zupełnie jakby z dnia na dzień pojawiła się u niej obsesja na punkcie dziecka. Nie jej, ale mojego. Widziałam, jak patrzy na mój brzuch roziskrzonymi oczami. Ale ja czułam jakiś wewnętrzny spokój. Jan pisał do mnie listy i przyrzekał, że rozwiedzie się z żoną. Dziecko, pisał, dziecko wszystko zmienia. Chce mu dać wszystko, co najlepsze. Przed rozwiązaniem przybędzie do Złotkowa i mnie poślubi. Wierzyłam mu, tym bardziej że słał mi też pieniądze. Brał odpowiedzialność za mój stan. Nie musiałam się o nic martwić.

Arleta gestem zachęciła gościa, by nalała jeszcze herbaty. Zaschło jej w gardle; powietrze tego dnia było wyjątkowo suche. Powoli upiła łyk aromatycznego naparu. Pachniał goździkami, miodem i cynamonem.

Przełknęła.

— To był lipiec — podjęła po chwili. — Dokładnie siódmego lipca moje życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Od tego dnia było już tylko gorzej. Siedziałam w moim małym domku i robiłam na drutach czapczkę dla synka. Czułam, że to będzie chłopiec, choć

oczywiście nie mogłam mieć pewności... Do dzisiaj mam tę czapeczkę w moim kartonie z pamiątkami... Nagle usłyszałam pukanie. Podeszłam do drzwi. W progu zastałam panią Malinowską. Na jej twarzy malował się ironiczny uśmiech, który po chwili zmienił się w dziwny grymas. „Dzień dobry”, powiedziałam, siląc się na uprzejmość. „Nie jest dobry”, rzuciła krótko. Jej twarz stężała. „Słucham?”, nie rozumiałam. „To nie jest dobry dzień”, powtórzyła i położyła rękę na klatce piersiowej. Zaprosiłam ją gestem do środka, żeby nie myślała, że matula źle mnie wychowała. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że wpuszczam do domu żmiję. Jadowitą żmiję.

Staruszka przerwała opowieść. Musiała głęboko odetchnąć.

— Ta kobieta to była żmija — powtórzyła dobitnie. — Takich osób należy się wystrzegać. Kiedy weszła do pokoju, zaczęła się rozglądać. Jej oczy świdrowały każdy kąt. Spojrzała na kołyskę i na misia dla mojego nienarodzonego wówczas synka. „Popatrz, popatrz”, syknęła. „Niektórzy mają tyle szczęścia. I swój kąt mają, i pieniądze, które regularnie przesyła kochanek. Nie chciałaś życia służącej, łatwiej być utrzymanką?” Zapewne przypuszczała, kto jest ojcem, ale wiedzieć na pewno nie mogła. Bo gdyby była pewna, na sto procent doniosłaby o wszystkim Barbarze. Nie przejęłam się tym zbytnio. Jeśli Jan naprawdę będzie chciał się rozwieść, jego żona prędzej czy później dowie się o jego romansie.

Pani Arleta upiła kolejny łyk herbaty, jakby musiała się uspokoić.

— I wtedy pani Wioletta powiedziała coś, co mnie dosłownie zmroziło. Złowieszczo rzuciła: „Ale przecież wiesz, że to szczęście nie potrwa długo. Wiesz, że dane jest nam tylko na chwilę...”. Nie

rozumiałam. Wpatrywałam się w nią jak osłupiała. Bredziła? Tylko zaśmiała się gorzko na widok mojej konsternacji. „Janek...”, nagle głos jej się załamał. „Janek... Nie żyje. Mówię ci o tym, bo wiem, że się przyjaźniliście”. To ostatnie słowo wypowiedziała jakoś tak dziwnie, z naciskiem, doskonale świadoma tego, że za złotkowskich czasów na rozmowach się nie kończyło. A potem przez ściekające po policzkach łzy przyglądała mi się uważnie, ciekawa mojej reakcji. A mnie krew odpłynęła z twarzy. „Ale... Jak to?” Nie mogłam złapać tchu. Musiałam usiąść na fotelu, bo inaczej bym upadła. Odruchowo położyłam dłonie na brzuchu. „Śmiertelny wypadek”, wyjaśniła oszczędnie, a potem zdecydowała się zdradzić coś więcej. Była bardzo blada, nawet usta miała niemal białe. „Jechał samochodem”, powiedziała. „Szybko, tak jak lubił. Tyle razy go ostrzegaliśmy, że to się nie może dobrze skończyć...” Pokręciła głową. „Może gdyby jechał wolniej... Ale stało się. I tamten zakręt... Urwisko... Jego biedna żona, Barbara. Jego biedna żona!”, zaczęła lamentować Malinowska. To było wszystko takie sztuczne, na pokaz. Choć trzeba przyznać, że w pierwszej chwili jej rozpacz wydała mi się bardzo przekonująca. Myślałam, że z żalu pęknie mi serce, ale musiałam być twarda. Tamta ukucnęła przy mnie, przy fotelu. Wyglądała, jakby mi niemal współczuła. Nie dałam się zwieść. „Tak więc”, zaczęła, „sama wiesz, że twoja sytuacja jest ciężka. Nie poradysz sobie sama z dzieckiem”. Czyli jednak wiedziała. „Poradzę!”, zaprzeczyłam, ale po głowie kołatało mi się tylko: Jan, Janek, Janeczek. Ojciec mojego synka. Mój ukochany nie żył. Ale ta kobieta nie odpuszczała. Położyła dłoń na mojej ręce i oświadczyła, że ma propozycję. Zemdlilo mnie, ale lata

służby nie pozwoliły mi jej tak po prostu wyrzucić z domu. „O co chodzi?“, zapytałam, marszcząc brwi. „Oddasz mi swoje dziecko“, rzuciła. „Wychowam je w dobrobycie. Dam mu wykształcenie. Mój mąż i ja będziemy je kochać“.

Amelia zakryła sobie usta ręką. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co młoda kobieta mogła czuć w tamtej chwili.

— Jak się zapewne domyślasz, nie kryłam oburzenia. Przez chwilę nie mogłam złapać powietrza. A ona naciskała: „Zapłacę ci każdą sumę. Ty, twoja matka i siostra będziecie zabezpieczone do końca życia. W przeciwnym razie...“, zrobiła pauzę, a moje serce ścisnęła obręcz chłodu, „twoja mama i siostra stracą pracę. A ty... No wiesz“, zatoczyła ręką koło, „ty już nie masz nic“. Nie wytrzymałam i wskazałam jej palcem drzwi. „Proszę stąd wyjść!“, krzyknęłam. Malinowska drgnęła, ale się nie ruszyła. „Przemyśl to!“, rzuciła zimno. Nie wytrzymałam. Zaczęłam wrzeszczeć: „To moje dziecko, rozumie pani? Moje dziecko!!!“.

Staruszka przerwała opowieść. Jej oczy wypełniły się łzami. Serce Amelii biło jak oszalałe. Dotknęła ręki Arlety. Tysiące myśli kłębiło się w jej głowie. Doskonale pamiętała własny niepokój o to, że kiedy tylko urodzi, odbiorą jej Wiktorię. Na szczęście ona miała wtedy przy sobie Klarę, wspaniałą starszą kobietę, która zajęła się nią jak córką, uspokoila, a potem zapewniła dom i pomoc. A tamta młoda dziewczyna, szaleńczo zakochana w Janie, nie miała nic prócz tego dziecka pod sercem. I bała się, że i je przyjdzie jej stracić...

Arleta pociągnęła nosem.

— Wioletta była bliska obłędu. Nie przystałam na jej propozycję,

ale o dziwo nie zwolniła mojej matki i siostry. Urodziłam zdrowego, silnego, pięknego chłopca, którego strzegłam jak oka w głowie. Postanowiłam jakoś sobie poradzić i nas utrzymać, choć nie było to łatwe. Robiłam na drutach ubranka dla dzieci, szyłam na maszynie beciki i sukienki ciążowe. Jakoś wiązałam koniec z końcem, mimo że musiałam wynieść się z domku do pokoju na poddaszu, gdyż nie stać mnie było na wynajem. O historii z panią Malinowską nie powiedziałam ani mamie, ani siostrze. Nie chciałam też mieszkać z nimi w jednym domu, choć oczywiście proponowały, że mnie przygarną. Wstyd mi było, że tamta kobieta chciała ode mnie kupić dziecko, jak kupuje się zwierzę lub rzecz. I tu popełniłam błąd. Gdyby wiedziały, gdybym zgodziła się do nich przenieść... A może to wcale nic by nie pomogło? Sama nie wiem.

Przeniosła spojrzenie na okno. Wzrok jakby nieco jej się zamglił, zupełnie jakby tęczęwki zasnuły jej jakieś chmury. Amelia przeczuwała, że zbliżają się do jeszcze smutniejszej części tej historii.

— Któregoś dnia zachorowałam — usłyszała. — Byłam bardzo słaba. Pamiętam, że wyszłam tylko do apteki na rogu. Nie brałam ze sobą Jana... tak, nadałam mu imię po ojcu... bo to było wyjście na dosłownie trzy minuty. Chłopiec spał grzecznie. A mnie dopadła taka grypa, że ledwo widziałam. Mama miała mnie odwiedzić po pracy. Kupiłam lekarstwa i szybkim krokiem weszłam do domu. Drzwi do pokoju były otwarte. Czyżbym zapomniała je zamknąć? Złękłam się. Nie słyszałam oddechu Jasia. Nic nie słyszałam. Coś było nie tak. Podbiegłam do łóżeczka i zamarłam. Nikogo tam nie było. Nie było mojego synka.

Amelia milczała. Ile ta kobieta przeszła!

— Odzyskałam werwę, jakbym w jednej chwili wyzdrowiała. Zaczęłam krzyczeć. Wybiegłam na ulicę. Biegłam co sił w nogach, aż dotarłam do dworku. „Gdzie jest Wioletta? Gdzie jest Wioletta?!”, krzyczałam od progu. Z biblioteki na piętrze wyszedł pan Piotr i zapytał, co się stało. Nie mogłam złapać tchu. „Pańska żona...”, wychrypiałam. „Ona zabrała moje dziecko. Gdzie ona jest?” Pan Piotr kazał mi się uspokoić. „Wioletta nie zabrała Arlety dziecka”, oświadczył stanowczo i przewrócił oczami, jakbym wymyśliła najgłupszą rzecz pod słońcem. „Wczoraj pojechała do swojej ciotki w Warszawie”. „Nie pojechała! Nie pojechała! Ukradła mojego synka! Ukradła moje dziecko!”, rozpaczałam. Upadłam na podłogę i zaczęłam wyć. Moje serce rozpadło się na milion kawałków. Myślałam, że po stracie Jana umarłam. To nieprawda. Dopiero wtedy umarłam za życia.

W oczach starszej pani pojawiły się łzy.

— Złożyłam zeznania na milicji. Potraktowali mnie jak wariatkę, a to dlatego, że oskarżyłam właśnie Wiolettę Malinowską. A Malinowscy mieli układy. Oni zawsze potrafili się dopasować do aktualnie panującej władzy. Dlatego ich dworek przetrwał wojnę, a potem pozwolono im do niego wrócić, choć przed trzydziestym dziewiątym byli posiadaczami ziemskimi. Z takimi się nie patyczkowano... Tyle że oni mieli układy z komunistyczną władzą. Najpierw z Niemcami, którzy tutaj stacjonowali, potem z Ruskimi, wreszcie z komuchami. To byli fałszywi ludzie, później się dowiedziałam, że donosili, na kogo tylko się dało. Takim jak oni nie

należy ufać!

Zamilkła na moment.

— Czy dowiedziała się pani, co się wtedy stało? — zapytała łagodnie Amelia. Delikatnie ujęła jedną dłoń starszej kobiety, tym drobnym gestem próbując okazać jej wsparcie.

— Tak... — Pani Arleta otarła chusteczką łzę czającą się w kąciku oka. — Chyba gryzło ją sumienie. Była u mnie lata temu. Opowiedziała, co się wtedy wydarzyło. — Westchnęła. — Tak jak przypuszczałam, to ona wykradła mi synka. Ktoś jej w tym pomógł, otworzył zamek i wyniósł dziecko. Wiesz, wtedy nie było zamków antywłamaniowych ani alarmów, zwłaszcza na takich poddaszach jak moje! Malinowska była wtedy w samochodzie i czekała na dziecko. Potem rzeczywiście ruszyła do Warszawy, do ciotki. Po podróży i nieprzespanej nocy musiała wyglądać strasznie. Janek miał wówczas dziesięć tygodni. Był dość ciężki i zrobił się marudny, gdyż był głodny, a jego pieluszka była brudna. Malec płakał, a pani Wioletta była zmęczona. „Wielkie nieba! Wioletto! Co ty tutaj robisz?“, powitała ją w progu ciotka. Była zdziwiona jej przyjazdem. Tym bardziej że przyjechała z dzieckiem. Otaksowała ich oboje spojrzeniem. „Wyglądasz koszmarnie“, posumowała. „Ciociu, wcale mi ciocia niczego nie ułatwia...“, westchnęła Wioletta. „Ależ taka prawda, kochana. Co cię tu sprowadza?“, zapytała uprzejmie krewna. Pani Malinowska w całym tym zamieszaniu nie zdążyła wymyślić żadnego porządnego kłamstwa, więc oświadczyła, że wpadła po prostu w odwiedziny. „Skąd masz to dziecko?“, zapytała podejrzliwie ciotka. „To moje dziecko“, upierała się tamta. Pani Matylda zmrużyła oczy i

powiedziała Wioletcie, że nie życzy sobie żadnych problemów pod swoim dachem. „Nakarmimy je i przebierzemy”, zdecydowała. „A potem porozmawiamy”. I tu plan pani Malinowskiej zaczął się rwać. Jak ci mówiłam, ona miała obsesję, nie myślała tak do końca logicznie. Jej ciotka Matylda nie odpuszczała, zaczęła się dopytywać, skąd wzięło się to dziecko. Wiedziała, że jej siostrzenica nie mogła mieć swoich. Wioletta zaczęła kręcić. Stara ciotka głupia nie była. Szalała z wściekłości i strachu, że ktoś oskarży ją o uprowadzenie maluszka. „Zwróćmy je matce”, zaproponowała z nadzieją w głosie. Wioletta tylko ją ofuknęła. W końcu pod naciskiem wyjawiała prawdę, ale za nic w świecie nie wyobrażała sobie, by miała oddać swojego Jasia. Po pewnym czasie ciotka zaczęła się zastanawiać: „Nie można zabrać dziecka, a potem tak zwyczajnie go zwrócić. To zbyt niebezpieczne. Milicja już wie o porwaniu, matka na pewno je zgłosiła i teraz odchodzi od zmysłów”, zauważyła smutno. „Nawet nie chcę myśleć, co będzie, jak to wszystko się wyda!” Złapała się za głowę, spodziewając się migreny. Co ta dziewczyna nawyprawiała? Sprowadzi na nich wszystkich nieszczęście! Wioletta zaś pozostawała jak skała. „Nie ma dowodów na to, że ja je porwałam”, upierała się. „Ale mogą się pojawić, jak będziemy jechać z nim z powrotem”. Ciotka utkwiała w Wioletcie surowe spojrzenie niebieskich oczu. „Jak mogłaś do tego dopuścić? Co ci odbiło?” W odpowiedzi tamta objęła się ramionami i zaczęła się bujać na prawo i lewo. „Chcę mieć dziecko. Chcę mieć dziecko”, powtarzała. „Masz tylu znajomych lekarzy... i nie tylko. Załatwisz mi odpowiednie dokumenty?” Pani Matylda była zgorzonna. Raz jeszcze powtórzyła, że nie życzy sobie żadnych

kłopotów. Wioletta spojrzała na nią smutno. „To co z nim? Co z moim synkiem?”, pytała, nieustannie się kołysząc.

Łzy dwoma wartkimi strumieniami popłynęły z oczu pani Arlety. Czas nie był w stanie przytłumić bólu. Amelia przez chwilę zastanawiała się, czy nie przerwać opowieści; bała się, że serce staruszki nie wytrzyma, ale na jej twarzy malowała się teraz dziwna determinacja, jakby musiała wyrzucić z siebie cały żal tych pierwszych powojennych lat.

— W końcu doszły do porozumienia, że dziecko należy podrzucić — wyszeptwała. — Zostawiły mojego Janka w kamienicy na warszawskiej Pradze. Pani Matylda знаła tam rodzinę, która chętnie przygarnęłaby dziecko. Dwa dni później, żeby pozbyć się wyrzutów sumienia i zostawić ostateczną decyzję komuś innemu, pod drzwi mieszkania wsunęła list z informacją, czyj to chłopiec, gdzie mieszka jego matka. Na wszelki wypadek, gdyby chcieli go zwrócić. Zaznaczyła też, że dziewczyna jest samotną matką i dlatego zdecydowała się na taki krok. Jakbym sama chciała się pozbyć mojego Jasia... Jakby był dla mnie ciężarem...

Arleta przerwała. Amelia czuła suchość w ustach; serce łomotało jej w piersi.

— A co się z panią działo? — zapytała.

— Przez pierwszy rok chodziłam jak w transie — powiedziała ciężko staruszka. — Rozpaczałam. Nie było mnie; dusza uleciała gdzieś z ciała. To straszne: stracić dziecko.

— Nawet sobie nie wyobrażam tego bólu. — Amelia pokręciła głową. Po plecach przeszły jej dreszcze.

— Pamiętam, że tydzień po zdarzeniu zamknęłam się na poddaszu i położyłam do łóżka w nadziei, że umrę. Nie zażyłam żadnych tabletek ani nie podciąłam sobie żył, ale serce bolało mnie tak bardzo, że chciałam po prostu umrzeć. I myślałam, że to nastąpi, bo żaden człowiek nie jest w stanie znieść takiego cierpienia. Czekałam, aż po prostu pęknie mi serce. Mama i siostra były przerażone. Pukały do drzwi, a ja im nie otwierałam. Postanowiły jednak, że nie odpuszczą. Wiesz, dobrze mieć wokół siebie takich ludzi, którzy podniosą cię z klęczek, podadzą rękę, kiedy wpadniesz w dół... Myślę, że tak naprawdę dopiero wtedy doceniłam to, że mam rodzinę. Waliły do drzwi mojego odnajmowanego pokoiku tak mocno, że aż miały sine kłykcie. W końcu z pomocą jakiegoś silnego chłopaka wyważyły drzwi. Kiedy mama mnie zobaczyła, miała rozpacz wypisaną na twarzy. Leżałam nieruchomo. Błada, śmierdząca. Moja twarz była opuchnięta od łez. „Córeńko, córeńko!”, zawodziła. Tuliła mnie do siebie. Tylko matka może tak bardzo kochać swoje dziecko, nawet jeśli stoczy się tak bardzo, że w niczym nie przypomina już siebie sprzed lat. „Powiedz coś”, poprosiła i zaczęła delikatnie mną potrząsać. „Proszę, odezwij się”. Przyłożyła głowę do mojej piersi, a kiedy uspokoiła się, widząc, że oddycham, wzięła moje ręce i zaczęła je rozmasowywać. I tak każdego dnia. Nie odstępowała mnie na krok, a jeśli jej przy mnie nie było, obok czuwała Daniela. Nie mam pojęcia, jak to załatwili z Malinowskimi, ale tak było. Być może pani Wioletta już wtedy czuła się winna, że doprowadziła mnie do takiego stanu? Nie wiem.

Pani Arleta spojrzała na swoje starcze dłonie, które jej matka rozcierała kiedyś z taką czułością. Lekko zakołysała się na krześle i

Amelia zrozumiała, że dzisiejsza wizyta powoli zbliża się do końca.

— Pewnej nocy — zaczęła raz jeszcze staruszka — kiedy obudziłam się z krzykiem, mama podbiegła do mnie i płacząc, usiadła obok. „Kochanie”, powiedziała, a ja widziałam, że ból rozsadza ją od środka. „Kochanie, przepraszam. Ja nie potrafię już nic więcej dla ciebie zrobić, nie wiem, jak ukoić twoje cierpienie. Staram się, próbuję, jestem tu dla ciebie... ale jakoś mi nie wychodzi. Wiem, że zaboli cię to, co teraz powiem”, dodała cicho. „Ale musisz nauczyć się z nim żyć. Z tym cierpieniem. Z brakiem. Może pomyślisz, że teraz to, co mówię, to bluźnierstwo, ale musisz żyć. Jeśli nie dla siebie, to dla mnie, dla Danieli. Kochamy cię i wciąż potrzebujemy. Pamiętaj o tym”, zakończyła cicho i ułożyła mnie do snu, jakbym wciąż była małą dziewczynką. Długo jeszcze tej nocy wpatrywałam się w sufit, uświadamiając sobie powoli, jak przeżywaniem własnej krzywdy sprawiam ból najbliższym. Na zawsze zapamiętałam sobie tamte słowa mamy — zakończyła pani Arleta.

Uśmiechnęła się smutno do swojego gościa i jeszcze przez chwilę milczały, gdy obrazy przeszłości unosiły się w pokoju. Po jakimś czasie Amelia pożegnała się cicho i obiecała, że niebawem pojawi się znów.

ROZDZIAŁ 31

— Znam takiego człowieka, który potrzebuje z tobą porozmawiać — powiedział Adam Patrycji podczas spaceru.

— Ze mną? Dlaczego?

— Bo tylko ty pomożesz mu wrócić do życia.

— Czy on choruje?

— Tak. Jego dusza jest w rozsypce.

— To ty jesteś lekarzem od dusz.

— Nic tu po mnie.

Adam opowiedział Patrycji historię starego pana Drabika.

Kobieta zdała sobie sprawę, że choroba w pewien sposób pomogła jej pewne rzeczy zrozumieć. I może rzeczywiście jeśli ona do tego doszła, a była trudnym przypadkiem, to uda jej się teraz komuś pomóc. Być może namówi tego starszego człowieka, by na nowo zaczął żyć. Kiedyś sama goniła za rzeczami głupimi, bała się spontaniczności, energii, smaku wolności. Zagłuszała swoje pragnienia, goniła za jakimiś iluzjami, mrzonkami. „Większość z nas, kiedy się tak zastanowić, żyje jakimś nieprawdziwym życiem. Jakby nie swoim. I większość z nas goni za ułudą. A tak naprawdę powinniśmy żyć tak, jak chcemy. Dążyć do spełniania naszych marzeń. Przeżywać każdy dzień” — myślała. „Bałam się rzeczy, które nie powinny mnie w ogóle obchodzić. Przejmowałam się opiniami innych ludzi. I po co?” — zastanawiała się Patrycja. Rak pokazał jej, że życie jest piękne, ale

jest też ciągłą zmianą. Ludzie boją się zmian, a zmiany tak naprawdę przynoszą wyzwolenie. Czasami jesteśmy ciekawi tego, co by było, gdybyśmy mieli dwa równoległe życia i w jednym skręcili w prawo, a w drugim w lewo. Które byłoby lepsze?

Patrycja wiedziała już, że nieważne, czy w prawo, czy w lewo, byle w zgodzie z tym, co mamy w serduchu, w duszy, z tym, co czujemy, i z tym, czego chcemy.

„Tyle razy kłóciłam się z Markiem!” — pomyślała. „Każdy z nas się kłóci. On coś powiedział, ja odburknęłam. On powiedział, że ja burczę. Ja, że on się czepia. Od słowa do słowa i awantura gwarantowana. A trzeba było niekiedy odpuścić. Przespać się z tym. Ucałować na dobranoc. Bo rano wszystko wyglądałoby inaczej. Ale nie, w tym wypadku to ja musiałam się czepiać”. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

— Pójdę do pana Drabika i porozmawiam z nim — zwróciła się do Adama. — Ale nie jestem pewna, czy to coś pomoże. I w ogóle nie bardzo wiem, jak zacząć, w końcu zupełnie go nie znam.

Adam posłał jej taki uśmiech, że kolana się pod nią ugięły.

— Czuję, że ci się uda — oświadczył z mocą. — I że znajdziesz właściwy sposób.

Dzień później Patrycja siedziała w pokoju domu pana Drabika. Adam zmył się po angielsku, zostawiając ich samych.

— Nie chciałem, żeby pani tutaj przychodziła — warknął Drabik. Siedział na fotelu i bujał się na nim to w przód, to w tył. Zdecydowanie na należał do gościnnych ludzi.

— Ja też nie chciałam. — Patrycja rozejrzała się po pomieszczeniu.

Ściany były obwieszane rodzinnymi fotografiami. Jak ten człowiek musiał tęsknić za rodziną! Jak bardzo kiedyś musiał kochać! Jeszcze do niedawna była przekonana, że nie można cierpieć bardziej niż ona, ale czy na pewno? Jest tyle ludzkich dramatów na tym świecie, od których pęka serce.

Na parapetach stały uschnięte kwiatki, których nikt na pewno nie podlewał od tygodni, może miesięcy. A może lat.

— Jak pani nie chciała, to po co pani przysłała? — Drabik nawet nie odwrócił głowy w jej stronę.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego sama zadała pytanie:

— Nie ma pan choinki?

Mężczyzna jakby odzyskał energię. Zaczął się nerwowo kręcić w fotelu. Patrycja zauważyła, że aż się zagotował.

— Po cholere mi choinka? Święta są dobre dla rodzin. Nie dla samotnych starców!

— Możemy te święta spędzić razem.

Drabik wstał z fotela i odwrócił się do niej gwałtownie.

— Chcesz ze mną spędzić święta, dobre sobie — prychnął.

— Z panem i nowymi znajomymi. Bo widzi pan, ja chyba też nie mam już nikogo bliskiego...

— Jak to? — zdumiał się i po raz pierwszy zmierzył ją wzrokiem. Była całkiem młoda i niezaprzeczalnie ładna. No i przysłała tu z tym Adamem...

Patrycja nabrała powietrza w płuca.

— Mój mąż, wkrótce były mąż, kocha inną kobietę. To ona zaprosiła mnie na święta, ale jak się pan domyśla, nie czuję się z tym

bardzo dobrze, zwłaszcza że będzie tam z moim mężem. A ja... Ja jestem sama. Bezdzienna. I w dodatku bez piersi.

— Bez piersi? — Nie rozumiał.

— Tak. Przeszłam mastektomię.

Najwyraźniej zrobiło mu się głupio.

— Wie pan... — podjęła Patrycja. Nagle poczuła, że chce podzielić się z tym mężczyzną swoimi odczuciami. — Niekiedy tak mało wiemy o napotkanych ludziach. Myślimy, że to nas spotkało największe z możliwych nieszczęść, tymczasem być może codziennie na swoich ścieżkach spotykamy innych, którzy cierpią w samotności. — Patrycję samą zdumiała moc jej słów. Nie sądziła, że kiedyś to powie, przyzna, że inni mogą być w jeszcze gorszej sytuacji.

Zaczęła opowiadać wszystko jak leci. Od początku, bez upiększania, ale też bez zbytniego dramatyzmu. Bez wybielania siebie, ale nie bez emocji, które towarzyszyły jej na każdym etapie całej tej smutnej historii z rozpadem małżeństwa i nowotworem. Kiedy skończyła, Drabik podszedł do niej i mocno ją przytulił. W oczach miał łzy.

— Jesteś taka młoda. Taka piękna. Całe życie przed tobą. Nie możesz go odrzucać! — powiedział cicho.

— Nie odrzucę, jeśli obieca mi pan, że pan również zacznie żyć. Proszę dać mi dobry przykład.

Uśmiechnął się do niej nieśmiało.

— Pomożesz mi ubrać choinkę?

— Choinkę?

— Zaczynam żyć. — Odwrócił się od niej i wyszedł z pokoju. Po chwili stanął przed nią z wielkim pudłem.

— Tu są rupiecie na choinkę. — Kąćki jego ust się uniosły.

— Ozdoby choinkowe. — Patrycja dopiero teraz zrozumiała.

— Jak zwał, tak zwał.

Oboje poczuli w sercu dziwne ciepło.

Amelia siedziała zasłuchana w kolejny odcinek opowieści pani Arlety. Miała wypieki na twarzy.

— Pewnego dnia Piotr Malinowski długo stał pod drzwiami mojego mieszkania na poddaszu... Choć mieszkanie to chyba za duże słowo, jak mówiłam, stać mnie było jedynie na pokój i kuchenkę. Pukał i pukał. Ktoś inny pewnie dawno dałby za wygraną i odszedł, ale nie on. Może i nie był przesadnie złym człowiekiem, przed wojną jak na pana to był nawet bardzo dobry, za to był przyzwyczajony do tego, że dostawał to, czego chciał. Kiedy wreszcie mu otworzyłam, zobaczyłam w jego oczach przerażenie. Na pewno dostrzegł ziemistą cerę, sińce pod oczami i włosy w nieładzie. „Mogę wejść?“, zapytał. Odsunęłam się na bok. Nie wiedziałam, co on tutaj robi i czego ode mnie chce. Nie obchodziło mnie to; byłam pewna, że jego żona zniszczyła mi życie. Usiedliśmy przy stole na taboretach. Nie zaproponowałam nic do picia. Może zapomniałam, a może byłam tak zdruzgotana, że mnie to nie obchodziło? „Dziwi Arletę, że tutaj przyszedłem?“, zapytał, a ja skubałam starą ceratę, która leżała na stole. Cicho odpowiedziałam, że już nic mnie nie dziwi. „Oskarżyłaś moją żonę o porwanie...“, zaczął. „Jestem w stanie sobie wyobrazić twoją rozpacz“. Uniosłam ostrzegawczo dłoń. „Nie“, zaprotestowałam. „Nie jest pan sobie w stanie tego wyobrazić. Ale czymże jest moje słowo przeciw jej słowu?“, dodałam gorzko. Był wyraźnie skrepowany. „Twoja mama opłaca to

mieszkanie”, zauważył. „Wiem, że nie masz pieniędzy. Mama i siostra...”, mówił powoli, ciepłym tonem. „To moja sprawa!”, przerwałam mu odrobinę za ostro. On mnie jednak zignorował. „Chciałbym ci pomóc”, oświadczył. „Po co pan przyszedł?”, zapytałam i zmrużyłam oczy. Wpatrywałam się w niego z odrazą. Nic mi nie zrobił, ale brzydziłam się całą jego rodziną. Pan Piotr spuścił głowę. „Jest mi ogromnie przykro, że cię to spotkało, naprawdę”. Wydawało się, że mówi szczerze. „Ale minął rok...”, dodał. „To wciąż zbyt mało”, odpowiedziałam z naciskiem. „Zawsze będzie zbyt mało”. Spojrzeliśmy w okno. Padał gęsty śnieg, który pokrywał gołe drzewa. Zbliżały się święta. „Może chciałabyś wrócić do pracy?”, spróbował jeszcze raz. „We dworze?”, przeraziłam się. „Nigdy! Nie zniosłabym obecności pod jednym dachem tej kobiety, pańskiej żony”. Wycelowałam w niego palcem; twarz mi poczerwieniała, a na szyi i dekolcie wykwitły czerwone plamy.

Amelia mogła sobie wyobrazić jej oburzenie. Szybko się jednak dowiedziała, że dla skrzywdzonej kobiety pan Malinowski miał inną propozycję.

— Tylko pokręcił głową. „Nie, nie u nas”, zapewnił. „Jako pielęgniarka w Sanoku. Mam znajomości, mogę pomóc, polecić”. „Nie wątpię”, rzuciłam kwaśno. Niczego mu nie ułatwiałam. Wpatrywałam się w niego apatycznym wzrokiem. Cierpienie przeszywało mi duszę. Zamilkliśmy oboje. Odezwał się dopiero po chwili: „Życie nie obeszło się z tobą łaskawie. Nieślubne dziecko, strata syna...” Drgnęłam i zapytałam, czy domyśla się, czyje dziecko zostało mi odebrane. Kto był ojcem mojego Janka. Spojrzał na mnie smutno i odpowiedział, że się

domyśla. „I dlatego pan tutaj przyszedł?”, zapytałam żałośnie. Zaprzeczył. „Przyszedłem tutaj, bo o tobie myślę. Bo mi cię szkoda. Czasami trzeba wyciągnąć do kogoś rękę”. Brzmiało to bardzo znajomo, zupełnie jak z ambony. Uśmiechnęłam się drwiąco. „Już rozumiem”, rzuciłam. „Nadchodzą święta, czas miłosierdzia. Postanowił pan pomóc sponiewieranej duszyczce, odkupić tym jakieś swoje grzechy i...” „Ty to powiedziałaś”, przerwał mi. „Po prostu chcę, żebyś wróciła do życia, do pracy. W którymś momencie będziesz musiała to zrobić. Janek nie chciałby, żebyś pogrzebała się tu żywcem...” Zakręciło mi się w głowie. Pan Piotr Malinowski podniósł się z krzesła. „Będę już szedł”, oświadczył, skłonił się nisko i pocałował moją dłoń. A potem spojrzał mi w oczy i dodał coś, czego wówczas nie zrozumiałam: „Robię to po trochu dla siebie; gryzie mnie sumienie. Może kiedyś to wyjaśnię”. Nawet teraz zastanawiam się, czy wiedział. Czy wiedział coś o moim synu? A może to ten romans z Danielą nie dawał mu spokoju? „Wie pan, ja już nie mogę zawrócić”, rzuciłam, gdy już stał w drzwiach. Czułam się jak wydrążona, jakbym dostała obuchem. „Można wrócić. Zawsze można, do jakiegoś punktu w życiu. Można zakręcić, zboczyć z drogi. Jesteś jeszcze młoda. Powinnaś żyć. Zapewne trudno się podnieść, kiedy straciło się wszystko, ale wiem, że warto. Zrób to”.

Pani Arleta przeniosła zamyślane spojrzenie na Amelię.

— Półtora roku po zaginięciu mojego synka zaczęłam na nowo zszywać swoje życie. Cerować dziury. Szpetne to były ściegi, ale jakoś trzymały to wszystko, by na nowo się nie rozpadło. Potem poznałam mojego przyszłego męża. Siostra mnie z nim zapoznała. Był

prawdziwym przyjacielem. Nie kochałam go tak, jak Jana, ale to on wyrwał mnie z marazmu. Może moje serce zamknęło się na miłość. Może nie byłam w stanie pokochać innego mężczyzny, bo za bardzo się bałam kolejnego cierpienia w razie straty. Widocznie tak musiało być. Smutne to, ale prawdziwe. Urodziłam mu córkę i mimo wszystko byłam szczęśliwa. To ona stała się centrum mojego życia. W końcu i ją los mi zabrał; zmarła pięć lat temu. Ale przeżyłyśmy ze sobą przepiękne chwile.

— Teraz jest pani sama? — domyśliła się Amelia.

— Nie mam rodziny... Córka jakoś nie doczekała się dzieci.

— Przykro mi.

— Mnie czasami też. A czasami... Jakoś się z tym pogodziłam.

— W takim razie... Chciałabym zaprosić panią na święta.

Amelia spojrzała na staruszkę niemal z czułością. W oplecionych siecią zmarszczek oczach błysnęły łzy.

— Naprawdę?

— Tak, oczywiście! To byłaby przyjemność. Przyjechałabym po panią w Wigilię i zabrała do siebie, jeśli tylko by się pani zgodziła. I oczywiście jeśli lekarz pozwoli...

Pani Arleta przez chwilę milczała.

— To najcudniejszy prezent, jaki ostatnio otrzymałam — wyszeptała. — Dziękuję.

Obie kobiety były wzruszone. Myśl o wspólnej wieczerzy wigilijnej tak pokrzepiła staruszkę, że postanowiła opowiedzieć tego dnia jeszcze trochę. Jej historia miała bowiem ciąg dalszy.

— Pięć lat po porwaniu Janka dostałam list z adresem. Napisano w

nim tylko, że muszę gdzieś pojechać i coś zobaczyć. Miałam ochotę zignorować wiadomość, ale pojechałam tam, do Warszawy, bo coś w środku nie dawało mi spokoju. „Tylko nie pukaj do drzwi. Bądź na podwórku o dwunastej. Sama się przekonasz, o czym chciałam Ci powiedzieć”. Poszłam pod wskazany adres. Zobaczyłam go równo w południe. Od razu wiedziałam, że to mój syn. Wyglądał prawie jak Janek! Oczy miał chyba mojej mamy, jeśli dobrze widziałam, a włosy... Odruchowo dotknęłam wówczas swoich. Ciemnych, kręconych pukli.

Pani Arleta odruchowo uniosła dłoń i przyglądała dziś już zupełnie siwiutkie kosmyki. Amelia oceniła, że kiedyś musiała być dumna ze swoich kruczonych loków.

— Krew pulsowała mi szybko w żyłach. Byłam tak zdenerwowana, że poczułam mdłości. Chciałam ruszyć w jego kierunku, ale jakaś kobieta coś do niego szczebiotała, a on się do niej uśmiechnął. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa; usiadłam na ławce, nie wiedziałam, co mam robić. Obserwowałam ich przez jakiś czas. Bawili się razem w piaskownicy, potem dołączył do nich mężczyzna. Wysoki, szczupły, wręcz kościsty. Malec uśmiechnął się do niego. Zapewne był to mąż tej kobiety; tworzyli obrazek kochającej się rodziny. Pełnej rodziny. W pewnej chwili mężczyzna wziął mojego synka na ręce i zaczął go podrzucać. Usłyszałam radosne piski. W sercu coś mnie ścisnęło. Pierś przeszywał mi ból. Wstałam i podeszłam do nich na nogach jak z waty. „Dzień dobry”, przywitała mnie tamta kobieta, spoglądając na moją kredowobiałą twarz. Wskazałam ręką chłopca. „To ja. To on”, wyszeptałam. W jednej chwili wszystko zrozumiała; kobiety

wyczuwają takie rzeczy. „Idźcie do domu”, zwróciła się do męża. Mężczyzna chwilę protestował, ale wreszcie usłuchał i wraz z Jasiem, moim Jasiem, zniknął w bramie kamienicy. Kiedy zostałyśmy same, kobieta wskazała na ławkę, a ja nie mogłam się poruszyć. Osunęłam się na ziemię. Ból przeszywał każdą cząsteczkę mojego ciała, każdy nerw. Wszystko bolało. Nieznajoma położyła dłoń na moich plecach. Powinnam być jej wdzięczna, ale wzdrygnęłam się. W końcu wstąpiła we mnie jakaś siła. Podniosłam się i doszłam do ławki. Opadłam na nią ciężko. „Jestem mamą pani syna”, powiedziałam wolno, jakby dopiero to do mnie dotarło. „Domyśliłam się”, odpowiedziała. Tylko że teraz, skoro pani go nie chciała, to ja jestem mamą pani syna”. Z miejsca znów zakręciło mi się w głowie. „Nie chciałam?!”, wychrypiałam, czując, jak ogarnia mnie histeria. „Co to za brednie?!” Odetchnęłam głęboko, usiłując się uspokoić, a potem opowiedziałam jej swoją historię. Była przerażona. „Podrzuciono go nam na próg mieszkania”, wyjawiała jakby na swoją obronę. „A ja pokochałam go, jakby był nasz”. Byłam zrozpaczona. „Dlaczego nie zawiadomiła pani milicji?”, zapytałam żałośnie. „Rozwazałam to, naprawdę!”, wykrzyknęła i ukryła twarz w dłoniach. „Tylko że tak bardzo pragnęliśmy mieć dziecko... On spadł nam jak z nieba, jak wyblągany dar od Boga, od losu. Kilka dni później odwiedziła nas przyjaciółka matki mojego męża i obiecała, że załatwi nam odpowiednie dokumenty, że nie musimy chłopca oddawać. Że u nas będzie miał lepiej niż w sierocińcu. Przerazała mnie wizja oddania go do jakiejś ochronki”. Obie płakałyśmy. „Chciałam mieć dziecko”, powtórzyła tamta. „Gdy ktoś mi je podrzucił z listem... Uwierzyłam, że skoro nikt

go nie chciał, może być mój”.

Pani Arleta spojrzała smutno na Amelię.

— Kiedy trochę się uspokoiłyśmy, spojrzałam w oczy tej kobiety. Zobaczyłam w nich strach. „To jest mój syn”, stwierdziłam twardo. „Ma już pięć lat”, zauważyła łagodnie. „Jesteśmy jedynymi rodzicami, jakich zna”, dodała. Och, jak mnie to zabolalo! A przecież wiedziałam, że ma rację. Mimo to postanowiłam walczyć. „Nie możesz ot tak przywłaszczyć sobie mojego syna!”, wykrzyknęłam. Zupełnie zapomniałam o jakiegokolwiek grzeczności. Teraz, gdy wreszcie go odnalazłam, nie wyobrażałam sobie wrócić w Bieszczady bez niego. „Proszę nie zabierać mi Janka”, szepnęła tamta błagalnie. Poczułam, że kontury świata zaczynają mi się rozmazywać. Skąd wiedziała, jak dałam mu na imię? To musiał być znak. Znak od samego Boga. Zapytałam ją o to. „Jego ojciec miał tak na imię”, dodałam. Serce biło mi coraz szybciej. Kobieta wyraźnie się zaniepokoiła. „Dobrze się pani czuje?”, zapytała z troską. Spuściłam głowę i nie odpowiedziałam. Po chwili znów świdrowałam ją spojrzeniem. „To jest mój syn”, oświadczyłam głośno. W oczach tamtej kobiety błysnęły łzy. Dopiero teraz widziałam, że panowała nad sobą z prawdziwym trudem. I wreszcie coś w niej pękło. Na jej twarzy pojawił się dziwny grymas. „Nie ma pani na to dowodów”, rzuciła lodowato. „Słowo przeciwko słowu. Nie może nam go pani odebrać, zresztą on nigdy by tego pani nie wybaczył. Nie może pani!”, krzyknęła, a potem wstała i pobiegła w stronę kamienicy. A ja osunęłam się na ziemię.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza.

— Chciałabym zostać sama — odezwała się wreszcie pani Arleta.

Amelia skinęła głową. Uszanowała jej decyzję i prywatność.

Przez kolejne dni staruszka nie chciała widzieć się z Amelią. Dopiero po pewnym czasie sama do niej zadzwoniła i poprosiła o wizytę.

— Musiałam to wszystko na nowo przetrwać. Ten ból na zawsze we mnie zostanie — zwróciła się do młodszej kobiety z przepaszającym uśmiechem.

— To zrozumiałe.

— Widzisz, skoro sama masz dzieci, chyba mnie zrozumiesz. Chciałam zabrać Janka. Stwierdziłam, że to nie będzie porwanie, bo przecież jestem jego matką. Wróciłam do Warszawy po miesiącu. Któregoś dnia szłam za nimi do przedszkola. Tamta kobieta... matka Janka — nawet teraz było widać, z jakim trudem te słowa przechodzą pani Arlecie przez gardło — rozglądała się nerwowo na boki. Moja wizyta najwyraźniej zburzyła jej spokój. Ale ja byłam niczym cień, który sprytnie wie, gdzie się schować. Po kilku godzinach pojawiłam się w przedszkolu. Udałam, że jestem daleką ciotką Janka, która przyszła odebrać chłopca. Wyjaśniłam, że jego matka źle się poczuła i jest w szpitalu, i że szybko musimy tam jechać. To były inne czasy, ludziom wierzyło się na słowo. Nie było żadnego sprawdzania. Kobieta wydała mi chłopca. A on, niczego nie podejrzewając, uśmiechnął się do mnie. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Miał uśmiech mojego ukochanego...

Pokiwała głową w zamyśleniu.

— Nagle ogarnęły mnie strach i przerażenie. Miałam już wtedy Małgosię i wiedziałam, co czuje dziecko. Powtarzałam sobie w

myślach, że nie mogę się teraz rozkleić, że Janek jest mój. Że to mój syn i ja to wszystkim udowodnię. „Dokąd idziemy?”, zapytał mnie w pewnej chwili, marszcząc czoło. „Chcę ci pokazać mój dom i małą dziewczynkę”, powiedziałam łagodnie. On przystanął, spojrzał na mnie tak dziwnie. „Mówiłaś, że idziemy do mamusi”, wytknął mi. Zaczęłam się tłumaczyć, ale jego oczy wypełniły się łzami. „Chcę iść do mamusi. Nie chcę iść z tobą”, powiedział w końcu, wbijając mi nóż w serce. „Niektóre dzieci mają dwie mamusie”, zaczęłam delikatnie. Spanikowałam. Sama nie wiedziałam, co mam mówić i robić. Poczułam, że poca mi się ręce. „Ja mam jedną!”, krzyknął. Tupnął nóżką. Puścił moją dłoń, jakby go parzyła, na jego szyjce ze zdenerwowania pojawiły się czerwone plamki. Po chwili wybuchnął głośnym płaczem. „Chcę do mamusi, zabierz mnie do mamusi”, błagał. Zaczął się rozglądać po okolicy, jakby szukając ratunku. Wtedy zrozumiałam, że on przynależał do tamtej rodziny, a ja byłam dla niego obcą kobietą. I nigdy już nie będę nikim więcej.

Amelia odwróciła oczy; nie mogła znieść widoku smutku, który malował się na twarzy staruszki.

— Zaprowadziłam go do domu — wyszeptała pani Arleta. — W oczach Marii... tak miała na imię jego „mama”... malowały się przerażenie i wdzięczność. — Spuściła głowę. — Mogłam to rozwiązać inaczej. Mogłam znów iść na milicję, odnaleźć ludzi, którzy znali Jana, poprosić ich o świadectwo, że to jego syn. Byli w końcu niesamowicie podobni... Mogłam odebrać Janka tamtej rodzinie, ale wiedziałam, że to był zły pomysł. Zostawiłam to tak, jak było. Maria obiecała mi, że kiedyś powie Jankowi, jak było naprawdę. I o tym, że go nie urodziła, i

o tym, że wcale go nie porzuciłam, tylko los tak okrutnie sobie ze mnie zadrwił...

— I pani tak łatwo na to wszystko przystała?

Pani Arleta uśmiechnęła się gorzko, a Amelia zaraz pożałowała zbyt szybko wypowiedzianych słów. „Mogłam się ugryźć w język” — wyrzucała sobie.

— Nie. Nie było łatwo. Ale cieszyłam się, że mój syn żyje, że jest kochany i szczęśliwy. Odwiedził mnie tydzień po swoich osiemnastych urodzinach i odwiedza mnie do tej pory... Czasami. Sam jest już wiekowym człowiekiem. Nie powiem, że między nami jest jakaś silna więź, bobym skłamała. Ale lubimy się i szanujemy. Ja go kocham; serce matki nigdy nie przestaje kochać. A on... Przebaczył mi, nie ma do mnie żalu, ale mamę ma jedną. Maria jest jego matką.

— To smutne.

— Tak — westchnęła Arleta. — Widocznie tak miało być...

— To w ogóle smutna historia — podsumowała Amelia.

— Ale czy tylko? Wiele w niej miłości. Moja miłość do Janka, jego do mnie, do Barbary, bo ją też kochał, skoro od niej nie odszedł. Marii i moja do małego Janka. Mojej mamy do mnie. Miłość zawsze przeplata się z cierpieniem. Ale jeśli mam być szczerą, to jeszcze nie koniec całej historii...

Amelia z miejsca zamieniła się w słuch i uśmiechnęła się zachęcająco. Starsza pani się jednak nie rozpogodziła.

— Kilka lat później Daniela przyszła do mnie ze skruszoną miną. Już od progu wiedziałam, że coś jest nie tak. „Co się stało?”, zapytałam ją. Wyglądała okropnie. „Bo wtedy... Wtedy...” Rozpłakała

się. „Kiedy? Co się dzieje?” Zaprowadziłam ją do kuchni i posadziłam na krześle. Przez dobrych kilka chwil nie potrafiła opanować płaczu. „Co się stało? Kiedy?”, powtórzyłam. Westchnęła ciężko i zaczęła opowiadać, a ja truchlałam z każdą chwilą. „Na jeden krótki moment w moim życiu znienawidziłam cię”, wyznała. „Wstydzę się teraz za to, ale taka jest prawda”. Zapytałam, czy to przez Jana. Potwierdziła i dodała: „A także przez to, co się wtedy wydarzyło w moim życiu. Pamiętasz, jak wyjechałam na pół roku do Gdańska?” Oczywiście, że pamiętałam. „Nigdy cię to nie zastanawiało, dlaczego wyjechałam?”, zapytała i wbiła we mnie wzrok, a ja pokręciłam głową. „Mówiłaś, że pan Piotr zaoferował ci dobrą posadę w Gdańsku i kurs recepcjonistki”, zauważyłam. „Sama stwierdziłaś, że chcesz się rozwijać, że Wolne Miasto to nowe perspektywy”. „A ty w to uwierzyłaś?” W jej pytaniu było pełno bólu. Dlaczego miałam jej nie wierzyć? Tymczasem Daniela wyjawiała mi, że trzy miesiące po tym, jak zaczęła sypiać z panem Piotrem, zorientowała się, że będzie miała dziecko. Poszła z tym do niego. Był dość zakłopotany, kiedy zapukała do drzwi jego gabinetu. Próbował ją odprawić, a na jego czole, jak zwykle, gdy coś go denerwowało lub rozczarowało, pojawiła się pionowa zmarszczka. „Zażądałam, żeby przyjął mnie teraz”, opowiadała Daniela. Pokręcił głową, zdziwiony jej zachowaniem, bo zawsze była mu posłuszna. Poleciał, by zamknęła drzwi, a ona nimi trzasnęła. Nie zrobiła tego specjalnie; był przeciąg. Oświadczyła mu, że spodziewa się dziecka. „Słucham?!”, wykrzyknął, poderwał się z krzesła i upuścił długopis, którym wcześniej pisał. „Spodziewam się dziecka”, powtórzyła wtedy Daniela z naciskiem. Był zszokowany.

Chwycił się oparcia krzesła. „Skąd mam wiedzieć, że to moje?”, wydukał wreszcie. W głowie mi się to nie mieściło; przerwałam siostrze jej opowieść. „Jak on mógł ci coś takiego powiedzieć? Pan Piotr... To przecież taki dobry człowiek”. Wciąż pamiętałam jeszcze, jak pomógł mi stanąć na nogi po utracie Janka. „Każdy z nas ma dwa oblicza”, odpowiedziała ponuro Daniela. „Ty też, i ja. Nigdy nie wiemy, jak się zachowamy, kiedy zostaniemy przyparci do muru”. Jej głos był szorstki i przyprawił mnie o dreszcze. Miała rację. „I co dalej?”, zapytałam. Serce biło mi dużo szybciej. Nie mogłam uwierzyć, że moja siostra dopiero teraz wyjawiała mi ten sekret. Że ja, jej najbliższa przyjaciółka, nic nie zauważyłam. „Powiedział, że znajdzie mi jakiś kąt, gdzie będę mieszkała. Za wszystko zapłaci, a ja... urodzę to dziecko i oddam do sierocińca”. Wtedy nie mogłam w to uwierzyć. Jego żona chciała kupić dziecko ode mnie, a on...

Pani Arleta otarła łzę z kącika oka. Odetchnęła i wróciła do opowieści.

— „I zgodziłaś się?”, zapytałam głupio. „A jakie miałam wyjście?”, odpowiedziała pytaniem. „Zresztą wtedy wybuchła wojna...”, dodała cicho. Zwiesiłam głowę i wyszeptałam, że byłam w podobnej sytuacji. Ale Daniela widziała wiele różnic między nami. „O nie”, zaprzeczyła. „Twój mężczyzna chciał za wszystko płacić, nie kazał ci się pozbyć »balastu«”. Objęłam ją. „Tak mi przykro... Tak mi przykro...”, powtarzałam. Przez chwilę płakałyśmy. Nawet nie wiedziałam, że obie straciłyśmy dziecko. Daniela już wtedy była mężatką i urodziła rok po roku trójkę, mimo to zawsze pamiętała o tym, które kiedyś oddała. „Ale to nie wszystko”, dodała wtedy. Bałam się kolejnych słów.

Bałam się, że wyjawি mi coś takiego, co zmieni nasze relacje. Miałam rację, ale powiem ci, dziecko, że akurat tego się nie spodziewałam. Siostra dosłownie rozszarpała mi serce na kawałki. „Pomogłam pani Wioletcie”, powiedziała cicho. „Bardzo tego żałuję”. Ręce Daniela drżały. Nie rozumiałam. „Jak to: pomogłaś Wioletcie?” Pociągnęła nosem. Nie patrzyła mi w oczy. „Dałam jej zapasowy klucz do twojego mieszkania”. Głos się jej załamał. „Myślałam, że chce coś ukraść albo poszukać dowodów na niewierność pana Janka, dla jego żony...”, powiedziała. Wydawało mi się, że serce mi na moment zamarło. „Dlaczego to zrobiłaś?”, zapytałam. „Bo obwiniałam ciebie za wszystko, co się stało w moim życiu. Bo uważałam, że to tobie się powiodło”, chlipała. „Miałaś zawód, pan Jan cię pokochał, spodziewałaś się jego dziecka. Ja nigdy nie kochałam Piotra, zapełniałam nim tylko jakąś pustkę”.

Amelia przygryzła dolną wargę.

— Nie mogłam tego pojąć — ciągnęła pani Arleta. — Jak ona mogła? Byłam zdruzgotana. Gdyby nie moja siostra, może do niczego by nie doszło, może wciąż miałabym syna. „Przepraszam”, szeptała. „Nie chciałam, nie wiedziałam, że się posunie do tego, by porwać twoje dziecko!” Zalała mnie fala gniewu, żalu i rozpacz. Ta rana nigdy nie miała się zabiżnić. Czułam się zdradzona i oszukana przez jedną z dwóch najbliższych mi na świecie osób. „Wynoś się!”, krzyknęłam. „Wynoś się z mojego domu!” Poderwałam się na równe nogi i wyprosiłam ją. Cisnęłam filiżanką kawy o ścianę, a potem się rozplakałam. Nie mogłam uwierzyć, że Daniela mi to zrobiła. Dlaczego? Dlaczego?

— Czy wybaczyła jej pani?

— Tak, ale minęły lata, zanim mogłam to zrobić. Nie zapomnę jej tego nigdy. Zdrada zawsze boli, ale wybaczyłam. Pięć lat później, w święta Bożego Narodzenia. Przez cały ten czas się nie kontaktowałyśmy, ale w tamtą Wigilię zapukała do mych drzwi. Zatrzasnęłam je jej przed nosem, ale mój mąż otworzył i zaprosił szwagierkę do środka. Stała na korytarzu jak sto tysięcy nieszczęść. Śnieg na jej płaszczu i czapce roztopiał się pod wpływem temperatury. Woda z niej spływała. Płakała. „Wybacz mi. Dzisiaj. Proszę, wybacz...”
A czym byłyby święta, gdyby zabrakło nam odrobiny miłosierdzia?

Amelia spojrzała na staruszkę; ta jakby pobladła.

— Czy wszystko dobrze? — zapytała.

— Tak, w porządku. Tylko... niektóre wspomnienia wywołują ból.
Chyba na dzisiaj mam już dosyć...

Amelia podprowadziła panią Arletę do łóżka i pomogła jej się położyć.

— Podać pani coś jeszcze? Może czegoś pani potrzeba?

Staruszka przymknęła powieki.

— Spokoju... Spróbuję się zdrzemnąć.

ROZDZIAŁ 32

Tego wieczoru do Bartka przyszła Mary Ann. Za zgodą Amelii miała nocować w pensjonacie. Miśka patrzyła na nich i w sercu czuła trzepotanie motyli skrzydełek. Cieszyła się z tej ich przyjaźni i z tego, że świat iPhone'ów, tabletów oraz komputerów nie przesłonił im dzieciństwa. Oboje ubrani byli we flanelowe pizamki, które Amelia kupiła im na bazarku. Siedzieli w salonie otuleni puchatą kołdrą.

— Zimno! — Bartek się wzdrygnął.

— Zaraz napalę wam w kominku. — Miśka wyjęła z kosza suche polana i ułożyła je na krzyż, po czym sięgnęła po podpałkę, gazetę i zapałki. Ogień rozbłysnął w kominku. Palone drewno zasyczało. Ogień trzaskał. Po pokoju już chwilę później rozlało się przyjemne ciepło. Mary Ann z Bartkiem zaczęli chichotać.

— Miśka, a zrobiłabyś dla nas kakałko? — zapytała nieśmiało Mary Ann.

— Zaraz jaśnie państwu podam i kakao, i pierniczki.

— Chcesz nas poczęstować świątecznymi pierniczkami? — oburzył się Bartek. Pierniczki w ich domu były zarezerwowane na święta.

— Przedświątecznymi. Jest ich tyle, że na samo Boże Narodzenie wystarczy. Nic się nie stanie, jeśli dam wam parę.

— No, ja myślę.

Michalina weszła do kuchni. Nalała do garnuszka mleka, włączyła palnik i usiadła na taborecie. Przypomniał jej się taniec z Przemkiem.

Byli tak blisko siebie. Idealnie dopasowani i...

— Panienko Najświętsza! — wrzasnęła i podbiegła do kuchenki. O mały włos mleko by wykopiało. Ma za swoje. Na wspominki jej się zebrało.

Po kilku chwilach ponownie zjawiała się w salonie, niosąc na tacy dwa kubki ciepłego kakao i pierniczki.

— A zdjęłaś kozuch? — zapytał Bartek.

— Nie, dla ciebie zostawiłam podwójny.

— Brrr! Ohyda! — wzdrygnął się.

— Zdjęłam, zdjęłam... — Miśka wiedziała, że żadne dziecko nie lubi tłustego, pływającego kozucha.

Dzieciaki zasnęły dopiero po północy. Do późna czytały książkę o eksperymentach, a potem chichotały po cichu. Kiedy Miśka uchylała drzwi, by sprawdzić, czy już zasnęły, udawały, że śpią. Wtedy ona zaczynała łaskotać to Bartka, to Mary Ann. Gdy w końcu usnęli, Michalina poszła do swojego pokoju. Zanurzyła się w świeżą, wykrochmaloną na sztywno pościel.

Następnego poranka wstała o piątej i dołożyła do pieca pelet. Kaloryfery zaburczały, budząc się z zimnego snu. W kominku również pojawił się pierwszy ogień, a ona weszła pod prysznic. Ciepła woda rozgrzała jej zziębnięte ciało, które kilka chwil wcześniej trzęsło się niczym osika na wietrze.

O siódmej śniadanie dla gości i dzieciaków było już gotowe. Na stole pojawiły się jeszcze ciepłe rogaliki, marmolada z tegorocznych węgierek, twarożek, kiełbaski na gorąco i sałatka warzywna.

Podłoga na górze lekko zaskrzypiała. Świat budził się do życia.

Tego dnia Michalina miała urwanie głowy. Niby nic takiego nie robiła, bo wciąż na siebie uważała, ale na dwie doby przyjechało młode małżeństwo z Krakowa, więc musiała zrobić większe śniadanie, przetrzeć kurze w morskim pokoju, odebrać kilkanaście telefonów. Była zdziwiona nieobecnością Przemka. Już przyzwyczała się do tego, że zawsze tu był. Co i rusz zerkała na zegarek. Nie odważyła się do niego zadzwonić, bo przecież teoretycznie był jej gościem i mógł robić, co mu się żywnie podobało.

Ogarnęła ją tęsknota. Nie mogła się doczekać, kiedy mężczyzna wróci do pensjonatu. Cały dzień go nie było. Gdzież on się podziewał? Tęsknota przechodziła w irytację. A kiedy pojawił się z przyklejonym do twarzy uśmiechem od ucha do ucha, Michalinę ogarnęła złość. Bo jak on mógł, tak zniknąć na cały dzień? No przecież, że mógł, nie są parą ani narzeczeństwem, ani małżeństwem. A nawet gdyby byli, to nie tworzyli jednego organizmu. A ona ostatnio zachowywała się jak jakaś pijawka. Co się z nią działo, do jasnej cholery?

— Cześć, kupiłem... — Przemek wyciągnął w jej kierunku reklamówkę, a ona spojrzała na mokre ślady na podłodze.

— Stać! — wrzasnęła na całe gardło. Już wołała tęsknotę od wkurwienia.

Przemek spojrzał na pozostawione plamy.

— Zaraz zmyję podłogę. Nie przejmuj się.

— Jak mam się nie przejmować, kiedy ślady zostawiasz? — Michalina ciskała gromami.

— Oj tam, oj tam. Sama nie raz mi mówiłaś, żeby nie przejmować się błahostkami.

— Ja tak mówiłam? — Michalina poczerwieniała na twarzy.

Przemek ściągnął buty. Rozebrał się. Magia chwili bezpowrotnie minęła. Złapał za mop i starł podłogę.

— To co kupiłeś?

Dumny z siebie mężczyzna zaczął po kolei wyjmować z reklamówki ubranka dla niemowlaka.

— Co to jest?

— Słodkie, prawda?

— Jestem w czwartym miesiącu ciąży, a ty już kupujesz ubranka?

— Michalina wybuchła. Powiedziała to zbyt ostrym tonem.

— Pomyślałem...

— Jestem przesądna i nie kupuję nic dla dziecka przed jego urodzeniem.

— To tylko kilka łąszków! — Przemek się uśmiechał, ale Miśkę od środka zżerała złość.

— Wiesz co? Wsadź je sobie.

— Wiesz co? — Uśmiech zszedł z jego twarzy. — Jesteś irytująca. Była. Hormony nią rządziły.

— Przepraszam. Oddam te rzeczy. — Przemek zgarnął ubranka.

— Nie, no co ty. — Michalina zmieniła front. Co się z nią działo? — Przepraszam. — Dotknęła jego dłoni. — Zostaw.

Przemek spojrzał jej w oczy.

— Chciałem dobrze. To moje pierwsze dziecko. Cieszę się.

Miśkę coś ścisnęło w dołku. Powinna być wdzięczna losowi, że tak się zaangażował, pomagał jej, a ona wyskoczyła do niego z pretensjami. Czy też czasami nie mogłaby się ugryźć w język?

— Cieszę się, że się cieszysz.

— Tobie też coś kupiłem. — Wyjął z plecaka niewielką paczuszkę.

— Wiesz, jak teraz trudno dostać papeterię?

— Wyobrażam to sobie!

— Mówiłaś, że przed Wigilią piszecie z Bartkiem listy... Więc pomyślałem...

Michalina podeszła bliżej Przemka i dotknęła jego twarzy. Nie odrywając oczu od jego oczu, powiedziała:

— Dobrze, że pomyślałeś.

Czuła, jak się uspokaja.

Michał zadzwonił do Wiktorii dopiero parę dni po przyjeździe do Hamburga. Napisał wcześniej tylko kilka zdawkowych esemesów, że dotarł, że ma już od początku nawał pracy. Wiktoria poczuła się dotknięta takimi szorstkimi w jej odczuciu wiadomościami. Miała ochotę dać mu do zrozumienia, że jest obrażona, ale kiedy tylko usłyszała jego głos, od razu się rozpromieniła.

— Cześć, co u ciebie? — zaszcebiotała do słuchawki.

— Dużo się dzieje.

— Ale jesteś zadowolony? — Klapnęła na łóżko i nawinęła sobie na palec pasmo włosów.

— Tak. Pewnie! — W jego głosie słyhać było entuzjizm. — Dużo się dzieje. I mogę robić swoje projekty. Klient i jeden z pracodawców dali mi wolną rękę. To wspaniałe!

— Na pewno. Cieszę się, że wszystko idzie po twojej myśli. — Wiktoria naprawdę była zadowolona z tego, że Michał się spełnia.

— Ja też, to był dobry pomysł. Dziękuję, że mnie do tego

namówiłaś.

Wiktoria uśmiechnęła się przez łyzy.

— Sam pracujesz przy tym projekcie? — zapytała.

— Nie. W kilka osób. Nie wszyscy to Polacy, dwóch facetów jest tutejszych. Jest też Marzenka, która maluje i lakieruje meble. Mówię ci, naprawdę ma do tego dryg. A jeśli chodzi o tych Niemców, to...

Wiktoria miała ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o Marzence, która chyba wywarła wrażenie na Michale. Czy jest ładna? Ile ma lat? Czy ma chłopaka, męża? Wiedziała jednak, że Michał tylko by się zdenerwował, gdyby zadała mu tak infantylne pytania.

— Muszę kończyć, mam mnóstwo roboty.

To tyle? — chciała go zapytać Wiktoria.

— Ale na święta przyjedziesz?

— Chyba tak.

— Chyba?

— Zadzwonię innym razem.

— Okej, rozumiem.

Chciała jeszcze coś dodać, ale zauważyła, że Michał się rozłączył.

Przez następne dni odzywał się rzadko. Wiktoria nie mogła jeść, jakiś supeł zawiązał się jej w dole brzucha.

Tego piątkowego popołudnia do „Cynamonowych Serc” wstąpiła mama Michała.

— O, dzień dobry! — radośnie powitała ją Wiktoria.

— Cześć, skarbie. Co u ciebie?

— Tęsknię.

— Ja też. Ale dobrze, że jest jeszcze telefon i ten Skype. Świat się

trochę skurczył.

— W sumie tak — powiedziała smutnym głosem Wiktoria. — Ale Michał ma tak dużo roboty...

— No tak, ale zawsze znajdzie tę chwilę, żeby zadzwonić.

— Kiedy ostatnio z nim pani rozmawiała? — Wiktoria już po chwili pożałowała, że zadała to pytanie.

— Dzisiaj rano.

Wiktoria poczuła się tak, jakby ktoś zadał jej cios w splot słoneczny. Nie mogła uwierzyć w to, że Michał rozmawiał z mamą dziś, podczas gdy do niej dzwonił trzy dni temu. I tamtą rozmowę przeprowadził w pośpiechu, bo spieszył się na kolację z Marzenką. Oczywiście nie tylko Marzenka miała tam być, ale ona była chyba dla Michała jedyną atrakcją.

Naraz Wiktorii przypomniały się słowa Żanety o tym, że Michał jest kochliwy. A co, jeśli to prawda? Samotny młody mężczyzna i młoda kobieta. W obcym kraju, otoczeni przez Niemców. Życie niesie wiele pokus.

— Do mnie trzy dni temu. — Wiktoria miała strapioną minę.

— Kochanie, ale ty w ciągu dnia pracujesz. A on dzwoni do mnie najczęściej porankami. Nie powinnaś się niepokoić.

— A jednak do pani miał czas zadzwonić — odparła odrobinę za chłodno.

Tego wieczoru dziewczyna wpadła do domu i pobiegła prosto do pokoju. Rzuciła się na łóżko i najzwyczajniej w świecie się rozbeczała. Chwilę po tym Amelia siedziała obok córki i gładziła ją po plecach. Doskonale pamiętała, że ta pieśczość od najmłodszych lat uspokajała

Wikę.

— Co się stało? — zapytała delikatnie.

Wiktoria między jednym a drugim chlipnięciem opowiedziała jej o tym, że Michał prawie w ogóle do niej nie dzwoni.

— Kochanie, czy ty aby nie przesadzasz?

— Myślałam, że staniesz po mojej stronie! — Wiktoria usiadła na łóżku i zaczęła wyciągać nitki z narzuty.

— Ja cały czas stoję po twojej stronie. — Amelia nie miała ochoty uświadamiać córce, że odległość nie za dobrze wpływa na związek. W końcu pomysł wyjazdu Michała od początku jej się nie podobał. Tylko by ją dobiła. — Ale może reagujesz zbyt mocno?

— Mamooo! — jęknęła dziewczyna. W jej oczach pojawiły się łzy. — On powiedział, że nie wie, czy przyjedzie na święta.

— Nie możesz się poddawać bez walki.

Wiktoria zmarszczyła nos.

— Co masz na myśli?

— To, że skoro on nie przyjeżdża tu, to ty możesz do niego pojechać.

— Teraz? Sama wiesz, jaki jest ruch w „Cynamonowych Sercach”.

— Przecież pani Zofia zapowiedziała swój powrót na poniedziałek. Mówiłaś, że będzie piec i dekorować ciasta. Ja już jestem zaprawiona w boju. Dodatkowo Przemek ma nam pomóc. Miśka oddelegowała go do kawiarni, bo już ma go dosyć w domu.

Wiktoria zachichotała.

— Kupię ci bilet. Jedź go odwiedzić. — Mrugnęła do niej Amelia. — Na pewno się ucieszy.

W poniedziałek rano Wiktoria siedziała w pociągu do Krakowa. Tam

miała przesiadkę do Berlina. A z Berlina do Hamburga. Podróż miała trwać całe wieki, ale ona zupełnie się tym nie zrażała.

Była podekscytowana i uśmiech od rana gościł na jej twarzy. Trochę się też denerwowała. Bała się reakcji Michała na jej niespodziewaną wizytę. Czasem dziwnie reagował na rzeczy, które innym z pewnością sprawiłyby radość. Nawet esemesa mu nie napisała. Oczywiście, nie miała zamiaru mu przeszkadzać w pracy. Już nawet zaplanowała sobie, co będzie zwiedzać, podczas gdy on będzie pracował. Wzięła ze sobą przewodnik po mieście. Ponadto Kaśka była w Hamburgu pięć lat temu i poradziła, gdzie warto zajrzeć.

— Przede wszystkim masz skosztować franzbrötchen! — zapaliła się. — To takie rogaliki, są dla Niemców tym, czym dla Francuzów croissanty. Nigdzie nie dostaniesz takich, jak w Hamburgu. Nie obrażę się, jak kilka przywieziesz do Polski. — Kaśka znacząco zniżyła głos i szturchnęła Wiktorię w bok. — Musisz też zwiedzić Muzeum Miniatur Wunderland i...

Trajkotała tak chyba z piętnaście minut.

Teraz Wiktoria uśmiechała się na myśl o tych wszystkich atrakcjach. Do Wunderlandu z pewnością się wybierze. A może poszłaby też do filharmonii? Kiedyś była z mamą w Londynie, ile to już lat temu? Całe wieki. Pamiętała, że oczarowały ją wtedy partie solowe skrzypiec. Dawno już nie była na żadnym koncercie... Tak, filharmonia to dobry pomysł.

ROZDZIAŁ 33

Po tym, jak Amelia odwiozła córkę na dworzec, poszła do domu opieki. Mimo że Arleta skończyła swoją słodko-gorzka opowieść, Amelia z chęcią nadal ją odwiedzała.

— Wiesz, zbliżają się święta, a ja wierzę, że to czas cudów — powiedziała starsza kobieta. Tego dnia, wbrew swoim wcześniejszym deklaracjom, nie podniosła się z łóżka. Nie miała siły. — Wszystko może się zdarzyć. Wszystko, o co tylko poprosimy to małe Dzieciątko Jezus. Święta to wiara w przebaczenie, wiara w drugiego człowieka. Kiedyś w to nie wierzyłam, ale teraz wiem, że wiara czyni cuda, i słowo „przepraszam” też. — Nagle zamilkła. Wyglądała na speszoną. — Tak sobie myślę... Chciałabym cię o coś prosić. Wiem, że to może zbyt śmiała prośba. — Westchnęła.

— Niech pani mówi — zachęciła ją Amelia.

— W Leszenku, niedaleko, czterdzieści kilometrów stąd, mieszka Barbara.

— Barbara...

— Żona Jana.

Amelia spojrzała na staruszkę, nic z tego nie rozumiejąc.

— Żyje?

— Żyje. Chyba jeszcze żyje. Też jest tak stara jak ja... Nasze pokolenie było nie do zdarcia.

— Skąd pani wie, że ona tam mieszka?

— Świat jest mały. Poprosiłam kogoś, żeby to dla mnie sprawdził. Ta kobieta... Jest samotna. Bardzo samotna. Chciałabym, żebyś ją odwiedziła.

— Ale dlaczego? — Amelia nadal niczego nie rozumiała. Pani Arleta uśmiechnęła się nieznacznie.

— Ach, to miałyby być taki prezent dla niej na święta. Ludzie wcale nie potrzebują materialnych rzeczy. Nie są one niezbędne do życia. Potrzebują wiary, że to wszystko ma jakiś sens, i miłości, i jeszcze drugiego człowieka.

Amelia zastanawiała się przez moment.

— Jeśli tam pojedę, to czy coś mam jej od pani przekazać?

— W żadnym razie! Ona nie może wiedzieć, że to ja cię wysłałam, to tylko popsuje całość. Coś wymyślisz, dziecko. Że jesteś krewną jej męża, krewną Malinowskich, reporterką... cokolwiek.

Młodsza z kobiet nie wyglądała na przekonaną.

— Sama nie wiem...

— Jedź do niej, dziecko... Proszę.

W końcu Amelia się zgodziła. Nie miała serca odmówić pani Arlecie.

Długo jeździła po miasteczku z ciastem z „Cynamonowych Serc” na siedzeniu pasażera i za nic nie mogła znaleźć ulicy Kwiatowej. W końcu zrezygnowana wysiadła z samochodu i udała się do pobliskiego sklepu. Doświadczenia ze Złotkowa sporo ją nauczyły.

— Dzień dobry! — Ekspedientka stała oparta o ladę i najwidoczniej się nudziła.

— Dzień dobry.

Amelia podeszła do lady.

— Przepraszam panią, gdzie znajdę Kwiatową jeden?

Kobieta zmrużyła oczy.

— A po co chce pani tam jechać?

Amelia już miała odpowiedzieć, że to nie jej interes, ale nie chciała być niegrzeczna. Ugryzła się w język. Widać wszystkie bieszczadzkie sprzedawczynie są z jednej gliny ulepione.

— Szukam dalekiej krewnej. Barbary Kazimierczak.

Ekspedientka obrzuciła Amelię taksującym spojrzeniem.

— Skoro jest pani z rodziny, to pewnie wie pani o tragedii, jaka ją spotkała?

— Och, tak... Oczywiście, że wiem, ale to było przecież kilkadziesiąt lat temu.

— Nieszczęśliwa miłość. Ona kochała męża, on zginął... — Ekspedientka nachyliła do Amelii. — Mama mi o tym opowiadała. Mieszkali wtedy w Warszawie. On tutaj kupił dom. Plotkuje się, że dlatego kupił tę posiadłość, by być bliżej swojej kochanki. Tutaj chora żona, a on miał kochankę. Ponoć miał z nią dziecko. Pędził do niej na złamanie karku, nie wyhamował na zakręcie i spadł z urwiska. Śmierć na miejscu. Pani Barbara musiała opuścić Warszawę i przenieść się tutaj. Żyje z dala od ludzi, ale my ją przyjęliśmy ciepło i otoczyliśmy troską. Bo rodzina najwyraźniej się na nią wypięła — dodała wrogo.

— Chciałam tylko ją odwiedzić. Jestem... — Amelia czuła się głupio, że musi kłamać. — Jestem jej daleką krewną, bardzo daleką. Ona jest taka samotna. Chciałam przed świętami złożyć jej życzenia,

dać niewielki upominek... Rozumie pani?

— No nie wiem, nie wiem. — Ekspedientka była nieufna.

— Trudno, poszukam sama.

— Niech pani zaczeka.

Amelia przystanęła. Ekspedientka wyjęła spod lady kartkę papieru i narysowała jej drogę na ulicę Kwiatową.

Po kilku minutach Amelia znalazła się na wyboistej, śliskiej ścieżce, która prowadziła do oddalonego domu na wzgórzu. Zaparkowała i ruszyła w stronę budynku, uważnie stąpając, by się nie poślizgnąć. Zapukała do obdrapanych z farby drzwi. Usłyszała szuranie i stukanie o podłogę. Po chwili drzwi się uchyliły i stanęła w nich staruszka o kredowobiałej skórze, pomarszczonej niczym rodzynka. Włosy kobiety były długie i siwe, spływały kaskadą na jej ramiona. Błękitne oczy wpatrywały się w Amelię z wielką podejrzliwością.

— Słucham? — powiedziała ostro staruszka.

— Dzień dobry... Pani Barbara Kazimierczak, prawda? Chciałam z panią zamienić kilka słów.

Kobieta nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła na Amelię przenikliwym wzrokiem.

— Chciałabym z panią porozmawiać o... o państwie Malinowskich. Jestem... — Nie chciała okłamywać starszej kobiety. Już zbyt wiele pewnie wycierpiała z powodu nieszczerości. — Mieszkam obecnie w Złotkowie i chciałabym... Chciałabym kupić dworek po państwie Malinowskich.

— A co ja mam z tym wspólnego?

— Słyszałam, że pani mąż był ich krewnym.

— Był. Ale on już nie żyje.

— A mogłybyśmy porozmawiać? — Amelia nie dawała za wygraną.

— Przywiozłam pani upominek na święta. — Wyciągnęła przed siebie zawiniątko. — Mam ciasto do kawy. Najlepsze w całych Bieszczadach!

— Niech pani wejdzie. — Staruszka cofnęła się. Wsparta o laskę pokuśtykała w stronę kuchni. Amelia ruszyła za nią, zamknąwszy za sobą drzwi. Podłoga wyłożona była starymi, popękkanymi płytami. Sufit podtrzymywały wielkie drewniane bele, które wyglądały, jakby miały zaraz runąć. Były lekko przegniłe.

Weszły do kuchni, w której stał wielki drewniany stół z ośmioma krzesłami. Po prawej stronie ustawiono kredens, a obok niego komodę. Kuchenka również była stara. Amelia osądziła, że musiała mieć już kilkadziesiąt lat.

— Napije się pani czegoś? — zaproponowała Barbara.

— Herbaty.

— Mam czarną. Dodam do niej cynamonu i imbiru. Taka panią rozgrzeje.

— Dziękuję.

Po chwili siedziały przy herbacie i serniku babci Zosi.

— Zaciekawiała mnie historia dworku — zaczęła Amelia.

— Co ja mam z tym wspólnego? — Kobieta świdrowała ją wzrokiem. Widać było, że jest nieufna.

— Jak już wspominałam — Amelia ostrożnie dobierała słowa — interesuje mnie historia tego miejsca, ale także tych ludzi. Słyszałam, że pani małżonek bywał we dworze.

— Och, Jan...

Amelia zobaczyła w oczach kobiety błysk.

— Trochę słyszałam o pani mężu. Nie wiem, czy to plotki... — Nie chciała jej spłoszyć.

— To pewnie prawda. — Staruszka westchnęła.

— Nie przeszkadzało pani... — Amelia urwała. Była zakłopotana.

— Chodzi pani zapewne o to, czy nie przeszkadzały mi inne kobiety w jego życiu?

— Kobiety? Myślałam, że była tylko jedna...

Staruszka roześmiała się.

— Żartuje sobie pani? On był tak przystojny, że one wszystkie obsiadały go jak muchy. A on korzystał, jeśli tylko mógł. Nie dawałam mu tego, co żona powinna dawać mężowi. Ale zawsze do mnie wracał. Zawsze; i to ja miałam przewagę nad innymi kobietami. — Powiedziała to z taką mocą, z taką satysfakcją, że Amelię przeszły ciarki.

— To dobrze, że do pani wracał. Musiał panią kochać — zauważyła. Nie wiedziała, jak prowadzić tę rozmowę. Czowała, że zaczęła zbyt bezpośrednio.

— Myśmy się przyjaźnili, tak prawdziwie przyjaźnili w małżeństwie. Nawet dziś niewielu ludzi to potrafi. Uwielbiałam go. Dzisiaj często stawia się na namiętność, która potem gaśnie, a przecież to, co spaja związek, jest czymś innym. Chociaż, kiedy się o tym dowiedziałam... O tym wszystkim... — Kobieta przerwała i upiła kilka łyków herbaty. Promienie słoneczne padały jej na twarz, wydobywając cienie pod oczami.

— O „tym”, czyli...?

— O tym, że będzie miał dziecko. To bolało; bardzo bolało. — Staruszka odruchowo położyła dłoń na klatce piersiowej.

— To musiało być przykre.

Pani Barbara zaśmiała się gorzko.

— Przykre? O tak, było. Mimo że zdecydował się zostać ze mną, nie z tamtą kobietą. Tamto dziecko, ono było moim utrapieniem. Widzi pani, chciałam mieć dzieci. W tamtych czasach było inaczej... Nieważne. Nie będę się nad sobą uzalać. Kiedy minęło osiem miesięcy, Jan oznajmił mi, że odchodzi do tamtej. Do tej kobiety, matki swojego dziecka. Choć mnie przez cały ten czas mówił zupełnie coś innego! Wcześniej kupił ten dom, żeby być bliżej niej, potem jednak stwierdził, że odda go mnie, a zamieszka z tamtą. Będzie przyjeżdżał. — Głos kobiety zaczął się trząść.

Amelia poczuła się głupio, że przywołała te przykre wydarzenia. Staruszka po tylu latach wciąż czuła się upokorzona, porzucona i ostatecznie zdradzona.

— Poznałam tamtą kobietę, to ona mnie tutaj przysłała — wypaliła nagle. — Tak naprawdę to pani Arleta mnie do pani przysłała.

— Co? — Na twarzy Barbary malowało się rozczarowanie.

Amelia zwiesiła głowę.

— Przepraszam, że tego pani od razu nie powiedziałam. Wstydziałam się i bałam, że nie będzie pani miała ze mną ochoty rozmawiać.

Staruszka ponownie spojrzała na nią tym swoim nieodgadnionym wzrokiem.

— Dobrze, że mi pani nie powiedziała. Rzeczywiście nie wpuściłabym wtedy pani tutaj. Czego ona ode mnie chce?

— Niczego. Po prostu czuje się z tym wszystkim źle. Wie, że pani jest sama, i chciała sprawić pani przyjemność... Podarować możliwość rozmowy z drugim człowiekiem. Głupio wyszło.

Barbara się roześmiała.

— Ludzie u kresu życia chcą wszystkich przeproszać i oczekują wybaczenia. — Postukała długimi, wąskimi palcami o blat stołu. — Ja jej wybaczyłam. Zresztą nie miałam jej czego wybaczać. Że się zakochała? Zakochujemy się całe życie. W różnych osobach. Nawet wtedy, kiedy jesteśmy w związkach. Zakochania, miłości, namiętności, jak zwał, tak zwał, mają swoje przyływy i odpływy. Mącą nam w życiu, ale są potrzebne. Bez nich człowiek byłby pusty.

Barbara przerwała. Przymknęła powieki.

— Dam pani dobrą radę, jak kobieta kobiecie: nie można całe życie żałować, że sprawy ułożyły się tak, a nie inaczej. Trzeba zostawić za sobą żal i urazy i iść do przodu.

Amelia pomyślała o Marku. W ciągu ostatnich miesięcy miała do niego tylko pretensje. A on? On ją kochał, tego była pewna... ale w jakiś sposób kochał też swoją żonę. Jak Jan Barbarę...

— Opowiem pani o nas... — zaczęła staruszka. — Skoro już tutaj pani przyszła, gnana tą historią, to pani o nas opowiem.

Amelii było niewygodnie na stołku, ale stwierdziła, że dla wysłuchania innej strony tej opowieści warto jest wytrzymać wszystko.

— Jan zakochał się we mnie pewnego majowego popołudnia. Myślę,

że zakochałby się w innej, jeśliby wówczas znalazła się na moim miejscu. Byliśmy starymi znajomymi, później nasze drogi rozeszły się na kilka lat. I w to majowe popołudnie biegłam do domu. Nie pamiętam, skąd wracałam. Z nieba lał rzęsy deszcz. Nie patrzyłam przed siebie, ale pod nogi, i nagle poczułam uderzenie. Wpadłam na jakiegoś człowieka. „Hola, panienko”, usłyszałam męski głos i zobaczyłam najpiękniejsze niebieskie oczy, jakie można sobie wyobrazić. „Przepraszam”, wybąkałam. Jego ręce odciągnęły mnie na bok. Skryliśmy się pod daszkiem jakiegoś sklepu. Staliśmy tam, przemoknięci do suchej nitki. Pamiętam, że pomyślałam, że mam mnóstwo wody w trzewikach i najchętniej bym je zdjęła i wylała zawartość. Ale było mi jakoś głupio. I potem na niego spojrzałam. „Janek?”, zapytałam niepewnie. Mężczyzna odwrócił twarz. „Basia? To ty?”, nie dowierzał. Na jego twarzy malowała się radość. „Rany boskie, ale się zmieniłaś”. „Wydoroślałam”, zauważyłam. Tak jak mówiłam, znaliśmy się od dziecka. Kiedy rodzice przenieśli się do kamienicy dziadków, straciliśmy kontakt. Janek otaksował mnie wzrokiem. Poczułam się niezręcznie, ale też się na niego gapiłam. Jego kwadratowa szczęka dodawała mu męskości. Miał wysokie czoło, na które opadały kosmyki włosów. „Musimy się koniecznie spotkać i powspominać stare czasy. Opowiedz mi, co u ciebie. Daleko stąd mieszkasz?”, zapytał. Odpowiedziałam, że nie, że dwie przecznice stąd, dlatego tak pędziłam. Miałam nadzieję szybko skryć się przed deszczem. zaproponował, że mnie odprowadzi. Spuściłam wzrok i wygładziłam mokrą spódnicę. Pokręciłam głową. „Ale spotkamy się?”, nalegał. A mnie schlebiało to, że tak się mną zainteresował. „Od razu

ustalmy miejsce i czas. Nie chcę ponownie stracić cię z oczu”.

Barbara delikatnie zakołysała się na krześle. Teraz też przygładziła dłonią fałdę na spódnicy.

— Dwa dni później umówiliśmy się w modnej warszawskiej kawiarni. Od tamtej chwili zaczęliśmy się spotykać. Byliśmy w sobie szaleńczo zakochani... A przynajmniej ja tak to odbierałam. To były najpiękniejsze tygodnie w moim życiu. Nie rozstawaliśmy się na krok. On pisał dla mnie wiersze, malował mnie. Wydaje mi się, że każdą kobietę, którą był zafascynowany, malował. Ta fascynacja popychała go do działania. Dziś mam wrażenie, że już po roku fascynacja mną mu minęła, ale i tak się pobraliśmy. Lubił mnie, szanował i wracał do mnie. Nie byliśmy pewni jutra, stąd ten ślub. Nasi znajomi z Zachodu wciąż grzmieli o nadchodzącej wojnie. No i przyszła, a po niej wszystko zaczęło się rozsypywać. A może już przed nią było nie najlepiej? Ja... cóż. — Staruszka wskazała głową na laskę. — Odłamek trafił mnie w nogę, rana okropnie się paprała. W końcu się zagoiła, ale potwornie kulałam. Wstydziłam się mojego kalectwa i trochę odpychałam od siebie Jana. Bałam się bliskości. Bałam się, że jeśli zobaczy mnie nagą, z brzydką blizną na łydce, poczuje obrzydzenie. A on chciał się wykazać, jak każdy prawdziwy mężczyzna. Pojawiły się podejrzenia. Jego nocne wymykanie się z domu... Wiedziałam. Nie byłam głupia. Ale wiedziałam też, że do mnie wróci. Na swój sposób mnie kochał. Widzi pani, to wszystko takie trudne...

— Jeśli nie chce pani o tym rozmawiać, zrozumiem. — Amelia wyczuwała smutek tej kobiety. Z jednej strony szkoda jej było Arlety,

z drugiej Barbary. Czy Jan wiedział, że skrzywdzi je obie?

— Nie. — Staruszka zacisnęła usta. — Wie pani, ja chcę to z siebie wyrzucić. Z nikim wcześniej nie rozmawiałam o swoim życiu. Bo i po co? Ludzie snuli domysły, a potem przestali gadać, jak to ludzie. Pewnego dnia jechałam z mężem samochodem. Mimo że byłam ubrana w ciepły płaszcz i szal z lisa, a dłonie schowałam w mufce, było mi zimno. Noc była jasna i mroźna, a powietrze ostre. Było mi smutno. Smutek często mi towarzyszył w moim małżeństwie. Tego dnia Jan wrócił do domu po kilku dniach nieobecności. Oczywiście nie powiedział mi, gdzie był. Nie uprzedził też, że w ogóle go nie będzie. „Czasem o tym zapominam”, tłumaczył się. „Jestem tylko artystą”. Na kołnierzu jego koszuli wyczułam damskie perfumy, nutkę piżma. Zawsze uważałam takie za wulgarne, nigdy bym się takimi nie spryskała, ale jakaś z jego kochanek widocznie je lubiła. Może dlatego tamte kobiety tak go pociągały; bo były inne niż ja. „Jesteś artystą”, powtórzyłam cicho. Samochód podskakiwał na wybojach, a Janek był skupiony na drodze. Do końca podróży milczeliśmy. Tego dnia wybraliśmy się z wizytą do jakiegoś dygnitarza, który chciał kupić kilka jego obrazów. Zatrzymaliśmy się przed rezydencją kilkanaście minut później. Drogę do willi oświetlały lampy. Mąż podał mi rękę. Ruszyliśmy w stronę drzwi. „Nie wiem, czy chcę tutaj być”, powiedziałam. „Ja też nie chcę. Ale żeby coś sprzedać, muszę bywać. A ty razem ze mną”. Bardzo zależało mu nie tyle na pieniądzu, ile na uznaniu krytyków. A wiedziałam, że tego wieczoru gospodarz zaprosił kilku profesorów krakowskiej akademii. To mógł być jego wielki dzień. „Boli mnie głowa”, powiedziałam jednak. „W ogóle nie powinnam tutaj

przychodzić”. „Ale skoro już jesteś, idziemy”, zaordynował i pociągnął mnie w stronę drzwi. Weszliśmy do środka. Kolacja była jak zwykle nudna, a ja udawałam, że świetnie się bawię. A było koszmarne! Przez cały wieczór flirtował ze mną pewien warszawski oficjel, który ostatecznie zakupił kilka obrazów Jana. Mojemu mężowi zupełnie to nie przeszkadzało. „To było upokarzające”, powiedziałam mu w drodze powrotnej. Tylko machnął ręką. „Nie bądź taka pruderyjna”, skarcił mnie. „Powinno ci to schlebiać, że jakiś mężczyzna jest tobą zainteresowany”. Szkoda, że ty nie jesteś, pomyślałam.

Pani Barbara pociągnęła jeszcze łyk herbaty i skrzywiła się nieznacznie.

— Pomagałam mu we wszystkim. Czasami czułam się z tym źle, ale dla niego zrobiłabym naprawdę dużo, podobnie jak większość kobiet. Miał w sobie jakiś magnetyzm, a pod jego spojrzeniem kobiety dosłownie się rozplýwały. Perfidnie to wykorzystywał.

— Więc jaki był? — zapytała Amelia, odkrawając kawałek sernika. Zauważyła, że starsza kobieta nie tknęła swojej porcji. — Przecież nie mógł być aż takim draniem, skoro go pani kochała; skoro inne kobiety też za nim szalały?

Staruszka zamyśliła się na moment.

— Jaki był...? To był człowiek z pasją. Pasja w życiu jest bardzo ważna. Jeśli coś robimy z pasją, to oddajemy się temu całym sercem. Kochamy to. Życie ma wtedy smak. A Janek... Janek lubił spijać śmietankę. Miał swój gabinet na strychu, ba, cały strych to była jego pracownia. Były tam wielkie okna, które wpuszczały dużo światła. Oprócz tego stało tam kilka lamp. Lubiał pracować świtem, kiedy nic

mu nie przeszkadzało; nic i nikt. Poranna mgła unosiła się do góry, osiadając na koronach drzew, i on ją malował, tę pełzającą mgłę. To sztuka: oddać realnie mgłę. Kobiety zawsze malował w plenerze: na łąkach, w kawiarniach, nigdy nie przyprawdzał żadnej do pracowni. Mam kilka jego obrazów. Chciałaby pani zobaczyć? — zapytała. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Z przyjemnością na nie zerknę! — Amelia skinęła głową. Serce zabiło jej mocniej. Czuła, że dzięki nim Jan stanie się dla niej kimś bardziej realnym, prawdziwszym, niemal namacalnym.

Pani Barbara pokuśtykała do wielkiej szafy. Kiedy ją otworzyła, ze środka powiało stęchlizną. Stały tam płótna; niektóre zrolowane, inne tkwiły w ramach.

— Może pani pomóc? — Amelia poderwała się ze stołka. Z radością rozprostowała nogi, bo mebel był naprawdę niewygodny.

— Tak, gdyby pani mogła przenieść je na stół...

Zaniosły kilka płócien i delikatnie je rozłożyły. Obrazy były piękne. Przedstawiały Warszawę otuloną mgłą, pejzaże Bieszczad. Kilka kobiet. Młodych, pięknych. Wśród prac było kilka aktów. I nagle wzrok Amelii spoczął na dwóch obrazach podpisanych *Arleta I* i *Arleta II*.

— Tak, to ona — potwierdziła pani Barbara, widząc zdumienie w jej oczach, i starą dłonią dotknęła płótna.

— Może jej je pani zanieść. Niech to będzie mój świąteczny prezent dla niej. Tylko proszę jej nie mówić, że była jedną z wielu...

— Dlaczego? — Amelia nie rozumiała. — Dlaczego nie chce pani, żeby dawna kochanka pani męża wiedziała, że nie była jedyną kobietą

w jego życiu?

Staruszka uśmiechnęła się smutno.

— Bo ja też w gruncie rzeczy nie chciałabym wiedzieć. Gdybym kochała jakiegoś mężczyznę, gdybym miała z nim dziecko, tobym nie chciała wiedzieć, że są inne kobiety. Zresztą to ona przysłała cię do mnie, czyli musi być dobrym człowiekiem. A Jan... On kochał być zakochany. Każdy z nas lubi ten stan. A on często zakochiwał się w jakiejś kobiecie, a szczerze mówiąc, nie wiem, czy czasem też nie w mężczyźnie; czasami w jakimś miejscu. Bieszczady go oczarowały, dzikie, nieujarzmione. I Złotkowo kochał. Niektóre z miłości porzucał, w innych trwał. Prowadził dzienniki czy pamiętniki, w których opisywał wszystkie te swoje zakochania. Takie luźne notatki... Zaraz przyniosę.

Pani Barbara zniknęła w korytarzu; Amelia usłyszała tylko trzeszczące deski i stukot laski. Kiedy kobieta wróciła, w ręce trzymała pamiętnik obity skórą, która w niektórych miejscach już popękała.

— Wie pani... — Amelia poczuła jakiś smutek na dnie duszy. Cała ta historia ją smuciła. — Pani Arleta myśli, że to wszystko było inaczej.

Barbara nie odezwała się. Pokuśtykała do stołka. Zaczęła wertować kartki.

— O tutaj, tutaj jest fragment o niej. „Arleta, piękne dziewczę, niewinne, naiwne. Ale można się w niej zakochać do szaleństwa. Jestem w niej zakochany, obłądnie. Jest jak promień słońca w moim życiu. Ona jednak nic nie rozumie. Okłamałem ją, tak jak inne

kobiety przed nią. Tylko że z nią jest inaczej... ale wiem, że nie będzie na zawsze. Mam Basię. Basieńkę. Moją przyjaciółkę na dobre i na złe. Basia nie może już być moją żoną, ale Arleta... Ona tak”.

Milczały przez chwilę.

— Nie wiem, co o tym sądzić. Czy myśli pani... Przepraszam, jeśli to pytanie jest nie na miejscu... Myśli pani, że on naprawdę kochał panią Arletę?

— Nie wiem. Może tak, a może tylko była jego natchnieniem. Kochał piękno, był przecież artystą. Zatem... Może tak, może nie. — Pani Barbara wzruszyła chudymi ramionami. — Któż to wie? Jeśli to panią nurtuje, wypożyczę pani jego pamiętniki. Mogę je pani nawet dać. Dużo tego jest, kilka zeszytów. Można z nich się coś niecoś dowiedzieć. Zwłaszcza że mówiła pani, że interesuje panią także sam dworek. Często go szkicował.

Oczy Amelii zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

— Dlaczego mi je pani daje?

Starsza kobieta raz jeszcze wzruszyła ramionami.

— Widzi pani, prawda nie jest nigdy czarno-biała, choć wielu ludzi zapewne tak sądzi. A ona jest niekiedy znacznie bardziej złożona, niż nam się wydaje. — Westchnęła. — I jeszcze jedno, najważniejsze. — Spojrzała na Amelię swoimi wyblakłymi oczami. — Każdy ma swoją prawdę, tę najważniejszą, którą nosi w sercu. Czasem jest to tylko wyobrażenie, jakaś przeżyta emocja, miłość, zauroczenie. Ale dla nas to prawda.

Pozegnały się chwilę później. Amelia z wahaniem — w końcu były to pamiątki po mężu pani Barbary — zabrała zeszyty do domu razem

z młodzieńczymi portretami pani Arlety. Nie mogła się już doczekać, kiedy znajdzie chwilę, by zaszyć się w jakimś kącie i zacząć czytać. Może dzięki tym zapiskom uda jej się wreszcie zrozumieć całą tę historię?

ROZDZIAŁ 34

Tego dnia Michał i Marzena mieli przymusowy urlop. Gustaw zarządził wolne. Według Niemca tych dwoje za dużo pracowało, po kilkanaście godzin na dobę, i bał się, że z przeciążenia mu padną. Na nic zdały się protesty, że kochają swoją pracę i mogą tak bez końca. Michał z niechęcią oderwał się od stolarki. Chciał jak najszybciej skończyć ozdobną szafę, aby móc w spokoju wyjechać do domu na święta Bożego Narodzenia.

— Czym się smucisz? — zapytała go Marzena.

— Nie mam ochoty brać dziś wolnego.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Przejdziemy się po mieście, wstąpimy na piwo — zaproponowała. Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Powinienem zadzwonić do Wiktorii. — Już na samym początku zakomunikował koleżance, że kogoś ma, bo zauważył, że Marzenka traktowała go z pewną atencją. A on nie był zainteresowany. Nie chciał też przeżywać podobnej sytuacji jak z Żanetą. Kochał Wiktorię i szalenie za nią tęsknił, choć ostatnio ją zaniedbywał. Tak, dzisiaj do niej zadzwoni i będą rozmawiali, dopóki to ona się nie pożegna.

— Powinieneś czy chcesz? Zabrzmiało jak obowiązek.

Michał potarł ręką skroń.

— Chcę. Po prostu jestem zmęczony i nie lubię rozmów telefonicznych. Głupio zabrzmiało.

— To zrobimy deal. — Marzena chwyciła go za rękę. — Zlituj się nad koleżanką, wiesz, że nie znam tu żywej duszy poza tobą i ekipą z pracy, a mój niemiecki jest, khem, o kant tyłka. Napijemy się piwa, pospacerujemy i odprowadzę cię do mieszkania, a potem ty w spokoju zadzwonisz do ukochanej i z resztą wieczoru rób, co ci się żywnie podoba.

— To może ja ciebie odprowadzę?

Dziewczyna zaprotestowała ruchem ręki.

— Mam kilka spraw do załatwienia w twojej okolicy.

Michał wreszcie skinął głową.

Wypili piwo w jednym z hamburskich pubów, a kiedy spacerowali, zaczął padać śnieg z deszczem. Oboje przemokli niemal do suchej nitki.

Kiedy dotarli do kawalerki wynajętej przez Michała, wbrew wcześniejszym ustaleniom mężczyzna zaprosił Marzenę do środka.

— Wejdz. — Przepuścił ją w drzwiach. — Możesz wysuszyć ciuchy w suszarce. Zrobimy sobie herbaty, a jak przestanie padać, odprowadzę cię do domu. Mokra nie masz co latać i załatwiać, bo jeszcze się pochorujesz i w życiu nie skończymy tego zlecenia...

Marzena weszła do środka. Wzięła prysznic i przebrała się w łazience w za duży T-shirt, który dostała od Michała.

— To teraz ja skoczę do łazienki — powiedział Michał, kiedy weszła do pokoju. — Wrócę za kilka minut. Herbata stoi w kuchni na blacie, w zielonej puszcze. Cukierniczka jest na stoliku, a cytryna w lodówce. Czuj się jak u siebie.

Złapał ręcznik i zniknął w łazience.

Kilka minut później Michał w czystych — i suchych — rzeczach czuł się przyjemnie odprężony i rozgrzany strumieniami ciepłej wody. Przeczesał ręką mokre włosy. Spojrzał w stronę Marzeny, która siedziała jak na szpilkach.

— Nie zdecydowałaś się jednak na tę herbatę? — zapytał.

— Nie, dzięki. Będę się już zbierać.

— Na pewno? — Był zdziwiony.

— Tak. — Marzena zaczęła się nerwowo poruszać. Wstała z fotela i przewróciła doniczkę z kwiatkiem stojącą na podłodze. Kucnęła i szybkimi ruchami zaczęła zbierać ziemię.

Michał uklęknął obok niej.

— Marzena, o co chodzi? — Zmarszczył brwi. Na jego czole pojawiły się dwie poprzeczne linie.

— No bo... Wiesz... Ja...

— Co się stało? — Naprawdę się zdenerwował.

— Zrobiłam coś złego.

— Co?

Marzena nerwowo spojrzała w stronę drzwi, jakby chciała wstać i uciec.

— Była tutaj twoja Wiktoria.

— Coś ci się musiało pomylić. — Michał pokręcił głową.

— To była ona. Przedstawiła się...

— Jak to możliwe? — Podniósł się z klęczek. — Gdzie ona jest?

— Ona chyba pomyślała, że ja i ty...

Marzena wstała, a on znalazł się tuż obok niej. Chwytał mocno jej ramiona.

— Co pomyślała?! Co jej, do cholery, powiedziałaś?! — Oczy błyszczały mu złowieszczo. — Nie cierpię takich dziewczuch, które kłamią i mataczą!

— Nic. Właściwie to nic. — Marzena była przerażona wybuchem Michała, który wreszcie rozluźnił uścisk. — Zobaczyła, że mam na sobie twoją koszulkę... resztę mogła sobie sama dopowiedzieć.

— Gdzie ona teraz jest?! — Michał zaczął wkładać buty i kurtkę.

— Nie wiem... Włóż czapkę, masz mokre włosy...

— W dupie mam twoje porady!

Wybiegł z mieszkania.

Marzena sama nie wiedziała, co ma robić. Nie miała kluczy, by zamknąć drzwi, ale żywiła jakieś dziwne przekonanie, że Michał nie będzie chciał jej widzieć, kiedy wróci.

Rozejrzała się po wnętrzu. Nie było tutaj raczej niczego, co można byłoby ukraść. Zresztą musiałyby mieć straszego pecha, żeby akurat dziś doszło do próby jakiegokolwiek włamania. Ostatecznie postanowiła wyjść bez zamykania drzwi. Wyłączyła suszarkę. Ciuchy nie były już mokre, choć suche też nie były. Włożyła je na siebie. Koszulkę Michała złożyła, odłożyła do szafy. Wyszła po cichutku, jakby ktoś ją obserwował.

Szła w śniegu z deszczem. Oczywiście, kiedy Wiktoria zapukała do drzwi, mogła jej wszystko wyjaśnić... Ale po pierwsze była zszokowana, a po drugie ogarnęła ją zazdrość. Polubiła Michała, nawet bardziej niż powinna. Tyle że nie miała ochoty go nikomu odbijać. Wychodziła z założenia, że to facet powinien zrobić pierwszy krok. Jeśli Michał wolał o tyle młodsze, to i tak nic by z tego nie było.

Wiktoria po prostu zniknęła za szybko. Zanim Marzena to sobie uświadomiła.

„Ciekawe, czy wszystko sobie wyjaśnią...” — rozmyślała, zmierzając prędko do wynajmowanego mieszkania.

Michał odnalazł Wiktorię na dworcu. Siedziała na ławce z podkulonymi nogami. Płakała.

— Jestem. — Otoczył ją ramionami.

— Odejdź. Idź sobie do tamtej dziewczyny. To Marzenka, tak?

— Mieliśmy wolne — zaczął spokojnie tłumaczyć Michał, choć sam był mocno zdenerwowany. Nawet nie chciał sobie wyobrazić, że mógłby stracić Wiktorię. — Nie miałem zamiaru robić sobie przerwy w pracy, ale szef nalegał, więc poszliśmy na piwo i spacer. Przemokliśmy. Ty też jesteś przemoczona... — wyrzucał z siebie słowa. — Dałem jej mój T-shirt, żeby w tym czasie się wysuszyła. Kiedy przyszłaś, brałem prysznic. Między nią a mną nic nie ma. Zupełnie nic. Pracujemy razem, kolegujemy się, jesteśmy jedynymi Polakami w ekipie; to wszystko.

— Jak mogę ci uwierzyć? — Wiktoria podniosła na niego wzrok. Jej oczy były zapuchnięte.

— To twój wybór. Albo mi uwierzysz, albo nie.

Dziewczyna wpatrywała się w jego twarz. W jego oczach zobaczyła bezbrzeżny smutek. Przygryzła wargę.

— Jesteś dla mnie wszystkim — podjął. — Pracuję po kilkanaście godzin na dobę, żeby jak najszybciej skończyć projekt, a przynajmniej jego część. Chciałem przyjechać na święta, na cały tydzień. Spędzić z tobą te dni... Nasze pierwsze Boże Narodzenie. Gdyby nie ty, nie

byłoby mnie tu, gdzie teraz jestem. Gdyby nie różne zbiegi okoliczności, nie bylibyśmy parą. Gdybyś wtedy posłuchała plotek, nie byłoby nas. Gdyby nie twój szeroki uśmiech, nie zakochałbym się jak wariat. Pracuję dla nas — powiedział z naciskiem. — Bo chcę z tobą być, chcę z tobą stworzyć rodzinę. Kupić dla nas mieszkanie.

— Kochany... — Wiktoria dotknęła dłonią mokrych włosów Michała. Zupełnie stopniała. — Wyszedłeś z mokrą głową — wyszeptała.

— Jakoś tak wyszło. Czy obchodzą cię teraz moje włosy?

— Tak. — Pociągnęła nosem. — Bo możesz się przeziębic, a ja nie mam zamiaru cię niańczyć. Nie przyjechałam tu po to, by zajmować się chorym chłopem.

— A po co?

Spojrzeli na siebie.

— By przez kolejne trzy noce się z tobą kochać? — zapytała niewinnie.

Zamknął jej usta pocałunkiem.

ROZDZIAŁ 35

Dzień wcześniej Marek zadzwonił do Amelii i zaprosił ją na obiad do swojego domu.

— Czy Patrycja nie będzie miała nic przeciwko temu? — Amelia nie mogła się opamiętać, by nie wbić mu szpili.

— Patrycja wie, że jesteśmy razem. Poza tym wyjechała do Warszawy na kilka dni.

— No tak, chata wolna. — Była złośliwa i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

— Nie zaczynaj. Chcę cię zaprosić na obiad. Chciałbym spędzić z tobą trochę czasu. Jeśli masz wolne...

— Nie odzywasz się do mnie, a teraz dzwonisz jakby nigdy nic i proponujesz obiad.

Marek ciężko westchnął.

— Jeśli przyjmiesz zaproszenie, porozmawiamy o nas.

— Przyjdę. Dzięki za zaproszenie — rzuciła do słuchawki Amelia. Nie chciała zaczynać kłótni. Przecież dopiero co sobie uświadomiła, że niczego mu swoim zachowaniem nie ułatwiała. Czy sama nie stawia sobie kolejnych przeszkód?

Dzień później stała w stodole i patrzyła, jak Marek karmi zwierzęta.

— No, no, Fred, trochę kultury, nie pchaj mi się tutaj! — Marek zwrócił się do swojego ulubionego wieprzka.

Fred tylko zachrumkał i ryjem trącił swojego właściciela.

— Zachowujesz się jak świnia! — zaśmiał się Marek. Amelia również się uśmiechnęła.

Zwierz w odpowiedzi odwrócił się do gospodarza zadem.

— Zaraz kończę...

— Spokojnie, nie przeszkadzaj sobie.

— A ty nie chcesz się przywitać z Fredem?

— A wiesz, że tak? — Amelia podeszła do zwierzaka i podrapała go za uchem. Ten chrumknął. Kobieta roześmiała się.

— Tęskniłeś za mną!

— Musiał tęsknić, skoro prawie zeżarł twoją chustę.

Amelia spojrzała na porwany, brudny skrawek materiału.

— Za mało go karmisz.

— Przecież jest tłusty jak świnia.

Parsknęli śmiechem i wyszli ze stodoły. Marek wziął prysznic, Amelia umyła ręce. „Na razie jest nieźle” — pomyślała zadowolona.

— Co u ciebie? Kupujesz ten dworek? — zapytał Marek, kiedy usiedli do obiadu.

— Tak, w zasadzie jestem w trakcie załatwiania formalności. Mam pomysł, jak wykorzystać to miejsce. Zresztą chciałabym dostać dotację. Wiesz, ten dwór skrywa ciekawą historię! — Amelia zaczęła opowiadać Markowi, a ten słuchał jej z zainteresowaniem. Przez chwilę kobieta poczuła, że było jak dawniej. Znów miała jego pełną uwagę. Na chwilę stała się centrum jego świata.

Po obiedzie Marek zaproponował deser.

— Ale nie mam nic słodkiego oprócz rolady lodowej.

Amelia roześmiała się.

— Za oknem minus dziesięć stopni i śnieg po kolana, a ty mi lody proponujesz?

Mężczyzna podrapał się po brodzie.

— No cóż.

— A jaki smak?

— A widzisz, to jednak jesteś chętna. Waniliowe. Poleję konfiturą malinową.

— Dawaj.

Siedzieli przy kominku otuleni wełnianym kocem i jedli lody. Najpierw z pucharków, a potem dużymi łyżkami z plastikowego pojemnika.

— Tęskniłem za tobą. — Marek chłodną ręką dotknął policzka Amelii. — Bardziej niż Fred.

— Ja za tobą też.

— Patrycja wyjeżdża... to znaczy wraca na stałe do Warszawy. I chciałbym... Chciałbym, żebyśmy zaczęli od nowa. Wiem, że zawałem...

— Może to ja powinnam być bardziej wyrozumiała? — zastanawiała się na głos Amelia. — Znasz moją historię. Trudno mi było przechodzić przez to wszystko.

— To zrozumiałe. Dlatego od jutra, z nowym dniem, od nowa.

— A dzisiaj po staremu? Mam się na ciebie boczyć? — Puściła do niego oko. Marek ją przytulił.

— Możesz się trochę poboczyć, a ja będę cię przepraszać.

Kobieta parsknęła śmiechem, on zaś chwycił wargami płatek jej ucha.

— Już mi się podoba...

Amelia została u Marka na noc. Wstała wcześniej, ale jego już nie było w łóżku. Wyszła zaspana na korytarz. Marek przygotowywał się do wyjścia. Ubrany w wysłużony dres, złapał kurtkę, a na uszy nasunął czapkę. Włożył też kalosze i otworzył drzwi. Wypadł jak z procy i pognął w stronę stodoły. Amelia stanęła przy oknie. Patrzyła, jak łopata odgarnia śnieg przed budynku, a potem wchodzi do środka. Zostawił otwarte wrota, więc mogła go obserwować. Patrzyła, jak z czułością wita się ze zwierzętami. Otwiera boks Mućki, podstawia sobie stołek i wiadro. Wyciera ręce i doi krowę. Ma ogromną wprawę. Po wydojeniu krowy idzie do Freda, nakłada mu do koryta ziemniaków zmieszanych z paszą. Głaszcze go z czułością za uchem. Potem idzie do kurnika. Kury głośno gdaczą, pióra latają, a Marek się śmieje. Tak głośno, że słysząc go przez zamknięte drzwi.

I nagle Amelia myśli: „Z tym mężczyzną chciałabym się zestarzeć”. Wróciła do domu przed południem. Usiadła na kanapie z podkulonymi nogami. Przez chwilę patrzyła na chropowatą, lekko podniszczoną skórzaną okładkę. Dotknęła jej opuszkami palców i otworzyła pamiętnik.

Pierwszy zawierał kilka szkiców, kilka urwanych myśli. Przekartkowała go. Drugi był znacznie ciekawszy. Z zarumienionymi policzkami zaczęła czytać.

To było następnego dnia po przyjęciu. Wyszliśmy z Arletą na spacer. Chciałem ją namalować. Była taka świeża, piękna, niewinna. Jedyne, o czym marzyłem, to naszkicować jej portret na tle gór. Chętnie mi pozowała. Kiedy skończyłem szkic, pokazałem go jej. Staliśmy dość

blisko siebie. Dzielilo nas zaledwie kilka centymetrów. Zamiast patrzeć na szkic, ona patrzyła na mnie.

— Podoba ci się? — zapytałem.

Zrobiła krok do przodu, i jeszcze jeden.

Nie powiem, że jej nie pragnąłem, bo to byłoby wierutne kłamstwo. Ale przypominałem sobie o Barbarze. Obiecałem jej, że już nie będę rozglądał się na boki. Basia jest przecież dla mnie wszystkim. Moją przyjaciółką, portem.

— Ty mi się podobasz. — Uniosta podbródek, wyciągnęła do mnie dłoń i dotknęła mojego policzka.

— Masz zimne ręce. Jest zimno. Wracajmy.

Zbliżyła się jeszcze bardziej i mnie pocałowała. Jej wargi były miękkie, młode, zmysłowe. Jej język wtargnął głębiej.

— Nie! — Odepchnąłem ją od siebie. Opanowałem się resztkami silnej woli.

— Przecież tego chciałeś? — Spiorunowała mnie wzrokiem.

— Nie chciałem.

— Gdybyś nie chciał, tobyś mnie nie całował.

— To nie tak. — Zrobiłem kilka kroków w tył. — Sama wiesz, że czasami trudno się oprzeć.

— Wracajmy.

Amelia westchnęła. Co jest prawdą, a co kłamstwem? Co jest wymysłem Arlety, a co Janka? Czy Barbara powiedziała jej całą prawdę? A może kobieta miała rację, że każda prawda jest subiektywna i każdy inaczej ją odbiera?

Przyjechałem do Złotkowa po świętach, aby ubić z ciotką interes.

Namalowałem kilka obrazów, w tym obraz Arlety; wiernie skopiowałem szkic.

— To ona? — zakpiła ciotka.

— Tak, to Arleta. Piękna dziewczyna.

— Nie potrafisz się powstrzymać? — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — Basia cię kocha.

— Też ją kocham.

— I pieprzysz, co popadnie? — Ciotka wstała i naląła do kieliszków wódki.

— Nie. Zmieniłem się. Chcę być tylko z Basią.

— Tacy ludzie jak ty się nie zmieniają.

Odkąd przyjechałem, Arleta prosiła mnie o spotkanie. Uległem, zobaczyłem się z nią w bibliotece. Kiedy tylko weszła, rzuciła się w moje ramiona.

— A wiec przyjechałeś, tak jak obiecałeś!

— Tak, w interesach przyjechałem — próbowałem się bronić.

— Doprawdy? Wydaje mi się, że w zupełnie innym celu.

Zbliżyła się i dosłownie do mnie przywarła. Podobało mi się to i tym razem trudno było mi się oprzeć. Zacząłem jej dotykać, całować ją jak opętany.

W tym momencie drzwi do biblioteki się otworzyły.

— Co wy tu robicie? — To była ciotka Wioletta.

Wyjechałem następnego dnia.

Potem w notatniku było kilka luźnych wpisów, kilka szkiców. Aż w końcu Amelia dotarła do kolejnych stron poświęconych Arlecie.

Arletę spotkałem któregoś dnia w kawiarni w Warszawie. Wiedziałem

od kilku znajomych, że o mnie dopytuje. Jestem przecież cenionym artystą, dość znanym w pewnym świecie. Wypatrzyła mnie w tej kawiarni. Nie powiem, ucieszyłem się na jej widok. Wyglądała zniewalająco.

— Uciekłem od ciebie, a ty mnie gonisz... — zwróciłem się do niej.

— Nie mogę przestać o tobie myśleć... Nie mogę...

— Mam żonę.

— Której nie kochasz — powiedziała, przygryzając wargę.

— Skąd możesz o tym wiedzieć?

— Krążą plotki... — Uśmiechnęła się. — Że lubisz się zabawiać.

Masz kilka kochanek.

— To bzdury. To bzdury! — powtórzyłem. — Skończyłem z innymi kobietami. Liczy się tylko moja żona.

— Doprawdy? — Arleta zmysłowo oblizwała wargi.

Tego dnia kochaliśmy się. Miałem wyrzuty sumienia. Chciałem tego i nie chciałem. Ta kobieta mnie opętała. Unikałem jej, ale ona zawsze znalazła sposób, by przy mnie być. Aż w końcu uległem i zakochałem się w niej jak szaleniec. I ona mnie również kochała, obłądną miłością.

I kolejna strona:

Będę ojcem. Na początku mnie ta myśl przeraziła, bo to nie będzie dziecko Basieńki, tylko Arlety. Mimo wszystko cieszę się, że będę miał potomka. Oczywiście nie będę go wychowywał, pomogę Arlecie finansowo, ale to wszystko. Przeraza mnie wizja zajmowania się tym maluchem. Kocham wolność, malarstwo, kocham chwilę.

Wczoraj na kolacji u państwa Zawilskich poznałem istnego anioła. Eugenia... Zrobię wszystko, by ją namalować.

Amelia przewróciła kolejne kartki. Nie znalazła więcej wzmianek o Arlecie, dziecku ani Barbarze. Jakim człowiekiem był Jan? Czy choć przez chwilę kochał Arletę, czy tylko jej pożądał? Czy faktycznie to Arleta sprowokowała go do zdrady? „Jak to było naprawdę?” — zastanawiała się Amelia. Pamięć ludzka bywa zawodna...

Początkowo chciała wyjaśnić to wszystko z panią Arletą. Ale teraz już wiedziała, że żadne wyjaśnienia nie są tutaj potrzebne. Wiedziała też, że nie zrezygnuje już z tego dworku. Cieszyła się na samą myśl o remoncie miejsca, które wkrótce stanie się jej własnością. „Będę zupełnie jak szlachcianka, włościanka z dawnych czasów” — pomyślała wesoło i naraz parsknęła śmiechem, przypominając sobie, że kochanek tejże „prawie szlachcianki” doił rano krowę.

ROZDZIAŁ 36

— Nie uwierzysz! — Pani Zofia wpadła do pensjonatu niczym burza. Noga wróciła już do zdrowia. Babcia lekko jeszcze kuśtykała, ale nie byłaby sobą, gdyby miała się ociągać, kiedy miała do przekazania wieści.

Wnuczka spojrzała na nią lekko wystraszona.

— No pewnie nie uwierzę, dopóki mi nie powiesz w co. — Wyjęła z szafki miskę.

— Chcą ze mną przeprowadzić wywiad! — Zofia westchnęła głęboko i usiadła na stołku.

— Kto chce zrobić z tobą wywiad?

— Zaczekaj, daj mi zaczerpnąć tchu. — Babcia położyła rękę na piersi, westchnęła i usiadła.

— Nalać ci wody?

— Poproszę.

Kiedy trochę ochłonęła, zaczęła mówić:

— Pani z telewizji regionalnej do mnie zadzwoniła.

— No, no. Babciu, toż ty teraz celebrytka pełną gębą.

— A gdzie tam celebrytka! — Babcia Zosia machnęła ręką. — Ja nawet bym nie chciała. Tam — nachyliła się w stronę wnuczki — każdy z każdym. W gazecie czytałam.

Michalina parsknęła śmiechem.

— A ty masz swojego Wincentego.

— No mam. — Zofia na samo wspomnienie o mężczyźnie wciąż się czerwieniła. — On... Nawet nie myśli o wyprowadzce!

— Skoro już się wprowadził, to czemu miałby się wynosić?

— Wprowadził się, owszem, ale na czas mojej rekonwalescencji.

— Źle ci? — Michalina wsypała mąki do miski. Zamierzała wyrobić ciasto.

— No, dobrze... Co robisz?

— Pierogi.

— Dolej gorącej wody, wręcz wrzącej. Najlepsze ciasto na pierogi to to z wrzącej wody.

Michalina posłuchała babci i dołała wrzątku.

— To co z tym Wincentym?

Zofia odchrząknęła, poprawiła włosy.

— Jest dobrze. Naprawdę jest nam ze sobą dobrze. Ale teraz to ja się wywiadem martwię.

— Babciu! — Michalina uśmiechnęła się do niej. — Kto jak nie ty? Poradzisz sobie.

— Ale wiesz, jak to jest, zaraz na mnie te hejty w internecie spadną.

— Ty nawet nie wiesz, jak komputer odpalić. Czym się zajmujesz?

— No, w sumie. — Babcia wzruszyła ramionami. Będzie, co ma być. Światło oślepiło panią Zofię, ale ona nawet nie mrugnęła. Udawała, że jest profesjonalistką. W końcu musiała dobrze reprezentować „Cynamonowe Serca” i swoje wypieki. Wyprostowała się, wygładziła spódnicę.

— Możemy zaczynać? — zapytała pani prezenterka.

— Tak. Jestem gotowa.

— Kiedy poprosiłam panią o wywiad, czy była to dla pani niespodzianka? — zwróciła się do niej pani redaktor.

— Prawdę mówiąc: nie.

Prezenterce jakby na moment głos odebrało, a babcia Zosia uśmiechała się promiennie.

— A to dlaczego?

— Bo moje wypieki są po prostu bardzo dobre. Pewnie wieść się o nich niesie po świecie.

— Czy ma pani jakiś sekretny składnik, dzięki którym pani wypieki są tak smaczne? Sama ich próbowałam i jestem zachwycona.

— Oczywiście. Trzeba włożyć w to trochę swojego serca. W ogóle wszystko, w co wkłada się serce, smakuje lepiej, wygląda lepiej, jest lepsze. — Babcia Zofia wypięła dumnie pierś.

Miśka, która obserwowała nagrywanie rozmowy w studiu, uśmiechnęła się. Jak ona kochała tę swoją babcie! „Jak podziwiam jej upór, bezpretensjonalność i szczerść!” — pomyślała.

— Pozwoli pani — zwróciła się tymczasem pani Zosia do prowadzącej — że wspomnę o swojej wnuczce.

Redaktorka skinęła głową.

— Ona lepi anioły z gliny i masy solnej. Jej anioły to pierwsza klasa. A wie pani dlaczego? Bo też wkłada w to serce. Każdy Miśkowy anioł ma kawałek jej serca. A to dobra dziewczyna, która serce ma wielkie...

— Z pewnością. Wracając do wypieków...

— A co tu jest do opowiadania? Kto ich chce skosztować, wystarczy, że przyjedzie do Złotkowa. A jeśli ktoś chce upiec takie smakołyki na święta, niech piecze z sercem, z pasją. Nie trzeba do tego żadnych sekretnych receptur przekazywanych z dziada pradziada czy babki prababki. Teraz przepisy można znaleźć w internetach, więc... — Uśmiechnęła się figlarnie do kamery.

Prowadząca i operator byli zachwyceni. Potrzebowali takiego pogodnego ducha do swojego świątecznego programu.

— A co przekazałaby pani naszym widzom na święta?

— Kochajcie się i przeżyjcie te święta należycie, z Bogiem w sercu, w miłością do bliźniego. Wypieki, prezenty... to wszystko dodatki. Mały Jezusek ma w poważaniu smakołyki, on pojawi się tutaj dla nas, dla naszej miłości, a nie dla ciast, zdjęć, złotych opakowań, błyszczącej zastawy. Chciałby, żebyśmy się kochali i szanowali. Powinniśmy mieć gdzie wszystko to, co może prowadzić do kłótni. Ważny jest ten czas. — Spojrzała w stronę kamery — No, to się nagadałam.

— To mądre słowa. Dziękuję za wywiad.

— I ja dziękuję. — Zofia wstała i się skłoniła.

Michalina zaczęła bić brawo; w jej oczach pojawiły się łzy. I tym razem z pewnością nie była to kwestia hormonów...

Był wieczór kilka dni przed Wigilią. Miśka zmrużyła powieki, w sercu czuła radość. Dookoła otaczał ją zapach waniliowych świec, pieczonych jabłek z dodatkiem cynamonu, świerku. Z głośników leciała kolęda. „Święta Bożego Narodzenia to szczególny czas” — pomyślała. „To czas, kiedy możesz ofiarować komuś serce”. W jej ciele biły aż dwa serca. „Życie to jednak cud” — uśmiechnęła się do siebie. Na stole leżały dwa

pudła ze świątecznymi ozdobami.

Michalina zbierała ozdoby od lat. Część z bombek miała ich nawet po dwadzieścia. Przejrzała wszystko, zaczęła rozplątywać łańcuchy i sznury błyszczących lampek. Co roku obiecywała sobie, że złoży je starannie, a rok później klęła na swoją głupotę. Tym razem Michalina postanowiła ubrać drzewko wcześniej. Zgodnie z tradycją powinna to zrobić dopiero w Wigilię, ale ona lubiła czuć magię świąt już dużo, dużo wcześniej.

Spojrzała na roześmianego Bartka, który zaczepiał Mary Ann. Dzieciaki z radością oczekiwały świąt. Dla nich to szczególnie magiczny czas. Gdy jest się dzieckiem, wszystko odczuwa się mocniej, barwniej. Choinka bardziej pachnie, Mikołaj jest wyczekiwany, jedzenie wygląda niczym prawdziwa uczta. To jednak obecność bliskich i wspólnie spędzony czas cieszą najbardziej. I ta poświęcona innym uwaga...

ROZDZIAŁ 37

Amelia zjawiła się domu opieki. Arleta siedziała na krześle i patrzyła przez okna. Kiedy Amelia weszła, starsza pani lekko się poruszyła.

— Dzień dobry!

— Czy ja wiem, czy taki dobry? Dzień jak co dzień. Ani dobry, ani zły. — W oczach staruszki była jakaś melancholia.

— Odnośnie do Wigilii...

— Tak jak mówiłam, z chęcią przyjdę.

— Tak... Ale... — Amelia nie wiedziała, jak zacząć ten temat. — Pomyślałam sobie, że... Chciałabym zaprosić też panią Barbarę.

Pani Arleta gwałtownie poruszyła się na krześle. Spojrzała na gościa.

— Masz prawo zapraszać, kogo chcesz — rzuciła.

— Odwiedziłam ją kilka razy.

— Przekonała cię do siebie?

— To miła starsza kobieta.

— Która za dużo wycierpiała.

Amelia nie chciała mówić staruszce, że ona też padła ofiarą tego mężczyzny, Jana.

— On mnie kochał. Bardzo kochał — powiedziała dobitnie pani Arleta, jakby młodsza z kobiet miała zamiar się z nią kłócić.

— Nie wątpię.

— Nie chcieliśmy ranić jego żony. Miałam odgrywać kolejną nic

nieznaczącą kochankę. Barbara to dobra kobieta, ale... — Staruszka sięgnęła po szklanę, upiła kilka łyków wody. — On się zakochał, ja się zakochałam. Sercu nie jest łatwo rozkazywać.

— Tak... — Amelia znów nie wiedziała, co powiedzieć. Szkoda jej było tych dwóch kobiet. — Czytałam pamiętniki pana Jana — wyznała. — Pani Barbara mi je dała.

— Wiem o jego pamiętnikach. — Arleta spojrzała na nią. Skóra na policzkach się zatrzęsała.

— Skąd pani wie?

— Bo powiedziała mu, żeby je spreparował.

Amelia zamrugnęła zdziwiona.

— Słucham?

— To była bujda. Wiedział, że Basia szpera w jego rzeczach. Wpadliśmy na pomysł... Wiem, to okrutne, ale chyba chciałam ją w jakiś sposób chronić.

— A potem obie go straciłyście.

— Tak... Obie go straciłyśmy... Dzisiaj wiem już tylko, że chciałam być przez niego kochana. Bardzo chciałam. Nie wiem już, co jest moim urojeniem, co snem, co jawą... Wiem tylko, że go naprawdę kochałam. Amelia wreszcie sfinalizowała zakup dworku w Złotkowie. Wiedziała, że dużo pracy będzie ją kosztowało, by przywrócić go do czasów jego świetności, jednak oczami wyobraźni już widziała, jak powstaje tutaj galeria z prawdziwego zdarzenia. Uśmiechnęła się do siebie.

Lubiła przychodzić do dworku. Chodzić po starych, trzeszczących, zakurzonych podłogach, oglądać stare skrzynie, w których znajdowały się książki, przeżarte przez mole rzeczy. Pewnego dnia podczas jednej

ze swoich przechadzek usłyszała dźwięki jakiejś melodii. Stanęła jak wryta. Serce zaczęło jej bić dużo szybciej. To była melancholijna melodia. Początkowo kobieta miała ochotę uciec, ale wiedziona jakimś dziwnym odruchem, zaczęła podążać w stronę muzyki. Z duszą na ramieniu wspinała się po schodach na górę. Znalazła starą, zakurzoną skrzynię. Poprzedniego dnia ją przeglądała. Teraz uniosła wieko z przestrachem. Sama nie wiedziała, czego oczekiwała: że coś z niej wyskoczy?

W środku zobaczyła pozytywkę. „To dziwne” — pomyślała. Dałaby sobie rękę uciąć, że wczoraj jej tam nie było.

Pozytywka była stara i piękna. Przedstawiała anioła z rozpiętymi skrzydłami. Wygrywała melodię. Jak to możliwe, że wciąż grała? Amelia poczuła, że po plecach przechodzą ją dreszcze. Wzięła pozytywkę do rąk. Otworzyła ją. W środku był list.

Kochałem w swoim życiu dwie kobiety. Barbarę i Arletę.

Każdą z nich kochałem inaczej, na swój sposób. Ale z żadną nie mogłem zostać.

Czasami miłość frunie gdzieś przed siebie, unoszona przez wiatr niczym pióra anioła spadające z nieba.

Arleta siedziała na krześle przy oknie, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Nie miała ochoty na odwiedziny. Korciło ją, by nie odpowiadać, ale w tym momencie usłyszała skrzypnięcie drzwi. Odwróciła głowę i zamarła. Poznałaby ją wszędzie, chociaż widziała ją tylko na obrazach i na zdjęciu, i to bardzo dawno temu.

— Mogę wejść? — zapytała starsza kobieta wspierająca się o laskę.

Arleta wykonała ręką zapraszający gest.

— Wejdz.

Po chwili siedziały naprzeciwko siebie i mierzyły się wzrokiem.

Barbara wyglądała na młodszą od Arlety i sprawniejszą, mimo iż kuśtykała.

— Pewnie dziwi cię moja wizyta?

— Prawdę mówiąc, tak. Nie spodziewałam się ciebie tutaj.

Odpuściły sobie „paniowanie”. W zasadzie było przecież tak, jakby się znały.

— Też nie mogę uwierzyć, że tutaj przyjechałam. Amelia mnie przywiozła. Wysłałaś ją do mnie jakiś czas temu.

Arleta skinęła głową.

— ...i chciałam ci za to podziękować. Dzięki spotkaniom z nią znów zachciało mi się żyć. Odwiedził mnie ktoś spoza mojego świata.

— To dobrze... że chociaż tak. — Arleta spojrzała na swoje powyginane artretyzmem, krzywe palce.

— Mogłyśmy się spotkać wcześniej. Dużo wcześniej...

— Może nie miałybyśmy sobie wtedy nic do powiedzenia?

— Możliwe. Ale może byśmy sobie wybaczyły.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Arleta wskazała Barbarze krzesło. Ta ciężko na nie opadła, opierając laskę o łóżko.

— Wybaczyły... — powtórzyła Arleta.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało z twoim synem.

Na wzmiankę o Janku Arleta się wzdrygnęła. Oczy zaszyły jej łzami, a serce spowił smutek.

— Wiesz, on... — Arleta urwała, bo sama nie wiedziała, co miałyby powiedzieć.

— To także syn mojego męża — stwierdziła Barbara. Poczowała w sercu ból, choć takie przecież były fakty.

Arleta przełknęła głośno ślinę.

— Wiedziałaś?

Zamilkły, zatopione w dalekich wspomnieniach.

— Plotkowano u Malinowskich — zaczęła na nowo Basia. — Sama też się domyślałam. Jan się wtedy zmienił. Wiedziałam, że wysyła ci pieniądze, że wynajmuje dla ciebie mieszkanie. Sprzedawał coraz więcej obrazów, ale nie chciał się przenieść do większego mieszkania, od czasu do czasu oprotestowywał niektóre moje pomysły jako zbyt kosztowne... Łatwo było zebrać do kupy wszystkie elementy układanki. Na początku bolało mnie, że to ty go uszczęśliwisz, bo dasz mu dziecko. Byłam na ciebie zła. A potem ten wypadek, w którym zginęło...

— Ono nie zginęło. Ukradziono mi je! — powiedziała dobitnie Arleta. Jej prawa ręka zaczęła drżeć. — Wioletta Malinowska mi go zabrała!

— Tak. Tak... Przepraszam.

Arleta poczuła rękę Basi na swoim ramieniu.

— Nie przyszłam tutaj, by cię z czegoś rozliczać.

— Przepraszam...

— Przyzwyczaiałam się do jego zrad — powiedziała wolno Barbara. — Udawałam. Jeśli kogoś mogę winić, to tylko siebie, bo dawałam mu ciche przyzwolenie.

— Ale wracał do ciebie. — Arleta podniosła wzrok.

Przez chwilę znów milczały.

— Nie zostaniemy przyjaciółkami... Ale możesz na mnie liczyć. Jeśli na taką starowinkę jak ja można liczyć w jakiegokolwiek sprawie.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, będziesz na Wigilii w Złotkowie? Amelia cię zaprosiła?

— Tak, i mam nadzieję się tam z tobą zobaczyć.

Arleta wstała, łapiąc się blatu stołu. Barbara również złapała laskę i się dźwignęła. Arleta obróciła się twarzą do drugiej z kobiet i po prostu ją objęła. Po policzkach ich obu popłynęły łzy. Życie odebrało im naprawdę dużo. Ale dało też chwile szczęścia z tym samym mężczyzną. Teraz przynajmniej będą mogły razem go wspominać. Jakiś czas później siedziały razem przy herbacie.

— Rok temu dowiedziałam się, że obie nas oszukał — powiedziała Basia cicho, jakby z wahaniem.

— Słucham? O czym ty mówisz? — Arleta zmrużyła oczy.

— O tym, że nas oszukał.

— Nie rozumiem. — Serce Arlety zatrzepotało. O czym ona mówiła?

Barbara zaczerpnęła tchu.

— Umarł... dopiero pięć lat temu.

— To niemożliwe!

— A jednak. — Basia westchnęła, skrzyżowała ręce na kolanach. — Chciał zniknąć i zniknął. W zeszłym roku odwiedził mnie jego sporo młodszy przyjaciel, który o wszystkim mi opowiedział. Cała ta historia nie dawała mu spokoju.

— Ale dlaczego? To znaczy, dlaczego Janek...?

— Życie go przerosło. Miał duże zlecenie na obrazy. Dostał

ogromną zaliczkę, którą roztrwonił, a obrazów jak nie było, tak nie było. Narobił sobie długów, ścigali go jacyś ludzie. Poza tym ty spodziewałaś się dziecka, miał żonę, pewnie też kilka innych kochanek, które planowały zemstę. Życie mu się zapętleło. — Barbara westchnęła i pokręciła głową, jakby do dziś nie mogła uwierzyć w to, że jej mąż doprowadził do tak patowej sytuacji. — Zainscenizował własną śmierć, aby nikt go nie szukał. Nie było to łatwe, ale oprócz wrogów Jan miał też przecież przyjaciół, i to z naprawdę różnych kręgów. Jakiś człowiek wykradł dla niego ciało z kostnicy i wspólnie wciągnęli je do samochodu, który później spadł z urwiska i się zapalił. Odnaleziono zwłoki, ale zwęglone. Janek wyskoczył z samochodu, zanim ten spadł. Był tylko lekko pokiereszowany. Kupił sobie niewielką garsonierę w Gdańsku na nazwisko tego przyjaciela. Nie wiem, skąd miał pieniądze. Wiem tylko, że zostawił mnie z niczym. Jego przyjaciel odwiedzał go, zachowując wszelkie środki ostrożności, wybierając zawsze inny dzień i godzinę, aby nie wzbudzać niczych podejrzeń. Janek miał dobrą kryjówkę. Przez pierwszy rok nie wychodził z mieszkania. Potem, jak sprawa ucichła, zapuścił brodę, przefarbował włosy. Schudł. Był nie do poznania. Zaczął żyć na nowo.

— Ale... ale dlaczego w ogóle ten jego przyjaciel do ciebie przyszedł? — Arleta momentalnie pobladła. Serce waliło jej jak opętane. Poczwała, jak jej mięśnie się napinają; sądziła, że są już na to zbyt zwiotczałe... a jednak.

— Cóż... Okazuje się, że Janek chciał się z mną pożegnać przed śmiercią. — Barbara odchrząknęła. W jej głosie wyczuć można było smutek.

— Pojechałaś go odwiedzić? — Arleta nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Wytarła spoconą dłoń o podomkę.

— Tak. Ale było już za późno. Umarł. Zostawił kilkanaście obrazów; na każdym z nich jesteście ty i dziecko. Sądzę, że powinnam ci je oddać.

— Myślisz, że mają jakąś wartość?

Przez chwilę Barbara nie odpowiadała.

— Myślę, że przebija z nich miłość. Wielka miłość. A cóż jest cenniejsze od miłości? — Barbara spuściła wzrok. Którą z nich tak naprawdę kochał?

Arleta westchnęła.

— Sama nie wiem, co o tym sądzić — powiedziała po pewnym czasie. — Zastanawiam się, czy jednak nie wolałabym żyć w niewiedzy. — Koniuszkiem języka oblizała spierzchniętą wargę. Miała już ochotę się położyć. W jednej chwili opadła z sił.

— A ja myślę, że powinnaś wiedzieć, że jego przyjaciel przyjeżdżał też do Złotkowa, by zobaczyć, czy z tobą wszystko w porządku.

— To też ci powiedział? — Arleta zaczęła nerwowo kręcić się na krześle. Kręgosłup już ją bolał, trudno też było powiedzieć, co dokładnie czuła. To niezdrowe w jej wieku.

— Kiedy zobaczył cię rok po stracie dziecka, nie był pewien, czy to ty. Miał tylko twoje szkice i obrazy. Zasięgnął języka i faktycznie mógł przekazać Jankowi, co się stało. Ponoć on się wtedy załamał. Chciał wyjść z mieszkania i rzucić się do morza z jakiegoś urwiska. Ale skoro umarł dopiero pięć lat temu, najwyraźniej coś go powstrzymało.

— Czego jeszcze się dowiedziałaś? Przecież musiał z czegoś żyć?

Czy... czy się z kimś związał? Założył rodzinę?

Barbara pokręciła głową. Arleta nie wiedziała, czy to z niewiedzy, czy po prostu wolała więcej nie mówić. A może tak będzie lepiej; lepiej nie drażnić. Po co jej to? Gdyby dowiedziała się, że była jeszcze jakaś inna kobieta, jakieś inne dzieci, serce pękłoby jej z żalu. Nawet teraz, po tylu latach...

ROZDZIAŁ 38

W Wigilię Bożego Narodzenia Bartka obudziły odgłosy dobiegające z salonu. Po wczorajszym spacerze spał dość mocno i długo. Spojrzał na zegarek; było już po dziewiątej. Naciągnął na głowę kołdrę, która pachniała lawendą. Cały dom przesiąknięty był zapachami cynamonu, goździków, świeżo palonej kawy, a także bigosu i ciasta. Chłopiec zdjął z głowy kołdrę i westchnął głęboko.

Wziął prysznic, włożył gruby wełniany sweter i dzinsy i zszedł na dół.

Przy stole siedzieli już Kamila, Przemek i Miśka. Michalina donosiła na stół śledzie i chleb. Kiedy zobaczyła Bartka, uśmiechnęła się do niego ciepło.

— Siadaj — zwróciła się do brata.

— O, wreszcie postanowiłeś nas zaszczyścić swoją obecnością? — wtrącił swoje trzy grosze Przemek.

— Jest dopiero kilkanaście minut po dziewiątej!

— Kochanie, jest już za dwadzieścia dziesiąta.

— Dobrze spałeś? — zapytała Kamila.

— Jak suseł. I zapewne spałbym jeszcze dłużej, gdyby nie obudziły mnie zapachy z kuchni.

— Najedz się teraz, bo do wieczery wigilijnej post.

Kobiety wstały od stołu. Kamila poszła na spacer. Tego dnia miała spotkać się z Sebastianem. Zadzwoił dzień wcześniej i oznajmił jej,

że jest w Sanoku. „Szaleniec” — pomyślała, ale uśmiechnęła się do siebie. Trochę się denerwowała spotkaniem, mimo to bardzo ją ono cieszyło.

Michalina wyruszyła po ciasto do „Cynamonowych Serc”, a Bartek z Przemkiem zaczęli męską rozmowę.

— Jesteś dla mnie takim przyszywanym tatą — odważył się na wyznanie Bartek. Był w takim wieku, że nie lubił się uzewnętrzniać, ale jakoś przed Przemkiem przyszło mu to bez trudu.

Przemek uśmiechnął się do chłopca. Poczł w sercu ogromną radość. Nigdy nie przepadał za dziećmi. To znaczy może nie to, że nie przepadał, ale nie zastanawiał się, czy chce mieć własne. Nie miał też jakiegoś specjalnego kontaktu z maluchami. W przeciągu pół roku jego życie obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Ponownie spotkał Michalinę, poznał Bartka, a za kilka miesięcy zostanie ojcem.

— Chyba „przyszywany tato” to za dużo powiedziane — zauważył ostrożnie.

— Dlaczego? Zrobiłeś dla mnie przez ostatnie pół roku więcej, niż mój prawdziwy tato przez całe moje życie. To, że ze mną tu jesteś i wcinamy razem lody i ciastka, ma dla mnie ogromne znaczenie. To, że odbierasz mnie po szkole, też. To, że możemy pogadać o piłce i samochodach. Potrzebuję taty... a ty tutaj ze mną jesteś.

— Nawet nie wiesz, ile te słowa dla mnie znaczą.

— Dużo? — Bartek uniósł wzrok znad talerza.

Przemek podał mu serwetkę, by wytarł umorusaną buzię.

— Dużo. Tyle że gdyby Miśka wiedziała, że codziennie karmię cię słodyczami, nie byłaby zadowolona.

— Ale nie musi wiedzieć. To będzie nasz taki męski sekret. Mężczyźni mają swoje sekrety.

— Nawet nie wiesz, jakie duże. — Przemek puścił do chłopca oko.

Bo przecież nie muszą łączyć nas więzy krwi, byśmy się kochali. Nie trzeba podarowywać komuś setek prezentów. Czasem, by poczuć z kimś głęboką więź, wystarczy dobre słowo, uśmiech, obecność.

Kamila popijała z Sebastianem gorącą czekoladę w „Cynamonowych Sercach”. Oboje byli lekko speszeni.

— Wynająłem pokój w Sanoku — zaczął Sebastian. Wprawdzie ona już o tym wiedziała, ale zupełnie nie miał pojęcia, jak zacząć. Zdanie wydało mu się bezpieczne.

— Nie wiem, co powiedzieć. Po co przyjechałeś?

Sebastian dopił czekoladę i zamówił jeszcze jedną. Grał na zwłokę. Kamila chciała go upomnieć, że powinien ograniczyć słodkości, ale w porę ugryzła się w język.

— Nie po co, ale dlaczego.

Kobieta westchnęła ciężko i przewróciła oczami. Co za różnica?

— Dlaczego? — zapytała jednak.

— Bo mi ciebie brakuje.

— I niby chcesz mnie taką, jaka jestem? — Skrzywiła się.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

— Tak — powiedział po prostu.

— Przestań! — Zwinęła serwetkę w rulon. Niepotrzebnie tutaj przyszła.

— Tęskniłem za tobą.

— Rozwiodłeś się ze mną, by mi powiedzieć, że za mną tęsknisz?

— Dzięki temu to sobie uświadomiłem. A zresztą... rozwiodłem się z twoimi rodzicami.

— Nie mieszaj w to moich rodziców.

Sebastian złapał jej rękę. Nie odtrąciła go.

— Pamiętasz, jak przez cztery lata mieszkaliśmy na drugim końcu Polski, bo tam dostałem pracę?

Kamila skinęła głową.

— To były najpiękniejsze lata w naszym małżeństwie. Wtedy też spędzaliśmy najpiękniejsze święta. Bez przepychu, drogich, napuszonych prezentów, bez srebrnej zastawy twojej mamy. Wiesz sama, że było cudownie.

— Ostatniego roku wykupiłeś dziesięć opakowań lampek, by udekorować naszą kawalerkę... — Na samą myśl o tej ciasnej kawalerce i lampkach Kamili zrobiło się dziwnie miło.

— Ale powiedz sama, czy nie była to najpiękniejsza kawalerka świata?

— Trochę kiczowata. — Kamila roześmiała się. — Zważywszy na to, że z kolei ja poprzyczepiałam do ścian girlandy. Z żyrandola zwisały srebrno-złote łańcuchy.

— Wigilię spędziliśmy tylko we dwoje. Przy dźwiękach kolęd.

— I poszliśmy na pasterkę. A po mszy wróciliśmy do mieszkania i z garnka wyżeraliśmy pierogi.

— Ty doprawiłaś jeszcze ciastem kokosowym.

— Mało co wszystkiego nie zwróciłam, jeśli mam być szczerą.

Śmiali się oboje.

— A w drugi dzień świąt poszliśmy do twojego znajomego, który

miał pięcioro dzieci, i te dzieci miały dzieci. Przy stole siedzieli też dziadkowie, ciotki i kuzynostwo. Było chyba z pięćdziesięcioro ludzi. I my na dokładkę.

— Rozmawialiśmy, żartowaliśmy, śmialiśmy się i śpiewaliśmy kolędy. Ktoś zagrał na gitarze.

— Było tak przeraźliwie ckliwie! Ale cudnie.

— Ale cudnie...

— Kolejne święta już nie były takie urocze. W domu twoich rodziców.

— Bo to były święta po wypadku. Jak miały być urocze?

Sebastian pokręcił głową.

— To nie dlatego...

Kamila zmarszczyła brwi. Bolało ją to, że rodzice nigdy poważnie nie traktowali jej męża.

Pamiętała te ostatnie wspólne święta. Sebastian był zły, kiedy dowiedział się, że będzie przepakowywała prezenty. Tego dnia rano sam je zapakował. Żona wytłumaczyła mu jednak, że mama chciała, aby były zawinięte w złoty papier, żeby pasowały do innych prezentów i wystroju świątecznego w ich domu.

— Pieprzony złoty papier! — mruczał pod nosem Sebastian w drodze do jej rodziców. — Co jest złego w papierze w mikołaje? — zastanawiał się na głos. — Też mi pomysł, żeby wszystkie pakować tak samo...

— Oj, nie zrozumiesz tego. — Kamila próbowała uspokoić męża, ale on był już niczym rozjuszony byk.

Drzwi do domu otworzyła mama. Miała lekko nieobecną minę.

Kamila była do tego przyzwyczajona. Mama bardzo często była obecna ciałem, ale nie duchem. Małżonkowie zdjęli płaszcze, a gospodyni wzięła od nich pakunki.

— Ten złoty papier... — Skrzywiła usta. — Jakiś taki — obejrzała prezenty ze wszystkich stron — zbyt złoty.

— To najwyższa próba złotego papieru — zauważył sarkastycznie Sebastian.

Usiedli na sofie w salonie.

— Spójrz. — Ruchem głowy Sebastian wskazał na wielką fotografię, która wisiała na jednej ze ścian. — Chyba kogoś na tym zdjęciu brakuje. — W oryginale fotografia przedstawiała Kamilę, jej rodziców i Sebastiana. Teraz ze zdumieniem oboje odkryli, że ktoś wyciął, a raczej wyfotoszopował z niej zięcia. — Zawsze wiedziałem, że jestem mało fotogeniczny, ale żeby zupełnie mnie wymazywać? To dopiero słabe...

Kamila zgodziła się w duchu — za nic nie mogła zrozumieć, dlaczego rodzice zrobili coś tak infantylnego — ale się nie odezwała, co jeszcze bardziej zdenerwowało Sebastiana.

Otrząsnęła się z przykrych wspomnień.

— No i co teraz? — Spojrzała na byłego męża.

— Możemy odbudować nasz świat na nowo. Podczas tego roku zrozumiałem, że czegoś mi w tym życiu brakuje. I wreszcie zrozumiałem, że nie czegoś, ale kogoś. Ciebie.

— Zostaniesz na święta?

— Nie mogłoby być inaczej. — Złapał ją za rękę.

Amelia zastanawiała się, dlaczego uległa córce. Najwyraźniej to jej

wielkie oczy i łobuzerski uśmiech przekonały ją do tego, by wziąć psiaka ze schroniska.

— To ma być mój świąteczny prezent, mamó, i nie chcę innego — oświadczyła Mary Ann jakiś czas temu.

— Ale będziesz z nim wychodziła na dwór? — zapytała Amelia w trosce o swoje poranne wstawanie. Lubiła czasem poleniuchować.

— Obiecuję! — Dziewczynka uroczyście położyła dłoń na klatce piersiowej. — Będę się nim zajmowała i chodziła z nim do weterynarza...

— I obcinała pazury, sprzątała kupki, póki nie nauczy się załatwiać na zewnątrz?

— Mamó... — jęknęła Mary Ann.

Przez ostatni tydzień Amelia przeprowadzała test. Codziennie nastawiała budzik na piątą rano i budziła córkę, oznajmiając: „Wychodzisz z pieskiem”. Mary Ann ledwo żywa wstawała, wkładała kurtkę, czapkę i szalik i spacerowała dookoła domu przez pół godziny. Była twarda, a Amelia nieustępliwa, chociaż uśmiechała się w duchu. Wreszcie po tygodniu pojechały do schroniska.

Chodziły po nim w kółko. Amelia czuła, że serce jej się kraje, kiedy patrzyła w smutne oczy opuszczonych, niechcianych zwierzaków. W końcu obie go dostrzegły. Siedział w kąciaku — mały, niepozorny, kudłaty. Sierść zasłaniała mu prawe oko. Umaszczenie miał czarne. Spozierał na nie tym swoim jednym dużym okiem.

— To ten! — powiedziała Mary Ann. — Mój Czarnuch!

— Czarnuch? — Amelia nie była pewna, czy to odpowiednie imię dla psa.

— No to Heban.

— Heban? Może być.

Godzinę później, po dopełnieniu wszelkich formalności, siedzieli we trójkę w samochodzie. Heban wydawał się dość zadowolony. I zachowywał się grzecznie, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko jeździł samochodem.

— Musimy iść z nim do weterynarza, a także umyć go i ostrzyć te kołtuny — stwierdziła Amelia, spoglądając w lusterko.

— I tę śmieszłą grzywkę, która opada mu na oko.

— To też.

— Mamooo? — Mary Ann spojrzała z czułością na Amelię.

— Co tam?

— To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Jej mama uśmiechnęła się szeroko.

— Cieszę się, że mogłam sprawić ci przyjemność.

— Sprawiałaś! Nie tylko mi, ale i Hebanowi.

Pies szczeknął tak głośno, że Amelia omal nie skręciła w prawo.

Po chwili obie śmiały się z jej reakcji, a Heban tylko merdał ogonem i lizał swoją nową panią po twarzy.

ROZDZIAŁ 39

Michalina nie chciała idealnych świąt z białą zastawą, złotymi serwetami i jednokolorową choinką niczym z magazynu wnętrzarskiego. Chciała mieć prawdziwe święta. Takie jak rok temu i przed dwoma laty. Z niedosmażonym karpem, z koślawą choinką, z kłótnią o liczbę dań, ze śmiechem, z dziecięcym szczebiotem. Ze szczęściem. Bo Święta Bożego Narodzenia to cuda, szczęście, miłość i bliskość drugiego człowieka. Tak jak mówiła babcia, trzeba mieć gdzieś tonę prezentów pod choinką, ufryzowaną głowę cioci Kazi, srebrne sztuce i sztywną atmosferę.

Tak jak sobie zażyczyła, tak miała.

— No by to szlag, żeby w Wigilię kran się zepsuł! — psioczyła pod nosem.

— Nie narzekaj, tylko trzymaj uszczelkę. — Przemek zanurkował pod umywalkę.

Bartek wbiegł do domu w butach, zostawiając na dywanie mokre ślady.

— I co teraz?! — wydarła się Miśka.

— Chciałem tylko powiedzieć, że ulepiliśmy z Mary największego bałwana *ever*.

— Ja ci dam to twoje *ever*. Spójrz na dywan! Wczoraj był prany. Mam jeszcze tyle do zrobienia, a ty mi tu dywan brudzisz.

— Siostra, wyluzuj. Pomogę.

Bartek chwycił za ścierkę i zaczął wycierać plamy, które rozrosły się do gigantycznych rozmiarów.

— A... idź mi już stąd! — warknęła Michalina i wyrwała Bartkowi ścierkę.

— Kobiecie to nigdy nie dogodzisz... — Chłopiec wzruszył ramionami i wybiegł na dwór.

— I co z tym kranem?! — zawołała Miśka w stronę Przemka.

— Wszystko się spieprzyło. Trzeba używać innego.

— No super! — Miśka zaczęła się histerycznie śmiać, patrząc to na kran, to na plamy na dywanie. „Uważaj, czego sobie życzysz. Ponoć gdzieś na świecie mają takie przysłowie” — pomyślała i pokręciła głową.

Świąteczka, świece o zapachu wanilii i cynamonu, białe jak śnieg, świeciły się w całym domu i przed nim. Aniołki ulepione przez dzieci zawisły na gałązkach choinki przed domem. Michalina przytachała ze strychu wielkiego renifera, który zajął pół ogrodu. Przy gotowaniu kapusty z grochem zaczęła nucić kolędy. To jest ten czas. Jej ukochany czas, kiedy ogarnia ją szaleństwo. Niektórzy zwykli pytać: „Czy warto dla tych kilku dni tyle robić?” A ona zawsze odpowiada, że warto. Bo to dla tych kilku dni w swoim życiu warto tak naprawdę żyć. Dla narodzin swoich dzieci, dla ślubu z ukochaną osobą, dla świętowania sukcesu, dla świątecznych dni. To te dni będziemy potem wspominać ze wzruszeniem. Nie te, w których jesteśmy zawiedzeni, smutni, że coś nam nie wyszło, ale te, które miały dla nas właśnie takie znaczenie!

Czuć było święta: cynamonowo-korzenno-miodowe. Bartek dodałby

z pewnością, że i kapuściane. Obaj z Przemkiem przed wieczerzą śmiali się, że kapuchą wali w domu. Właśnie takiego określenia użyli — ale że wali kapuchą, to też dobrze. Bo też te święta są pełne kapuchy.

Michalina z Przemkiem złączyli dwa stoły, żeby wszyscy się zmieścili. Do kolacji miało zasiąść około dwudziestu osób. Jeszcze nie każdy potwierdził obecność, ale tylu się spodziewali. Dzień upływał pod znakiem przedświątecznej krzątania. Z głośników leciały kolędy. W południe do pensjonatu przyszły Amelia z Zofią i Wiktoria. Amelia pakowała prezenty w kolorowy papier. Miśka do każdego pakunku doklejała gwiazdkę z imieniem osoby, do której podarunek miał trafić. Po kilku minutach podniosła się z klęczek i podeszła do piekarnika.

— Nie za długo pieczesz tego kuraka? — zawołała babcia Zosia, która wykladała na patery ciasto.

— Skórka ma być złoto-brązowa! — odkrzyknęła Michalina.

— A jaka jest?

— Złota.

— To poczekaj jeszcze z pół godziny, coby była złoto-brązowa.

— Poczekam, ale tylko dwadzieścia osiem minut.

Wybuchnęły śmiechem.

— Tylko nie podkradać mi tego kurczaka! — Babcia Zosia pogroziła Bartkowi palcem. Kurczak będzie w pierwszy dzień świąt. Dzisiaj Wigilia, więc postnie.

Przemek odchylił się na oparcie sofy i poddał chwili. Kobiety gadały i zawijały upominki w papier, w kominku palił się ogień. Pan Wincenty uciał sobie drzemkę w fotelu. A on obserwował Miśkę. Wyglądała

kwitnąco w bordowej sukience, która lekko opinała ciężowy brzusek. Śmiała się z czegoś, a w jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki. Odwróciła się w jego stronę i wtedy ich spojrzenia się spotkały. Wiedział już, że tutaj zostanie. Tutaj było jego miejsce, u boku tej kobiety.

O osiemnastej przy stole wigilijnym zasiedli goście: pani Barbara, pani Arleta, Patrycja, Adam z mamą i bratem, pan Drabik, Amelia, Wiktoria, Michał, pani Mirka, Mary Ann, Marek, Michalina, Bartek, Przemek, Kamila, Sebastian, babcia Zosia, pan Wincenty.

Każdy zatopiony w swoich myślach. Każdy jakoś nad wyraz spokojny i w głębi duszy szczęśliwy. Podzielili się opłatkiem, zjedli wieczerzę.

— Dla kogo herbaty? — Zofia poderwała się od stołu.

— Ale babciu, siedź! Na razie wszyscy najedzeni i napojeni.

— A gdzie tam. — Pani Zofia już była na nogach. — Może ktoś się jednak napije? Gdzie to tak: kompot do ciasta.

— Ja się chętnie napiję — odezwał się Przemek. Michalina spiorunowała go wzrokiem. — To może jednak nie.

Wszyscy się roześmiali.

— Może mimo wszystko zrobię herbatę. Czy może komuś kawy?

— To może ja bym się skusiła — odezwała się Kamila.

— A dla was, dzieci? — Zofia podeszła do Mary Ann i Bartka.

— Ja dziękuję — powiedziała dziewczynka.

— Bartuś, nie jadłeś ciasta.

— Oj, babciu, bo nie chcę.

Pani Zosia zmarszczyła brwi.

— A dlaczego? Coś ci nie smakuje?

— Babciu... daj mi spokój. Okej?

— No okej, okej. Ale co się stało, że serniczka nie zjesz?

— Już mi bokiem ten serniczek wychodzi.

Misce chciało się śmiać. To tak jak w życiu. Kawy? Herbaty? A to komuś kawa nie pasuje, a to herbata. A to za mocna, za słodka. A to przejesz się ciastem, a ktoś cię zmusza do zjedzenia jeszcze kawałka. A to ktoś się uśmiecha, ktoś inny się boczy. I co z tego? Urok jest w gwarze, w rozmowach, śmiechu i w tym przejedzeniu, kiedy guzik pęka.

— To my na dwór pójdziemy — powiedział Bartek. — Śnieg pada.

— No pewnie, idźcie, idźcie — odezwała się Miśka. — Tyle śniegu nasypało! Trzeba korzystać.

— Tylko ubierzcie się ciepło! — zawołała za dziećmi babcia Zosia.

— No idź, jeszcze skontroluj — zaśmiał się pan Wincenty — czy czapki włożyli i szalikami szyje okręcili.

— A żebyś wiedział, że pójdę.

I wyszła na korytarz. A w salonie rozległ się gromki śmiech.

— Teraz to nawet ja zakładam czapkę i kurtkę za tyłek, żeby mi ciepło było — zaczęła Amelia.

— No, ja też. A kiedyś to chodziło się w przykrótkich kurteczkach, które brzuch odsłaniały.

— I w kozaczkach nieocieplanych, na wysokiej szpileczce — dorzuciła Miśka.

— A wszystko po to, żeby się podobać.

— To teraz, drogie panie, nie chcecie się podobać? — zapytał pan Wincenty.

— Pewnie, że chcemy! Ale wiemy, że fajnie jest, kiedy jest nam ciepłutko i milutko. Podobanie się zimą schodzi na dalszy plan.

Amelia spojrzała na starszą córkę. Wiktoria siedziała na sofie wtulona w Michała. „Nie da się opisać tych uczuć, które towarzyszą człowiekowi na początku zakochania” — pomyślała. „To jest taka mieszanina ekscytacji, lęku, uwielbienia, pożądania. Jesteś przesiąknięty tą drugą osobą. Chcesz przebywać tylko z nią. Z biegiem lat to szaleństwo opada, ale ty czasami gdzieś go szukasz. Nie oznacza to wcale, że przestajemy kochać. Wtedy dopiero naprawdę zaczynamy kochać. Kiedy szaleństwo opada, a pojawiają się codzienność, problemy, rutyna”. Nagle poczuła, jak czyjaś dłoń otacza jej własną.

— Fred znów za tobą tęskni — szepnął jej do ucha Marek.

— Oj, nie kuś, nie kuś. — Pogroziła mu palcem. Była szczęśliwa. Patrycja stała oparta o gzyms kominka, Adam wręczył jej szklanekę kompotu.

— No, odważnie, że tak powiem... — Patrycji chciało się śmiać. — Chcesz mnie uwieść kompotem?

— Hmm... Jak rozumiem, nikt wcześniej nigdy tego z tobą nie próbował?

— Jesteś wyjątkowy.

— Wiedziałem, że ci zaimponuję. — Puścił do niej oko.

— Jeśli masz ochotę i chęci, chciałabym cię zaprosić na Sylwestra do Warszawy. Do mojego mieszkania...

— Nie wiem, czy jestem na to gotowy...

Patrycja uszczypnęła go w bok.

Michalina wyszła na chwilę do ogrodu. Nie chciała nikomu mówić, ale zakręciło jej się w głowie. Nic takiego. Ostatnio nie lubiła, jak było jej zbyt ciepło, wołała chłód. A od emocji i ognia w kominku była cała rozpalona. Zaczepnęła świeżego powietrza. Odetchnęła kilka razy pełną piersią. Spojrzała w okna salonu i w jednej chwili poczuła, jak jej serce bije dużo zwawiej. Choinka była upstrzona światełkami. Z jednej strony jej gałęzie uginały się od ciężaru bombek, orzechów, suszonych pomarańczy, łańcuchów z bibuły i świecidełek wyprodukowanych przez rączki dzieci. Tę stronę dekorowała Mary Ann z Bartkiem. Druga była ubrana bardziej gustownie, bo to Miśka ją ubierała. Chociaż babcia Zosia musiała dorzucić swoje trzy grosze i dowalała na jej prawą stronę trochę anielskiego włosia. Zerknęła przez okno do salonu. Na stole stały resztki potraw, okruszki ciasta walały się po podłodze, właśnie zlizywał je pies Amelii. Dlaczego ona w ogóle zabrała ze sobą psa?

Miśka zaśmiała się w głos. Wiedziała, że w kuchni w zlewie piętrzą się niepozmywane gary i talerze, że kuchenka jest zapaćkana. Ale to nic, najważniejsze, że ten wieczór był taki piękny, a jej dom ponownie tętnił gwarem i życiem.

Z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki.

Pan Wincenty tańczył z babcią Zosią, a śpiewał dla nich sam Wodecki:

*Zabiorę cię dziś na bal,
Do stu kryształowych sal,
Gdzie się zatrzymał czas,*

Stanął czas.

Założysz sukienkę z mgły,

Jak kiedyś przed laty, gdy

Byliśmy pierwszy raz,

Aż po brzask².

Bo choćby czasami tym ludziom, co siedzą w środku, było nie po drodze, choćby czasami darli koty, to i tak w takie wieczory jak ten usiądą przy stole i poczują magię wigilijnego czasu.

— Michalina! — Z zamyślenia wyrwał ją głos Bartka.

— Co tam?

— Wchodź do domu. Ale jaja... — Bartek złapał się za brzuch i zaśmiał wniebogłosy.

Michalina weszła do środka. Na podłodze klęczał pan Wincenty.

— Co się stało? — zapytała, kiedy zobaczyła miny gości.

— Ten stary dureń właśnie przede mną uklęknął i nie może wstać — poinformowała ją pani Zofia.

— A dlaczego to zrobił? — dopytywała zdziwiona Michalina.

— Bo się babci oświadczył. — Bartek ryknął śmiechem.

— I z czego się śmiejesz? — skarciła chłopca Mary Ann. — Ty kiedyś też będziesz się mi oświadczał — stwierdziła z powagą w głosie.

² Zbigniew Wodecki, *Zabiorę Cię dziś na bal.*

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE:

Chciałabym Ci życzyć pięknych spojrzeń na otaczający świat.

Mam nadzieję, że przed Tobą jeszcze kilka pięknych widoków.

Zgubiłaś (lub zgubiłeś) gdzieś po drodze kilka uśmiechów, wylałaś (bądź wylałeś) morze łez.

Za czymś tęsknisz. Wiesz — każdy niekiedy za czymś lub za kimś tęskni.

Kochaj, spełniaj marzenia, ryzykuj dla przygody zwanej życiem.

Tańcz w rytm muzyki z pewną dozą szaleństwa, uciechą. Niech niosą cię nogi.

Uśmiechaj się do ludzi, do przechodniów mijanych na ulicy, swoich bliskich, dzieci. Zbyt rzadko się uśmiechamy.

Wiem, dmuchawce są takie piękne, wysoko latają pędzone przez wiatr, ale ich żywot jest krótki. Dlatego może warto inwestować swoje uczucia i myśli w coś trwałego? Coś, co ma silne fundamenty? Może czas się zastanowić, co jest dla Ciebie (i dla mnie!) ważne.

Bo są rzeczy ważne i mniej ważne, i te zupełnie nieistotne.

Przestań uganiać się za mrzonkami, chwytac się kurczowo ulotnych chwil, rzeczy, które tak naprawdę nie mają dla ciebie żadnego znaczenia.

Siej dobro. Wszystkie nasze dobre czyny wracają do nas jaskółką, a złe kamieniem.

Życzę Ci, abyś potrafiła (lub potrafił) odnaleźć człowieka w

człowieku. Zasłaniamy się telefonami, tabletami, szklanymi monitorami, a tam po drugiej stronie jest CZŁOWIEK, taki jak ja czy Ty.

Czy zdarzyły Ci się kiedyś takie chwile, momenty w życiu, niby zwykłe, ale jednak niezwykle? Takie, od których ściska w sercu? Mnie owszem.

Siódmego lutego leciałam na pogrzeb mojej babci. Cały lot byłam bardzo zdenerwowana, płakałam. Babcia była dla mnie radością, szczęściem, dobrocią, miłością. Pościel krochmaliła na sztywno i wywieszała nawet zimą na podwórku, „by przeszła wiatrem i świeżym powietrzem”. Zawsze mi powtarzała, że ludzie są dobrzy, tylko czasami im się coś pomyli. I ma prawo się pomylić, każdemu z nas. Nie oceniała, tylko dawała dobre rady. „Zrobisz z nimi, co zechcesz, ale ja muszę ci to powiedzieć”. Babcia to piękno. Moja babcia była piękną kobietą, pięknym człowiekiem.

Babcia to wspomnienie dzieciństwa, to słodki smak szarlotki, to kąpiele nad zalewem, wczasy w Piwnicznej.

Babcia... Już jej z nami nie ma.

Kiedy wysiadłam z samolotu, poczułam głód. Była już czternasta, a ja nie jadłam ani śniadania, ani obiadu, ani kolacji poprzedniego dnia. Po drodze na przystanek autokarowy kupiłam precla czy bajgla. W każdym regionie Polski mówi się na to inaczej. Może to był obwarzanek? Nie mogłam się doczekać, kiedy zjem go w autobusie (czekała mnie trzygodzinna podróż), w brzuchu już mi burczało tak głośno, że wydawało mi się, że wszyscy dookoła słyszą. Autokar podjechał. Do drzwi wejściowych ustawiła się kolejka. Nie lubię się

pchać, stanęłam sobie z tyłu. I nagle obok mnie pojawił się staruszek. Chyba bezdomny, w łachmanach, brudny. Wsparty o laskę. Powiedział ni to do siebie, ni to do innych ludzi — może do mnie? — „Jestem bardzo głodny. Nie chcę pieniędzy, ale może ktoś ma coś do jedzenia?”.

Bez zastanowienia oddałam mu tego bajgla czy precla. Dorzuciłam kilka groszy. Nie piszę tego po to, by się chwalić, bo nie ma czym się chwalić — każdy z odrobiną przyzwoitości zachowałby się na moim miejscu tak samo. W oczach tego starego człowieka zobaczyłam wdzięczność, a słowa, które od niego usłyszałam, wyryły się w moim sercu: „Dziękuję, to piękne, że są jeszcze ludzie, którzy potrafią odnaleźć człowieka w człowieku”.

Całą drogę myślałam o tym staruszkę, o jego słowach. Odczytałam to zajście jako znak. Moja babcia przez całe życie powtarzała mi, że należy dostrzegać ludzi, że to drugi człowiek jest ważny, nawet jeśli pobłądził. Jesteśmy przecież ludźmi i różne rzeczy nam się mogą przydarzyć. Nikt nie jest nieomylny. Każdy z nas kogoś zranił. Każdy z nas kiedyś upadł.

Tak często trudno nam dostrzec człowieka w drugim człowieku. Zasłaniamy się telefonami, tabletami, odwracamy wzrok. Bo tak prościej przejść, przemknąć, bo każdy z nas ma też swoje problemy. Tak trudno uśmiechnąć się do ekspedientki w sklepie, która tego dnia obsłużyła już kilku marudnych klientów, bolą ją nogi od kilkugodzinnego stania i kręgosłup od porannego wykładania towaru. Tak trudno niekiedy podziękować za to, że kurier przyniósł nam przesyłkę. Nie odwracajmy wzroku od staruszki, która sprzedaje

konwalie na rogu ulicy. Gdyby nie potrzebowała pieniędzy, nie stałaby na chodniku z bukietem w ręku.

Szanujmy siebie, swoją pracę, drugiego człowieka.

Bądź, człowieku, człowiekiem dla innych ludzi!

Podarujmy w te święta najcenniejszy prezent drugiemu: nasze ciepło, nasz uśmiech, pomocną dłoń.

I jeszcze na koniec napiszę do Ciebie:

Żyj!

Cieszymy się z tego życia, z tego, co mamy. A jeśli zwątpisz, posłuchaj...

Przeprowadziłam kilka rozmów z cudownymi kobietami, które mimo choroby — swojej, swojego dziecka — mimo przeciwności losu nie poddały się i potrafią pięknie cieszyć się z życia.

Dziękuję za to, że mogłam je poznać.

Do wysłuchania rozmów z nimi zapraszam na moją stronę www.gabrielagargas.pl (zakładka podcast).

Bezpośrednio — tutaj:

<https://gabrielagargas.pl/tjt001-jola-radomska/>

<https://gabrielagargas.pl/tjt002-monika-piatczak/>

<https://gabrielagargas.pl/anna-wyzuj-rogalska-tjt010/>

Ania Wyzuj-Rogalska — kobieta z pasją, z wykształcenia dziennikarka i filozof, blogerka, na raka piersi zachorowała na początku 2017 roku, mając 36 lat. Miała nowotwór złośliwy, z przerzutami do węzłów. Jest po obustronnej mastektomii. Ani przez chwilę nie traciła wiary, że wygra z chorobą. Pierwsze chwile z rakiem nie zabrały jej radości życia. Podczas chemii Ania nie przestała

pracować, starała się być aktywna przez całą swoją chorobę. Jeździła offroadami i biegała.

Codziennie uśmiecha się do życia. Bierze z życia garściami wszystko to, co najlepsze!

„Nie mam jednej piersi, węzłów, jajników. Wiem, co to chemia czerwona, biała, karboplatyna, radioterapia, sterydy i brak estrogenu...

Mogłam też umrzeć, ale nie umarłam...

Walczyłam i nadal walczę ze skutkami i dalszym leczeniem...

I mimo tego jestem nadal kobietą...

Żyję i mówię głośno o tym, że nie mam piersi...

I w końcu zrobiłam sesję, o której marzyłam...”.

Jeśli macie ochotę, zajrzyjcie do Ani: <http://www.zabieganyrak.pl/>
Monika Piątczak — mama dwóch córek, pielęgniarka w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrze. Pracuje na Oddziale Mechanicznego Wspomagania Krążenia i Transplantacji Serc. Wolontariuszka Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. Uczestniczka misji w Sudanie, Kenii, Nepalu, Gruzji i na Ukrainie. Ryzykuje swoje zdrowie i życie, aby nieść pomoc innym. Monika pomaga ofiarom kataklizmów i wojen. Nie waha się ruszyć na koniec świata, jeśli ktoś potrzebuje tam pomocy. Nie kupuje sobie karnetu na basen ani kursu angielskiego, bo nigdy nie wie, gdzie będzie następnego dnia. Liban? Bośnia? Nepal?

Rozmawiamy o trudnych wyborach i o tym, że czasami warto wszystko postawić na jedną kartę.

Monika nieraz słyszała od ludzi : „Po co ci to?”, „To niebezpieczne”,

ale mimo to podążała za głosem serca.

„Mam serce w dwóch zakątkach świata” — przyznaje.

Jolanta Radomska, znana jako Pani Niteczka, na co dzień zмага się z nieuleczalną chorobą swoją i syna, a mimo tego nie rezygnuje z marzeń. Jola była motorniczym, dopóki nie zdiagnozowano u niej stwardnienia rozsianego. Gdy stwierdzono całkowitą niezdolność do wykonywania zawodu i odmówiono przyznania renty, nie poddała się. Mimo własnego stanu zdrowia i rzadkiej genetycznej choroby dziecka z niezwykłą siłą i godnością walczy z przeciwnościami losu, a jej pasją i formą rehabilitacji stało się tworzenie i projektowanie zabawek. Zapraszam do pracowni Joli, możecie tutaj znaleźć wspaniałe prezenty dla swoich bliskich:
<https://www.facebook.com/PracowniaArtystycznaPaniNiteczka/>.

PODZIĘKOWANIA

Wam, Drogie Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, dziękuję za recenzje, opinie o moich książkach i wszystkie ciepłe słowa, które od Was otrzymuję.

Bez Was nie wydawałabym kolejnych książek.

DZIĘKUJĘ!

ZAPRASZAM Was do odwiedzenia mojej strony: <http://gabrielagargas.pl/> oraz na fanpejdż na Facebooku: <https://www.facebook.com/gargasgabriela>, a także do dołączenia do grupy na Facebooku: „Fani powieści Gabrieli Gargaś”.

Na Instagramie: @gabrielagargasautorka.

Dziękuję mojej kochanej rodzinie — niezmiennie i zawsze za wszystko. Mojemu mężowi za cierpliwość, wyrozumiałość i każde motywujące słowo. Za Twoją miłość! Gdyby nie moja rodzina i przyjaciele, nie byłoby we mnie takiej siły, by iść pod wiatr — i z wiatrem też! ;-)

Dziękuję za ogromne wsparcie mojej przyjaciółce Uli, która wykupuje pół nakładu każdej z moich książek. Za to, że przy mnie jest. Wiem, że po tych trzydziestu paru latach przyjaźni mogę zjawić się u niej o drugiej w nocy i powiedzieć: „jestem”, a ona otworzy szeroko ramiona. Najpierw zrobi skwaszoną minę, że ją obudziłam, ale potem przygarnie. Zjemy tonę niezdrowych rzeczy i zapijemy wszystko winem.

Sylwii Hibner i Justynce Bagnerowskiej, przyjaznym duszyczkom, z którymi wypiliśmy morze kawy, herbaty... i trochę wina.

Dziękuję Piotrusiowi Radeckiemu, mojemu serdecznemu przyjacielowi, który czyta moje książki z nieukrywaną przyjemnością i promuje je, gdzie tylko się da. :-) I nawet pozwala, bym mu trzaskała fotki i wstawiała na fejsa.

Dziękuję Alkowi Rogozińskiemu, za promowanie moich książek w sieci, przed Pałacem Kultury, w kawiarniach itp. ;-) Za życzliwość i nocne tańce. A Pawełkowi z takemycake.eu za dokarmianie. Twój sernik wymiata!

Marcelowi Woźniakowi, koledze po piórze, za wspólne pogawędki, kiedy opuszczała mnie wena.

Dziękuję kochanym Dziewczynom i Chłopakom z grupy „Fani powieści Gabrieli Gargaś”. Grupa rośnie w siłę! Nie będę wymieniała każdego z osobna z imienia i nazwiska, bo stron by zabrakło. Ale dziękuję Wam, Kochani!

Beacie Owczarczyk, administratorce tej grupy, która dzielnie działa na polu bitwy. Już o siódmej rano potrafi wkleić cudny post! ;-)

Joasi Wolf za cudowne grafiki i promowanie mojego dorobku literackiego na stronie NIEnaczytana (<https://www.facebook.com/NIEnaczytana>) i za administrowanie grupy „Fani powieści Gabrieli Gargaś”.

Justynce z ONA CZYTA za promowanie moich książek w facebookowym świecie i piękne grafiki.

Kasi Sikorze i Justynie Michalskiej z Kasik Recenzuje za promowanie moich książek.

Dziękuję także za każde ciepłe słowo, za każdy wpis, każdą wiadomość i komentarz: Basieńce Ossolińskiej, Reni Sokół, Anecie Pimpis, Kasi Stec, Ewie Kiszkwiać, Ewelinie Ziomek, Marcie Zająć, Małgosi Szmyd, Joasi Jarosz, Kamili Buchoskiej, Wandzi Krakowiak, Tereni Kłos-Zakrzewicz, Justynie Rohde, Eleonorze Chojnowskiej, Ani Piotrowskiej, Marcie Szymańskiej, Małgosi Lessner, Reni Mik, Kasi Cyprys, Joli Jastrzębskiej, Eleonorze Chojnowskiej, Dorocie Gronkowskiej, Ewie Sołtysiać i jej kochanej mamci — Pani Danusi, Ani Lidke, Agnieszce Średnickiej, Donacie Wiśniewskiej, Ewie Markuszewskiej, Zuzi Osieckiej-Godlewskiej, Magdalenie Mazurek, Kasi Naworskiej, Grażynce Cybulskiej, Anicie Idzikowskiej, Kasi Chabło, Grażynce Wardach, Agacie Legun, Joannie Wierzbickiej, Monice Szydłowskiej, Karolinie Ubych, Monice Płatek, Violetcie Laskowskiej, Ani Kminikowskiej, Ewelinie Stawsińskiej. Agnieszce Balcerskiej, Monice Płatek, Grażynce Wardach. Podziękowania winny przyjąć także Lidia Szarna i Natalia Kapela.

Ekipie wydawnictwa Czwarta Strona dziękuję za wsparcie i promocję moich książek na rynku wydawniczym. I pani redaktor Karolinie Borowiec — za pracę, jaką włożyła w redagowanie tej książki. Kłaniam się w pas.



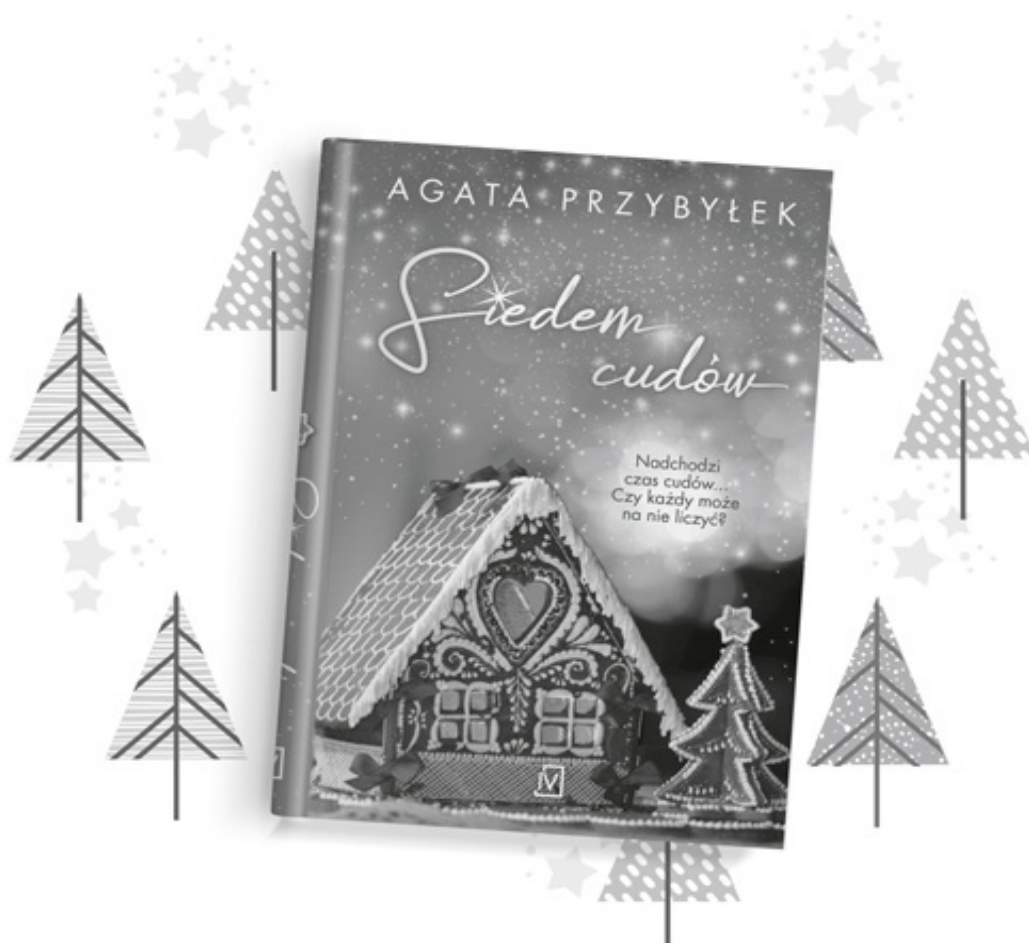
*Zaplanuj cudowny czas
razem z Gabrielą Gargaś!*

Jesteś przedsiębiorczą kobietą, artystką, blogerką albo mamą na pełny etat? A może czujesz, że masz za mało czasu dla siebie i bliskich?

Gabriela Gargaś stworzyła ten planer z myślą o Tobie!

Autorka bestsellerowych powieści obyczajowych pomoże Ci zaplanować dni pełne obowiązków i weekendy totalnego odpoczynku. Będzie wspierać Cię w realizacji Twoich celów, a w trudnych chwilach zobawi jak nikt inny. Ciepłe słowa i motywujące rady Gabrieli Gargaś będą Ci towarzyszyć każdego dnia. Zapisz cele, które są dla Ciebie naprawdę ważne, przestań przejmować się opiniami innych i postuchaj siebie.

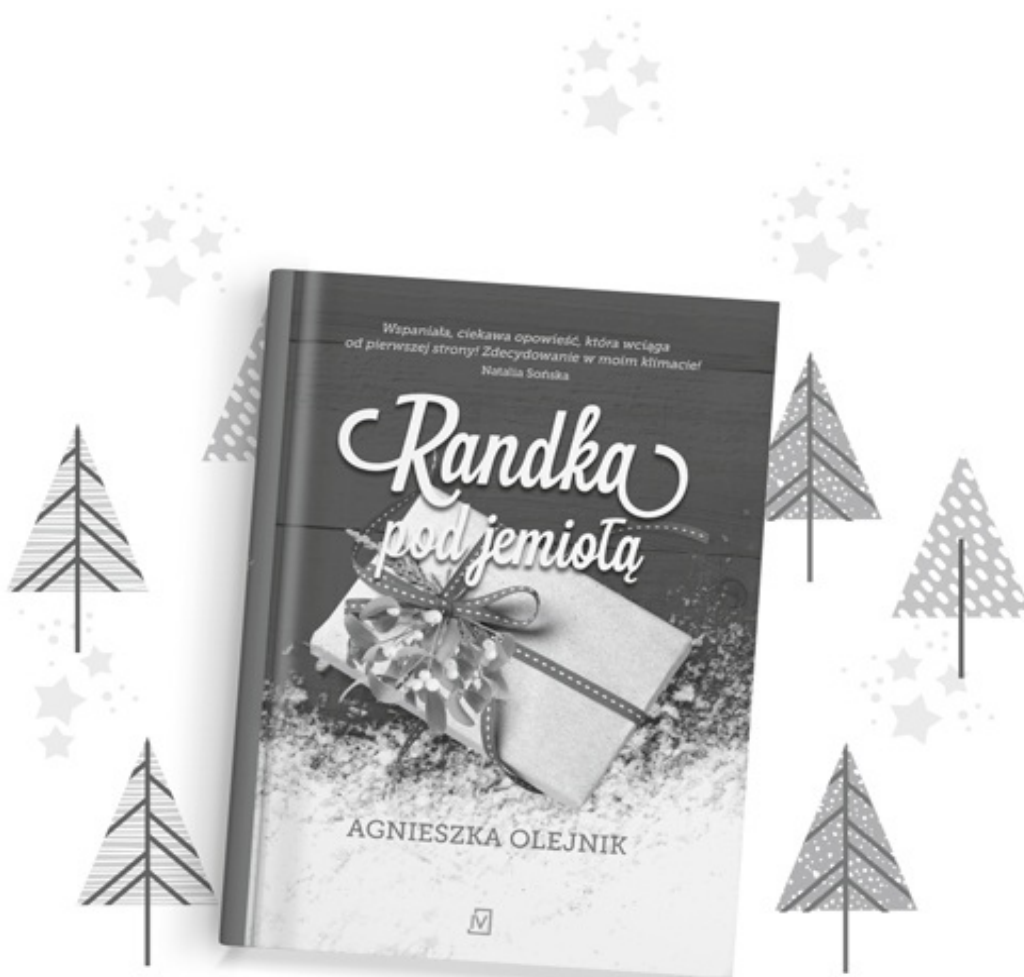
Już dziś zacznij spełniać swoje marzenia!



*Nadchodzi czas cudów.
Tylko czy każdy może
na nie liczyć?*

Zostało siedem dni do świąt, lecz Monice daleko do świątecznego nastroju. Ciągłe wpada na byłego chłopaka, dlatego marzy, by już pojechać do rodzinnego domu. Jednak tam, mimo aromatu pieczonych już przez mamę pierników, nikomu nie udziela się radosna atmosfera. Tata Moniki stracił pracę, ale nie chce nikomu o tym powiedzieć. A brat niefortunnie myli datę urodzin swojej ukochanej z urodzinami dawnej partnerki, co stawia pod znakiem zapytania skrzętnie planowane zaręczyny. Co jeszcze może pójść nie tak?

Ta książka to wyjątkowa opowieść o tym, co w życiu naprawdę ważne. Będzie chwilami lekko, a chwilami wzruszająco dokładnie tak, jak potrafi pisać tylko Agata Przybyłek!



Czy pocałunek pod jemiolą zawsze przynosi szczęście?

Joanna jest szczęśliwą mężatką. Nie przeszkadzają jej nawet staroświeckie poglądy jej męża dotyczące tego, jak powinna wyglądać i zachowywać się jego żona. Musi mieć długie włosy, zapinać guziki bluzki niemal pod samą szyję i zawsze trzymać w ręce najważniejszy atrybut domowego ogniska – ściereczkę do kurzu. Wszystko jednak się zmienia, gdy Joanna odkrywa, że mąż ją zdradza. Wraz z radykalną zmianą fryzury, bohaterka postanawia całkiem odmienić swoje życie.

Jej decyzja pociąga za sobą szereg konsekwencji – Joanna będzie musiała stawić czoła flirtującemu dyrektorowi szkoły oraz na nowo przemyśleć swój stosunek do pracy. Na szczęście, odkryje wokół siebie ludzi, którzy zawsze będą gotowi jej pomóc.

A gdy nadejdzie grudzień i pod butami zaczną skrzypieć śnieg, a wokół unosić się zapach pierników i pomarańczy, nikt nie będzie potrafił oprzeć się uczuciu. W te święta każdy potrzebuje odrobiny bliskości.



Usiądź wygodnie, zrelaksuj się i weź do ręki niezwykłą opowieść o Mai, która pozostaje wierna swoim marzeniom niczym baśniowa Calineczka...

Nie ma nic wspanialszego niż dwie bratnie dusze, które spotykają się po latach. Chciałoby się wykrzyknąć, że miłość zawsze znajdzie właściwą drogę. Jednak rzeczywistość może nas zaskoczyć, a pozory potrafią mylić... Los pisze dla Mai swój własny scenariusz. Nadopiekuńcza ciotka usiłuje po swojemu ułożyć życie dziewczyny, lecz nie tylko ona...

Czy świąteczny czas okaże się dla Mai łaskawy? Przekonaj się, że małe cuda są możliwe – wystarczy w nie tylko uwierzyć.

Po bestsellerach *Garść pierników*, *szczypta miłości* i *Obudź się, Kopciuszku* Natalia Sońska po raz kolejny czaruje urzekającym, zimowym klimatem. Zakochasz się w jej powieściach!



*Czy wierzysz w magię wigilijnej nocy?
Czy szept twojego życzenia przemienił się
kiedyś w rzeczywistość?*

Wyobraź sobie dziewczynkę, której ludzie ofiarowują swoje historie. Nie przypuszczają, że słowa wypowiedziane na głos mogą wpływać na ich przyszłość. Historia jak z bajki? W święta to możliwe! Tylko że marzenia mogą żyć swoim życiem i nie zawsze spełniają się w taki sposób, jak to sobie zaplanowaliśmy. Czasami los zgotuje nam zupełnie inną historię...

Razem z bohaterami najnowszej książki Karoliny Wilczyńskiej poczuć siłę życzeń wypowiedzianych u progu Bożego Narodzenia. A Ty, o czym dziś marzysz?



*Pełna ciepła, radości
i wzruszeń opowieść o rodzinnej
bliskości.*

Gdy na girlandach migoczą lampki, a bombki błyszczą wszystkimi kolorami, mieszkańcy miasteczka czują magię świąt. To czas przebaczenia i domowego ciepła, kiedy najbardziej cieszą drobiazgi, a codzienne nieporozumienia przestają być ważne. W ten wyjątkowy, wigilijny wieczór nikt nie powinien być sam. Bo najcenniejsze, co mamy, to czas spędzony razem.

Pachnąca piernikami i jodłą kontynuacja *Czterech płatków śniegu*, które tysiące czytelniczek znalazły pod choinką.